



MONIKA A.
OLEKSA

*Niebo
w kruszonce*

ZYSKI-SKA
WYDAWNICTWO

MONIKA A. OLEKSA

NIEBO

W KRUSZONCE

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Monika A. Oleksa
Niebo w kruszonce

ISBN: 978-83-65521-22-4

Copyright © Monika A. Oleksa, 2016
All rights reserved

Redaktor: Paulina Wierzbicka
Projekt okładki: Izabella Marcinowska

Wydanie I

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Spis treści

Rozdział pierwszy UŚMIECH WIOSNY Rozdział drugi PSIE SERCE Rozdział trzeci PIĘCDZIESIĄT PLUS Rozdział czwarty MĘSKIE DECYZJE Rozdział piąty LATO, LATO Rozdział szósty SAMOTNOŚĆ Rozdział siódmy LIPIEC Rozdział ósmy SIERPNIOWE POCAŁUNKI Rozdział dziewiąty BIEDRONKA Rozdział dziesiąty NIEBO W KRUSZONCE Rozdział jedenasty OT, TAKIE ŻYCIE Rozdział dwunasty OBIETNICA

Książkę tę dedykuję wszystkim kobietom, które każdego dnia stają po drugiej stronie lady. Dziękuję za Wasz trud, Drogie Panie, pracę w te dni, kiedy inni odpoczywają, i za to, że robicie to z sercem.

Ta książka jest szczególnie dla Was.

*Agnieszce, Kasi i Dorocie — dziękując za prawdziwą i piękną przyjaźń
oraz Marcinowi — który jest moją Obietnicą wszystkiego*

Szczególne podziękowania składam Marii i Franciszkowi Sawickim, w których pensjonacie — Domu Wypoczynkowym „Maria” w Dąbkach — powstawała ta książka. Dziękuję za ciepło, którym jestem tam otaczana, rodzinną atmosferę, idealne warunki do pracy i odpoczynku oraz nieustanne wsparcie, które w Was mam, Marysiu i Franku!

Rozdział pierwszy

UŚMIECH WIOSNY

— Widzi pani, ta wariatka znowu rozmawia z motylami. Lata toto całymi dniami po osiedlu i uśmiecha się do roślinek i robali.

— A pani to przeszkadza? — Renata spojrzała na tęgą, niewysoką blondynkę z odrostami i odgarnęła z czoła grzywkę, która była już na tyle długa, że drażniła i wchodziła do oczu.

— Pani Reniu, ja to mam na głowie tyle spraw, że nawet nie mam czasu pomyśleć, czy mi to przeszkadza.

Renata westchnęła i powstrzymała się przed odpowiedzią, która wywołałaby lawinę lamentów i trudny do powstrzymania słowotok. Wydała grzecznie resztę i tęsknie spojrzała za okno.

Wiosna rozgościła się już na dobre. Drzewa zazieleniły się drobnymi listkami, trawa odzyskała swój soczysty kolor, a ptaki śpiewały jak szalone. Aż trudno było wysiedzieć w sklepie, kiedy świat dookoła tak kusił i zapraszał na spacer. Spojrzała na zegarek. Jeszcze dwie godziny i kończy zmianę. Ech, warto było wstać o czwartej czterdzieści pięć. Nie usiedziałyby w sklepie w taki piękny dzień.

— Dzień dobry, pani Reniu — smutne piwne oczy spojrzały na Renatę ze znajomym ciepłem. Uśmiechnęła się.

— Dzień dobry, panie Karolu. Pana chlebek już przyjechał.

Rzadko się uśmiechał, ale gdy to robił, pajęcza sieć zmarszczek przy jego oczach rozchodziła się cieniutkimi liniami ku skroniom i rozjaśniała tę miłą twarz radosnym blaskiem.

— Dziękuję.

Przychodził codziennie, zwykle o tej samej porze. Kupował niewiele, ot, tylko tyle, żeby wystarczyło dla samotnego mężczyzny w średnim wieku i owczarka niemieckiego o tak samo smutnym spojrzeniu jak jego pana. Na serdecznym palcu prawej ręki wciąż nosił złotą obrączkę, choć Renata wiedziała, że to tylko obronny mur oddzielający go od świata. Lubiła go. Lubiła sposób, w jaki na nią patrzył, tak ciepło i delikatnie. W ciągu tych kilku krótkich chwil wiedziała, że nadal jest kobietą i że wciąż może się podobać dojrzałemu mężczyźnie.

Stanisław już dawno przestał na nią patrzeć w ten sposób.

— Piękny dzień, prawda? — uśmiechnęła się. Chciała sprowokować ten uśmiech w zamian i zanurzyć się w nim właśnie dziś, kiedy wiosna tak pięknie rozłożyła swój płaszcz, rozsiewając wokół zapachy i dźwięki.

— Piękny. Obiecałem Reksowi długi spacer po wąwozie. Obu nam przyda się trochę ruchu i świeżego powietrza po tej długiej, męczącej zimie.

— Świetny pomysł, Reksowi na pewno się spodoba — starała się skupić na

wbijanych na kasę produktach, ale jego spojrzenie rozpraszało ją.

— Bardziej spodoba mu się wątróbka, którą kupiłem na obiad. Wielbi drób w każdej postaci.

— Trzydzieści sześć osiemdziesiąt — podniosła głowę i spojrzała prosto w piwne oczy.

— Proszę — podał jej banknot pięćdziesięciozłotowy. Poczowała elektryzujący prąd, gdy opuszki jego palców przypadkowo dotknęły jej dłoni. Ręka jej zadrżała przy wydawaniu reszty.

— Pani też powinna wybrać się na spacer. Słońce dodaje energii.

Patrzyła, jak pakuje zakupy, a potem powoli wychodzi ze sklepu. W drzwiach jeszcze przystanął, odwrócił się i grzecznie uklonił.

— Za każdym razem, jak przychodzi, zastanawiam się, kiedy w końcu zaprosi cię na kawę — brązowo-czekoladowa głowa Kasi wyjrzała zza regału z przetworami, na którym dziewczyna ustawiała słoiki dżemów i marynaty.

Renata spojrzała na koleżankę i popukała się palcem w czoło. Kasia wzruszyła ramionami i popatrzyła w okno, odprowadzając wzrokiem pana Karola i jego psa.

— O, widzę, że pani Emilia wyruszyła na powitanie wiosny.

Renata pokiwała głową.

— Tak. Nie przejdzie obojętnie obok żadnego motyla, biedronki czy nawet gąsienicy. Gdyby wszyscy ludzie byli tacy jak ona, świat nie potrzebowałby broni nuklearnej ani wojsk strzegących granic. To dusza kobieta.

— Zauważyłaś, że jak wchodzi do sklepu, to wnosi ze sobą taki spokój, który wypełnia cię aż po czubki palców? Mówię ci, to anioł.

Renata myślała podobnie jak Kasia. Lubiła panią Emilię z rozwichrzonymi wiatrem rudymi włosami, uroczymi piegami i delikatnym uśmiechem, który nie znikał z jej twarzy. Trudno powiedzieć, ile miała lat. Była w tym nieokreślonym przedziale pięćdziesiąt plus z duszą dwudziestolatki. Kochała życie i szanowała każde, najdrobniejsze nawet stworzenie. Cieszyła się drobiazgami, tańczyła w kropkach deszczu, a latem nosiła słomkowe kapelusze z szerokim rondem. Nigdy na nic nie narzekała, na nic się nie skarżyła. Żyła sobie cichutko, nikomu nie wchodząc w drogę, a mimo to mieszkańcy tutejszego osiedla nazywali ją wariatką. Była sama, ale nie czuła się samotna. Mieszkała z przygarniętymi zwierzakami i dbała o nie jak o własne dzieci, których nigdy nie miała. Kasia miała rację. Każda, nawet krótka rozmowa z panią Emilią przynosiła ukojenie i spokój. Emilia emanowała ciepłem, które trudno było nazwać inaczej niż zwykłą ludzką dobrocią.

— Jak dziewczynki? — Kasia skończyła ustawianie, przyjrzała się uważnie stworzonej przez siebie kompozycji i zadowolona z efektu przysiadła na tekturowym pudełku odwróconym dnem do góry.

— Totalna beztroska i rozprężenie. Iga żyje już wyłącznie wycieczką do

Londynu, wyjeżdżają za tydzień na sześć dni. Klasa Julki przygotowuje jakiś musical na dni otwarte szkoły, więc codziennie słuchamy coraz to nowego repertuaru, bo Julka uczy się również ról koleżanek, rozumiesz, tak na wszelki wypadek, gdyby któraś zachorowała.

— Nadal marzy o aktorstwie? — zielone, życzliwe oczy Kasi patrzyły na Renatę ze szczerym zainteresowaniem.

— Taaa. — Renata westchnęła. — Nadal na topie filmówka w Łodzi.

— To dobrze, że ma marzenia. Życie jest o wiele ciekawsze, jeśli nie boisz się marzyć i sięgać wysoko.

— Ale jak nie nabijasz sobie głowy bzdurnymi pragnieniami, to przynajmniej się nie rozczarujesz, gdy nic nie wyjdzie z ich realizacji. Upadek z wysokich chmur boli.

— No i co z tego, że boli? Ale masz świadomość, że przynajmniej próbowałaś. Bez marzeń żyjesz w zasklepionej skorupie z wiecznymi pretensjami do świata. Tracisz swoją wrażliwość i przestajesz dostrzegać to, co w życiu ważne. Nie podcinaj im skrzydeł, Renia, i nie chroń przed życiem za wszelką cenę. One same muszą posmakować porażek, nie uwierzą tobie.

— Dlaczego ty nie pójdziesz na studia, Kasia? Jesteś młoda, masz przed sobą całe życie, nie czekaj tak, jak ja czekałam, bo utkniesz w tym jednym, niezmiennym punkcie i zabraknie ci siły, aby cokolwiek zmienić.

— Wiesz co, masz wiosenną depresję. — Kasia podniosła się z pudełka i otrzepała fartuch. — Powinnaś wybrać się na długi spacer, jak pani Emilia. Wracam na sery.

— Zważ mi dwadzieścia deko edamskiego i wędliny tej co zawsze. A, i schabu na kotlety! — krzyknęła za nią Renata i zajęła się klientem, który pojawił się przy jej stanowisku.

Był to dział alkoholowy połączony jednocześnie z punktem kasowym, jedynym czynnym o tej porze dnia, kiedy ludzi w sklepie było jeszcze niewielu. Renata lubiła ten swój przytulny kącik zabudowany regałami na dość niewielkiej powierzchni sklepu. Za plecami miała półki wypełnione alkoholem ze wszystkich stron świata i jeden regał z niezbędnymi kosmetykami i lekami przeciwbólowymi. Nad głową, tuż nad kasą, zawieszony był podajnik z papierosami. Sięgała tam, wspinając się na palce, ale dzięki takiemu rozwiązaniu każda powierzchnia w sklepie była sensownie zagospodarowana. Przed sobą Renata miała wejście do sklepu i duże okno z niskim parapetem, na którym stały równo poukładane koszyki. To okno lubiła najbardziej. Nazywała je swoim „oknem na świat”. Za nim toczyło się zwyczajne życie, które lubiła obserwować. Mieszkańcy LSM-owskiego osiedla spieszyli do swoich obowiązków, dzieci maszerowały do szkoły lub wracały z niej, leniwie wymachując workiem, i wstępowały do sklepu po loda lub paczkę czipsów, w zależności od nasilenia głodu i temperatury za oknem. Psy, które rozpoznawała

już z imienia, wychodziły na spacer na skwerek przed sklepem, a ich właściciele zatrzymywali się w pośpiechu na chwilę sąsiedzkiej pogawędki. To życie, tam, za oknem, było doskonale zorganizowane i wypełnione drobiazgami, w których Renata odnajdywała wewnętrzny spokój i w których czuła się bezpiecznie. Te drobiazgi zachwycały, jak chociażby rozmowy pani Emilii z motylami. Gdyby nie to okno, nigdy nie zwróciłaby na nie uwagi. Byłaby kolejnym przechodniem przemijającym przez życie z oczami zamkniętymi na to, co naprawdę ważne. Obrazy, jakie śledziła, łagodziły monotonię pracy, która była czymś więcej niż nużące przesuwanie przez czytnik kodów kreskowych.

— Dzień dobry — uśmiechnęła się do dobrze znanej z widzenia twarzy z siateczką zmarszczek rozłożonych symetrycznie na policzkach i wysokim, jasnym czole.

— Listonosz był, więc mogę dzisiaj zaszaleć — do Renaty uśmiechały się usta i oczy starszej kobiety. — Wnuki przyjadą, muszą mieć w domu coś słodkiego. I barszczyk ugotuję z młodej botwinki. Syn bardzo lubi. Bo synowa to mu nie gotuje. Nie ma czasu, doktorat robi. Wszystko ważniejsze od dzieci, męża i domu. I wiecznie niezadowolona, zdenerwowana i zmęczona. A syn ją usprawiedliwia. Bo ona taka zapracowana, bo ten doktorat. Ale po co, pani Renatko? Po co tyle na siebie brać, jak życie tylko jedno? Ma pracę, to jej się nie podoba. Chce zmienić i stąd ten doktorat. A jak i rodzinę będzie chciała zmienić? Bo ta, którą ma, też jej się nie podoba.

Tyle ludzkich opowieści przepływało przez czytnik wraz z zakupami wynoszonymi później w reklamówkach lub materiałowych torbach z uszami. Ludzie wychodzili z ciężarem siatek, ale często lżejsi o tę jedną opowieść, której nie mieli siły już dłużej w sobie utrzymać. Tego, co dostawali w osiedlowym sklepie, nie mógł im zaoferować żaden, nawet najtańszy supermarket. Odrobina uwagi i chwila czasu, w trakcie której ktoś ich wysłuchał. Człowiek, dla którego byli kimś więcej niż anonimowym klientem. Dlatego Renata lubiła swoją pracę i choć niejednokrotnie przychodziły chwile zwątpienia i żalu z powodu niewykorzystanych możliwości, czuła, że bycie kobietą sklepową to tak naprawdę coś więcej niż monotonne nabijanie na kasę i wykładanie towarów na półki. Jej praca to był człowiek po drugiej stronie lady, a kontakt z nim dawał Renacie siłę na każdy kolejny dzień i wrażliwość, której nie doświadczyłaby w żadnym biurze.



— Twój ser, krakowska z Bobrownik i schab. *Voilà!* — Kasia zjawiła się przy kasie jak dobry duszek, wręczając Renacie złożone wcześniej zamówienie.

— Dzięki, skarbie. — Renata dorzuciła produkty do swojego koszyka i czekając na koleżankę z drugiej zmiany, podliczyła wszystko i nabiła na kasę. — Najbardziej w tej pracy cenię to, że nie muszę już nigdzie wstępować po zakupy.

— No, chyba że dla przyjemności. — Kasia roześmiała się i puściła do Renaty oko. — Tak jak ja dzisiaj. Zamierzam poszaleć w poszukiwaniu wiosennej sukienki. Jak ja się cieszę, że za chwilę stąd wyjdę. — Kasia wyjrzała tęsknie przez otwarte drzwi, uśmiechając się do wiosny, która wydawała się przygotowywać do pozostania w mieście na dłużej. — Kurczę! — wykrzyknęła nagle, dostrzegłszy zbliżającą się w stronę sklepu postać. — Nogi mi miękną za każdym razem, jak widzę tego faceta!

Renata schowała pieniądze do kasy, wydała sobie resztę i wrzuciła ją nie dbale do skózanego portfela. Podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę, od którego Kasia nie mogła oderwać wzroku. Pomimo swojej przekroczonej już kilka lat temu czterdziestki nadal mógł się podobać. Był dość wysoki, na tyle, aby kobieta mogła czuć się przy nim bezpiecznie. Postawny i nieco misiowaty, z silnie zarysowanymi pod napiętym podkoszulkiem ramionami, które obiecywały bezpieczną przystań. Kiedyś ciemny brunet, dziś lekko szpakowaty, z ciemnymi oczami, które kryły w sobie tyle różnych emocji. Znała je wszystkie, począwszy od gniewu, kiedy te oczy ciemniały i ziębiły spojrzeniem, przez łagodność, ciekawość i pożądanie, które nadal, choć już coraz rzadziej się w nich pojawiało. Staszek. Była z nim dziewiętnaście lat, a czasami miała wrażenie, że tak mało o nim wie. Uśmiechnęła się, a on pocałował ją w policzek na powitanie.

— Gotowa?

Skinęła głową, sięgnęła po siatkę z zakupami i podała mu.

— Do jutra.

— Do zobaczenia.

Wyszła, odprowadzana wzrokiem koleżanek, przy boku mężczyzny, z którym dzieliła życie.



Lubiła, jak po nią przyjeżdżał, ale z biegiem lat zagubiła gdzieś tę dziewczęcą radość przebywania z nim. Ceniła wygodę powrotu do domu samochodem, a nie zatłoczonym autobusem z siatkami pełnymi zakupów. Staszek był kierowcą MPK i podobnie jak Renata pracował na zmiany. Nie zawsze czas ich pracy się pokrywał i były dni, kiedy Renata przemykała z lękiem ciemnymi uliczkami na przystanek, bo Staszek kończył zmianę przed dwudziestą trzecią, a ona zamykała sklep po dwudziestej pierwszej. Nie lubiła tych samotnych powrotów, lubiła za to obecność Staszka. Czuła się przy nim bezpiecznie.

Nagła cisza wyrwała Renatę z zamyślenia. Nie pracował silnik samochodu, umilkło radio. Spojrzała przytomniej przed siebie, a potem pytająco na męża.

— Dlaczego tu stanąłeś?

— Pomyślałem sobie — popatrzył na nią niepewnie, pocierając kciukiem zmarszczone czoło — taka ładna dziś pogoda, pomyślałem, że pójdziemy na spa-

cer.

Rozejrzała się zaciekawiona.

— Będziemy spacerowali po Krakowskim Przedmieściu?

Uśmiechnął się rozbawiony.

— Nie, po parku. Przecież to niedaleko.

— To zabawne — położyła rękę na klamce samochodu. — Dwukrotnie dzisiaj usłyszałam, że powinnam pójść na spacer.

— Słyszysz i masz. — Stanisław otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

Szli obok siebie, z rękami opuszczonymi i bezradnymi, jakby zapomnieli, do czego służą dłonie i palce, które splatają się ze sobą bez miłosnego uniesienia, ale w najbardziej naturalnym odruchu bliskości. Radosne promienie słoneczne ukazywały całą niedoskonałość miasta zmęczonego długą zimą i latami zaniedbania. Strome, wąskie schodki prowadzące do parku od ulicy Bieczyńskiego kruszyły się pod ciężarem kroków przemierzających tę drogę każdego dnia od samego rana, kiedy Lublin budził się i żył swoim rytmem dużego-małego miasta.

Zapach wiosny w parku odurzył Renatę. Patrzyła jak urzeczona na oblepione białymi kwiatami drzewa i soczystą zieleń trawy poprzetykanej żółtymi mleciami. Zamknęła oczy, wciągnęła głęboko w płuca powietrze pachnące słodką wonią brzemiennych w kwiaty bzów i poczuła, że żyje i czuje tę wiosnę każdą najmniejszą komórką swojego ciała. A potem poczuła, jak dłoń Staszka nieśmiało otula jej rękę. Splotła swoje palce z jego, czując zgrubienie obrączki, i spojrzała na męża z uśmiechem szczęścia w oczach.

— Ten spacer to był fantastyczny pomysł.

— Rena, dlaczego my tak rzadko wychodzimy gdzieś razem? Gubimy się...

— Pytasz, jakbyś nie wiedział. Nie mamy czasu na takie spacerunki. Po pracy trzeba wracać do domu, zrobić dziewczynkom obiad, dopilnować lekcji. Przed południem tym bardziej nie ma na to czasu, bo jest tysiące innych rzeczy do załatwienia. Życie weryfikuje nasze marzenia, kochanie.

Nie wiedziała, czy ją słyszy. Szedł zamyślony i zapatrzony w świat, który podarował im maj. Renata czuła się niezręcznie tak blisko Staszka, idąc przed siebie bez konkretnego celu. Zazwyczaj zmierzała gdzieś, dokądś, w wyznaczone sobie miejsce. Ten czas tu i teraz był czymś nowym, zupełnie dla niej nieznanym od chwili, kiedy urodziły się dziewczynki.

— Zapominamy o sobie, Rena. Przejmujemy się tysiącem niepotrzebnych drobiazgów, a zupełnie lekceważymy to, co naprawdę ważne. Zobacz, nie wrócimy dziś do domu na czas i świat się nie zawali. Dziewczyny, jak zgłodnieją, same odgrzeją sobie obiad. Jak jeden dzień nie odkurzysz, mieszkanie nie zarośnie brudem. Nasze obowiązki nie znikną, nie odejdą, ale ten czas... on się już nie powtórzy, Rena.

Lubiła, kiedy tak do niej mówił. Rena. Tylko Staszek nazywał ją w ten spo-

sób. Wymyślił to dawno temu, kiedy jeszcze nie byli małżeństwem. Zachwycił ją od pierwszego dnia, kiedy tylko go poznała. Potem gdzieś ten zachwyt zgubiła i dziś już nie umiała sobie przypomnieć gdzie i dlaczego.

Spojrzała na staw, na którego powierzchni unosiły się listki wierzby, opadłe z pochylonego nad wodą drzewa. Czasami była jak taki liść, płynący tam, dokąd porwie go prąd. Bezwolny, popychany wiatrem. Renata też dawała się nieść życiu, pozwalając, żeby za nią decydowało. Tak było bezpieczniej. W ten sposób życie mniej bolało, bo niewiele od niego oczekiwała.

Zmęczony podróżą motyl przysiadł na oparciu ławki. Zatrzymała Staszka w pół kroku i wskazała na to maleńkie чудо, które tak wzruszało panią Emilię. Renata też to poczuła. Wzruszenie i radość z takiej drobnej rzeczy jak ta. Zwyczajny motyl na zwyczajnej ławce, z której gdzieniegdzie odprysła farba. A jednak dla niej w tej chwili było to nadzwyczajne. Drobiazg i chwila, które potrafią przynieść spokój i lekkość, jakiej nie czuła już od bardzo dawna.

— Chodźmy na lody — powiedziała nagle, ciągnąc męża za rękę.

Popatrzył na nią z figlarnym uśmiechem i iskierkami radości w oczach.

— Włoskie czy gałkowe?

— Oczywiście, że włoskie! I bardzo śmietankowe! W takim spiczastym wafelku.

Pokręcił głową rozbawiony i zawrócił w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

— Wiesz co, Renia, mam wolną niedzielę. Pojedźmy z dziewczynkami do Kazimierza. Dawno tam nie byliśmy.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała.

— Pojedźmy — odpowiedziała, a potem wysunęła rękę z mocnego uścisku Staszka i pobiegła po schodach, śmiejąc się radośnie i pozwalając, by ją dogonił.



Kasia wystawiła twarz do słońca i przez dobrą chwilę grzała się w ciepłym dotyku promieni na swojej bladej skórze. Potrzebowała tego spaceru i tej nowej sukienki. Już z daleka przykuła ona wzrok Kasi, kusząc z okna wystawy sklepowej. Żółta jak wiosenne mleczki, którymi obsypane były osiedlowe trawniki, zalotna i bardzo kobieca, zawróciła dziewczynie w głowie i odsunęła na bok rozsądek. Stała się małym szaleństwem i wielką przyjemnością wśród tych monotonicznych dni upływających jeden po drugim niezmiennie utartym rytmem. Kasia uśmiechnęła się do swoich myśli. Marlence na pewno się spodoba. Jak każda mała dziewczynka uwielbiała mamę w kolorowych sukienkach.

Spojrzała na zegarek i z wawszym krokiem ruszyła w stronę przedszkola. Nie chciała jechać autobusem. To tylko dwa przystanki, a w takim dniu jak dziś jak najdłużej chciała zatrzymać wiosnę i jej ciepłą pieśczętę na policzkach i odsłoniętych

ramionach. Mijane wystawy sklepów uśmiechały się do Kasi jej własnym odbiciem.

„Życie, pomimo całego swojego okrucieństwa, jest piękne”, pomyślała. To piękno zamierzała pokazać Marlence. Zrobią sobie dziś małe, prywatne święto. Pojadą do Ogrodu Botanicznego, gdzie będą mogły powitać wiosnę i przyjrzeć się jej w całej okazałości i gdzie Kasia będzie mogła zapanować nad rozbieganą czterolatką, którą rozsadzała energia.

Myśl o córce jak zawsze ogrzała serce Kasi i dziewczyna przyspieszyła kroku, stęskniona za lepkimi paluszkami małych rączek i roześmianą buzią, która słodkie całuski miała zarezerwowane tylko dla niej. Dla Kasi.



Poczuła ten znajomy odór, gdy tylko weszła do domu. Cała radość utkana wiosną prysła jak mydlana bańka, a kosmaty pajak przytłaczającej rzeczywistości podpełzł pod samo gardło i ścisnął tak, że aż zabolalo. Kasia odłożyła torbę z zakupami, odwróciła się do Marlenki i zmusiła usta do uśmiechu.

— Idź, umyj dokładnie rączki. Masz na nich mnóstwo bakterii, których trzeba się pozbyć.

Dziewczynka zdjęła buciki, skinęła poważnie głową i pobiegła do łazienki, a Kasia wykorzystała chwilę jej nieobecności i zajrzała do pokoju. Poznała ten nieudolnie zgarnięty bałagan i na moment mocno zacisnęła powieki, aby nie wypuścić ani jednej łzy, które już się zbierały.

— Znowu piłś — starała się bardzo, aby jej głos nie zdradzał żadnych emocji, ale czuła, że nie panuje nad jego drzeniem.

— A ty znowu swoje! Nie piłam, tylko miałam gościa. Zmoczyłam usta dla towarzystwa.

— Pożyczyłaś pieniądze, tak? Od kogo tym razem?

— Przestań prowadzić śledztwo i zajmij się swoim życiem. Też dużo ci brakuje do doskonałości. Gdzie Marlenka?

— Nie pokazuj się jej w takim stanie. — Kasia chciała się wycofać, ale już wiedziała, że matka nie odpuści. Była w tym stanie upojenia, kiedy jeszcze nie przekroczyła granicy, a już zasmakowała i walczyła z rozdrażnieniem i pragnieniem sięgnięcia po jeszcze.

— W jakim stanie? Przepraszam cię bardzo, w jakim stanie? Co to, we własnym domu już mi przyjąć gościa nie wolno? Póki co to chyba ty mieszkasz u mnie, a nie odwrotnie, więc proszę cię, okaż mi choć odrobinę szacunku, bo należy mi się on chociażby dlatego, że jestem twoją matką.

Znała ten scenariusz na pamięć, chociaż tak często starała się o nim zapomnieć. Wiedziała, że padnie wiele słów, które zabolą jak ostre kawałki szkła w zetknięciu ze skórą. I pomimo że wracały wciąż te same, nie można się było na

nie uodpornić. Zapadały głęboko w pamięć i powracały jak bumerang nawet wtedy, gdy odrzucała je bardzo daleko.

W maleńkich objęciach Marlenki świat sklejał się powoli w całość. To był jej wielki dar, który dostała od Pana Boga za wszystkie niedoskonałości swojego życia. To dziecko, które pojawiło się bez żadnego planu i zaproszenia, dało jej niesamowitą siłę i dziś już wiedziała, że przetrwa wszystko dla niej. I dzięki niej. Wtulając się w złote włosy córeczki, przypomniła sobie dzisiejsze słowa Renaty: „Dlaczego ty nie pójdziesz na studia, Kasia?”. Kasia wiedziała dlaczego. Bo studia kosztują. Bo potrzeba na nie czasu, a ona nie miała ani jednego, ani drugiego. Miała za to pracę, z której co miesiąc odkładała na spełnienie największego marzenia. Na własne mieszkanie, które będzie tylko jej i Marlenki. To będzie ich dom, w którym zawsze będzie spokój i w którym obie będą czuły się bezpiecznie. Na razie musiała zacisnąć zęby i przetrwać. I uchronić własną córkę przed dzieciństwem, jakiego sama doświadczyła.



Emilia wyszła przed drzwi swojej galerii przy Złotej i odetchnęła wiosną. Przymknęła oczy i pozwoliła, aby złote promienie zatrzymały się na jej piegowatej twarzy. Maj tego roku wszedł z wielkim rozmachem, kolorując świat swoim miękkim pędzlem i rozsiewając woń kwitnących drzew. Emilia czuła ten specyficzny oddech wiosny nawet tu, na Starym Mieście. Kochała wiosnę za jej niewinność i obietnice, które zwiastowała. Jak każde uśpione życie, wraz z wiosną wybudzała się z zimowej apatii i nabierała sił do działania. Wiosną jej pejzaże uwodziły, a zmysły Emilii znacznie mocniej chłoneły otaczający świat.

Otworzyła oczy i przysłoniła je ręką przed rażącym blaskiem. Po jej lewej stronie od lat niezmiennie wznosiła się bazylika oo. Dominikanów, z przylegającym do niej klasztorem. Po prawej widziała Rynek i Trybunał Koronny, pod który podjeżdżały młode pary, wstępując na nową drogę wspólnego życia. Galeria Emilii otoczona była ze wszystkich stron kawiarniami i restauracjami, których stoliki od pierwszych cieplejszych dni powychodziły na wybrukowane ulice. Najbardziej lubiła chwile przy herbacie w Akwareli, gdzie woń jaśminu w imbryczku przenosiła Emilię do parku, zatrzymując ją przy niedostrzegalnych drobiazgach w środku rozpędzonego dnia.

Lubiła obserwować ludzi. Byli bardzo różni, ale każdy z nich miał w sobie ogromne bogactwo. Emilia to widziała. Patrzyła w oczy nieznanym i uśmiechała się do nich, próbując rozproszyć ponury mrok lub obojętność. Czasami odwzajemniali jej uśmiech, ale w większości przypadków uznawali ją za nieszkodliwą wariatkę. Bo była inna. Prawdziwa. Bo życie było dla niej darem, a każda chwila bezcenna. Nie narzekała, bo nie miała na co. Akceptowała siebie taką, jaka była. Nie żądała więcej, niż mogła dostać, nie pragnęła rzeczy dla samego posiadania.

Wystarczało jej, że żyła, tu i teraz.

Powiew rozgrzanego wiatru zatańczył wokół Emilii i delikatnie otulił jej nieosłoniętą szyję. Uśmiechnęła się do rudego kota, który przemknął pod murami kamienicy, miaucząc żałośnie. Znów udało jej się uchwycić chwilę. Patrząc ponad dachami kamienic, wyszeptała krótkie „dziękuję” i wróciła do swojego sklepu i swoich obrazów.



— No i co, długo tak jeszcze będziemy spacerować? — ironiczny głos Igi przerwał panującą między nimi ciszę.

Wszystko poszło nie tak, jak sobie zaplanowali. Rodzinny wyjazd do Kazimierza nie wzbudził w dziewczynkach entuzjazmu. Julia co prawda, uradowana obecnością obojga rodziców, chłonęła kazimierski klimat, przystając przy każdym kolorowym straganie ustawionym wzdłuż ulicy Nadwiślańskiej i z zachwytem obserwując statki kołyszące się na Wiśle. Dla Igi ten wyjazd od początku był porażką. Dziewczyna przechodziła teraz wiek, w którym świat zawęzał się głównie do przyjaciół i dobrej zabawy. Rodzice w tym świecie byli zupełnie z boku.

— Dlaczego ty wiecznie jesteś niezadowolona? — Renatę coraz częściej drażniło zachowanie córki.

— A dlaczego ty wiecznie się mnie czepiasz? — Iga nałożyła na uszy słuchawki iPoda i odgrodziła się od matki murem głośnej muzyki.

Renata spojrzała bezradnie na Staszka, szukając u niego wsparcia i zrozumienia, ale on tylko wzruszył ramionami.

Nie tak miała wyglądać ta niedziela. Miało być rodzinnie i radośnie, beztroško i świątecznie. Było gorzko.

Renata przymknęła oczy, które niebezpiecznie zwilgotniały. W kazimierskim zgiełku przyplętnęło wspomnienie. Letni, słoneczny dzień i spokój podlubelskiej wsi. Duży sad pełen napęczniałych wiśni i brzęczenie pszczelej rodziny, skuszonej słodką wonią owoców. I ich zabawa w berka między drzewami. Małe dziewczynki, wbiegające radośnie w jej ramiona i przepychające się w walce o buziaka. Roziskrzony wzrok Staszka, ślizgający się po jej nagich ramionach i opalonych udach. Wtedy marzyli o chwili samotności, a dziewczynki nie odstępowały ich na krok, szczęśliwe, że mają rodziców na wyłączność.

Co się z tym wszystkim stało w ciągu minionych lat? Dlaczego słodkie kociecia stają się tak szybko dzikimi kotkami, egoistycznie zapatrzonymi w swoje potrzeby i niezważającymi na uczucia innych?

— Wiecie co, chodźmy na lody — dla Staszka było to jedyne zajęcie, które choć przez chwilę mogło złączyć całą rodzinę.

Julka podskoczyła do góry z radości. Iga kiwała się w rytm muzyki, a Renata otworzyła oczy i wolnym krokiem ruszyła za mężem i córkami.

Kazimierz puścił do niej swoje kolorowe oko. Był gwarny, a nawet trochę pospieszny. Niósł ją brukowanymi uliczkami, odsłaniając swoje majestatyczne piękno. Małe domki wplatały się między stare, zabytkowe kamienice, urokliwe ogródki kawiarenek zapraszały na chwilę wytchnienia przy kawie i oferowanych tu smakołykach, a specyficzny zapach starego drewna i wąwozów unosił się w powietrzu, pozwalając poczuć wyjątkowość tego miejsca. Renata przystanęła i spojrzała na strzegącą miasta od wieków basztę i ruiny zamku. Wzgórze, na którym się znajdowały, porośnięte było soczystą, bujną zielenią, która koła i uspokajała zmęczone ostrym słońcem oczy. Renata odetchnęła głęboko i weszła za Staszkiem i córkami w przemieszany, różnorodny tłum wypełniający kazimierski rynek, pozwalając mu się porwać i poddając się jego rytmowi.

Rozdział drugi

PSIE SERCE

Pogoda ubiegłego tygodnia spłynęła wraz z deszczem, który wiosenną melancholią uderzał od rana o okienne parapety. Ponury nastrój wyczuwało się nawet w sklepie. Klienci wchodzili do środka wraz z kroplami deszczu ociekającymi z poważnych parasoli i ze smętnymi minami na zmęczonych twarzach. Poniedziałkowy poranek sam w sobie nie należał do przyjemności, a gdy dodatkowo od świtu witał on dzień monotonnym deszczem, cała energia gromadzona przez weekend i pogodny nastrój ulatywały gdzieś z chwilą, gdy trzeba było odrzucić koldrę i wstać z łóżka do swoich obowiązków.

Renata w milczeniu nabijała ceny na kasę i wydawała resztę. Dziś nie miała siły się uśmiechać, podobnie jak jej klienci. Wczorajszy wyjazd rodzinny, który miał być przyjemnością, uświadomił im, że już nie potrafią spędzać wspólnie czasu. Wzajemna obecność, zamiast cieszyć, drażniła i irytowała, a pogodna niedziela zamieniła się w próbę przetrwania. Renata spojrzała na Kasię, nieobecną i zatopioną w swoich myślach na stoisku z mięsem i serami. Ona też nie wyglądała najlepiej. W ogóle ostatnio Kasia jakoś posmutniała i zachowywała się tak, jakby ktoś podciął jej skrzydła. Zabrakło jej dobrej energii i pogodnego uśmiechu. Zamilkła, co szczególnie Renatę niepokoiło. Pomimo sporej różnicy wieku dobrze się rozumiały i potrafiły przegadać ze sobą całą wspólną zmianę. W zasadzie to... Renata niewiele o Kasi wiedziała. Wiedziała, że ma córeczkę, bo zdjęcie Marlenki Kasia nosiła przez cały czas przy sobie i z dumą pokazywała śliczną dziewczynkę o dużych, niebieskich oczach i złotych włosach wijących się na końcach i sięgających pasa. O ojcu Marlenki Kasia nie chciała rozmawiać. „To był drań”, skwitowała wszystko jednym zdaniem i więcej do tego nie wracały. Kasia była zafascynowana kulturą Włoch, tamtejszą kuchnią, naturą Włochów i samym językiem, którego uczyła się z pasją. Tyle Renata wiedziała, bo o tym często rozmawiały. Ale nie rozmawiały o życiu prywatnym Kasi i o tym, co ją smuci, jak sobie radzi z samotnym wychowywaniem Marlenki i czy jest ktoś, kto jej w tym pomaga. Kasia o tym nie mówiła, a Renata nie chciała wchodzić w jej życie z butami i bez zaproszenia. Teraz, patrząc na posmutniałą dziewczynę, nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Postanowiła zostawić to tak, jak jest.

— Wydała mi pani dwa złote zamiast pięciu — zirytowany głos klientki sprowadził Renatę na ziemię.

— Przepraszam — posłała kobiecie skruszone spojrzenie i szybko naprawiła błąd.

— Co się z tymi ludźmi porobiło, odkąd zaczęły za nich myśleć komputery i maszyny. Na każdym kroku trzeba pilnować. — Klientka należała do tych, które

lubiły sobie ponarzekać.

Renata westchnęła cicho. Zapowiadał się ciężki dzień.



Stanisław był już w zasadzie zdecydowany, nie wiedział tylko jeszcze, jak powiedzieć o tym Renacie. Jako mężczyzna czuł się fatalnie, przynosząc do domu co miesiąc pensję, z której nie było mowy o odłożeniu czegokolwiek, chociażby na rodzinne wakacje. Owszem, łącznie z poborami Renaty nie było najgorzej, ale potrzeby rosły wraz z dziewczynkami. W przyszłym roku Iga będzie zdawała maturę, a wiadomo, że z tym wiążą się koszty korepetycji, studniówki i utrzymania osiemnastolatki.

Marek namawiał go już od dłuższego czasu, ale aż do tej pory Stanisław nie był przekonany do jego pomysłu. Wyemigrować do pracy? I do tego do kraju, w którym jeżdżą po lewej stronie jezdni? Nie za dobrze znał angielski, uczył się go dawno temu i bez zapału, a znajomość tego języka, według niego, była przepustką do Europy o wiele lepszą niż otwarte granice. Poza tym Stanisław nie lubił zmian. Dobrze czuł się w środowisku, w którym pracował, Lublin znał jak własną kieszeń, tutaj się w końcu urodził. I tylko te marne grosze, które na coraz więcej rzeczy już nie starczały.

Tylko jak tu zostawić Renatę i dziewczynki? I to wszystko, czym tutaj żył?

Stanisław westchnął, zapatrzony w ciężkie krople osuwające się po szybie autobusu. Musi porozmawiać z Renatą, a to wcale nie będzie proste.

Przeciągnął się, włączył silnik i ruszył z przystanku, zaczynając swój kolejny już tego dnia kurs.



— Prosiłam trzydzieści deko, a pani mi tu trzydzieści cztery ukroiła! — ze stoiska, które obsługiwała Kasia, dobiegł podniesiony głos wzburzonej klientki.

— A pani myśli, że ja wagę w nożu mam? — odpowiedziała takim samym podniesionym głosem Kasia.

Renata obejrzała się zaniepokojona. Napięcie wisiało w powietrzu i było wszechobecne w ciszy deszczowego przedpołudnia.

— Już ja tam swoje wiem! Specjalnie tak ludziom wciskacie, tutaj cztery deko, tam pięć, aby tylko wypchnąć towar ze sklepu. Niech mi jeszcze pani ukroi tej szynki chłopskiej pięć plasterków, ale nie z samego brzegu, tylko ze środka. A kurczaki to świeże?

— Dziś w nocy bite — odpowiedziała Kasia z kamienną twarzą i przez zaciśnięte zęby.

— To jedno udko mi pani da, tylko nie za duże.

Kierowniczką sklepu, pani Halinką, wyjrzała ze swojego zaplecza i obrzuciła

„żądaniową” klientkę zaniepokojonym spojrzeniem, ale widząc, że Kasia panuje nad sytuacją, szybko schowała się z powrotem i wróciła do swoich dostawców.

Renata bardzo się pilnowała przy odliczaniu reszty, a zwłaszcza uważała, aby nie pomylić dwugroszówki z jednogroszówką, gdyż niechybnie rozdrażniona kobieta uznałaby to za celowe działanie na niekorzyść klienta i gotowa była złożyć skargę na sklep do rzecznika praw konsumenta.

— Zrobić ci kawy? — Kasia, wykorzystując chwilowy spokój w sklepie, podeszła do Renaty z wyrazem zmęczenia na twarzy.

— Poproszę, ale tobie bardziej przydałaby się herbatka z melisy niż kawa.

— A daj spokój. — Kasia ze zniechęceniem machnęła ręką. — Durne babsko. Wstała lewą nogą i wszystkiego się czepia. Biedny ten, który dzieli z nią łożę.

Kasia zniknęła na zapleczu, a Renata zamyśliła się nad zawilóścią ludzkiej natury. Dlaczego niektórzy ludzie po prostu nie potrafią być mili? Z góry zakładają, że człowiek jest zły, a świat sprzysięga się przeciwko nim. Każdy przejaw dobrej woli odczytują jako zamach na swoją prywatność i tak ciężko odpowiedzieć im uśmiechem na bezinteresowny uśmiech.

— Kawa dla pani. — Kasia postawiła na ladzie parujący, aromatyczny kubek.

— Dziękuję. — Renata uśmiechnęła się do koleżanki. — Ciężki dzień.

Kasia nic nie odpowiedziała. Oparta o ladę popijała kawę małymi łydkami przy dźwiękach stukającego o szybę deszczu.

— Co się dzieje, Kasia?

Dziewczyna spojrzała nieprzytomnie na koleżankę, machnęła ręką i pokręciła głową.

— Ech, gadać mi się nie chce.

— To pomilczmy razem — zaproponowała Renata, mieszając swoją kawę i tworząc w niej brązowo-białe kręgi na powierzchni.

— Pomilczmy — zgodziła się Kasia.

Deszcz szumiał jednostajnie za uchylonym oknem. Na zapleczu pani Halinka przyjmowała towar od dostawców, odbierała telefon i księgowowała faktury, a one wspólnie milczały nad kawą.

Tę spokojną ciszę przerwała Kasia, która dostrzegła za oknem zbliżającą się do sklepu postać.

— O nie! Już gorzej być nie mogło! — jęknęła. — Nadchodzi Pan Porządny. Dawaj ten kubek i rób wrażenie bardzo, ale to bardzo zajętej.

Renata odwróciła się w stronę alkoholi i zaczęła liczyć wystawione na półkach butelki z takim zaangażowaniem, jakby od tego zależała co najmniej jej premia.

Pan porządny był starszym mężczyzną z tęsknotą wspominającym starą, dobrą komunę, kiedy to w kraju panował porządek i każdy znał swoje miejsce.

Trzymał się prosto jak struna i chodził z wysoko podniesioną głową, patrząc na wszystkich z góry swojego metra i osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Żadna z nich nie wiedziała, kim był w czasach wielbionego przez siebie ustroju, ale wszędzie, gdziekolwiek się znalazł, wymagał nienagannego porządku. Teraz wszedł dumnie do sklepu, dokładnie zamknął za sobą drzwi, złożył czarny parasol i postawił go w kącie przy koszykach. A potem zmierzył cały sklep spojrzeniem wyblakłych, niebieskich oczu.

— Drogie panie, powinien tu być stojak na parasole — odezwał się donośnym głosem.

Renata drgnęła, przestraszona tym nagle wypowiedzianym zdaniem, odwróciła się powoli i z niemałym lękiem spojrzała na mężczyznę, nie wiedząc, czy powinna coś odpowiedzieć, czy przemilczeć tę uwagę. Przemilczała, bo Pan Porządny skierował się w głąb sklepu, dokładnie badając półki i stojące na nich produkty.

— Małe bułeczki jeszcze nie przyjechały — stwierdził z niesmakiem i spojrzał na swój zegarek. — O tej porze zawsze już były.

— Pogoda jest psia, dostawcy mają opóźnienie — odpowiedziała grzecznie Renata.

Pan Porządny zmierzył ją poważnym spojrzeniem.

— Psie, droga pani, to są kupy na trawnikach! I to jest skandal!

— A wie pan, co dla mnie jest skandalem? — Kasia nie wytrzymała, wychyliła się ze swojego stoiska i groźnie spojrzała na mężczyznę. — Dla mnie skandalem jest nasza polska obłuda. Tyle się teraz mówi o ochronie środowiska i zachowaniu tego pięknego świata dla dalszych pokoleń. Kupy na trawnikach były zawsze. Przy dobrym deszczu rozłożą się migiem. A woreczek plastikowy, w który pan włoży taką kupę i sprzętanie z trawnika, będzie się rozkładał trzysta lat! I gdzie tu logika?

— Pani, młoda damo, to za bardzo pyskata jest. Przypominam, że pani obowiązki ograniczają się jedynie do dokładnego zważenia mięsa i sera i do dbania o porządek na pani stanowisku pracy, a nie należy do nich konwersacja z klientami. Pani wybaczy, ale nie jest pani damą do towarzystwa.

— Damą to ja nie jestem w ogóle, a pyskata jestem z natury. Czy coś podać?

Pan Porządny zignorował pytanie Kasi, odwrócił się do niej plecami i demonstracyjnie odstawivszy koszyk, wymaszerował ze sklepu z pustą siatką na zakupy.

Renata i Kasia bez słowa wymieniły spojrzenia.

— Mam nadzieję, że zajrzy tu dzisiaj pani Emilia — westchnęła Kasia. — Bo nie dotrwam do końca tego dnia bez porcji jej dobrej energii — dodała.



Emilia patrzyła w duże oczy czworonoga i zastanawiała się, jak rozwiązać problem kolejnego bożego stworzenia, które napotkała na swojej drodze.

— No i co ja z tobą pocznę, biedaku? — oparła głowę na łokciu, a drugą ręką delikatnie dotknęła psiego ucha. — Nie mogę cię tu zostawić, sam zobacz, że nie mam już wolnego kąta. Cezar i tak z trudem toleruje Okruszka, a ty jesteś tak przestraszony, nie będę ci jeszcze dokładać dodatkowego stresu.

Westchnęła głęboko i zapatrzyła się na deszcz za oknem. Znalazła biedaczynę na przystanku. Stało toto i wpatrywało się w każdy podjeżdżający autobus, nieśmiało merdając długim ogonem. Pies uważnie obserwował wylewający się z pojazdu tłum i przestępował niecierpliwie z łapy na łapę. Na dźwięk ciepłego głosu Emilii porzucił swoje stanowisko obserwacyjne i powędrował za nią, prosto do małego mieszkanka na siódmym piętrze. Emilia nakarmiła go i ogrzała, a teraz zastanawiała się, co zrobić z dodatkowym kłopotem.

— Muszę poprosić pana Karola, aby zrobił ci zdjęcie tym swoim aparatem, a potem napiszemy ogłoszenia i porozwieszamy, gdzie się da. Może ktoś się po ciebie zgłosi, a jak nie... to znajdziemy ci nowy dom — dodała ciszej, nie do końca przekonana o tym, co mówi.



Smutny kolejkowy ogonek przesuwał się przed oczami Renaty swoim monotonnym rytmem. Mokra płaszczka i kurtki żałośnie otulały właścicieli skulonych w sobie i dziwnie milczących. Renata uśmiechała się do dobrze znanych twarzy, czasami wymieniała uprzejme zdanie, zapytała o zdrowie lub samopoczucie. Wskazówki na zegarze przesuwały się równym rytmem do przodu, a ona niezmordowanie przeciągała kod paskowy po czytniku i kolejnym „pip” odmierzała czas do końca zmiany.

— Pani Renatko, złociutka, da mi pani ten chlebek i parę plasterków szynki na zeszyt? Emerytury jeszcze nie dostałam, a wszystko, co miałam, na leki poszło w tym miesiącu. Na co to człowiekowi na starość przyszło, o jedzenie żebrać po czterdziestu pięciu latach uczciwej pracy. — Starsza pani z siwiutkim koczkim i drżącymi rękami patrzyła na Renatę przepraszająco.

Renata poklepała ją po dłoni ze zrozumieniem i wyjęła cienki zeszyt, w którym zapisywała niedole swoich klientów. Wiedziała, że ryzykuje spłatą długu z własnej kieszeni, niejednokrotnie spotkała się już z ludzką nieuczciwością, ale nic nie mogła poradzić na to, że serce jej pękało, gdy widziała biedę i rażącą niesprawiedliwość. Nie potrafiła zrozumieć, jak ludzie, którzy nie mają pojęcia o codzienności zwykłego człowieka pracującego za średnią krajową, mogą podejmować w imieniu tego człowieka ważne decyzje, podpisywać i uchylać wnioski czy ustawy oraz dostawać premie, na które Renata musiałaby pracować całe życie.

— Nogi cały czas dokuczają czy trochę się poprawiło po tych nowych

lekach? — spytała, chowając zeszyt na swoje miejsce, pod ladę.

— Na taką pogodę jak dziś to nawet leki nie pomagają. Doktorka jakąś maść mi zapisała, tylko to pełnopłatne, bez recepty. Ale wykupiłam w tej taniej aptece, no, wie pani gdzie, pani Reniu, tam gdzie takie kolejki jak za komuny zawsze. Na noc mam smarować i w ciągu dnia, jak nogi puchną, ale czy ja wiem, czy to mi pomaga? W moim wieku to już nic nie pomoże. Dziękuję ci, złociutka. Jak tylko przyjdzie listonosz, natychmiast przyjdę i oddam.

— Zdrówka życzę, pani Anielu.

— Pani też, kochana pani Renatko. Bóg pani zapłać.

Renata westchnęła ciężko i spojrzała na zegarek. Jeszcze pół godziny i zmieni ją Lucyna, koleżanka z drugiej zmiany. Przejmie od Renaty zmęczonych monotonią dnia i rozdrażnionych klientów, a ona będzie mogła wrócić do domu, usiąść choć na chwilę i wypić spokojnie herbatę, zanim dziewczynki wniosą ze sobą rozgardiasz i te wszystkie ważne dla nich sprawy, przy których Renata będzie musiała się zatrzymać.

Wychodziła ze sklepu pod sklepieniem kwiatów rozpiętych na parasolce. W lewej ręce ciążyła jej siatka wypchana tym wszystkim, co niezbędne na dzisiejszy obiad, podwieczorek i kolację. Kasia, która wyszła tuż za Renatą, trzymała podobną.

— Ciacho dzisiaj nie przyjechało?

Renata pokręciła głową.

— Dzisiaj sobie na niego nie popatrzysz. Musiał coś pozałatwiać po pracy, napisał mi esemesa, żebym wróciła autobusem — westchnęła po raz nie wiadomo już który dzisiejszego dnia, ale nie bardzo miała ochotę na samotny powrót w kropkach deszczu.

— To fajnie, poczekasz ze mną na przystanku. Zawsze to raźniej z kimś niż samemu. — Kasia naciągnęła na głowę kaptur i ruszyła szybkim marszem. Renata próbowała dotrzymać jej kroku.

— Była dzisiaj u mnie Grzesiukowa. — Kasi szybkie tempo nie przeszkadzało w mówieniu. — Powiedziała, że w tym wieżowcu, w którym mieszka pani Emilia, jest mieszkanie do sprzedania, ale duże, trzypokojowe. Kurcze, przez całe życie mogłabym nie kupić żadnej sukienki, tylko takie mieszkanie chciałabym mieć. I wcale nie musi być trzypokojowe — Kasia zagryzła wargi.

Renata pokiwała smutno głową. Wiedziała o Kasinym pragnieniu posiadania własnego kąta i dobrze ją rozumiała. Ona i Staszek też wiele lat tułali się po cudzym, zanim było ich stać na kredyt i kupno własnego M-4. Ale ich jest dwoje, a Kasia jest jedna. Ot, życie, jego trudy i znoje.

— Kasia, przyjechałabyś któregoś dnia do nas z Marlenką — powiedziała Renata do pleców koleżanki, którą nogi same niosły w stronę przystanku.

Kasia przystanąła, popatrzyła na Renatę i po raz pierwszy tego dnia się

uśmiechnęła.

— Przyjedziemy — odpowiedziała. — Z wielką przyjemnością.



Przy stole panowało ciężkie milczenie, którego nie łagodziło nawet miarowe tykanie starego zegara. Renata wpatrywała się w swoje paznokcie, chcąc uniknąć nieugiętego spojrzenia męża. „Muszę z nimi zrobić porządek”, pomyślała, choć to wcale nie miało związku z problemem, który urósł nagle pomiędzy nimi.

— Renata, powiedz coś — cicho poprosił Staszek.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — podniosła głowę i niepewnie spojrzała na męża. Bała się jego argumentów, bo wiedziała, że prawdopodobnie będzie miał rację.

— Nie wyjadę na długo — zapewnił Staszek. — Rok, najwyżej dwa. Rena, sama wiesz, że ten nowy rok szkolny będzie dla nas ciężki. Większość dzieciaków u Igi w klasie już teraz bierze korepetycje, a tym bardziej jeśli ona chce iść na tę swoją wymarzoną lingwistykę. Dziewczynki rosną, ich potrzeby też się zmieniają. Nie chcę, żeby odstawały od rówieśników, zasługują na to wszystko, co mają inne dzieciaki.

— No bez przesady. — Renata obruszyła się. — Moje dorastanie było znacznie skromniejsze i jakoś mnie to nie pokaleczyło, wręcz przeciwnie, zahartowało.

— Ale teraz są inne czasy, Rena. — Staszek patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. Wiedziała, że on już zapalił się do tego pomysłu i na każdy jej kontrargument znajdzie odpowiedź. — No powiedz, nie chciałabyś pojechać na wakacje gdzieś, gdzie jest ciepło i inaczej niż u nas? Trzeba pokazać dziewczynkom trochę świata, bo to zaprocentuje. A i remont też przydałoby się zrobić, a skąd na to brać, Rena?

Pokiwała smutno głową. Miał rację i dobrze o tym wiedziała. Ale... jak żyć bez niego? Byli ze sobą od tak dawna, przywykła do tego, że zawsze jest obok, na drugiej połówce łóżka. W nocy przysuwała się blisko, aby czuć ciepło jego ciała, i wtedy spała spokojnie, wiedząc, że nic jej nie grozi, bo Staszek jest tuż na wyciągnięcie ramienia. Czy będzie potrafiła wejść w codzienność, kiedy zabraknie w niej jego obecności, a jedyny dotyk to będzie chłód telefonu przykładanego do ucha?

— Kto po mnie przyjedzie do pracy, kiedy będę kończyć drugą zmianę? — spytała bezradnie.

— Zrobisz prawo jazdy. Zapiszesz się razem z Igą, we dwie będzie wam różniej.

— Prawo jazdy w moim wieku? — pokręciła głowę z niedowierzaniem.

— A jaki to wiek, Rena? — roześmiał się rozbawiony. — Jesteś ryczącą czterdziestką i niejeden jeszcze się za tobą ogląda na ulicy.

— Ale jak to będzie... bez ciebie, Staszek? — spytała cicho, czując nieprzyjemne ściskanie w dołku i wielką, dławiającą kulę, podchodzącą do gardła.

— Renata — ujął w dłonie jej drobne ręce i przycisnął do ust. — Będę dzwonił codziennie, będziemy rozmawiali na Skypie i będę przyjeżdżał tak często, jak się da. Ludzie tak żyją, kochanie. I to wcale nie znaczy, że nie są razem, mimo że mieszkają w różnych krajach.

— A jak sobie kogoś tam znajdziesz? Mało to takich przypadków?

— Ty głuptasie — dotknął pieszczotliwie palcem wskazującym czubka jej nosa. — Gdzie ja znajdę taką drugą Renę?

— Kiedy chcesz wyjechać?

Spochmurniał nagle.

— Jak najszybciej. Marek mówi, że kierowców potrzebują tam na już.

— A co z językiem? I gdzie będziesz mieszkał?

Był przygotowany na każde jej pytanie.

— Na razie zatrzymam się kątem u Marka, a potem poszukam czegoś samodzielnego. A języka będę się uczył. Zanim mnie przyjmą do pracy, muszę przejść szkolenie. I wiesz, organizują tam nawet specjalne trzymiesięczne kursy z języka. Też się boję, Rena — popatrzył jej głęboko w oczy. — Jadę w nieznaną, do obcych ludzi i obcego kraju, ale wierzę, że robię dobrze, bo robię to dla nas.

Przymknęła oczy. Przekonał ją, chociaż wcale tego nie chciała. Nie chciała przekrajać serca na pół i jednej połówce wysyłać wraz z nim na kraniec Europy, a drugą zostawiać tutaj, aby cierpliwie czekała. Ale nie miała wyjścia. Życie i jego bieg zmusiły ich do tego, nie pytając, czy wyrażają na to zgodę i czy czynią to dobrowolnie. Zagryzła wargi i pomyślała, że nie jest jedyną kobietą, która staje przed takim wyborem. A jeśli inne dawały radę, ona też sobie poradzi. Będzie dzielna i silna, tak jak oczekiwał tego Staszek.



— Może to wcale nie jest taki głupi pomysł?

Monika poruszała się w kuchni Renaty z taką swobodą, jakby była u siebie. Z szafki nad zlewozmywakiem wyjęła swoją ulubioną filiżankę i kawę rozpuszczalną. Łyzeczkę odnalazła w szufladzie, a śmietankę do kawy wyjęła z obszernej lodówki Renaty.

— Faktycznie, remont by wam się przydał — stwierdziła, patrząc na przybrudzone czasem ściany.

— Ale jak ja dam sobie tu radę sama, Monika? Z dwójką dzieci? — Renata spojrzała na przyjaciółkę wzrokiem bohaterki telenoweli.

— Twoje dzieci to już duże panny i nie potrzebują zmiany pampersa co kilka godzin. A ty nie zostajesz sama. Masz mnie, swoją mamę i teściów. A Londyn to nie koniec świata.

Renata westchnęła i oparła brodę na złożonych dłoniach, wspierając się łokciami o blat stołu wyłożonego ceratą w maki.

— Przeraza mnie to wszystko, Monika. Nigdy dotąd nie rozstawałam się ze Staszkiem — powiedziała cicho.

— No i najwyższy czas to zrobić. Utknęliście w miejscu jak stare, dobre małżeństwo, przywykliście do powtarzających się rytuałów, a w waszym związku brakuje świeżości i tych młodzieńczych uniesień, których doświadczaliście na początku. Stęsknicie się za sobą, odkryjecie na nowo, a przy okazji podreperujecie swój domowy budżet. Widzę same korzyści.

— Łatwo ci mówić. — Renata nie była do końca przekonana.

— Daj spokój, Renia. — Monika usiadła naprzeciwko przyjaciółki i spojrzała jej głęboko w oczy. — Próbuję wymyślić tysiące powodów, abyś spojrzała na ten wyjazd Staszka choć w bladych kolorach, a ty wciąż tylko ta rozpaczliwa czerń. Dasz radę, Renia. Ja się nigdzie nie wybieram i wciąż jestem w tym mieście. Jeden telefon i jestem u ciebie. — Monika dotknęła ciepłej dłoni Renaty, a dobra energia przekazana w tym uścisku przepłynęła przez całe ciało kobiety. Zawsze tak było. Monika była jej dobrą wróżką, która wyciągała Renatę z każdej depresji i przygnębienia i zapewniała jej energetyzujący zastrzyk życia.

Znały się od podstawówki, siedziały w jednej ławce w czasach, kiedy każda z nich nosiła na głowie ciasno zaplecione warkoczyki. Najpierw wymieniały się chińskimi gumkami, których zapach pamiętały do dziś. Potem były to fotografie aktorów, w których się podkochiwały. Wspólnie przeżywały pierwsze miłosne zawody i zauroczenia, snuły plany na wspaniałą przyszłość, która była tak odległa jak milenium. Renata chciała zostać tancerką, a Monika kardiologiem. Życie zwerfikowało ich marzenia. Renata musiała zdobyć zawód, a technikum ekonomiczne, które wybrali jej rodzice, doskonale się do tego nadawało. A Monika w ogólniaku doszła do wniosku, że biologia co prawda jest do nauczenia, natomiast fizyka i chemia to działy zarezerwowane dla kogoś zupełnie innego niż ona. Dla niej była to czarna magia. Dlatego skończyła socjologię, a potem założyła własną firmę reklamową, którą dopieszczała podobnie jak swoich synów — Antka i Ignacego. Renata podziwiała Monikę za zdecydowanie i pewność siebie, których jej samej tak często brakowało. Nawet w sposobie, w jaki Monika piła kawę, było tyle energetycznego działania, że i Renata poczuła potrzebę jak najpełniejszego wykorzystania tego kawałka dnia, jaki jeszcze jej pozostał.

— Muszę wyciągnąć Staszka na zakupy. Potrzebuje nowych koszul i przynajmniej jednej pary spodni.

Monika uśmiechnęła się. Renata obrała cel, którego realizacją teraz się zajmie. Wypełni dni pakowaniem i przygotowywaniem swojego mężczyzny na wyjazd. Dzięki temu bezboleśnie dojdzie do dnia pożegnania. Cierpieć będzie później, ale wtedy Monika będzie przy niej, na wyciągnięcie ręki. Przyjedzie z paczką

chusteczek i komedią romantyczną w torebce. No i z czekoladą, która jest dobra na wszystko.



— Nikt się nie zgłosił po Teodora. — Pani Emilia wsparła się o ladę i ciężko westchnęła. — Pan Karol takie ładne zdjęcia mu zrobił i ogłoszenia pomógł mi porozklejać po całym osiedlu.

— A może on nie z tego osiedla? — Renata zamyśliła się nad losem nieznanego czworonoga. — Może on po prostu wysiadł z jakiegoś autobusu na naszym przystanku?

— W Internecie też pan Karol dał ogłoszenie. I wszystkie schroniska dostały zdjęcie biedaka. Jakby go kto szukał, już by go znalazł. Ale widocznie ten, co go zgubił, nie chce znaleźć. Już nie wiem, co mam zrobić z tą bidulą. Tak smutno w oczy patrzy i tylko łeb do pieaszcot podsuwa. Widać, że potrzebuje obecności człowieka.

Pani Emilia odsunęła się na bok, aby przepuścić do kasy klientkę z pełnym koszykiem. Już od dobrych kilku minut stała tak przy Renacie, mając nadzieję, że ta wizyta w sklepie podsunie jej jakieś rozwiązanie.

— Dzień dobry, pani Reniu. Dzień dobry, pani Emilio — ciepły głos Karola dotarł tuż przed spojrzeniem, w którym Renata się przejrzała. — Co z Teodorem? — zapytał, biorąc z równo ułożonej kupki żółty koszyk.

— Ano nic, panie Karolu. Właśnie żalę się naszej pani Reni, że nikt biduli nie chce. A ja go dłużej trzymać nie mogę. Ech, psie życie — westchnęła.

— A może pani Renia go weźmie? — Pan Karol przystanął przy ladzie, tuż przy pani Emilii, i patrzył teraz wprost na Renatę, którą krępowало to spojrzenie z tak bliska i tak przenikliwe, jakby chciało dotrzeć aż na samo dno jej duszy.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam psa!

— Więc najwyższy czas to zmienić. — Karol uśmiechnął się do niej, a Renata poczuła, że mięknie i topnieje.

— Ale ja nie umiem zajmować się psem — próbowała oponować, jednak oczy pani Emilii już błyszczały niepokojącą radością.

— Ale w tym nie ma nic trudnego. Trzeba toto tylko kochać, dwa razy dziennie sypanąć coś do miski i wyprowadzić na dwór. Ot, i cała filozofia.

— Położyłbym duży nacisk na to „kochać” — wtrącił swoim ciepłym głosem Karol. — Tego psiaki potrzebują najbardziej.

— Ale ja nie mogę wziąć do domu obcego psa, mam przecież dziewczynki... — Renata jeszcze się broniła, ale powoli docierało do niej, że przy tej dwójce nie ma szans.

— Ależ Teodor jest bardzo łagodny. Nie skrzywdzi dziewczynek, a i pani będzie w domu i raźniej, i bezpieczniej.

— Ale... — Renata poczuła, że zabrakło jej argumentów.

— Pani Reniu kochana, jedno psie serce pani uratuje. — Pani Emilia wyczuła wahanie w głosie Renaty i kuła żelazo póki gorące.

— Ale ja mieszkam w wieżowcu — powiedziała cicho, ale pani Emilia poklepała ją tylko po ręce.

— Ja też, i mam dwa psy, trzy koty i świnkę morską.

Wobec takiego argumentu nie potrafiła już dłużej stawiać oporu. Pomyślała jeszcze: „Chyba zupełnie zwariowałam!”, a potem machnęła ręką i powiedziała sobie, niech się dzieje, co chce.

I tak, zupełnie nieoczekiwanie, została właścicielką psa.



— No i co my z nim teraz zrobimy? — Julia leżała wyciągnięta na brzuchu na dywanie z głową wspartą na łokciach i wpatrywała się w psa skulonego u stóp Renaty i łypiącego na nie dużymi oczami.

— Będziemy miały psa — odpowiedziała Renata, patrząc na kupkę nieszczęścia na podłodze.

— Jak on się wabi? — spytała Iga, która na wszelki wypadek usiadła na sofie, z nogami podkulonymi pod siebie.

— Teodor.

— Pasuje do naszej rodziny — powiedziała Julia. — Ma taki sam kolor sierści jak twoje włosy — zwróciła się do siostry.

Iga prychnęła rozzłoszczona.

— Za chwilę powiesz, że jest zupełnie do mnie podobny!

— No, zupełnie może nie. Po tobie ma tylko ten brąz na sierści i w oczach, no i tę chudość, jakby nie jadł z miesiąc.

Iga założyła ręce na piersiach i spojrzała ze złośliwym uśmiechem na młodszą siostrę.

— Ciekawe, co na to wszystko powie tata — rzuciła w przestrzeń.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz i stanął w nich Stanisław z radosnym uśmiechem, który zamarł mu na ustach, gdy Teodor rzucił się do przedpokoju z głośnym ujadaniem.

— Renata! — krzyknął przestraszony i jeszcze bardziej zdumiony, gdy tuż za psem pojawiła się Julia i delikatnie poklepała go po grzbiecie.

— Teodor, spokój. To nasz tato. On też tu mieszka.

— Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co to jest i co toto tu robi? — spytał Stanisław bardzo powoli, zdejmując buty i stopą odszukując domowe kapcie.

— To jest, tatusiu, Teodor. I od dzisiaj będzie z nami mieszkał.

Stanisław zmarszczył brwi, nie spuszczaając z psa przestraszonego spojrzenia.

— A mogę wiedzieć, skąd on się tutaj wziął? — spytał cicho.

— Mama go przyprowadziła.

— Mama?! — nic nie mogło zdziwić Stanisława bardziej niż fakt, że Renata przyprowadziła do domu psa. Odkąd pamiętał, była przeciwniczką trzymania zwierząt w bloku. Na próżno dziewczynki na zmianę jęczały o pozwolenie na kotka, pieska, świnkę morską czy królika. Raz zmiękła i zgodziła się na chomika, ale szybko tego pożałowała, ponieważ cały trud opieki nad tym stworzeniem, sprzątanie jego klatki i karmienie go spadł na nią, bo dziewczynki po pierwszej euforii po prostu o tym zapomniały. O psie nigdy nie rozmawiali i dla Staszka było oczywiste, że pies i Renata to dwie istoty nie do pogodzenia.

A teraz Julia informuje go, że Renata przyprowadziła do domu psa! I do tego tak wielkiego, że stojącej przy nim Julii sięgał do wysokości biodra.

— Czy mogę się ruszyć i umyć ręce, czy już tak zostanę w tym przedpokoju jak ten wieszak? — spytał słabym głosem, wciąż wpatrując się w psa.

— Spokojnie, tato. — Julia nie zdejmowała dłoni z psiego grzbietu. — Nie bój się, on jest naprawdę łagodny. Wyciągnij rękę i daj mu się powąchać.

— Zwariowałaś? A jak mnie ugryzie?

— No co ty! Przecież to Teodor. On jest nasz.

— Jeszcze o tym porozmawiamy — mruknął cicho i niepewnie wyciągnął rękę w stronę psa.

Teodor podszedł powoli i ostrożnie obwąchał dłoń Stanisława, nieznacznie machnął ogonem na boki, a potem wrócił na swoje miejsce przy Renacie, której brakowało odwagi, aby wyjść i spojrzeć mężowi prosto w oczy.

Pół godziny później siedzieli razem przy kuchennym stole nad talerzem gołąbków. Renata grzebała w swoim sosie, a Staszek patrzył na nią pytająco.

— Może mi to wyjaśnisz? — wskazał na skulonego przy jej krześle Teodora.

— A co tu wyjaśniać? — nadziała na widelec kawałek gołąbka i włożyła go do ust. — Nie ma domu, nie ma właściciela. A psa trzeba kochać — odpowiedziała z pełnymi ustami.

— Ale skąd nagle ten pomysł?

Spojrzała na niego oczami, które nagle niebezpiecznie zwilgotniały.

— Może chciałam zapełnić pustkę, jak wyjedziesz?

Staszek wyciągnął rękę ponad talerzem i delikatnie dotknął dłoni żony.

— Rena, jeśli nie chcesz, nie pojedę.

— Nie, nie — pokręciła głową. — Pojedziesz. Już to omówiliśmy. Tylko... boję się tej tęsknoty — powiedziała cicho, nie patrząc już na męża, tylko na rozgrzebanego na talerzu gołąbka.

— I myślisz, że on — Staszek wskazał na psa — zapełni ci tę pustkę i że dzięki jego obecności będziesz mniej tęsknić?

— Może i nie, ale... no, nie mogłam odmówić pani Emilii — wyrzuciła z siebie, czując ogromną ulgę, że nie jest to już tylko jej decyzja, ale że Staszek

przejmie na siebie część odpowiedzialności za to boże stworzenie, które tak nieoczekiwanie pojawiło się w ich domu.

— Teraz wszystko rozumiem — pokiwał głową Staszek, zabrał rękę z dłoni Renaty i wrócił do swojego obiadu.

Stanisław znał panią Emilię z barwnych opowieści Renaty, kilkakrotnie widział ją, przyjeżdżając po żonę. Wiedział, że to dusza człowiek, jednakże wolałby, aby nie obdarowywała jego żony stworzeniami takimi jak leżący pod stołem Teodor.

— A co na to wszystko dziewczynki? — spytał, wciąż nie do końca zachwycony obecnością intruza w domu.

— Julka szaleje z radości. Zawsze marzyła o psie, zresztą już zdążyła się z nim zaprzyjaźnić. Iga pozostaje sceptycznie obojętna.

— Zachowanie typowe dla Igi.

Przez chwilę w kuchni panowała cisza, w której słychać było jedynie odległą muzykę dobiegającą z pokoju Igi. Przerwał ją Stanisław, kończąc obiad i rozpierając się wygodnie na krześle.

— Musimy pojechać do weterynarza. Przecież my niewiele wiemy o pielęgnacji psa. Trzeba go chyba zaszczepić i odrobaczyć.

Renata uśmiechnęła się do męża z wdzięcznością. Tym jednym zdaniem Staszek zdjął z niej wyrzuty sumienia i odsunął wątpliwości, z którymi niecierpliwie czekała na niego. Teraz Teodor był ich wspólną sprawą i wspólną decyzją.



Marlenka wpadła do mieszkania jak burza, wnosząc ze sobą na wiosennym płaszczyku smutne krople, które ściekły na jasną terakotę, tworząc kałużę o nieregularnych brzegach. Kasia powoli zdjęła kurtkę, a potem pomogła się rozebrać córeczce.

Była zmęczona całym dniem łagodzenia wiszących na włosku konfliktów i trzymania nerwów na wodzy. W deszczowe dni klienci byli bardziej kłótniwi i częściej niż zwykle szukali dziury w całym.

Matka stanęła w drzwiach kuchni i patrzyła na córkę bez słowa. Kasia odechnęła. Była trzeźwa.

— Darek tu był — odezwała się cicho, obserwując uważnie reakcję dziewczyny.

Kasia zamarła. Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na matkę pytająco.

— Na przepustkę wyszedł?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Powiedział, że wyszedł do sprawy i liczy na to, że już tam nie wróci. Pytał o ciebie i o Marlenkę. Pytał, czy kogoś masz.

— Trzeba było mu powiedzieć, że wyjechałam z miasta. — Kasia wyminęła

matkę i usiadła na rozchybotanym, kuchennym taborecie.

— Przecież ludzie mu powiedzą.

— Kurczę! — Kasia uderzyła dłonią w stół. — I to jest nasz polski wymiar sprawiedliwości. Uczciwi ludzie siedzą za biedę, a takiego drania wypuszczają.

— Spotkaj się z nim, Kasia. — Matka delikatnie i trochę nieporadnie dotknęła miękkich włosów córki. — Przecież to ojciec Marlenki.

— Dawca nasienia, a nie ojciec — odpowiedziała hardo Kasia. — Już nie pamiętasz, ile przez niego wycierpiałysmy? Ja jego twardej ręki nigdy nie zapomnę.

— Za dumna jesteś, Kaśka. — Matka pokręciła głową. Wiedziała, że córka jest uparta i może miała trochę racji, ale jak tu dzieciaka chować samotnie? — Lepszy taki ojciec niż żaden — dodała.

— Sama znajdę jej ojca, choćbym musiała ze świecą szukać. — Kasia była nieprzejednana.

— Zrobisz, jak zechcesz. Ale Darek ma prawo zobaczyć Marlenkę.

Kasia westchnęła.

— Najpierw muszę ją do tego przygotować, a potem dopiero pozwolę mu zobaczyć się z dzieckiem, ale na moich warunkach. Jest coś do jedzenia? — spytała, dając matce do zrozumienia, że nie zamierza dłużej kontynuować tej rozmowy.

— Zrobiłam pomidorową, taką jak Marlenka lubi. Z ryżem. Odgrzać ci?

— Tak, poproszę.

Czasami Kasia nie mogła uwierzyć, że ta sama kobieta, która z troską zajmowała się Marlenką i gotowała dla niej ulubioną zupę pomidorową, w ciągu jednej chwili potrzebnej do wychylenia lampki kiepskiego wina lub kieliszka czegoś mocniejszego zamienia się w potwora, w którym nie mogła rozpoznać swojej matki. Alkohol, ten podstępny zbrodniarz, wsączał się systematycznie gorzko-kwaśnymi kroplami w krwiobieg Jadwigi, znacząc swoją obecnością każdy kawałek jej ciała, a potem stopniowo, dzień po dniu, wnikał w codzienność nie tylko jej, ale każdego, kto znalazł się na tyle blisko, aby odczuć jego niszczyielskie działanie.

Przy talerzu zupy gęsto zabelonej śmietaną próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek było inaczej. Pamiętała chwile, kiedy matka uśmiechała się radośnie, a ojciec wodził za nią oczami. Pamiętała ciepły dotyk dłoni na swoim czole i leki podawane matczyną ręką. Lubiła, jak Jadwiga przykrywała ją starannie kołdrą, poklepując i otulając z każdej strony. Wspólne wyjazdy nad jezioro też pamiętała. Przez jakiś czas było miło, dopóki nie skończyły się pieniądze, bo wtedy zaczynał się głód i nieustanne oskarżanie siebie nawzajem za zmarnowane życie i utracone szanse. Jako jedynaczka była zawsze w centrum każdego cyklonu i każdej potyczki. Nie mogła liczyć na żadne wsparcie ani przyjazny front. Musiała zmagać się z tym sama, początkowo wierząc, że nie ma innego życia i że tak po

prostu jest. Z czasem odkryła bolesną prawdę, że tak wcale być nie musi, że jest inne życie i są inne rodziny.

Popełniła błąd, angażując się w chory związek z Darkiem. Miał być ucieczką i zbawieniem, okazał się pułapką, znacznie gorszą niż jej dom rodzinny. Dlatego teraz wiedziała jedno — pod żadnym pozorem nie może uwierzyć fałszywym obietnicom tego człowieka i nie może pozwolić, aby jej córka cierpiała tak jak ona sama. Marlenka zasługuje na wszystko, co najlepsze.

A ojca Kasia sama jej znajdzie.

Rozdział trzeci

PIĘĆDZIESIĄT PLUS

Kasia wiedziała, że prędzej czy później będzie musiało dojść do tego spotkania, więc nie zdziwił jej widok Darka czekającego na nią w cieniu klatki schodowej. Zwolniła kroku, jakby chciała odwlec chwilę spojrzenia mu prosto w oczy i znalezienia w sobie odpowiednich słów, które należałoby powiedzieć w takiej chwili. Na widok Kasi chłopak oderwał się od ściany, którą podpierał, i wyszedł jej naprzeciw.

— Cześć. Ładnie wyglądasz — usłyszała i skuliła się na dźwięk jego głosu, który na zawsze chciała wymazać ze swojego życia.

— Cześć — odpowiedziała cicho.

— Pogadamy?

Skinęła głową i wskazała ławkę pod rozkwitającym kasztanem oklejonym folią z ostrzeżeniem: „Nie zrywać. Leczenie drzew”. Usiedli w pewnej odległości od siebie, Darek twarzą do Kasi, jakby chciał nasycić się jej widokiem; a ona ze wzrokiem wbitym w czubki swoich zakurzonych butów.

— Tęskniłem. Myślałem, że przyjdiesz, odwiedzisz mnie.

— Co chcesz ode mnie usłyszeć, Darek? Mam skłamać, że też tęskniłam? Przecież dobrze wiesz, jak jest — podniosła głowę i spojrzała na niego odważnie. Patrzyły na nią te same jasnoniebieskie oczy, w których kiedyś szukała ratunku i które później znienawidziła.

— Zmieniłem się, Kaśka. Chcę mieć dom. I rodzinę.

— Wszyscy tak mówią, jak stamtąd wyjdą. A potem nawet miesiąc nie minie, jak zapominają o swoich deklaracjach. Zostaw mnie w spokoju, Darek. Ja ci już nie zaufam.

— Kaśka, nie rób mi tego — popatrzył na nią prosząco, ale wiedział, że ona już podjęła decyzję. — Mam prawo widywać się z dzieckiem — zaczął inaczej, ale i na to Kasia miała odpowiedź.

— Prawo do płacenia alimentów na to dziecko też masz, a ja chętnie je od ciebie przyjmę po tych czterech latach braku zainteresowania Marlenką.

— Taka jesteś? Zobaczysz, życie cię jeszcze nauczy pokory.

— Ty już kiedyś próbowałeś. Na zawsze zapamiętam tę lekcję — wstała z ławki, dając mu do zrozumienia, że rozmowę uważa za skończoną.

— Kiedy mogę zobaczyć się z małą? — nie dawał za wygraną, a Kasia wiedziała, że Darek nie odpuści.

— Przyjdź w sobotę po południu — rzuciła przez ramię.

Patrzył za nią, gdy się oddalała w stronę bloku. Jej drobne plecy zgarbiły się, jakby niosła na nich jakiś niewidzialny ciężar. Odchodziła, a on nie mógł zrobić

nic, aby ją zatrzymać. Mógł tylko uwierzyć samemu sobie, że to, co mówił, jest prawdą.



Renata patrzyła na drzwi własnego mieszkania zdezorientowana i zaskoczona. W miejscu, gdzie dotąd był wypchany grubą gąbką materiał skóropodobny, wisiał smętny strzęp czegoś, co w żadnym wypadku nie przypominało obicia jej drzwi. Na podłodze w przedpokoju wały się obszarpane kawałki żółtej gąbki, a sprawca całej demolki leżał grzecznie w specjalnie dla niego zakupionym kojcu z miną: „Jakby co, to nie ja”.

— Nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę! — Renata zakryła oczy dłońmi, jakby w ten sposób chciała odgonić widok zdewastowanych drzwi spod powiek, z nadzieją, że jeśli spojrzy na nie ponownie, wszystko będzie jak wtedy, gdy wychodziła z domu, w stanie nienaruszonym.

Niestety nie było.

— Ty wstrętny, okropny, niewdzięczny psie! Uratowałam cię przed bezdomnością i przyjechałam pod własny dach, a ty mi się tak odwdzięczasz?

Teodor skulił się w sobie, udając, że w ogóle go tu nie ma, i tylko łypał na Renatę swoimi brązowymi ślepiami.

— Coś ty narobił? Zły pies, brzydki pies!

Odsuwając nogą poniewierające się po podłodze strzępy ocieplenia, dotarła do kuchni, postawiła na stole siatkę z zakupami i nie rozpakowując jej, usiadła na stołku i rozplakała się z bezsilności. Nie tak miała wyglądać ta obustronna miłość, o której mówiła pani Emilia. Nie było mowy o kałużach w domu, którymi przez pierwsze dni Teodor znaczył swój teren, ani o próbie sił i nieporozumieniu na temat: kto ma spać w łóżku? Dla Renaty, która z dnia na dzień i do tego pierwszy raz w życiu stała się posiadaczką psa, wszystko było takie oczywiste — pies mieszka w przedpokoju i śpi w swoim kojcu, który notabene kosztował majątek i według zapewnień pani ze sklepu zoologicznego nie powodował u psa odgniotów. Pies ma własne zabawki i nie czepia się butów, najchętniej Igi, która miała zwyczaj zostawiać je gdzie popadnie. Pies jada z miski, a nie ze stołu, na który wspina się przednimi łapami. I w końcu pies czeka grzecznie na przyjście domowników, śpiąc w kojcu, a nie wyjąc i skowycząc, demoluje drzwi! O tym ani pani Emilia, ani pan Karol, któremu zaufała, nie wspomnieli ani słowem.

Renata siedziała i płakała bezgłośnie z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy niespodziewanie poczuła mokre dotknięcie na swojej nodze, a potem ciężka łapa pacnęła ją po udzie.

— Idź ode mnie, ty potworze! — krzyknęła i spojrzała mokrymi od łez oczami na psa, który siedział przed nią ze skruszonym wyrazem pyska i niepewnie machał ogonem. — Jak mogłeś coś takiego zrobić?

Pies położył się przed nią z pyskiem wciśniętym w przednie łapy i patrzył na Renatę spode łba smutnym spojrzeniem. Czuł, że jego nowa pani jest zła, i próbował jej komunikować: „Ja się tylko nudziłem”, ale ona nie chciała go słuchać.

Renata wstała ciężko, rozpakowała zakupy, pochowała je do lodówki i szafek, a potem z westchnieniem zabrała się do sprzątanego całego bałaganu po Teodorze, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć na żałośnie obdarte drzwi. Zwisający strzep zostawiła.



— No przecież tak być nie może. — Stanisław siedział przy kuchennym stole, patrząc na Renatę, która stała przy oknie odwrócona do niego tyłem i w rozciągającej się przed sobą panoramie osiedla szukała odpowiedzi na pytanie, które od godziny wspólnie ze Staszkiem sobie zadawali: Co dalej z Teodorem?

— Przecież nie możemy go oddać — powiedziała cicho Renata, której poczucie obowiązku i przyzwoitości nawet nie dopuszczało takiej możliwości.

— Ale nie możemy też pozwolić mu zdemolować domu. Rena, za trzy tygodnie wyjeżdżam. Jak ty zostaniesz z nim sama? Nie poradzisz sobie.

Widok za oknem uspokajał. Drzewa zazieleniły się już soczyście, a po ostatnich deszczach intensywny kolor liści aż sycił oczy i radował niezmienną powtarzalnością pór roku. Renata lubiła swoje osiedle, chociaż do pracy stąd miała daleko. Droga autobusem zajmowała jej w godzinach szczytu czterdzieści minut. Wcześniej rano lub późno wieczorem jechało się znacznie szybciej, około dwudziestu minut. Z wysokości piątego piętra widziała przed sobą dwupasmówkę, a za nią znacznie młodsze osiedle z otynkowanymi na biało blokami, za którymi rozciągał się mały, zielony wąwóz, miejsce spacerów dla właścicieli czworonogów, do których dołączyła ostatnio rodzina Grońskich.

— A może zapiszemy go na szkolenie? Są przecież jakieś szkoły dla psów? — w oczach Renaty pojawił się błysk nadziei.

Stanisław zamyślił się przez chwilę. Wiadomo, że taka szkoła kosztuje, a u nich ostatnio z pieniędzmi nie było za wesoło. Jego wyjazd pochłonął większość ich skromnych oszczędności i czasami Stanisław budził się w środku nocy zlany zimnym potem z przerażającą myślą: „A jeśli się nie uda?”. Z drugiej jednak strony szkolenie było jedyną nadzieją na utemperowanie porywczego charakteru Teodora.

— Julka wyszuka nam w Internecie szkoły dla psów, a ja podzwonię i popytam. Dowiem się, jak to wygląda, i wtedy postanowimy.

— A więc Teodor zostaje? — Julia, która stała cichutko pod drzwiami, z uwagą przysłuchując się rozmowie rodziców, teraz wpadła jak bomba do kuchni i stanęła przed Stanisławem z promiennym uśmiechem. — Nie oddamy go?

Renata uśmiechnęła się, a Staszek pieszczotliwie zmierzwił włosy córki

i popatrzył na nią z czułością.

— Na razie dostanie jeszcze jedną szansę, a potem zobaczymy.

Julka podskoczyła do góry z radości, pocałowała ojca w szorstki policzek i pobiegła do Teodora, aby oznajmić mu radosną nowinę.

Staszek westchnął głęboko i po raz kolejny pomyślał, czy naprawdę poradzi sobie bez tych trzech kobiet, które tworzyły jego dom i rodzinę.



Melania weszła do sklepu niepewnym krokiem na drżących, miękkich nogach. Serce jej kołatało, jakby za chwilę miało wyskoczyć, a dławiąca gula w gardle odbierała głos.

— Boże mój, i na co mi to było — szepnęła, rozglądając się dookoła.

Sklep żył swoim codziennym rytmem. Przy kasie stało kilku klientów z koszykami mniej lub bardziej wypełnionymi. Kobieta za ladą przesuwiała produkty, jeden po drugim z głośnym „pip”, a potem szybciotko przyjmowała banknoty i monety i sprawnie wydawała resztę. Była ładna, zadbana i znacznie młodsza od Melanii. Jej proste ciemne włosy sięgające ramienia, teraz zebrane w koński ogon, podskakiwały na karku z każdym jej ruchem. Była szczupła, dość wysoka i zgrabna, a kiedy przelotnie spojrzała na Melanię, w jej zielonych oczach była życzliwość i zainteresowanie.

Melania skinęła jej głową i spytała zza pleców klientów otaczających ladę:

— Przepraszam, szukam kierowniczkę, pani Haliny.

— Jest na zapleczu, o tam. — Kobieta wskazała ręką drzwi znajdujące się obok półek z pieczywem, a potem wróciła do swoich zajęć, posyłając miły uśmiech klientce, która właśnie wykladała przed nią swoje rzeczy z koszyka.

Melania zapanowała nad drżeniem kolan i odetchnęła głęboko, próbując uspokoić szalejące serce, a potem weszła na zaplecze przez otwarte drzwi w poszukiwaniu kierowniczkę.

Pani Halinka siedziała przy biurku otoczona stosem faktur i papierzyk. Na dźwięk nieśmiałego pukania podniosła głowę i ujrzała kłaniającą się nisko kobietę, około pięćdziesiątki, o kształtach zaokrąglonych tu i ówdzie, i jeszcze tam, gdzie powinna być talia, piwnych oczach i krótkich kasztanowych włosach z najprawdziwszą trwałą na głowie.

— Pani do mnie? — Pani Halinka spojrzała na Melanię pytająco.

— Myślę, że tak. Jestem od pana Grzegorza, z programu „Pięćdziesiąt plus”.

— A tak, do pracy, zgadza się. Proszę usiąść. — Pani Halinka wskazała wolne krzesło, na którym zwykle przysiadła któraś z pracownic w przerwie na kawę, herbatę i kanapkę. — Zaraz zapoznam panią z obowiązkami i w zasadzie zacząć może pani już dziś. Dodatkowe ręce do pracy na pewno się przydadzą, zwłaszcza w zbliżającym się sezonie urlopowym. Czy pani pracowała już w sklepie

spożywczym?

— No właśnie... — zaczęła Melania cicho, lekko drżącym głosem. — Właśnie chodzi o to, że nie. — Pani Halinka musiała zrobić zdziwioną minę, bo Melania poczuła się w obowiązku wyjaśnić swoją skomplikowaną sytuację. — Widzi pani, dawno temu skończyłam pedagogikę. Zaraz po studiach zaczęłam pracę w świetlicy szkolnej. Przepracowałam tam prawie trzydzieści lat i nagle, w zasadzie tak z dnia na dzień, grzecznie mi za tę pracę podziękowali. Tłumaczyli, że redukcja etatów, dzieci coraz mniej, niż demograficzny i tak dalej. Ale prawda była taka, że nastał nowy dyrektor, który ceni młodość, więc takie stare pudło jak ja nie pasowało mu do wizerunku szkoły.

Pani Halinka mimowolnie się uśmiechnęła. Sama była nieco starsza niż Melania, a w żadnym wypadku nie czuła się jak stare pudło.

— Odeszłam więc z podniesioną głową i zaczęłam szukać nowej pracy. I wie pani co — kobieta spojrzała na panią Halinkę smutnymi, piwnymi oczami — okazało się, że znalazłam się w próżni. Na emeryturę jestem jeszcze za młoda i nie zasłużyłam. Na nianię nadaję się idealnie, ale nikt mnie nie chce ubezpieczyć, a na czarno to ja nie chcę. Szukałam i szukałam przez dwa lata. Obłądu już dostawałam, a poza tym z jedną pensją męża zrobiło się cieniutko finansowo. I tak znalazłam program „Pięćdziesiąt plus”, i trafiłam na pana Grzegorza. Powiedział, że ma sklep i przyjmie mnie do pracy, chociaż w handlu to ja żadnego doświadczenia nie mam. Ale pracowita jestem i w miejscu siedzieć nie umiem. I ciężkiej pracy też się nie boję, póki sił starczy.

Melania skończyła i spojrzała na kierowniczkę pytająco.

— Pani... — Pani Halinka próbowała przypomnieć sobie imię nowej pracownicy.

— Mela. Proszę mi mówić po prostu Melu. — Melania, widząc nieme pytanie w oczach kierowniczki, pospieszyła z pomocą.

— No więc, pani... Melu, w tej pracy największy problem, z którym pani może się spotkać, to człowiek i kontakty międzyludzkie. Większość klientów to zwyczajni, najzupełniej normalni ludzie, ale zdarzają się jednostki, które sprawiają, że dostaje pani piany na ustach. I każdego z nich musi pani traktować wyjątkowo, bo w dobie hipermarketów i dyskontów łatwo stracić klienta, a wiadomo, że klient to sprzedany produkt, a sprzedany produkt to marża i nasza pensja. Dlatego nie półki i to, co się na nich znajduje, wymagają specjalnej troski i naszego zaangażowania, ale ten człowiek po drugiej stronie lady, który niejednokrotnie przychodzi tu dla atmosfery i klimatu panującego w sklepie. A ten klimat tworzymy my. I dopieszczamy naszych klientów nie tylko promocjami, ale zainteresowaniem i miłą rozmową. W każdym staramy się dostrzec człowieka.

Pani Halinka skończyła, a Melania kiwała potakująco głową. To, co mówiła kierowniczką, miało sens. Podobało jej się w tym miejscu. Jeśli oni ją chcieli

pomimo wieku i braku doświadczenia, ona zrobi wszystko, aby ich nie rozczarować.

— Zaraz pani wszystko pokażę i przedstawię koleżanki. Na razie będzie się pani przyglądać pracy Kasi, bo to ona potrzebuje najczęściej dodatkowych rąk. Kasia nauczy panią obsługi maszyny do krojenia i pokaże, co gdzie leży i jaki mamy asortyment. Krok po kroku i rozwinie tu pani skrzydła, Melu.

Melania uśmiechnęła się z wdzięcznością, odwiesiła starannie żakiet od garsonki, w której przysłała, i włożyła firmowy fartuszek, który wskazała jej pani Halinka. Był prawie tak ładny jak fartuch lekarski, tylko w kolorze niebieskim z logo sklepu na kieszonce.

W wieku pięćdziesięciu lat zaczynała nowy rozdział swojego życia i jak na razie miała wielką ochotę na rozprostowanie tych skrzydeł, które już zbyt długo pozostawały zwinięte i pokurczone.



— Pani Renatko kochana, jedną cytrynówkę poproszę. — Lekko przekrwione oczy osiedlowego konesera tanich win patrzyły na Renatę błagalnie.

— Zlituj się pan, panie Mietku, jest dopiero siódma rano! — Renata pokręciła głową z dezaprobatą i spojrzała z wyrzutem na stojącego przed nią mężczyznę.

— Złociutka, do roboty idę — odpowiedział z taką pewnością, jakby to wszystko tłumaczyło.

— I dlatego pan alkohol tak rano pije? Zwolnią pana.

— Kochana, ja na budowie robię. Lęk wysokości mam, jak się nie napiję.

— A po pijaku pan nie ma? — Renata przyglądała się mężczyźnie badawczo.

— A żeby pani wiedziała, że nie mam! Ale zaraz, pani Renatko, po jakim pijaku? To tylko jedna cytrynóweczka i z rana jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Renata podała smukłą butelkę i przeliczyła srebrne i żółte grosze wysypane na szklaną podstawkę.

Patrzyła za wychodzącym mężczyzną z żalem i współczuciem. Nałóg. Podstępna hydra, której po ucięciu głowy natychmiast wyrasta kolejna. Choroba, która dotyka całe rodziny i przy której, paradoksalnie, najbardziej cierpią ci będący obok.

— Co wziął, cytrynóweczkę czy czystą? — Kasia, która skończyła właśnie wykładanie świeżo dowiezionego pieczywa, podeszła do Renaty i oparła się o ladę, korzystając z chwilowego braku klientów przy kasie.

— Cytrynówkę. Tyle pieniędzy przepija tygodniowo — westchnęła Renata — a dzieciaki w dziurawych butach chodzą.

— Ale przynajmniej za swoje pije. Najgorszy to taki, który własnym dzieciom zabiera, bo musi się napić, i nic innego nie jest ważne. Nie naprawimy świata, Renia, a na takich jak Mietek wielkie firmy majątek zbijają. Nasz pan Grzesio

zresztą też dobrze na tym wychodzi, bo na samych bułeczkach to daleko by nie zajechał.

Renata pokiwała głową, przyznając koleżance rację.

— A na wędlinach to kto stoi? — zainteresowała się nagle, wyglądając zza swojej lady.

— Mela. Teraz jest mało klientów, więc radzi sobie. Ja mogę spokojnie towar wyłożyć, bo panią Halinkę coś połamało i ruszać się nie może.

— Sympatyczna ta Melania.

— Sympatyczna i pracowita. Do roboty aż się rwie. Zastanawiam się, kiedy jej przejdzie. Na razie jest tak podekscytowana, jakby się w sklep z koleżankami bawiła. — Kasia odrzuciła kosmyk włosów, który opadł jej na oczy.

— Przynajmniej czuje się potrzebna — zauważyła cicho Renata. — Chyba nie ma w życiu nic gorszego niż bezczynność i poczucie odrzucenia.

— Żeby tak się pozbyć kobiety, bo się zestarzała. — Kasia potrząsnęła gniewnie głową. — Tylko facet potrafi tak postąpić.

— Ale pan Grzesio zachował się szlachetnie, a też facet — wtrąciła Renata.

— A tam szlachetnie. Dofinansowanie do tego dostał, to i zatrudnił Melę — skwitowała Kasia i przepuściła do kasy klienta z mlekiem i bułkami, przy okazji mierząc go uważnym spojrzeniem.

— Słuchaj, Kasia — zaczęła Renata, gdy przystojny blondyn odprowadzany zachłannym wzrokiem Kasi, wyszedł ze sklepu. — Obie mamy wolną sobotę. Może przyjechałybyście do nas po południu? Dziewczynki już się nie mogą doczekać, żeby poznać Marlenkę.

— A Marlenka marzy o spotkaniu z Teodorem — odpowiedziała Kasia, tęsknie wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął przystojny czterdziestoletni. — Ale towar... — sapnęła. — Pasowałyby na tatę Marlenki.

Renata roześmiała się.

— Nie ma szans — powiedziała półgłosem. — Szczęśliwy małżonek, wpatrzony w swoją żonę jak w obrazek. I do tego ojciec dzieciom, bez nałogów. Wiem, bo nie kupuje ani papierosów, ani cytrynówki.

— A może mu się żona zestarzała i chce wymienić na młodszą? — W oczach Kasi roztańczyły się radosne isierki.

— Nie liczyłabym na to — odpowiedziała Renata i puściła do koleżanki oko.



Marlenka leżała na dywanie w pokoju Julii, zaśmiewając się. Obok niej, z brzuchem do góry i sterczącymi łapami, leżał Teodor, zachwycony taką ilością pieścizot naraz. Marlenka była niezmordowana w głaskaniu i mizianiu białego brzucha psa, a Teodor szczęśliwy, bo uwaga dziewczynek skupiona była wyłącznie na nim.

Kasia siedziała w wygodnym fotelu w dużym pokoju Renaty, służącym za salon, sypialnię, jadalnię, a dawniej również za pokój zabaw dla dziewczynek, gdy były znacznie młodsze i znosiły tutaj swoje lalki, misie i klocki, aby być bliżej rodziców.

W całym domu pachniało sernikiem, który Renata upiekła dziś rano specjalnie na przyjęcie Kasi i Marlenki. Miały to popołudnie tylko dla siebie, na babskie pogaduszki, Staszek bowiem pracował dziś na drugą zmianę.

— Niestety, ciacho możesz dzisiaj obejrzeć sobie wyłącznie na talerzyku — powiedziała Renata, stawiając przed koleżanką kawał puszystego sernika i filiżankę z czarną kawą.

— Jaka szkoda — westchnęła teatralnie Kasia i uśmiechnęła się do Renaty. Była dzisiaj rozluźniona i prawie radosna. Po przygnębieniu, w jakie zapadła jakiś czas temu, pozostał jedynie znikomy ślad w jej zielonych oczach.

— Nie wiem, jak to będzie, kiedy Staszek wyjedzie. — Renata usiadła w drugim fotelu, przysuwając do siebie filiżankę z ulubioną czarną herbatą.

— Przeżyjesz, chociaż nie powiem, nie będzie łatwo.

— Mów mi tak dalej. — Renata przywołała na usta cień uśmiechu, chociaż wcale jej do śmiechu nie było.

— Kobiety są twarde i dużo potrafią znieść — powiedziała Kasia, nabierając łyżeczką kęs ciasta i kosztując go. — Wiem coś o tym — dodała z pełnymi ustami.

— Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz? Masz małe dziecko, pracujesz na zmiany... — zaczęła Renata, a Kasia weszła jej w słowo, wyrzucając to w końcu z siebie.

— Mieszkam razem z matką uzależnioną od alkoholu, a do tego w zeszłym tygodniu ojciec Marlenki wyszedł z więzienia, gdzie siedział za kradzież, włamania i znęcanie się. Nade mną.

W pokoju zapanowała cisza, którą zakłóciła przelatująca mucha, zabłąkana między kuchnią a pokojem. Jej przezroczyste skrzydełka falowały niestrudzenie jak dwa wachlarze, unosząc ciekawskiego owada nad pachnącym brzoskwiniami talerzem. Renata odgoniła ją ruchem ręki, a potem odważyła się spojrzeć w kocie oczy Kasi.

— Nic nie wiedziałam — powiedziała speszona.

— Bo nie ma o czym gadać. — Kasia zmiatała łyżeczką ostatnie okruszki pozostałe po serniku. — Gadaniem niczego nie zmienię, działaniem tak. Pracuję, odkładam, ile się da, na mieszkanie i dobrą przyszłość dla mnie i Marlenki. Tego gnoja, ojca Marlenki, pogoniłam w diabły. Mną mógł poniewierać, ale dziecka skrzywdzić nie dam. Twarda jestem, przetrwam. — Kasia odstawiła talerzyk i bawiąc się łyżeczką, zapatrzyła się na koronkowy obrus Renaty. — Tylko czasami chciałabym, żeby ktoś się nami zaopiekował — powiedziała cicho, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w stół. — Wiesz, Renia, nie marzę już o miłości ani

wielkiej namiętności. — Podniosła głowę i spojrzała na koleżankę. — Chciałabym tylko spotkać kogoś, kto będzie mnie szanował i kto przyjmie moje dziecko bez kręcenia nosem. Niczego więcej nie potrzebuję, oprócz szacunku i spokoju. Marzę o tym, aby wracać do domu bez tej guli w żołądku i niepokoju, co spotkam za drzwiami. Chciałabym codziennie wychodzić do pracy bez lęku, że Marlenka zostanie nieodebrana z przedszkola, bo babcia napije się i po prostu o wnuczce zapomni. Chciałabym odbierać telefon bez tego cholernego uczucia, że coś się stało i muszę natychmiast coś wymyślić i kolejny raz prosić o pomoc sąsiadkę. Marzę o takim zwyczajnym, normalnym życiu i domu, gdzie dzieci się kłóca, pies szczeka, zupa gotuje się na gazie, a ty masz dla kogo tę zupę przygotować i z kim ją zjeść. Tylko tyle. I aż tyle. — Westchnęła i spojrzała na Renatę wzrokiem, w którym była ogromna tęsknota za czymś, co dla Renaty było monotonią codzienności, często niedocenianą.

— Jesteś śliczna, mądra i otwarta na świat. Masz swoje pasje i wiesz, czego chcesz, a przy tym jesteś fantastyczną mamą. Zobacysz, spotkasz jeszcze swojego księcia, tylko musisz mieć oczy szeroko otwarte. — Renata spojrzała ciepło na koleżankę. Nie miała odwagi dotknąć samotnej dłoni Kasi leżącej na stole, z palcem okręconym wokół ucha filiżanki, choć miała na to wielką ochotę. W tej jednej chwili poczuła się zawstydzona tym, że ma tak wiele i pomimo to niejednokrotnie szuka dziury w całym.

Wyznanie Kasi uczyło pokory.

— Niedługo od tego wypatrywania wytrzeszczu dostanę. — Kasia nie lubiła długo roztkliwiać się nad sobą. — Gdyby pan Karol choć raz spojrzał na mnie tak, jak patrzy na ciebie... — uśmiechnęła się łobuzersko. — Sama zaproponowałabym mu spotkanie i jeszcze bym za kawę zapłaciła.

Renata zarumieniła się lekko.

— Za tobą też pół osiedla oczy wypatruje — odcięła się koleżance.

— Zapomniałaś dodać, że część tej połowy ma już swoje ślubne, a trójkątów to ja nie uznaję, a druga część to dzień od cytrynoweczki zaczyna, a mój stosunek do alkoholu już znasz. I tak wracamy do punktu wyjścia.

Nic więcej Kasia powiedzieć nie zdążyła, bo ich rozmowę przerwało skrzypnięcie drzwi, zza których wyłoniła się Iga z nieprzytomnym, rozbieganym spojrzeniem.

— Mogę dostać kawałek sernika? — spytała, przysiadając na brzegu sofy.

— Pewnie, że możesz — odpowiedziała Kasia wesoło, a Renata popatrzyła tylko na córkę i pokręciła głową.

— Oczy masz już kwadratowe od tego laptopa. Zamiast wyjść z domu i spotkać się ze znajomymi, tkwisz tylko w tym dusznym pokoju ze wzrokiem utkwionym w ekran.

— Właśnie tkwiąc w domu, spotykam się ze znajomymi.

— Na Facebooku, też mi spotkania! — prychnęła Renata.

— Nie lekceważ Internetu — wtrąciła się Kasia. — To potężne źródło kontaktów i znajomości.

— Tylko dokąd te znajomości cię doprowadzą? — Renata miała na ten temat swoje zdanie i nie zamierzała go zmieniać.

Kasia zamyśliła się, wpatrzona nieruchomo w przestrzeń poza Renatą, a potem wymamrotała pod nosem, jakby sama do siebie:

— Że też o tym wcześniej nie pomyślałam...

— Zobaczysz, jak tata wyjedzie, sama będziesz tkwiła przed laptopem i gadała do ekranu. Wtedy podyskutujemy o szkodliwości Internetu — zauważyła kąśliwie Iga, po czym zabrała swój talerzyk i wraz z wielkim kawałkiem ciasta zniknęła w swoim pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Renata spojrzała za córką i westchnęła głośno, a potem, patrząc na Kasię, powiedziała:

— Ani się obejrzysz, a twoja słodka Marlenka stanie się takim pyskatym paszczakiem. Ciesz się jej dzieciństwem, jak długo możesz, i jak najdłużej nie pozwól jej dorosnąć.

Kasia pokiwała w milczeniu głową, dopiła kawę, a potem sięgnęła po kolejną porcję puszystego sernika z brzoskwiniami, rozgrzeszając się tym miłym popołudniem z kalorii, którymi poczęstowała ją Renata.



Mela wpadła do sklepu zaaferowana i z wypiekami na twarzy.

— Widziałam zjawisko! — wydyszała, opierając się o koszyki i łapiąc oddech po szybkim marszu.

Renata, która dotarła do sklepu tuż przed nią i jeszcze nawet nie zdążyła się przebrać, popatrzyła na nową koleżankę z ciekawością i zapytaniem w oczach.

— Mówię wam, anioł! W długiej, powłóczystej sukni w kwiaty, w kapeluszu z woalką i gołąbkami na ramieniu! A na palcu to chyba biedronkę trzymał, ten anioł, i przemawiał do niej, jakby do człowieka gadał.

Renata uśmiechnęła się, a Lucynka, kończąca właśnie swoją zmianę, wykrzyknęła radośnie:

— Toż to nasza pani Emilia! A temu gołębiowi to skrzydełko wyleczyła i teraz ta ptaszyna na krok jej nie odstępuje. Taka wdzięczność u zwykłego ptaka. Większa niż u niejednego człowieka, który rozum ma, ale pamięć to często bardzo krótką.

— Pani Emilia to prawdziwy anioł, Melu — zauważyła Renata, kierując się w stronę zaplecza. — Czasami mam wrażenie, że Pan Bóg ją zesłał, aby nam przypominała o tym, co naprawdę ważne.

Melania wyjrzała przez okno, aby jeszcze raz rzucić okiem na zjawiskową

kobietę, a potem szybkim krokiem podążyła za Renatą, aby odwiesić swoją ulubioną garsonkę i ubrać się w „sklepowy mundurek”, jak to określała.

Pół godziny później wraz z Emilią do sklepu weszła wiosna. W kwiecistej sukience i kapeluszu przystrojonym żółtym mniszkiem, z bukietem tulipanów w ręku, wniosła ze sobą delikatny podmuch wiatru i uśmiech na obsypanej piegami twarzy.

— Dzień dobry, pani Emilio. Przyniosła nam pani wiosnę.

— Tak. — Radość wyglądała nawet oczami pani Emilii. — Na dobre już się rozgościła. Kocham wiosnę, ma tak dużo do zaoferowania. Moje zwierzaki też jakby żwawsze, weselsze. Okruszek najchętniej zamieszkałby na dworze, a Cezar i kotki nie schodzą z balkonu i tylko wygrzewają się na słoneczku. A jak tam Teodor?

Renata uciekła wzrokiem, bojąc się spojrzeć pani Emilii prosto w oczy i wyjawić całą prawdę o przygarniętym psiaku.

— W zasadzie to... — zaczęła cicho, nie wiedząc, jak w kilku zdaniach opowiedzieć o wybrykach czworonoga. — Mamy z nim trochę kłopotów.

— Pogryzł kogoś? — Pani Emilia oparła się o ladę i wpatrywała w Renatę zaniepokojona.

— Nie, nie! — zaprotestowała Renata. — Jest łagodny i do zagłaskania. Uwielbia pieszczoty i nawet nie warknął na nikogo, ale... nie znosi być sam. Wystarczy mu pół godziny, aby wybebeszyć kosz na śmieci, pogryźć niepochowane ciapy czy porządzić w pokoju Julki w poszukiwaniu niedojedzonych kanapek i słodyczy. Otwiera sobie każde drzwi, ostatnio udało mu się nawet otworzyć balkonowe, choć w głowę zachodzimy, jak on to zrobił. — Renacie zabrakło tchu od tej litanii przewinień Teodora. Spojrzała bezradnie w oczy pani Emilii, jakby tam szukając ratunku. — Już naprawdę nie wiem, co z nim robić — dodała cicho.

Pani Emilia pokręciła zasłuchana głową, wyciągnęła rękę i poklepała Renatę uspokajająco po dłoni.

— Pani Reniu, niech mu pani da jeszcze szansę. On potrzebuje ciepła i miłości, od ludzi tylko biedy doznał. Ułoży się, jak nie sam, to pan Marcin pani pomoże. Prowadzi szkołę dla psów On-ek. Tutaj zaraz, na stadninie psy szkoli. Z całego Lublina ludzie z psiakami do niego zjeżdżają, bo jest naprawdę dobry i skuteczny. Pan Karol Reksa też u niego układał, i jaki teraz uległy i posłuszny.

— Pan Karol czy Rex? — zażartowała Renata.

Pani Emilia roześmiała się.

— Oczywiście, że Rex. Ale pan Marcin ma dobre podejście również do ludzi i niejednego właściciela psa złych nawyków oduczył.

— Jak się nazywa ta szkoła? On-ek? — upewniła się Renata.

— Tak. Telefon znajdzie pani w Internecie, a jak nie, to następnym razem przyniosę. Albo pana Karola proszę zapytać, on ma w komórce numer zapisany.

Renata pokiwała głową i westchnęła cicho, myśląc, że człowiek czepia się choć cienia nadziei, która się przed nim pojawia.

— Kasia u siebie na stanowisku? — spytała pani Emilia, odrywając się od lady i spoglądając między półkami w stronę stoiska z wędliną i serami.

— U siebie. — Przytaknęła Renata. — Z nową siłą u boku, Melą.

— To idę się przywitać. Głowa do góry, pani Renatko. Będzie dobrze. Teodor to poczciwy psiak, dobrze mu z oczu patrzy.

Renata tylko uśmiechnęła się, myśląc w duchu, że chciałaby mieć w sobie tyle optymizmu, ile miała pani Emilia.



Fryderyk siedział przy stole i jak zwykle w czasie obiadu czytał gazetę. Melania nie cierpiała tego, ale bezskutecznie walczyła z nałogiem męża już od trzydziestu lat. Fryderyk był niereformowalny, a uzależnienie zbyt silne. Melania musiała się poddać i po prostu tolerować niewłaściwe, jej zdaniem, zachowanie męża przy posiłkach. Fryderyk nie miał większych wad, palenie rzucił jakiś czas temu, kiedy to jego serce zbuntowało się pewnego dnia i postraszyło właściciela stanem przedzawałowym. Alkoholu używał umiarkowanie. Jak była okazja, to i owszem, nie odmówił, ale żeby tak za często i bez okazji to nie. Życie rodzinne i zawodowe miał Fryderyk ustabilizowane. Od kilkunastu lat pracował w dziale kontroli jakości w firmie produkującej profile aluminiowe. Praca była dość stresująca, jak to w firmie z kapitałem zagranicznym bywa, ale Fryderyk miał nadzieję, że doczeka tam już swojej emerytury. Dzieci dochowali się z Melą dwojga. Córka Ilonka w tym roku kończyła trzydzieści lat i miała już swoją rodzinę. Trzy lata temu obdarowała Melanię i Fryderyka wnuczką, na punkcie której oboje oszaleli. Młodszy od siostry o cztery lata Radek wciąż mieszkał z rodzicami, bezskutecznie szukając zarówno pracy, jak i tej jedynej.

Przez ponad trzydzieści lat małżeństwa Fryderyk dobrze poznał temperament swojej małżonki, dlatego nie zdziwiła go decyzja podjęcia pracy po tym, jak niegrzecznie podziękowali jej w szkolnej świetlicy. Zaskoczył go jednak charakter pracy, ponieważ Melania o handlu nie miała bladego pojęcia. Aż do teraz.

Od kilku dni Fryderyk, czy tego chciał, czy nie, wysłuchiwał opowieści Melanii zza lady. Teraz też siedziała naprzeciwko niego i w przerwie między jedną łyżką zupy a drugą próbowała opisać w nieprzerwanym potoku zdań swój pracowity dzień.

— Mówię ci, Fryderyku, spotkałam dziś anioła — zaczęła Melania, robiąc między zdaniem przerwę na przełknięcie ognistej zupy pieczarkowej. — Ale takiego najprawdziwszego, tylko bez skrzydeł.

— A to anioły już teraz do sklepu zagląдают? Myślałem, że one u Pana Boga za piecem mają wszystko, czego im potrzeba — zażartował, ale Melania ofuknęła

go rozzłoszczona.

— Oj, ty to tak zawsze! Nie przerywaj mi, tylko posłuchaj. Ten anioł to pani Emilia się nazywa. Mieszka jak my, w bloku, ale serce to na dłoni nosi. A jak na ciebie spojrzy, to aż się ciepło robi i taki dziwny prąd cię przechodzi. A ludzie to o niej gadają, że aż wstyd. Od wariatek ją wyzywają, a ona normalna, jak ty czy ja. Tylko dobra. — Melania westchnęła i przez chwilę zamyśliła się nad talerzem stygnącej zupy.

— A ty wiesz, Fryderyku, ile zawiści w ludziach siedzi? — zaczęła po dłuższej chwili milczenia. — Ile to krzywdzących plotek ludzie do sklepu przynoszą. Czasami aż nieprzyjemnie tego słuchać. Ale co zrobić, zęby zacisnąć trzeba i miłym być dla klienta. — Trzy szybkie łyżki zupy zamknęły na moment usta Melanii. — No, sam powiedz, Fryderyku, przecież z ludźmi to trzeba w zgodzie żyć, a nie wszystko im wytykać. A jak ktoś trochę inny niż wszyscy, to nie daj Panie Boże! Przeszkadza ludziom jak sól w oku i ość w gardle. Z dziećmi pracowało się inaczej...

Melania zamilkła i dokończyła zupę, dając Fryderykowi chwilę ciszy na przeczytanie do końca artykułu, który go zaciekał.

— Ale przynajmniej zawiści w tej pracy nie ma. — Melania nie umiała długo milczeć. — Ta Kasia taka fajna i bezpośrednia. Czasami aż mi niezręcznie, że tego nie umiem, tamtego nie potrafię, tych nazw spamiętać, to trzeba głowę mieć jak kocioł! Tu szynka taka, tam owaka i każda ma swoje strategiczne miejsce w witrynie. A te dziewczyny wszystko wytłumaczają, wyjaśniają i żadna się ze mnie nie śmieje, że taka stara, a się do roboty w sklepie bierze.

— A dlaczego miałyby się śmiać, Melu? — Fryderyk odłożył gazetę i spojrzął na żonę lekko nieprzytomnym od czytania wzrokiem. — Przecież pracujesz uczciwie, a stara to ty jeszcze nie jesteś, już nie przesadzaj.

Melania, nie do końca przekonana słowami męża, pokiwała głową i zabrała się do kotletów, na które Fryderyk postanowił poczekać przed telewizorem.

Rozdział czwarty

MĘSKIE DECYZJE

Siedzieli przy małym kawiarnianym stoliku i w milczeniu wpatrywali się oboje w Marlenkę, zjadającą ze smakiem lody waniliowo-truskawkowe z syropem malinowym. Kasia sączyła przez słomkę coca-colę. Była spięta i nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że popełnia błąd, wprowadzając Darka w życie córeczki. Marlenka nie pamiętała ojca. Była zbyt mała, gdy Kasia — uzależniona od chorej miłości albo po prostu z lęku przed samotnością — tkwiła przy kacie, który o dziecku przypominał sobie tylko wtedy, gdy płakało. A Marlenka płakała rzadko, jakby swoim maleńkim rozumkiem pojmowała, że w tym domu należy być cicho, aby nie zwracać na siebie uwagi zamrozonego alkoholem lub narkotykami ojca.

Marlenka nie skończyła nawet dwóch lat, gdy Kasia z widocznymi śladami przemocy domowej na ciele i niewidocznymi na duszy spakowała je w jedną torbę i wyprowadziła się od teściowej, milczącego świadka rozgrywającej się pod jej dachem tragedii.

Od tego czasu nie pozwoliła Darkowi zbliżyć się do córeczki, a pytania małej dotyczące tatusia zbywała albo udzielała wykrętnych odpowiedzi, starając się odwrócić uwagę dziewczynki od osoby ojca. Aż do dziś. Prośby Darka o spotkanie z córką stawały się coraz bardziej natrętne i Kasia w końcu ustąpiła, wiedząc, że on nie odpuści. Kontrolowała jednak sytuację, czuwając nad każdym wypowiedzanym przez niego słowem i każdym gestem.

Był trzeźwy. Nie wiedziała, od kiedy, i chciała wierzyć, że nie pił nic od wyjścia, ale za dobrze znała zarówno jego samego, jak i jego porywczą naturę, aby na nowo zaufać i wyciszyć lęk, który wciąż w niej tkwił, gdy Darek był blisko.

— Śliczna. — Chłopak przerwał męczącą ciszę i wskazał wzrokiem na córeczkę.

Kasia uśmiechnęła się. Zawsze tak reagowała, gdy ktoś komplementował Marlenkę. Kochała małą ponad wszystko i była z niej bardzo dumna.

— Po mamusi... — wtrąciła, spoglądając na chłopaka z tym samym uśmiechem, który jeszcze nie zdążył opuścić jej rozjaśnionej twarzy.

Tak naprawdę Marlenka miała więcej z Darka niż z niej. To w jego oczy Kasia zaglądała każdego wieczoru, całując córeczkę na dobranoc. Przejrzyście niebieskie oczy, w których kiedyś bezmyślnie utonęła i których chwyciła się kurczowo jak tonący brzytwy tylko po to, aby dotkliwie się pokaleczyć. Po Darku miała też Marlenka włosy, w złotoblond kolorze i kręcone na końcach. Nikt by nie uwierzył, że człowiek z takim wyglądem, niemalże anioła, potrafi wymierzać tak bolesne ciosy. Długo się goiły. Zbyt długo, aby mogła o nich tak po prostu zapomnieć.

— Po mamusi to ona jest tak dobrze wychowana. — Darek nie mógł się napatrzeć na dwie kobiety, które w nierozzerwalny sposób zostały splecione z jego życiem. — I mądra. — Dodał.

Marlenka zwróciła swą umazaną malinowo buzię w stronę ojca i posłała mu najładniejszy ze swoich uśmiechów.

— Były pysne — powiedziała szczęśliwa i zmęczona jedzeniem opadła na oparcie krzesła.

Kasia delikatnie wytarła buzię dziewczynki i odgarnęła jej pukiel przyklejony do policzka.

— Zaraz pękiesz, mała księżniczko — zauważyła z uśmiechem.

— A może chcesz pójść na plac zabaw? Tam w ogródku jest ślizgawka i kilka huśtawek. Chcesz się pohuścić? — zapytał Darek, a Marlenka szybko pokiewała małą główką i już stała przy nim, biorąc go ufnie za rękę. — To mama sobie tutaj trochę odpocznie, a my się pobawimy. — Darek rzucił Kasi uspokajające spojrzenie, a ona nie mogła pozbyć się tego męczącego uczucia niepokoju, jaki towarzyszył jej zawsze wtedy, gdy traciła córeczkę z oczu. Była spięta i nic nie mogła na to poradzić. Cieszyła się, że Darek jest trzeźwy i łagodny w stosunku do nich obu, ale nie łudziła się, że taki stan potrwa długo. Zbyt dobrze go znała.

Bała się. Nie wiedziała, czego Darek będzie chciał. Był ojcem Marlenki, prawnie uznanym. Pobyt w odosobnieniu uświadomił mu, że nie jest sam i że odtrącane dotąd życie teraz może go uratować. Dlatego uchwycił się tego i rozpowiadał na prawo i lewo, że ma do kogo wracać. Ma rodzinę, dziecko i żonę, choć Kasia nigdy jego żoną nie była.

Kasia wiedziała jedno: nigdy nie pozwoli Darkowi skrzywdzić córeczki i nigdy do niego nie wróci. Ze wspólnego życia wyniosła tylko smutne wspomnienia. Przestała go nienawidzić już jakiś czas temu, ale trauma pozostała.

Dostrzegła Marlenkę biegnącą do niej z rumianymi wypiekami na policzkach. Otworzyła ramiona i zamknęła w nich to żywe szczęście, które wynagrodziło jej wszystkie rany i poniżenia.

Darek pozostał z boku, przed tabliczką wypisaną wyraźnie w oczach Kasi: Obcym wstęp wzbroniony.



— Rena, przecież to się już tutaj nie zmieści. — Stanisław patrzył z uśmiechem zastygłym w kącikach ust na żonę, która weszła do pokoju z naręczem świeżo uprasowanych koszul i podkoszulek.

Na podłodze, tuż przed nim, stała duża walizka zapakowana po brzegi, a Renata donosiła mu wciąż nowe stopy ubrań i jedzenia.

— Ale musisz pozabierać najpotrzebniejsze rzeczy. — Nadopiekuńczość Renaty nie dotyczyła jedynie dzieci, rozciągała się na całą rodzinę.

— Kochanie, ja nie jestem kobietą i moje najpotrzebniejsze rzeczy znacznie różnią się od twoich. To, co już mam w walizce, najzupełniej mi wystarczy, aby przetrwać pierwsze tygodnie, a resztę będziesz mi sukcesywnie dosyłać. Poza tym — spojrzał na żonę łagodnie — ja nie zamierzam się od was wyprowadzać. Wyjeżdżam tylko na jakiś czas. Nie na zawsze. — Podszedł do niej i podniósł jej opuszczoną brodę do góry, zmuszając, aby spojrzała na niego. Dostrzegł wilgoć w jej zielonych oczach, które zawsze kojarzyły mu się z polskim morzem. Odkąd ją poznał, był bezradny wobec jej łez.

— Rena, jeszcze nie wyjechałem, a ty już się rozklejasz. Myślisz, że przez to będzie mi łatwiej? I tak mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię samą z dziewczynkami i Teodorem.

— Przepraszam. — Otarła ręką łzę, która niepostrzeżenie wymknęła się spod powieki. — Staram się, ale to chyba mnie przerasta, Staszek.

— Umówiliśmy się, że jadę tylko na jakiś czas, tak? — wciąż patrzył w jej dobre i kochające oczy, za którymi już tęsknił. — Jeżeli to będzie ponad nasze siły, wrócę. To tylko jakaś alternatywa na teraz, co będzie później, czas pokaże.

Pokiwała potulnie głową i spojrzała na odtrącone ubrania, które, podobnie jak ona, zostaną tutaj, oderwane od Stanisława, jego ciepła i siły, którą był dla rodziny.

Przymknęła oczy. Czas uciekał nieubłaganie i trzy tygodnie, które wydawały się tak odległe, skurczyły się niepostrzeżenie do doby, po której jej świat opustoszeje. Jak to będzie, gdy zabraknie Staszka w tej codzienności i w tysiącu drobiazgów, z których składało się ich wspólne życie, w które nierozzerwalnie wrosła przez te wszystkie lata bycia razem? Co zrobi, gdy wysiądą korki, zepsuje się pralka czy zacznie przeciekać zlew w kuchni? Szczegóły, z których składa się życie dzień po dniu i w które oboje byli głęboko wszczępieni.

Przypomniała sobie ich wczorajszy spacer po Starym Mieście. Pojechali tylko z Julką, bo Iga jak zwykle miała inne plany na niedzielne popołudnie, a poza tym po ostatnim wypadzie do Kazimierza miała dość rodzinnych wyjść. Gdyby ktokolwiek ze znajomych zobaczył ją z rodzicami na spacerku, to byłby prawdziwy obciach. A Lublin jest mały...

Lubelska Starówka bardzo wypiękniała, odkąd byli tutaj ostatnim razem. Wąskie uliczki zapełniły się kawiarenkami i restauracjami, które wraz z podmuchem cieplejszego wiatru i promykami słońca przebijającymi się przez puchate chmury wyszły ze stolikami i krzesłami, zachęcającymi do chwili odpoczynku, na brukowany dziedziniec, rozciągający się u stóp odnowionych i odrestaurowanych kamienic. Uliczni artyści oferowali swoje prace, którymi próbowali zarobić na wikt i opierunek, a w maleńkich sklepikach z rękodziełem i drobiazgami można było poczuć klimat dawnego Lublina i wrócić do domu, ściskając w dłoni aniołka na szczęście.

Krępowwała ich ta „publiczna” bliskość. Szli obok siebie z Julką uczepioną ramienia Stanisława i zabrakło im odwagi, aby tak po prostu wziąć się za rękę, jak dwoje ludzi, których łączy coś więcej niż wspólne mieszkanie. Od czasu do czasu Stanisław spoglądał na Renatę, próbując zapamiętać ten gest, jakim zakładała za ucho igrające z wiatrem włosy, czy jej zapach, który zawsze kojarzył mu się z rodziną. Złapany na tych spojrzeń uśmiechał się do Renaty, jakby chciał dodać jej otuchy, a ona odwzajemniała uśmiech, rozciągając usta, choć serce jej biło żalem i lękiem przed jutrem bez niego.

Przysiedli w letnim ogródku miłej Akwareli, wykorzystując słoneczne i ciepłe czerwcowe popołudnie. Przed nimi na stoliku pachniała aromatyczna herbata podana w czajniczku, a przed Julką stał lodowy gigant, na który dziewczynka rzuciła się z żarłocznością piranii. Czas plótł się leniwymi kwadransami, przesypując parzyste i nieparzyste minuty przez klepsydrę godzin, a oni chcieli zatrzymać tę chwilę i zostać tutaj, na lubelskiej Starówce, bez konieczności powrotu do wciąż gnającego do przodu życia. W tamtym momencie, siedząc tak obok Staszka i obserwując pochłaniającą lodowy puchar Julkę, Renata czuła się szczęśliwa. Tak po prostu i bez powodu szczęśliwa.

Dziś stała nad walizką, w którą Staszek miał zapakować swoje życie, i nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, aby go pożegnać bez teatryku tych wszystkich łez, które już się zbierały i czekały przyczajone na chwilę słabości. Dziś Renata czuła się tak, jakby ktoś przeciął jej serce na dwie nierówne części o postrzępio-nych brzegach i tę większą zabierał ze sobą. Zadawała sobie pytanie, czy z tą mniejszą, poranioną, wciąż będzie potrafiła tak po prostu wstawać o świcie z łóżka i zmagać się z dniem, a później z wieczorem w pojedynkę. Czy będzie potrafiła zasnąć sama na dwu równych połówkach łóżka, na którym zawsze czuła ciepło ciała Staszka? I czy tęsknota, która już jej doskwierała, z czasem przestanie tak boleć?



Tęskniła. Obijała się o puste ściany domu i fukała na Teodora płaczącego się pod nogami. Czekwała na powrót Staszka i chodziła od okna do okna, jakby gdzieś tam mogła go wypatrzeć. Wiedziała, że to irracjonalne i że Staszek już od paru dobrych dni jest w Londynie, ale nic nie mogła poradzić na to, że nogi same niosły ją od framugi do framugi, a ręce nie potrafiły skupić się na niczym innym jak nerwowe ściskanie firanek, na których zostawał zgnieciony ślad. Taki sam Renata miała w swoim sercu. Ta pustka bez męża wciąż ją przerażała.

Dzwonek do drzwi wybawił ją z obłądu. Teodor rzucił się do przedpokoju z głośnym ujadaniem, jak na takiego dużego psa przystało, a Renata otworzyła drzwi z uczuciem ulgi, że choć przez chwilę będzie mogła przerwać tę bezsensowną wędrówkę po pokojach.

— Cześć. Sprawdzam, czy jesteś w kupie, czy rozleciałaś się na kawałki.

Monika jak zawsze miała doskonałe wyczucie chwili. Reagowała jak radar na zmienne nastroje Renaty. Była blisko, kiedy Renata jej potrzebowała. Bez zapowiedzi i zbędnych słów wpadała jak wiosenna burza w zakręty, przy których przystawała Renata, i jak nawigacja wskazywała właściwy kierunek.

— Sama nie wiem. Czuję się tak, jakbym od kilku dni szukała siebie. Teodor, spokój! — uciszyła psa podniesionym głosem i gestem ręki zaprosiła przyjaciółkę do środka. — Jak masz ochotę na kawę, to sama ją sobie zrób, bo mnie dziś wszystko leci z rąk.

Monika niedbale zarzuciła swój żakiet na wieszak i od razu ruszyła do kuchni, gdzie ze znamionną dla siebie swobodą zabrała się do parzenia kawy dla siebie i przyjaciółki.

Renata usiadła przy stole, oparła brodę na dłoniach i zaczęła wpatrywać się w ruchliwą o tej porze dnia dwupasmówkę widoczną z kuchennego okna.

— Masz coś słodkiego do kawy? — Monika otworzyła lodówkę, wyjęła z niej skondensowane mleczko i wpatrywała się przez dłuższą chwilę w zimne wnętrze w poszukiwaniu czegoś dla łasucha.

Renata bez słowa pokręciła głową, co Monika dostrzegła dopiero po zamknięciu lodówki.

— Nic nie upiekłaś? — zapytała z wyrzutem. — A podobno jak kobiety są w depresji, to zajadają ten stres słodyczami.

— A ja nie mam na nic ochoty. Chcę Staszka — jęknęła Renata, zamykając na chwilę oczy, bo od ciągłego przemieszczania się w tę i z powrotem maleńkich jak resorki samochodów za oknem zaczęło jej się kręcić w głowie.

— A ja chcę księcia Williama — odpowiedziała Monika, stawiając przed przyjaciółką filiżankę z kawą. — Jesteś nudna jak statystyczna Polka. Zamiast złać życie za rogi i cieszyć się, że dla odmiany możesz teraz spróbować, jak smakuje niezależność i jak to jest być tak modną dziś singielką czy feministką, ty zasklepiasz się wraz ze swoim użalaniem się nad sobą w skorupie i wzdychasz za Staszkiem. On nie umarł, tylko wyjechał! Wróci. A ty zasmakuj w nowych doznaniach i doświadczeniach. Dziś o osiemnastej masz pierwszy wykład na zajęciach z prawa jazdy. Tu niedaleko, na Kiepurzy. Fajny wykładowca, jeszcze fajniejsi instruktorzy. — Monika puściła oko do Renaty. — Wykładowca wie, że pracujesz na zmiany, więc zajęcia ułożysz sobie tak, jak ci będzie pasowało. Witaj w szkółce, pani Grońska.

Renata pokręciła głową z niedowierzaniem i popukała się palcem w czoło. Często jej się to zdarzało przy Monice.

— Chyba cię pogięło.

— Wow! Widać, że dużo czasu spędzasz z dorastającymi nastolatkami. — Monika przesłała Renacie jeden ze swoich najbardziej promiennych uśmiechów.

— Moni, taki kurs kosztuje. Doceniam twoje dobre chęci, ale...

— Kurs już masz opłacony. Staszek o to zadbał. Wiedział, że to jedyny sposób, aby przymusić cię do podjęcia męskiej decyzji. Czy ci się to podoba, czy nie, pani Grońska, będziesz kierowcą.

Renata nie mogła w to uwierzyć. Patrzyła na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami, z lekko rozchylonymi ustami.

— No powiedz coś, bo mam wrażenie, że trochę cię zamurowało. — Monika była bezlitosna.

— Uknuliście spisek za moimi plecami — wysyczała Renata, szukając dłonią aksamitnego łba Teodora. Ostatnio zauważyła, że kontakt z psem działał na nią uspokajająco, o ile zastawała dom w stanie nienaruszonym po powrocie z pracy.

— Pomyśl, jak prawo jazdy ułatwi ci życie. Staszek się po prostu o ciebie troszczy i jak każdy mężczyzna — działa. Dlatego nie marudź, tylko ruszaj do szkoły dla kierowców. Gdzie dziewczynki? Jeszcze w szkole?

— Julka kończy dziś lekcje o szesnastej, a Iga jest na angielskim. Muszę im odgrzać obiad, jak wrócą.

— Nic nie musisz! — fuknęła na nią Monika. — Są już duże, same potrafią to zrobić. Zadbaj trochę o siebie, Renia. Dziewczynki niedługo wyfruną ci w świat, a ty zostaniesz w pustym gnieździe i będziesz czekać na wnuki, aby na nowo utknąć w tym całym kołowrotku: sprzątanie, pranie, gotowanie, zakupy, a na deser telenowela. Zaczynj w końcu żyć dla siebie. Teraz, jak Staszek wyjechał, masz do tego najlepszą okazję.

— Chyba nie potrafię — szepnęła Renata bezradnie.

— Potrafisz, tylko się boisz. A niepotrzebnie, bo jak nie spróbujesz, nie będziesz wiedziała, jak to smakuje. — Monika wypła ostatni łyk kawy, wstała i podeszła do Renaty, a potem pocałowała przyjaciółkę w sam czubek głowy. — Lecę. Za pół godziny mam spotkanie z klientem. Pamiętaj, o osiemnastej. Tu masz wszystkie informacje — położyła przed Renatą wizytówkę szkoły kierowców „Rajdek”. — Zadzwoń wieczorem i opowiesz mi, czy ci się podobało.

Monika posłała Renacie całusa, w przedpokoju chwyciła swój żakiet i pobiegła do swoich zajęć, którymi wypełniała każdy dzień.

Pozostał po niej zapach dobrych perfum i optymistyczny bałagan, który zawsze wносиła w życie Renaty.



Zjawisko weszło do sklepu w pewne chłodne, pochmurne popołudnie, wnosząc ze sobą atmosferę gorącego lata.

Renata zamarła z ręką na kasie, wpatrując się z zaciekawieniem charakterystycznym dla małej społeczności, gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, w kobietę, która świadoma wrażenia, jakie wywołuje, stała teraz przed półką

z przetworami, wyginając swoje szczupłe ciało na różne strony. Pomimo chłodu na dworze miała na sobie różowy, obcisły top, odsłaniający opalony na brązowo płaski brzuch z błyszczącym kolczykiem w pępku. Jej pośladki i zgrabne uda opinała krótka spódniczka w kolorze kanarkowej żółci. Na opalone ramiona zarzucone miała krótkie białe bolerko, a na nogach czerwone szpilki. Zjawisko miało długie włosy w kolorze popielatego blondu, opadające miękko na ramiona i sięgające pasa, odważny makijaż oraz pomalowane na czerwono usta i paznokcie.

Ten niecodzienny widok naprawdę zapierał dech w piersiach i Renata kątem oka dostrzegła, że Kasia zareagowała podobnie jak ona. Wychylała się zza swojej lady, patrząc zachłannie na kobietę, jakby ta miała jej za chwilę zniknąć. Widząc reakcję Kasi, Renata wiedziała, że spostrzegawczość jej nie zawiodła i że zjawisko pojawiło się tutaj zdecydowanie po raz pierwszy.

Jedyną osobą, która zupełnie nie zwracała uwagi na zjawiskową kobietę, była Mela, która pracowicie układała makarony na półce.

Klienci, którzy znajdowali się właśnie w sklepie, oglądali się mniej lub bardziej dyskretnie, podążając wzrokiem za młodą kobietą i jej koszykiem, do którego wrzucała od niechcienia wciąż nowe produkty.

W pewnym momencie kobieta, jakby lekko zagubiona między półkami, podeszła do Renaty i zmysłowym głosem, za którym poszedłby niejeden niewierny mąż, zapytała:

— Przepraszam bardzo, gdzie znajdę małże w sosie prowansalskim, ewentualnie paluszki krabowe?

— Obawiam się — Renata bardzo się starała, aby zdziwienie nie wychodziło jej oczami — że u nas nie znajdzie pani ani małży, ani paluszków krabowych.

— A, to błąd. — Usta kobiety złożyły się we wdzięczny „dzióbek”. — Owoce morza mają bardzo dobry wpływ na nasz organizm.

— A owoce to znajdzie pani tam. — Zuzanna Barczykowa, jedna z tych „życzliwych” osób, które najlepiej wiedzą, co dla kogo najlepsze, i bardzo lubią być informowane o wszystkim na bieżąco, machnęła ręką w kierunku skrzynek wypełnionych owocami i warzywami.

Zjawisko obejrzało się i wzruszyło swoimi szczupłymi ramionami, a potem zgrabnie oddaliło się i zniknęło z głośnym stukotem obcasów między półkami.

— O Matko Święta, a cóż to było, pani Reniu? — Zuzanna Barczykowa była bardzo niezadowolona, bo nie miała bladego pojęcia, kim jest ta kobieta i skąd się tutaj wzięła.

— Nowa klientka — szepnęła Renata. — Nie wiem tylko, czy na stałe, czy przyjezdna. Tak czy siak ciekawa.

— Popytam wśród sąsiadów. Może Tkaczykowa będzie coś wiedziała. — Zuzanna zapłaciła za zakupy, jeszcze raz z ciekawością rzuciła okiem na nowo przybyłą i kompletnie nieznaną klientkę, a potem z głośnym westchnieniem wyszła

ze sklepu, uważnie rozglądając się na boki w poszukiwaniu kogoś znajomego, przy kim mogłaby przystanąć i wymienić najnowsze wieści.

Renata zajęła się swoją pracą, wypełniając ręce i głowę liczbami, kodami produktów, sumami i uzupełnianiem braków na stoisku alkoholowym. Nowa klientka wróciła do niej po dobrych czterdziestu minutach, w czasie których Renata, w natłoku zajęć i obowiązków, zdążyła już o niej zapomnieć.

— Znalazłam tylko ośmiorniczki w zalewie octowej, ale zdążyłam już zgłosić te braki kierownicze i mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu będę mogła przygotować kolację dla Jasia bez niespodzianek. — Czerwone usta układały się przed Renatą w zabawne kształty, od których nie mogła oderwać oczu.

— Bo widzi pani, my się tu dopiero co sprowadziliśmy. Z Chełma. Kupiliśmy mieszkanie w tym bloku. — Pokazała na wieżowiec przylegający jednym bokiem do sklepu. — Więc sama pani rozumie, że chcąc nie chcąc, będę tu często robiła zakupy, bo po co to jeździć na drugi koniec miasta, jak sklep pod nosem. A my z Jasiem to lubimy tak dobrze i światowo pojeść. A tak w ogóle to Żaneta jestem — przedstawiła się milczącej Renacie. — Żaneta Tarnowska-Przybysz. A mój mąż jest adwokatem — zakończyła, patrząc uważnie, jakie wrażenie zrobiło to na sklepowej.

Renata uśmiechnęła się niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować w tej sytuacji.

— Bardzo mi miło, że zyskaliśmy nową klientkę — odpowiedziała uprzejmie. — Renata Grońska — przedstawiła się, idąc śladem pani Tarnowskiej-Przybysz, a w myślach dokończyła: „Kasjerka. Ekspedientka. Sklepowia. A mój mąż wyemigrował”.

Poczuła bolesne ukłucie w okolicy serca, ale odgoniła złe myśli i skupiła się na klientce, która wpatrywała się w nią dużymi błękitnymi oczami.

— Gdyby potrzebowałyby pani sprawnie przeprowadzonego rozwodu, pani Renato, mój Jasio jest w tym niezastąpiony. Nie zostawia niewiernemu mężowi nawet skarpetek.

Teraz to Renata szeroko otworzyła oczy i wpatrywała się w panią Tarnowską-Przybysz z lekką konsternacją.

— Ale ja się nie zamierzam rozwodzić. — Odruchowo potarła palcem obrączkę na serdecznym palcu.

— Nigdy nic nie wiadomo. — Czerwone usta Żanety rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. — Ale gdyby co, to od razu do Jasia. Dla sąsiadów i znajomych mamy zniżkę. Bardzo miło mi było panią poznać. Tamtą przeuroczą panią również. — Machnęła ręką w stronę Melanii, która skończyła już z makaronami i teraz zajęła się herbatą. — Do widzenia, pani Renato.

— Do widzenia pani.

Renata była oszołomiona. Żaneta wyszła, zostawiając w sklepie mocny

zapach słodkich perfum i sporą kwotę pieniędzy wydaną na zakupy.

— Co za przemiła kobieta! — Melania wpatrywała się w przeszklone drzwi sklepu, za którymi zniknęła pani Tarnowska-Przybysz. — A do tego taka elegancka i światowa.

Renata wychyliła się i odszukała wzrokiem Kasię, zajętą w tej chwili ważeniem mięsa mielonego. Wyraz twarzy koleżanki jasno wskazywał, że nie doszły do porozumienia z panią Żanetą. Kasia wyglądała jak wegetarianin zmuszony do przebywania w bliskim kontakcie z ubitym zwierzęciem. Renata pomyślała jeszcze, że z pewnością przy pani Tarnowskiej-Przybysz ich życie zawodowe stanie się bardziej urozmaicone, i z uśmiechem wróciła do znajomej kolejki przed kasą, która skutecznie zajęła całą jej uwagę.



— Powiedz mi, jak ja mam to wszystko spamiętać? — Renata kręciła się po kuchni z telefonem przyłożonym do ucha i rozmawiała z Moniką, jedną ręką próbując przygotować kolację dla dziewczynek. — Głowa mi pęka, a to dopiero drugie zajęcia. Skrzyżowanie równorzędne i podporządkowane, teren zabudowany i poza miastem. Tysiące znaków, których nie sposób spamiętać, zasad, które podobno są logiczne, i słów, których zupełnie nie rozumiem. Jak ja mam o tym wszystkim pamiętać, jednocześnie prowadząc samochód? — Renata o mało co nie potknęła się o płaczącego się pod jej nogami Teodora i przysiadła na stołku, aby utrzymać równowagę.

— Czasami będziesz musiała jeszcze włączyć wycieraczki. Ale to tylko wtedy, gdy pada. — Zauważyła Monika z rozbawieniem.

— Nie dobijaj mnie! — jęknęła Renata. — W dodatku średnia wieku na wykładach to osiemnaście plus. Ja się tam czuję jak ich mamuśka!

— I słusznie — zauważyła Monika. — Masz przecież córkę w ich wieku.

— Wściekłą jak osa, bo tatuś stwierdził, że póki co stać nas tylko na jeden kurs, a moje prawo jazdy jest ważniejsze niż jej. Mam więc w domu jednego wielkiego focha, a wyzaliczyć mogę się jedynie tobie, bo tutaj mnie nikt nie wysłucha. No, chyba że Teodor — dodała żałośnie.

— Ciężka sprawa — westchnęła Monika, która ze swoimi chłopcami miała nieco inne problemy. — Ale nie wymiękaj, Renia. Będzie dobrze. Zagryź zęby i przetrwaj to. Mówię ci, że warto.

— Mówisz teraz o prawie jazdy czy o muchach w nosie Igi?

— O jednym i drugim. Co u Staszka?

Teraz to Renata westchnęła.

— Tęskni. Uczy się języka. Na razie go szkołą, bo u nich połapać się z tą lewą stroną to masakra. Staszek ma cel i to go nakręca, a ja siedzę tutaj jak jakaś żona marynarza i czekam, sama nie wiem na co.

— Na zmiłowanie przyjaciółki, która w najbliższym czasie zamierza wyciągnąć cię na babski wieczór poza domem. — Monika jak zwykle zarażała radością życia i pochwałą przyjemności.

— Byle bez rozbieranek — rzuciła Renata i doszła do wniosku, że przygotowanie kolacji jedną ręką i do tego z uwagą skupioną na rozmowie telefonicznej jest niewykonalne. — Muszę kończyć, Moni, bo za chwilę odkroję sobie palec. Potrzebuję drugiej ręki.

— No to pa! I pamiętaj, nie marudzisz i nie zasłaniasz się niańczeniem dziewczynek, tylko idziesz ze mną na pogaduchy i lampkę wina.

— Dobrze już, dobrze. Pa! — Renata rozłączyła się i odłożyła telefon. Przez otwarte okno wpadały dźwięki wczesnego lata. Osiedlowe dzieci rozpoczęły już sezon trzepakowo-piaskownicowy, a ławki oblegały tabuny młodzieży, spragnionej wakacyjnej swobody i bez troski. Ptasie chóry wyśpiewywały swoje radosne melodie, a powietrze pachniało skoszoną trawą.

Renata lubiła takie wieczory. Wsłuchiwała się w nadchodzące i nieśmiałe jeszcze lato i zrzucała z siebie napięcie całego dnia. Nogi, obciążone długim stanem i bezruchem, odpoczywały ułożone wygodnie na stołku, a ona czuła, jak i jej udziela się to radosne oczekiwanie na wakacje. Dziewczynki poprawiały jeszcze ostatnie oceny, walcząc o przetrwanie — w przypadku Igi, i o czerwony pasek — w przypadku Julii, ale wszystkie trzy planowały już wakacyjny wypoczynek i rozważały ewentualne wyjazdy w różne miejsca. Renata planowała urlop na sierpień, licząc, że spędzą go wspólnie ze Staszkiem i dziewczynkami. Julia zaraz po zakończeniu roku wyjeżdżała razem ze szkołą na dziesięciodniowy obóz na Lazurówce Wybrzeże, a Iga wybierała się z grupą koleżanek na obóz do Chorwacji. Dalsze wakacyjne plany miało rozpisać życie i w znacznej mierze zależały one od stanu portfela Renaty i Staszka po obozowych szaleństwach.

Renata wstała ciężko zza stołu, nastawiła wodę na herbatę i przygotowała trzy identyczne kubeczki. Do każdego z nich włożyła torebkę czarnej herbaty. Kolorowe kanapki czekały cierpliwie, rozpierając się na talerzykach, których bardzo czujnie pilnował Teodor. Był amatorem wszystkiego, co leżało na stole. Nie pogardzał nawet pomidorem, jeśli udało mu się go ściągnąć potajemnie.

Czajnik wyłączył się z głośnym pyknięciem. Sięgnęła po niego i zalała białe torebki, obserwując, jak unoszą się na powierzchni. Zapach świeżo zaparzonej herbaty rozszedł się po kuchni, a Renata poczuła znajomy spokój letniego wieczoru.

Była w domu i nigdzie się stąd nie wybierała.



Zapadał zmierzch. Melania stała na balkonie i podlewała świeżo posadzone kwiatki. Te małe skrzyneczki, przytulające się do barierki niewielkiego balkonu, były dla Melanii namiastką ogrodu, o którym od niepamiętnych czasów marzyła.

Czerwone pelargonie, różowe petunie i białe surfinie cieszyły oczy i wypełniały małą przestrzeń klimatem sielskiego ogródka. Ten balkon był azylem Melanii i jej ucieczką przed smutkami tego świata. Miała tu swoje rozkładane krzeselko, poza którym niewiele więcej się mieściło. Siedziała sobie wieczorami na tym krzeselku, obserwując Lublin z niewielkiej wysokości drugiego piętra.

Dzisiaj też miała o czym myśleć. Niedawno wyszła stąd Ilonka z Anią. Każda wizyta wnosi była dla Melanii przyjemnością, ale dziś nie miały wielu powodów do radości. Ilonka kolejny raz w ciągu ostatnich kilku tygodni pożyczala od nich pieniądze. Tłumaczyła się podwyżką wynajmowanego mieszkania, zaległym czesnym za żłobek i wysokim rachunkiem za prąd, lecz Melania czuła, że dzieje się coś niedobrego. Mąż Ilonki, Przemek, był elektrykiem, ale mimo dobrego zawodu nie miał stałej pracy. Melania obawiała się, że być może w tej chwili Przemek w ogóle nie ma pracy, a Ilonka ze swojej pensji w żłobku niewiele może zdziałać, biorąc pod uwagę ich wydatki na życie i utrzymanie ośmioletniego forda.

„Małe dzieci — mały kłopot, duże dzieci — duży kłopot. I dużo bardziej kosztowny”, pomyślała Melania, wciągając głęboko pachnące wilgocią wieczorne powietrze.

Przy Fryderyku nawet nie mogła porozmawiać z córką szczerze i otwarcie. Postanowiła, że za dwa dni, jak będzie miała poranną zmianę, pojedzie po południu do Ilonki i porozmawia z nią jak matka z córką. A jak trzeba będzie, to i zięciowi do rozumu przemówi, a co! W końcu to on powinien w ich małej rodzinie nosić portki i przejąć na siebie jej utrzymanie, a nie zrzucać wszystko na biedną Ilonkę. Ona i tak pracuje za trzech przy małym dziecku i swoich podopiecznych.

Podjąwszy decyzję, odetchnęła głęboko i zapatrzyła się na swoje kwiaty. Noc weszła niepostrzeżenie, otulając Melanię i jej rośliny miękkim, ale chłodnym woalem czerni.



— Pani Reniu, no niechże sama pani powie, jak to tak można bez ślubu razem mieszkać i żyć jak mąż z żoną? — Pani Ania stała przed Renatą z zasmuconym wyrazem twarzy i załamywała ręce. W sklepie było pusto, dochodziło południe, więc pani Ania mogła wykorzystać tę chwilę, kiedy miała „panią Renię” tylko dla siebie. Przynajmniej ktoś chciał jej wysłuchać. — I żeby to nie znali się i chcieli zobaczyć, jak to jest ze sobą, czy sobie pasują i takie tam. Ale oni już osiem lat ze sobą chodzą. A znają się jeszcze dłużej. Więc ja się pytam, co stoi im kłodą na drodze do ołtarza?

— A bo to teraz takie modne, pani Aniu. Dla młodych ślub to przeżytek, oni teraz żyją po swojemu. — Renata przyjęła banknot z pomarszczonych i obsypanych ciemnymi plamkami rąk kobiety, wydała resztę i wsparła się o ladę, patrząc z życzliwością w szczerą, choć teraz zasmuconą twarz stałej klientki.

— Ale tak nie można. To przecież nie po bożemu. — Pani Ania wolno pakowała zakupy do płóciennej torby. — A jak ta moja Iza znudzi się temu Bartkowi i inną sobie znajdzie? Kto ją wtedy, taką popsutą, weźmie za żonę?

— Czasy się trochę zmieniły... — zaczęła niepewnie Renata.

— Ale dziesięć przykazań nie! — odpowiedziała natychmiast pani Ania, a Renata nie mogła nie przyznać jej racji. — Za moich czasów było zupełnie inaczej — westchnęła pani Ania. — Uczciwiej — dodała. — A takie mieszkanie razem to, według mnie, brak szacunku wobec kobiety. Dawniej to tylko utrzymanki się na to zgadzały, a teraz... — złapała się za głowę. — Sodoma i Gomora.

Renata zapatrzyła się na siateczkę drobniutkich zmarszczek i bruzd przed sobą. Z wyblakłych oczu pani Ani wyczierała mądrość i głęboka wiara w to, co od wieków niezmiennie. Świat wokół niej mógł się zmieniać i gnać do przodu, a ona niezachwianie trwała przy tym wszystkim, co w młodości wyniosła z rodzinnego domu. Bóg, honor, ojczyzna. Dla niej to nie były wyłącznie słowa, ona tym żyła. Z bielutką już głową, lekko przygarbiona noszoną na sobie ciężarem wieku codziennie witała nowy dzień z wdzięcznością i nadzieją. Na to, że reumatyzm się nie odezwie. Na to, że w aptece nie zostawi całej emerytury i że starczy do pierwszego. Na to, że ktoś się dzisiaj do niej uśmiechnie. I na to, że jej wnuczka zmadrzeje i posłucha rad „starej babki”.

— Ale ja zawracam pani głowę, a pani sama tyle trosk na sobie niesie. — Uważne oko pani Ani umiało dostrzec to, co niewidoczne. — Proszę Mu zaufać. We wszystkim. On wie, co dla nas dobre. W końcu to Ojciec. Do widzenia, pani Reniu.

— Do widzenia, pani Aniu. Zdrówka życzę! A na młodych to nic nie poradzimy. Sami do wszystkiego muszą dojrzeć.

— A przy tym się srogo poparzyć — westchnęła na odchodnym starsza kobieta, zmierzając drobnymi kroczkami w stronę wyjścia.

Zamyślona nad słowami pani Ani Renata wyjrzała przez okno. Kasztany kwitły w całej swojej okazałości. Delikatne blad różowe kwiaty oblepiały ciężkie gałęzie, rozsiewając charakterystyczny dla siebie zapach. Żółte mleczki zmieniały się w puchate dmuchawce wędrujące z wiatrem tam, gdzie je poniesie. Na płamie słońca, pod wysokim rozłożystym świerkiem, wygrzewał się przegowany kot. Południowy spokój rozleniwił nie tylko jego.

— Taka jakaś rozlazła jestem. — Kasia, korzystając z pustki na swoim stoisku, podeszła do Renaty, rozejrzała się uważnie dookoła i uspokojona brakiem pani Halinki w pobliżu podskoczyła i przysiadła na ladzie, mając w powietrzu splecionymi nogami. — Nic mi się nie chce. Tej artystki jeszcze nie było?

Renata pokręciła głową.

— Owoce morza jeszcze nie dojechały. Pytała o nie wczoraj.

— Jakoś trudno mi się z nią porozumieć. — Kasia odgarnęła z czoła opadły

kosmyk włosów w kolorze czekolady. — Chyba nadajemy na zupełnie różnych falach.

— Bardzo miła kobieta — uśmiechnęła się przekornie Renata. — Bardzo przypadły sobie do gustu z naszą Melanią.

— Zauważyłam — rzuciła z przekąsem Kasia.

— Wiesz — Renata złożyła ręce na piersiach, zapatrzona gdzieś w dal — czasami czuję się za tą ladą jak kozetka psychoanalitka. Co człowiek, to problem.

— Taaa... Życie nie jest łatwe — odkrywczo zauważyła Kasia. — Ale z drugiej strony, jak nasłuchasz się takich smutnych historii, dochodzisz do wniosku, że to, co ciebie spotyka, nie jest jeszcze takie najgorsze. Inni mają gorzej. Czasami.

Renata pokiwała głową. Kątem oka dostrzegła zbliżającą się do sklepu postać. Przyciągnęła jej uwagę czernią stroju. Czarna skórzana kurtka, czarne dzinsy i glany. A na przedramieniu zawieszony motorowy kask. Długie ciemno-blond włosy, związane w kucyk, niedbale opadały na plecy. Ciemne oczy spojrzwały najpierw na Renatę, aż przeszył ją dreszcz, a potem zatrzymały się na Kasi. Kasia najpierw przestała machać nogami, potem z gracją zeskoczyła z lady i wyszeptała cicho, patrząc pytająco na stojącego przed nią chłopaka:

— Mikołaj?

Chłopak w skórze skinął bez słowa głową, uśmiechnął się, ukazując lekko żółtawe od papierosów zęby, i zwrócił się do Kasi.

— Ty na pewno jesteś Kaśka. Bez błędu cię rozpoznałem.

Na policzku dziewczyny pojawił się pensjonarski rumieniec. Wyciągnęła rękę i włożyła ją w chłodną dłoń chłopaka.

— Witaj. Mam dla ciebie kwadrans, ale zapraszam tam. — Wskazała swoje mięsno-serowe stoisko. — Przy okazji możesz zrobić zakupy.

Uśmiechnęła się, a Renata z rozbawieniem zauważyła, że za tym uśmiechem Mikołaj poszedłby i do ubojni, byle za Kasią.

Ciekawość wychodziła z niej uszami i oczami, ale musiała być cierpliwa. Liczyła na to, że Kasia uchyli rąbka tajemnicy i wyzna, skąd wytrzasnęła tego Mikołaja.

W tej chwili i tak nie mogła skupić się na ciekawej obserwacji, musiała wracać do klientki, która z wypchanym po brzegi koszykiem pojawiła się przy kasie. Renata poznała blond odrosty i pierwszy język osiedlowy.

— Dzień dobry, pani Grzesiukowa.

— A dzień dobry, pani Reniu. — Grzesiukowa rozpoczęła powolny rytuał wyładowywania produktów przy kasie. Oznaczało to, że ma dużo do powiedzenia. — Słyszała już pani o tych nowych, co pod tą wariatką mieszkanie kupili?

— Mówi pani o państwu Tarnowskich-Przybysz?

— Ja tam nie wiem, jak oni się nazywają, ale ta blondynka to prawie z gołym tyłkiem lata. A ten jej mąż, adwokat podobno, nic sobie z tego nie robi. Z Chełma

przyjechali. Dużego miasta im się zachciało, a u nas przecież tak o pracę trudno. Jacuś to już trzeci rok szuka i nic. — Grzesiukowa zamilkła na moment, przeszła na drugą stronę kasy i teraz na nowo wkładała paczki i paczuszki do wiklinowego koszyka, z którym przyszła do sklepu. — A wie pani, że ona to jakiś salon piękności będzie tu zakładać? Cyrk na kółkach, mówię pani.

Renata nie lubiła wścibstwa i zagładania do czyjegoś życia i mieszkania, jednak pracując w małym, osiedlowym sklepie musiała pogodzić się z tym, że wszystkie plotki i ploteczki będą docierać właśnie tutaj. To miejsce było jak kocioł, do którego każdy, ktokolwiek tu zajrzał, wrzucał fragmenty osiedlowego życia. Czasami wychodziła z tego potrawa zupełnie niestrawna.

— A ta nowa, co ją pan Grzesio przyjął, to trochę lat już ma. — Grzesiukowa wskazała ruchem głowy na oddaloną nieco Melanię, która przeglądała półki i zapisywała w zeszycie, które produkty się kończą i które należy jak najszybciej zamówić.

— Wie pani, ja ludziom w dowód ani w metrykę nie zaglądam. A pani Melania jest bardzo dobrym pracownikiem.

— No pewnie — burknęła klientka. — Przynajmniej na zwolnienia na dzieci nie chodzi i w ciążę nie zajdzie.

Renata pozwoliła sobie na westchnienie przy klientce, a Grzesiukowa najwyraźniej dobrze to zrozumiała, bo szybciotko wsypała drobne do portmonetki, zabrała swój koszyk, pod którego ciężarem lekko się ugięła, i wyszła ze sklepu, mrużąc coś pod nosem.

Renata kolejny raz zadała sobie pytanie, skąd w ludziach tyle goryczy i jadu wylewanego na innych. Czy wynikało to z ich niezadowolenia z własnego życia, czy też z natury, która zawsze widziała drzazgę w oku bliźniego, a nie dostrzegała kłody w swoim? Wszechobecna zazdrość i zawiść raniła zarówno tych, których dotyczyła, jak i tych, od których wychodziła. Miłość bliźniego była rzeczą nie do pojęcia, a wydawanie sądów stało się jak chleb powszedni.

Smutne rozmyślenia przerwał czarny cień, który przemknął obok, zostawiając za sobą zapach mężczyzny i krótkie „do widzenia”. Renata ciekawie spojrziała w stronę stoiska Kasi. Dziewczyna stała nieruchomo wpatrzona w udko kurczaka, które trzymała w rękach, a na jej twarzy zastygł delikatny uśmiech. Wyglądała uroczo i dziewczęco.

Renata już wiedziała, że nie odpuści i spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym Mikołaju, który tak odmienił Kasię.



— No mów, bo umrę z ciekawości! — Renata spakowała swoje zakupy w dużą plastikową reklamówkę i razem z Kasią wyszła ze sklepu.

Kasia unikała wzroku koleżanki, ale jej uśmiech świadczył o tym, że pytanie

sprawiło jej przyjemność.

— No co tu opowiadać, jak jeszcze nie ma o czym? Dzisiaj zobaczyłam go po raz pierwszy, tak jak ty. A poznałam go na portalu randkowym. Zgadaliśmy się, że jesteśmy z tego samego miasta, podobał mi się jego profil i fajnie nam się wirtualnie gadało, więc postanowiliśmy się spotkać. Stwierdziłam, że najbezpieczniej będzie wśród ludzi, a sklep to najlepsze miejsce, no nie? Przy okazji obejrzałam go sobie. Niezły, co? — Kasia spojrzała na Renatę z figlarnym błyskiem w oku.

— Niezły, ale dla mnie za młody — odpowiedziała Renata, poprawiając pasek torebki zsuwający się z ramienia. — W zasadzie to mógłby być moim synem — dodała wesoło.

— No nie przesadzaj! — obruszyła się Kasia. — Ma dwadzieścia sześć lat. Musiałabyś go urodzić jako szesnastolatka.

— Ty mi tu lat nie wypominaj, tylko lepiej powiedz, jak się umówiliście.

— Wśród ludzi, mamuśka. — Kasia była dziś w bardzo dobrym humorze. — W piątek wieczorem, w knajpie na Starym Mieście. Po małym piwku albo dwóch zamierzam grzecznie wrócić do domu. Sama!

— Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? — Renata spojrzała na Kasię uważnie.

— Nie zapominaj, że życie mnie po tyłku niezłe przetrzepało. Nie zamierzam pakować się w bezsensowny romans tylko dlatego, że dawno faceta nie miałam. Ja po prostu chcę coś w naszym życiu, moim i Marlenki, zmienić. Utknęłyśmy w martwym punkcie, a latka lecą. Zdaję sobie sprawę z tego, że sama nie dam ze wszystkim rady. Dlatego wciąż uważnie się rozglądam.

— Wybacz szczerowość, ale jakoś ten Mikołaj nie wygląda mi na takiego, co by gwarantował stabilizację i nadawał się na ojca Marlenki — zauważyła Renata.

— Nie oceniaj człowieka po wyglądzie — prychnęła Kasia. — Nigdy nie wiesz, co nosi pod tą skórą. Może to zbroja albo maska? Najpierw trzeba poznać wnętrze człowieka, a dopiero potem wyciągać wnioski.

— Bylebyś tylko nie poznała tego wnętrza zbyt głęboko — zauważyła złośliwie Renata.

— Coś ty taka zgryźliwa się zrobiła? — Kasia pokręciła głową z dezaprobatą. — Twojego ciacha dopiero trzeci tydzień nie ma, a ty już zachowujesz się jak taka cnotka, co sama nie da i drugiemu nie pozwoli.

Renata nic nie odpowiedziała, bo doszły właśnie do przystanku, gdzie stała spora grupka czekających na autobus ludzi, a znając porywczy temperament Kasi i temat, na jaki zesła ich rozmowa, wołała nie ciągnąć tego dalej z obawy, dokąd może je to zaprowadzić.

— Powiem tylko jedno, uważaj na siebie, małolato. — Renata zauważyła podjeżdżający autobus linii 44, odważyła się więc na to zdanie, posłała Kasi całusa i wsiadła do środka, zostawiając grożącą jej palcem koleżankę na przystanku. Kasia westchnęła tylko i uśmiechnęła się sama do siebie na wspomnienie łakomego spoj-

rzenia, jakim Mikołaj omiatał ją w sklepie. Oznaczało to, że nie jest jeszcze z nią tak źle i mogła liczyć na wiele. Dla Marlenki.



Wieczór był bardzo ciepły, niemal parny. Wracająca z wieczornego spaceru ze swoimi pieszczołami Emilia pomyślała, że z pewnością w nocy będzie burza. Cezar, idący na długiej luźnej smyczy, ciekawie wąchał kupkę ziemi wykopaną przez kreta, pełen nadziei na spotkanie z małym szkodnikiem. Okruszek puszczone luzem plątał się między łapami kompana, rozgrzebując małymi łapkami usypane kopce. Emilia przystanęła, dając ulubieńcom czas na zabawę i zaspokojenie psiej ciekawości. Za sobą usłyszała znajomy, spokojny głos:

— Dobry wieczór, pani Emilio.

— Dobry wieczór, panie Karolu. — Odwróciła się i uśmiechnęła łagodnie. — Nieźle pan przegonił Rekxa — wskazała na dyszącego psa z językiem wywieszonym prawie w całej okazałości.

— Zrobiliśmy małą rundkę po wąwozie. Rex miał towarzystwo, więc zapomniał biedak o swoich latach. Nie ma już takiej kondycji jak te młode wilki i chyba trochę przesadził.

— Ruch dobrze mu zrobi. Panu zresztą też. Dla zdrowotności — zauważyła Emilia, a Karol uśmiechnął się do niej tak szczerze, od serca.

— A wie pan, że nasza pani Renatka to teraz sama została? — Pani Emilia spojrzała na Cezara, który zaczął się cofać i warczeć na jeden z kopców, nie widziała więc, jak Karol zbladł po jej słowach.

— Jak to sama? Mąż od niej odszedł? — spytał zaniepokojony.

— A co też pan, panie Karolu! Do Anglii wyjechał, do pracy. Najbardziej mi szkoda, jak ta nasza pani Renatka sama po nocy wraca. Wcześniej to ten mąż przyjeżdżał, a teraz tym ciemnym kawałkiem musi na przystanek lecieć. A ludzie są różni — westchnęła. — Zresztą sam pan to wie, panie Karolu.

Pan Karol wiedział. I trochę go ten samotny powrót pani Renatki zaniepokoił.

— A jak sprawuje się Teodor? — zapytał, chcąc pozostać jeszcze przy temacie „pani Renatki” i jednocześnie nie wchodzić z butami i bez zaproszenia głębiej w jej prywatność.

Pani Emilia uśmiechnęła się tajemniczo. Nachyliła się w stronę Karola i powiedziała cicho, tak żeby tylko on słyszał:

— Powiem panu szczerze, panie Karolu, iż sądziłam, że pani Renatka odda mi go z powrotem. Sam pan wie, jakie diabły potrafią siedzieć w tych naszych ulubieńcach, za skórę niejednego raz zaszły i mnie, i panu. A pani Renatka to pierwszy raz takie diablę dostała. I radzi sobie z nim doskonale.

— Jeszcze z niej psiarza zrobimy, pani Emilio — zauważył Karol pogodnie.

— Do domu pani zmierza? — zapytał, widząc zniecierpliwienie Reksa, który przestępował już z łapy na łapę.

— A, pójdę jeszcze do tych bezdomnych kotów. Zobaczę, czy wodę w miseczkach mają i czy zjadły to, co im po południu zaniósł. Dobrej nocy, panie Karolu.

— Dobranoc, pani Emilio.

Pani Emilia pociągnęła Cezara i przywołała Okruszka, a potem wolnym spacerowym krokiem ruszyła w stronę oddalonej altany śmietnikowej, gdzie stacjonowała kocia rodzina.

Karol klepnął ręką w udo i cmoknął na Reksa, który majestatycznie, lekko utykając na tylną łapę, ruszył za swoim panem.



Była już zmęczona. Tydzień jeszcze nie dobiegł końca, dopiero spowolnionym rytmem dotarł do czwartku, a Renata już miała dość. Marzyła o spokojnej sobocie, kiedy nic nie będzie musiała i będzie mogła spędzić więcej czasu z dziewczynkami. Niedziela zapowiadała się znacznie gorzej. Wypadał na nią dyżur, o którym dzisiaj starała się nie myśleć, bo to pograżało ją w czarnej otchłani jeszcze bardziej.

Westchnęła ciężko i spojrzała na zegarek. Kwadrans po dziewiętnastej. Jeszcze dwie godziny i będzie mogła pognać do dziewczynek.

— Poproszę cztery perły — usłyszała trochę piskliwy młodzieńczy głos, który prawdopodobnie miał zabrzmieć dużo poważniej, niż to wyszło jego właścicielowi.

Renata spojrzała na nastolatka niewiele starszego od jej Julii. Pod nosem młodzieńca ścielił się drobny blond meszek, z pewnością pieczołowicie pielęgnowany przez chłopca o nieszczerym spojrzeniu, które uciekało gdzieś w bok.

— Obawiam się, że zaszło drobne nieporozumienie, bo perła jest napojem alkoholowym — odparła, starając się zachować powagę.

— Przecież to tylko piwo! — odpowiedział młody człowiek z pogardliwym prychnięciem.

— Owszem, ale piwo również zawiera alkohol, a ja jestem zobowiązana do poproszenia cię o dowód. Czytać chyba potrafisz — wskazała ręką na tabliczkę zawieszoną przy alkoholach: „Osobom do lat 18 alkoholu nie sprzedajemy”.

— Nie noszę przy sobie dowodu — odparł natychmiast chłopak.

— A to błąd. Każdy pełnoletni obywatel powinien. A szczególnie, gdy wygląda tak młodo i prosi o alkohol.

— Ale ja naprawdę mam osiemnaście lat! A pani swoim niemiłym zachowaniem naraża sklep na straty.

Renata miała dość. Wiedziała, że taka bezsensowna dyskusja może się

toczyć w nieskończoność, a za chłopakiem zaczęła się już formować, choć na razie niewielka, kolejka. Ucięła więc krótko:

— To który soczek podać?

Chłopak spuścił głowę i mamrocząc pod nosem niecenzuralne słowa, szybko opuścił sklep.

— Twarda z pani sztuka — zauważył elegancki mężczyzna w oliwkowym garniturze i białej koszuli, którego Renata widziała w sklepie po raz pierwszy. W jego koszyku dostrzegła tak upragnioną przez młodego człowieka perłę i dwa pęczki rzodkiewki.

— Nie mam wyjścia, takie przepisy — odpowiedziała Renata, a po chwili dodała: — Sama mam córkę w jego wieku. Nawet dwie. I nie chciałabym, aby ktoś sprzedawał im alkohol bez mojej wiedzy. Przynajmniej na razie.

— Mądra z pani kobieta. Pani pozwoli, że się przedstawię — mężczyzna skłonił się przed nią, sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd wizytówkę, którą podał Renacie — mecenas Jan Antoni Tarnowski-Przybysz.

— Renata Grońska. — Renata posłała mecenasowi jeden ze swoich najmiłszych uśmiechów. — Miło mi pana poznać. Z żoną miałam już przyjemność rozmawiać.

— Tak, Żanetka jest tym sklepem zauroczona. Słyszałem nawet, że macie tu bohaterkę *Przeminęło z wiatrem*.

— A i owszem, co prawda nie szaloną i narwaną Scarlett, ale równie miłą Melanię.

Pan mecenas poklepał się po klatce w okolicach serca i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, a z niego banknot dwudziestozłotowy, którym zapłacił za zakupy.

— Tak mi się zimnego piwka i rzodkiewki ze śmietaną zachciało. Tak po polsku. Żanetka to mi dania z całego świata serwuje, a przecież teraz sezon na nowalijki. A ona tylko owoce morza, kuchnia tajska, medycyna chińska. — Pan mecenas najwyraźniej nie chciał się jeszcze żegnać.

— Dbaj o pana. To dobrze.

— Pewnie, że dobrze, ale nie słyszała pani o tym, że można kotka zagłaskać na śmierć?

Mecenas Tarnowski-Przybysz zamyślił się przez chwilę, pakując powoli swoje zakupy do cienkiej firmowej reklamówki.

— Szalenie miło robi się u państwa zakupy — powiedział, przesuwając się nieznacznie w stronę wyjścia. — Obawiam się, że jeszcze nie raz będą państwo narażeni na moje towarzystwo.

— Będzie nam bardzo miło — odpowiedziała Renata, nie przestając się uśmiechać, a gdy mężczyzna wyszedł, pomyślała, że jest bardzo sympatyczny i znacznie „normalniejszy” pod względem ubioru niż jego żona.

Czas posuwał się jak powolny żółw, a wskazówki zegara opornie przesuwały się naprzód. „Ciekawe, czy Iga wyszła z Teodorem?”, pomyślała Renata. Wciąż trzeba było jej o tym przypominać. Wyjęła komórkę, którą w pracy zawsze trzymała w kieszeni firmowej marynarki, i zadzwoniła do domu. Po trzech sygnałach odebrała Julka.

— Cześć, córcia, co robicie? — starała się, aby jej głos brzmiał pogodnie, choć zawsze, gdy zostawiała dziewczynki same na cały wieczór, szalała z niepokojem.

— Lekcji już nie zadają, więc siedzę na Facebooku, a Iga wyszła z psem.

— Co ty powiesz? — zdziwiła się Renata. — Tak sama z siebie?

— Też trudno było mi w to uwierzyć, ale wiesz co, mamcia, ona chyba już dojrzała do Teodora. Patrzy na niego jakoś inaczej, a dzisiaj to nawet do niego gadała.

Renata pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Jadłyście coś?

— No pewnie, ten pyszny obiadek, co zostawiłaś, a pół godziny temu kanapki. Iga oczywiście zaspokoiła głód jogurtem naturalnym.

— Bez komentarza. Kiedyś jej to minie.

— O której będziesz, mamcia? — spytała Julka tym przymilnym tonem, który Renata uwielbiała.

— O dwudziestej pierwszej dwadzieścia mam czwórki. Będę gdzieś za piętnaście dziesiąta. Macie być już w piżamach. Obie! A nie tak jak zwykle, ja wracam padnięta i marzę o tym, aby jak najszybciej się położyć, a wy wtedy okupujecie łazienkę do północy.

— Okej, przekażę siostrze. To pa, mamcia.

— Pa! Do zobaczenia!

Jeden klawisz i głos Julii odpłynął, był już tylko wspomnieniem, a wokół Renaty pozostała sklepowa rzeczywistość. O tej porze najlepiej schodziły napoje, nie tylko te alkoholowe, i słodczyce. Wraz z pojawieniem się pierwszych cieplejszych dni podgrzewanych oślepiającymi promieniami słońca z potężnych lodówek zniknęły lody, dostarczane teraz do sklepu co drugi dzień. Lato czuło się już wszystkimi zmysłami. Wieczory też były dłuższe i cieplejsze, a nadciągającą letnią atmosferę było widać po grupkach młodych osób zbierających się w różnych częściach osiedla. Ławki, piaskownice, a nawet drabinki na placach zabaw obłożone były przez szukającą towarzystwa młodzież. Jeszcze chwila i rozpoczną się wakacje. Czas trochę zwolni, dni w pracy będą radośniejsze i może tęsknota też ustąpi miejsca beztrójce lipca. Na razie wciąż kłuła i doskwierała, najbardziej w okolicy serca. Dni bez Staszka dłużyły się pomimo pracy i obowiązków, którymi się otoczyła. Nie umiała niczym zappełnić pustki, która pozostała po nim w domu. Dobrze, że był Teodor, z tym wiecznie ciekawym nowych doznań, zimnym nosem, który wpychał

wszędzie, gdzie tylko mógł. Miejsca po Staszku nie zapełnił, ale przynajmniej robił w domu tłok i zamieszanie.

Dotrwała do końca zmiany, ale wychodziła z pracy wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. To zdecydowanie nie był jej dzień.

Zanim zamknęła drzwi, sprawdziła dokładnie, czy alarm jest załączony i czy wszystko pozamykane i uprzątnięte. Kasia urwała się dziś godzinę wcześniej, a Melania mieszkała w przeciwnym niż Renata kierunku, jej osiedle przylegało niemal do Zalewu Zemborzyckiego, tłumnie obleganego przez lublinian w gorące dni. Drogę do przystanku miała dziś Renata przebyć samotnie, co jeszcze dotkliwiej uświadomiło jej, że oprócz dziewczynek i psa nikt na nią nie czeka. Dlaczego rozstania, choćby takie na chwilę, tak bolały?

— Dobry wieczór, pani Reniu. — Najpierw usłyszała głos, dobrze znajomy, ciepły. Potem spojrzała w piwne oczy, pełne zrozumienia i życzliwości.

— Dobry wieczór. Wybieracie się na wieczorny spacer? — spytała, spoglądając na Rekxa, cierpliwie stojącego przy nodze swojego pana.

— Tak, to pora Rekxa. Już nie jest tak gorąco i mój wierny towarzysz może trochę pobrykać. — Roztapiała się w spojrzeniu tego mężczyzny. Napięcie całego dnia powoli wycofywało się małymi kroczkami, a Renata czuła, jak stopniowo wypełnia ją spokój. — Pani Reniu, czy możemy panią odprowadzić na przystanek?

— Nie chciałabym sprawić... — nie dał jej dokończyć, tylko bez słowa sięgnął po siatkę, którą trzymała.

Szli obok siebie w milczeniu, które nie krępowało. Rex kroczył spokojnie przy lewej nodze pana, a wypchana zakupami torba stanowiła granicę między przestrzenią Karola i Renaty. Powietrze przesycone było zapachem jaśminu, a topolowy puch ściełił się pod nogami. Odpoczywała. Po dniu spędzonym za sklepową ladą jej zmęczone ciało pozbywało się napięcia i ciężkości, a droga do przystanku była miłym, przyjemnym spacerem, a nie ucieczką.

— Czy Teodor sprawia pani wiele kłopotu? — Karol przerwał ciszę.

— Powiem panu szczerze, że czasami mam ochotę udusić go gołymi rękami, ale potem, kiedy spogląda na mnie tymi mądrymi ślepiami, które wydają się wszystko rozumieć, w tajemnicy przed córkami wpuszczam go do łóżka. Przytula się zupełnie jak człowiek.

Karol uśmiechnął się na pewne miłe wspomnienie. On też niejednokrotnie nakrywał Rekxa wtulonego w Dorotę. Oboje robili wtedy miny niewiniątek, a Rex nonszalancko i bez pośpiechu schodził z kanapy, bezczelnie otrząsając się przed Karolem. Wiedział doskonale, kto w ich domu był od rozpieszczania, a kto od trzymania dyscypliny.

— Pies potrafi wyczuć naszą słabość i doskonale to wykorzystuje, o ile mu na to pozwolimy. Proszę go trzymać twardą ręką, pani Renato, bo inaczej wejdzie pani na głowę.

— Wie pan, nigdy nie miałam psa i dopiero teraz odkrywam, jaka to frajda. Owszem, jest to duży obowiązek, ale... nikt w domu nie wita mnie z taką radością, jak Teodor.

— Cieszę się, bo miałem wyrzuty sumienia, że tak jakby z panią Emilią wciśnaliśmy pani tego psa na siłę. — Pwne spojrzenie miło ogrzewało samotność Renaty. W tej jednej krótkiej chwili żałowała, że droga do przystanku minęła tak szybko. W oddali widziała już światła nadjeżdżającego autobusu.

— Dziękuję za miły spacer i uwolnienie mnie od tego ciężaru. — Wskazała na swoje zakupy.

— To była dla mnie prawdziwa przyjemność. Lubimy pomagać, prawda, Rex?

Pies nastawił uszy na dźwięk swojego imienia i machnął kilkakrotnie długim, puszystym ogonem. Palce Karola przypadkowo dotknęły dłoni Renaty w chwili, gdy podawał jej torbę. Poczula ten mrozący dreszcz, który rozszedł się dziwnym uczuciem po całym jej ciele. Zdążyła się jeszcze tylko pożegnać krótkim „dobranoc” i wskoczyła do autobusu. Przycupnęła na siedzeniu tuż za kierowcą i próbowała uciszyć rozszalałe serce.

Karol stał na przystanku, patrząc tęsknie za odjeżdżającym autobusem, który wywoził „panią Renatkę” do jej codzienności i do tych, którym była bliska.



Staszek miał smutne oczy. Rozstanie i tęsknota za domem odcisnęły się w poziomych bruzdach na jego czole i powadze, której twarz mężczyzny nabrała w ciągu tych paru tygodni. Patrzyła na niego, błogosławiąc zaawansowaną technologię i wynalazek taki jak Skype.

— Nie daję rady, Staszek, to wszystko mnie przerasta. Dni uciekają jeden za drugim, nie mam zupełnie czasu dla dziewczynek i do tego ten upiorny kurs prawa jazdy. Po co mi to było? — jęczała, patrząc na męża, który w charakterystyczny dla siebie sposób drapał się z tyłu po głowie.

— Rena, wytrzymaj. Zobaczysz, że z każdym tygodniem będzie lepiej. Od poniedziałku zaczynam jeździć, na razie jeszcze na próbę. Jak dam sobie radę, od razu idę na trasę. Póki co wkuwam topografię miasta i zawzięcie uczę się języka.

Komputer zniekształcał głos Staszka. Tak bardzo chciała się do niego przytulić, dotknąć jego szorstkiego od jednodniowego zarostu policzka, poczuć to znajome ciepło po drugiej stronie łóżka.

— Tęsknię za tobą — powiedziała cicho.

Patrzył na nią tak, jakby odkrywał ją na nowo.

— Ja też tęsknię. Za tobą, za dziewczynkami, za naszym domem. Nawet tego Teodora mi trochę brakuje.

— Masz czas, żeby trochę pozwiedzać? — pociągnęła nosem. Musiała zmie-

nić temat, bo zaczynała się rozklejać.

— Tak, całe niedziele na razie mam wolne. Widziałem dotychczas te najbardziej angielskie części Londynu. Pałac królowej. Załapałem się nawet na zmianę warty. — Twarz Staszka ożywiła się. — Byłem pod Big Benem i parlamentem. Robi wrażenie, Rena. Musicie tu koniecznie przyjechać, ty i dziewczynki.

— Znalazłeś już jakiś kątek dla siebie? — chciała, żeby ją zagadał, wypełnił jej smutne myśli radosnym ożywieniem, z jakim opowiadał o Londynie.

Stanisław pokręcił przecząco głową.

— Wciąż mieszkam w jednym pokoju z Markiem. Nie jest to szczególnie uciążliwe, cały czas się praktycznie mijamy, ale chciałbym znaleźć coś swojego. Jakiś pokój, najlepiej w polskim domu. Wiesz Rena, strasznie dużo tu Polaków. Dzięki temu czuję się trochę jak u siebie.

— Nie przyzwyczajaj się za bardzo — dodała nieco zgryźliwie.

— Wróć do ciebie. — Staszek roześmiał się. — W moim wieku docenia się stabilizację i to, co dobre. A Londyn jest dobry na chwilę. Nie ma to jak w Lublinie. — Puścił do niej oko.

Uśmiechnęła się.

— Chciałabym, żebyś tu był.

— Ja też, Rena. Ja też.

To intymne sam na sam z mężem przerwała Julka, która radośnie wtargnęła do pokoju i wypełniła sobą całą przestrzeń przed ekranem.

— Cześć, tata! Byłeś już na jakimś meczu Chelsea London? — Jej radosny głos pozwolił Renacie bezboleśnie zakończyć tę rozmowę.

— Nie, córcia, jeszcze nie miałem okazji oglądać ich na żywo, ale jak uda mi się załatwić bilety, biorę cię ze sobą.

Julia szczebiotała do ekranu, a Renata posłała Staszкови ostatniego całusa i wycofała się do kuchni. Tu zawsze miała ręce zajęte czymś do roboty, a wiadomo, że na smutki najlepsza jest praca. Teodor podniósł łeb i popatrzył na swoją panią pytająco.

— Wiesz co, ja też mam ochotę na spacer — powiedziała Renata, a Teodor pomerdał wesoło ogonem. Słowo „spacer” wychwytywał i rozpoznawał nieomylnie.

Renata sięgnęła po smycz i przypięła psu, a potem wyszła z mieszkania, zabierając ze sobą smutek i melancholię.



Kasia nie mogła się skupić na pracy. Zamiast plasterków wędliny widziała przed sobą mroczne oczy Mikołaja i jego wzrok, którym ją pożerał. Piątkowy wieczór był cudowny. Już dawno Kasia nie czuła się taka rozluźniona. Na kilka godzin zniknęło gdzieś poczucie „muszę”. Muszę być odpowiedzialna. Muszę szybko wra-

cać do Marlenki. Muszę się trzymać z dala od facetów, którzy ślinią się na mój widok, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Muszę...

Przy Mikołaju nic nie musiała. Przegadali całą noc. Rozmawiali o swoich pasjach i życiu. O muzyce, która dla Mikołaja była bardzo ważna, a w zasadzie najważniejsza. O Florencji, którą Kasia od lat była zafascynowana i święcie wierzyła, że kiedyś tam dotrze. Dwukrotnie zmieniali knajpę, szukając mniejszej, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Stare Miasto nocą żyło. Brama Krakowska swoim wąskim, mrocznym teraz wejściem prowadziła do świata pełnego ekspresji i zapomnienia. To był świat oderwany od rzeczywistości i problemów, które pojawiają się wraz z pierwszym brzaskiem. Na razie czas przystanął, a nocne życie Lublina toczyło się swoim rytmem.

Kasia wróciła do domu o czwartej nad ranem. Marlenka spała, pochrapując cicho. Kasia przysiadła przy łóżku córeczki i patrzyła na jej spokojny sen i lekko zaróżowioną ciepłym buzią. Złote włosy dziewczynki rozrzucone na poduszce tworzyły wokół jej małej główki aureolę. Wyglądała jak mały aniołek.

Cichutko, tak aby nie zbudzić dziewczynki, nachyliła się i pocałowała wygładzone snem czółko. I w tej jednej chwili, kiedy noc zaczęła ustępować miejsca brzaskowi dnia, Kasia poczuła się szczęśliwa i uwierzyła, że i dla niej los przygotowuje jeszcze niespodziankę. Musi tylko cierpliwie poczekać.



— Nienawidzę go! — Iga szlochała do słuchawki, a Renata aż ścierpła i poczuła, jak włoski na jej rękach stają dęba.

— Co się stało, córciu? — miliony myśli zaczęły się wciskać do głowy Renaty, podsuwając coraz to czarniejszy scenariusz. Ktoś skrzywdził jej dziecko. Coś się stało jej dziewczynce, a ona jest tutaj, na drugim końcu Lublina, uwiązana godzinami pracy.

— Zrobił mi demolkę w pokoju! Wywłókł wszystko z szafy i rozniósł po całym pokoju! Zeszyt do korków z matmy poszarpał w drobny mak, wybebeszył mi torbę i odgryzł obcasy w jedynych szpilkach, które miałam!

„A mówiłam ci, że jeszcze za wcześnie na szpilki”, pomyślała Renata, ale nie mogła tego powiedzieć. Poczuła tylko, jak powoli ulatuje z niej powietrze. Odechnęła głęboko. Dzięki Bogu, nikt nie zrobił krzywdy jej dziecku. To tylko Teodor.

— Córca, uspokój się — zaczęła cicho Renata, ale histeryczny ton Igi nie dał jej dojść do głosu.

— Ja z nim nie wytrzymam! Wcale się nie dziwię, że ktoś wywiózł go i zostawił na przystanku, bo ja mam ochotę zrobić to samo! — Iga prawie krzyczała do słuchawki.

— Iga! Uspokój się! — Renata wiedziała, że ciężko będzie wyciszyć córkę

na odległość, ale spróbowała.

— Łatwo ci mówić! Ciekawe, czy ty byś się uspokoiła, gdyby to twoje buty pogryzł i wyspał się na twoich ciuchach.

Renata wiedziała, że dla pedantycznej Igi wybryk Teodora był czynem nie do wybaczenia.

— Córcia, obiecuję ci, że coś wymyślę na Teodora. Tylko proszę cię, do mojego powrotu nie wyprowadzaj go na żaden przystanek.

— W ogóle nie zamierzam go wyprowadzać! Niech sobie Julka z nim wychodzi! Nienawidzę tego psa!

Iga rozłączyła się, a w uchu Renaty brzęczał tylko krótki, urywany sygnał. A było już tak dobrze! Iga i Teodor zaczęli się nawet zaprzyjaźniać, drzwi, które Staszek jeszcze przed wyjazdem obił kupioną w OBI płytą, pozostały nietknięte, a ulubioną rozrywką Teodora podczas ich nieobecności w domu było siedzenie w oknie i uważne obserwowanie tego, co się za nim dzieje. Oczywiście spał na kanapach, bo Renata znajdowała tam ciepłe wgniecenia i pojedyncze psie włosy. Nadal lubił ciapy, które wszystkie trzy nauczyły się chować, i od czasu do czasu robił „porządek” w plecaku i szufladach Julii, oczyszczając je dokładnie ze wszystkich przechowywanych tam słodyczy. Ale większe wpadki już się nie zdarzały, aż do dziś. I że też akurat musiało trafić na pokój Igi, która od samego początku, podobnie jak Staszek, była do Teodora uprzedzona.

Renata spojrzała na komórkę, którą wciąż trzymała w ręku. Nie ma innego wyjścia, najwyższy czas, aby podjęła męską decyzję i skorzystała z pomocy profesjonalisty. Wyszukała w kontaktach numer zapisany jako „On-ek, szkoła dla psów” i jednym przyciskiem zdecydowała się zmienić krnąbrnego Teodora w potulnego pieszczocha.

Rozdział piąty

LATO, LATO

Kasia oszalała. Jej uśpiona kobiecość, ukryta od urodzenia Marlenki pod grubym pancerzem nieufności i ostrożności, przy Mikołaju rozkwitła jak pączki drzew w czerwcu. Mikołaj był szaleństwem, a przebywanie z nim — wiecznym zaskoczeniem. Kasia żyła tym zauroczeniem, które pojawiło się latem. Powoli zatracala się w nim, chociaż zraniona przez Darka obiecywała sobie już nigdy nie uzależnić się od żadnego mężczyzny w ten sposób, tak emocjonalnie. To uczucie spadło jednak na nią jak ziarno na wilgotny grunt. Wessało ją bezpowrotnie i teraz nie mogła już się wycofać.

Co z tego, że Mikołaj był młodszy od niej o dwa lata i że w ciągu roku pięciokrotnie zmieniał pracę? Miłość zaślepiła, a Kasia zaczęła żyć marzeniami.

Marlenka polubiła tę nową mamę. Kasia częściej się uśmiechała, a bywały nawet chwile, gdy śmiała się radośnie i głośno. Marlenka nigdy wcześniej nie słyszała, żeby mama tak się śmiała.

— Poznałaś kogoś. — Jadwiga nie musiała pytać. Wiedziała. Wyczytała to w roztańczonych iskierkach zielonych oczu córki i jej ruchach. Kasia płynęła, unosiła się w powietrzu lekka i szczęśliwa. Już nie stąpała twardo po ziemi, była radosna i zwiewna. — Uważaj, żebyś się nie sparzyła. — Zniszczone, lekko drżące ręce postawiły na stole rozkołysany talerz zupy.

— Dlaczego ty wszystko widzisz w czarnych kolorach? Nigdy w niczym mnie nie wspierałaś, zawsze ściągałaś mnie w dół. To przez ciebie uwierzyłam, że nie stać mnie na nikogo innego niż Darek.

Wyblakłe oczy matki spojrzały na Kasię łagodnie. Przez chwilę zabłysła w nich czułość, ale szybko zgasła.

— Zrobisz, jak zechcesz, to twoje życie. Ale myśl też o niej. — Ruchem głowy wskazała na bawiącą się w pokoju Marlenkę. Nowa lalka, którą dostała od Darka, pochłaniała ostatnio całą jej uwagę.

— A ty myślałaś o mnie, kiedy wpadałaś w swoje alkoholowe ciągi? A teraz myślisz o mnie albo o niej? Zapożyczasz się u ludzi, a ja potem muszę spłacać twoje długi, żeby oczami nie świecić.

— Nie będziesz mnie pouczać, jak mam żyć, smarkulo! Ja przynajmniej męża miałam, a ty wieczna panna na wydaniu, i do tego z dzieciakiem.

Kasia nie mogła już tego słuchać. Gwałtownie odsunęła od siebie talerz i rzuciła łyżką o stół. Pomarańczowa zupa rozhuśtała się niebezpiecznie, zostawiając na stole pomidorowe krople i plamy.

— Załóż buciki, pójdziemy na plac zabaw.

Zdziwiona Marlenka spojrzała na matkę swoimi dużymi, błękitnymi oczami.

Wykonała posłusznie jej prośbę, ale lalkę zabrała ze sobą.

Trzasnęły drzwi, zostawiając za sobą pustkę i ciszę. I tę wszechogarniającą wszystko szarość, szepczącą: „I tak sobie z tym nie poradzisz”. Zostało jeszcze pragnienie, które zaspokoić mogła schowana pod zlewozmywakiem, pękata butelka.



Ogłuszający warkot motocykla zapowiedział przybycie Kasi. Renata, tkwiąca już na swoim stanowisku, dyskretnie spojrzała na zegarek. Oczywiście Kasia się spóźniła. Ostatnio zdarzało jej się to coraz częściej, szczególnie gdy pracowały na drugą zmianę.

Kasia wpadła do sklepu z zarumienionymi policzkami. Była obrzydliwie szczęśliwa i Renata poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

— Życie jest takie piękne! — Kasia wykonała przed Renatą piruet, puściła oko do koleżanki i pobiegła na zaplecze.

Renata patrzyła za nią z pobłażliwym uśmiechem. Młodość. Ile to już lat minęło, odkąd ona tańczyła nad ziemią, czując te motylki w brzuchu i ciepło ogarniające ją całą na samą myśl o Staszku? Pomimo więzi, jaka teraz łączyła ją z mężem, jej oczy nie zapalały się już tymi ognikami, które migotały w oczach Kasi. Kochała Staszka, szanowała go, łączyło ich wspólne życie, dom, kredyt, dziewczynki, ale nie było już tego uniesienia, gdy na siebie patrzyli, nie było fajerwerków ani namiętnych pocałunków... Ich uczucie wystygło. Wciąż istniało, ale już nie parzyło.

Kasia przechodziła teraz etap zauroczenia i widziała świat w pastelowych barwach.

— A nasza Kasia to jakby zakochana czy co? — Melania podeszła do Renaty z kartonami papierosów i wniosła je za ladę. — Gdzie to położyć?

Renata wskazała na półkę pod ladą, na której zwykle składała rzeczy do rozłożenia na swoim stoisku.

— W wolnej chwili poukładam je na podajniku. Teraz za duży ruch.

— A to ja pomogę. — Melania stanęła nieco za Renatą i starannie zaczęła układać kolorowe paczki papierosów.

Renatę zadziwiła lekkość, z jaką Mela dostosowała się do ich sklepowej drużyny. Była bardzo kontaktowa i sympatyczna, i w zasadzie już po dwóch tygodniach czuła się jedną z nich. Ciekawie razem wyglądały — pięćdziesiątka, czterdziestka i sama młodość, ale dobrze im się wspólnie pracowało.

— Witam, miłe panie! — Obie jednocześnie podniosły głowy i jak na komendę uśmiechnęły się do mecenasa Tarnowskiego-Przybysza, który wszedł do sklepu w swoim nienagannym garniturze, z marynarką przewieszoną nonszalancko przez ramię.

— Dzień dobry, panie mecenasie — odpowiedziała Renata uprzejmie, a z ust

Melanii nie schodził piękny, szeroki uśmiech. — Na co dzisiaj ma pan ochotę? Mamy już nasze polskie truskawki.

— A, to na pewno się skuszę. A poza tym jakiejś wędlinki bym popróbował. Żanetka mówiła, że macie tu bardzo dobre salami.

— My tu wszystko mamy bardzo dobre, proszę pana — wtrąciła Mela, czym wywołała szczerzy uśmiech na twarzy mecenasa.

— Nie wątpię, droga pani, nie wątpię — odpowiedział, po czym oddalił się z koszykiem w stronę owoców i warzyw.

— To ja teraz zapytam kierowniczkę, czy jej pomoc w czymś nie trzeba. — Melania włożyła ostatnią paczkę papierosów do podajnika i otrzepała ręce. — Bo u Kasi to na razie kolejki nie ma, nie będę tam tłoku za ladą robić.

Renata skinęła głową i zajęła się klientką, a Melania szybkim krokiem ruszyła w stronę zaplecza. Zajęta kolejką do kasy i jednocześnie pilnowaniem, aby kupujący nie wybierali co dorodniejszych truskawek, tylko nabierali sprawiedliwie specjalnie przeznaczoną do tego łopatką, Renata nie zauważyła długiej nieobecności mecenasa Tarnowskiego-Przybysza. W pewnym momencie zaniepokoiła ją jednak pustka przy kasie i dość długi ogonek na stoisku z wędlinami, w którego kierunku biegła już Melania. Renata wychyliła się, aby mieć lepszą widoczność na intruza, który spowolnił kolejkę i spowodował swoisty sklepowy korek, i ku swojemu zaskoczeniu dostrzegła pana mecenasa, który wpatrzony w Kasię na chybił trafił wskazywał na różne rodzaje mięsa i wędlin, aby potem z zachwytem delektować się tyłem Kasi krojącej te wędliny i wążącej mięso. Po przeciągającym się w nieskończoność kwadransie i znaczących pochrząkiwaniach kolejki, która napierając lekko w stronę marudzącego klienta, próbowała po prostu delikatnie go przepchnąć, mecenas Tarnowski-Przybysz uklonił się przed Kasią szarmancko i z błędnym wyrazem w przejrzystych oczach i oszołomieniem na twarzy skierował się w stronę kasy.

Renata patrzyła w osłupieniu na jego wypakowany po brzegi koszyk. Czego tam nie było! Obok zduszonych truskawek i chyba kilograma cukierków „Solidarność” leżała ćwiartka kurczaka, salami na królewską ucztę, pętka kiełbasy podsuszanej, trzy rodzaje szynki w ilości przekraczającej możliwości pokarmowe dwu dorosłych osób, salceson, pasztetowa, pół kilo parówek i pięć różnych rodzajów sera, w tym dwie goudy od dwu różnych dostawców.

— Rozumiem, że robicie państwo parapetówkę. — Renata z wesołym uśmiechem przesuwiała produkty po czytniku.

— Słucham? — Mecenas zdawał się powracać na ziemię i z lekkim zdziwieniem patrzył teraz na piętrzącą się na ladzie mięsno-serową górę.

— Parapetówkę, znaczy, przyjęcie państwo wydają?

Cena, którą nabiły maleńkie kody kreskowe, zaskoczyła samą Renatę.

— Dwieście siedemnaście złotych, czterdzieści dwa grosze.

— Słucham? — Mecenas wyglądał tak, jakby potrafił wypowiedzieć w języku polskim tylko to jedno słowo.

— Dwieście siedemnaście złotych, czterdzieści dwa grosze — powtórzyła Renata powoli.

Mecenas poklepał się po kieszeniach i najpierw wyjął dużą, jedwabną chustkę, by otrzeć pot z czoła, na którym tworzyły się pierwsze, jeszcze niezbyt głębokie zakola, a potem sięgnął po portfel.

— Czy mogę zapłacić kartą? — spytał zduszonym głosem.

— Tak, oczywiście. — Renata skinęła głową i przyjęła od mężczyzny złotą kartę, którą zbliżyła do czytnika.

— Poproszę jeszcze PIN.

Mecenas działał jak automat. Dużymi palcami wystukał kod, następnie odebrał kartę i wciąż jeszcze słabym głosem poprosił o reklamówkę. Renata machnęła już ręką na dwadzieścia groszy za plastikową torbę, które postanowiła w ramach rekompensaty za szaleństwo mecenasa zapłacić z własnego portfela. Było jej trochę szkoda zgarbionego mężczyzny, który powolnym krokiem, z pochyloną głową i niewątpliwie nadal pod urokiem młodej ekspientki wychodził ze sklepu.

Pokręciła z dezaprobatą głową i postanowiła, że porozmawia z Kasią, jak tylko nadarzy się okazja.

Okazja nadarzyła się dopiero cztery godziny później, kiedy około osiemnastej sklep prawie opustoszał, a stoisko Kasi niepodzielnie objęła Melania. Kasia przybiegła do Renaty z dwoma kubkami w dłoniach.

— Dla ciebie czarna herbata — Andrzejkowa Wróżba, mój ostatni zakup, dla mnie czarna kawa, bo zasypiam na stojąco.

— Nie pij kawy o tej porze, nie będziesz mogła w nocy zasnąć.

— A kto ci powiedział, że ja zamierzam w nocy spać? — Kasia przeciągnęła się rozkosznie i uśmiechnęła z rozmarzeniem.

— No nie mów, że umówiłaś się na rozbieraną randkę z mecenasem!

— Co ci strzeliło do głowy? — prychnęła Kasia. — Z jakim mecenasem? Aaaa... — po chwili zrozumiała, kogo koleżanka miała na myśli. — Chodzi ci o tego podtatusiałego czterdziestolatka z marynarą na jednym palcu? To jest mece-nas? Zobacz, nawet nie wiedziałam.

— Mecenas Jan Antoni Tarnowski-Przybysz. Mąż TEJ Żanety — roześmiała się Renata.

Kasia wykonała bezgłośnie „wow”, upiła potężny łyk kawy i rozanielona przymknęła oczy.

— Halo, ziemia do Kasi. — Renata pomachała ręką przed oczami koleżanki. — Co zrobiłaś temu człowiekowi? Urok jakiś rzuciłaś czy co?

— Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi. — Kasia otworzyła oczy i spojrzała na Renatę niewinnie.

— Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że masz jakiś układ z Grześkiem, żeby wypchnąć towar.

Kasia popukała się palcem w czoło.

— Odbiło ci? A tak w ogóle to nie czuję się winna i nie ponoszę odpowiedzialności za zakupy, które ten pan zrobił. Mówię ci, Renia, gapił się na mnie jak wół na malowane wrota i prosił o to i o tamto. Miałam wrażenie, że nie ma pojęcia, co kupuje, zerkał tylko od czasu do czasu w witrynę i pokazywał na różne dziwne rzeczy. Po co mu dwie goudy? Degustację serów będą robić czy co?

Renata uśmiechnęła się, słuchając koleżanki, a gdy potok słów z ust Kasi przestał płynąć, powiedziała tylko:

— Pani mecenasowa z pewnością już cię nie polubi, ale dla mecenasa stałaś się objawieniem. Grzegorz powinien dać ci podwyżkę albo przynajmniej dużą premię, bo jestem pewna, że obroty w naszym sklepie wzrosną. Szczególnie na stoisku z serem i wędlinami. — Renata puściła do koleżanki oko i zajęła się delectowaniem smaku prawdziwej fusiastej herbaty.



— Monika, ja już nie daję rady. Na nic nie mam czasu — jęczała Renata, siedząc rozciągnięta na wygodnym leżaku w ogrodzie przyjaciółki. Letni wiatr dotykał delikatnie odsłoniętych ramion i ud, dopieszczając blade ciało ciepłym promieni słonecznych.

— Nie dość, że opieka nad dziewczynkami spadła wyłącznie na mnie, a uwierz mi, że duże dzieci to często większe kłopoty, niż może się wydawać, to jeszcze ten popapwany kurs prawa jazdy, na którym już mnie straszą jakimś egzaminem wewnętrznym.

— Zapomniałaś o szkoleniu swojego pupilka. — Monika zachichotała i podała przyjaciółce wysoką szklanekę z kolorowym płynem i słomką.

— No i jeszcze na dodatek to! — Renata wyciągnęła rękę i podejrzliwie spojrzęła na szklanekę. — Co to?

— Lekki alkoholowy drink na rozluźnienie.

— Ale jest dopiero jedenasta!

— No i co z tego? — Monika wzruszyła ramionami. — Od razu widać, że pracujesz w sklepie. Kiedyś alkohol sprzedawano od trzynastej. A teraz możesz kupić, co tylko chcesz, od samego rana. Wyluzuj, Renia. Jest Boże Ciało, masz wolne, możesz trochę poszaleć. Powiedz lepiej, jak zajęcia dyscyplinujące?

Renata fuknęła na Teodora, który właśnie rozkopywał rabatkę Moniki, a potem pociągnęła łyk kolorowego drinka. Dobry był. Słodki, z lekko cierpkim posmakiem.

— Wiesz, Teodor ma potencjał — spojrzęła na Monikę. Czerwcowe słońce świeciło tak jasno, że musiała nałożyć okulary przeciwsłoneczne. — Od razu zała-

pał podstawowe komendy, gorzej było ze mną. Trochę trwało, zanim zrozumiałam, jak mam go trzymać, jak ma chodzić i jak się obrócić przy komendzie „w tył”. Ale wiesz co, Moni, pocieszające jest to, że tam przychodzą ludzie z podobnymi problemami jak nasze. — Renata zamilkła na chwilę i pociągnęła kolejny łyk zimnego napoju. — Mamy w grupie labradora, który dobiera się do szafki z lekami i raz na jakiś czas lubi się „naćpać”; jest wieloras, który załatwia się na kanapie i właściciele nie mogą go tego oduczyć. Pogryzione buty, ciapy i drzwi oraz wybebeszone śmieci są na porządku dziennym, więc Teodor mieści się w normie. Jak sobie tak trochę posłuchałam, to doszłam do wniosku, że mój pies jeszcze nie jest taki zły. I jakoś tak lżej mi się zrobiło.

— Bo inni mają gorzej — wtrąciła Monika. — Typowa mentalność Polaków.

— A co ty taka zgryźliwa się zrobiłaś? — Renata zsunęła na nos okulary i spojrzała na przyjaciółkę spoza szkieł.

— A tam. — Monika machnęła ręką. — Upał mi się daje we znaki, to zrędzę.

Renata pokręciła głową, nie spuszczać wzroku z przyjaciółki.

— Co jest, Moni? Przecież widzę, że coś cię gryzie.

Monika westchnęła.

— Nie ma to jak przyjaciółka, która zna cię na wylot. Antek mi się zakochał — przewróciła teatralnie oczami i popatrzyła na Renatę z tą bezradnością matki, która uświadamia sobie, że już nie jest najważniejsza w życiu dziecka.

— Czas najwyższy! Przecież on lada dzień skończy osiemnaście lat!

Antek, starszy syn Moniki, był w wieku Igi. Dzielili ich różnica jedynie dwóch miesięcy.

— Nie lada dzień, tylko dopiero we wrześniu — obruszyła się Monika. — A poza tym on chce jechać z tą panną nad morze, pod namiot!

— A ty z Pawłem niby nie jeździłaś? — odpowiedziała Renata z przekąsem.

— Oj, Renia, jeździłam, i co z tego? To były inne czasy.

— Ale miłość jest taka sama! Od wieków.

— Ale on jest za młody! A poza tym, ciekawe, co ty byś powiedziała, jakby Iga ci wyskoczyła z takim pomysłem? — Monika zaczynała się powoli wściekać.

— No wiesz — zaczęła Renata ostrożnie — Iga to dziewczynka.

— A Antek to chłopiec. I czy to coś zmienia? Dotarliśmy do punktu wyjścia i możemy się tak przerzucać argumentami tego typu aż do jutra, a ja nadal nie wiem, co mam zrobić.

— A co na to Paweł? — Renata odgoniła od siebie brzęczącą pszczołę i poszukała wzrokiem Teodora. Uspokoila się, gdy dostrzegła go leżącego spokojnie w cieniu morelowego drzewa.

— Znasz go, nie widzi w tym żadnego problemu. Postanowił jedynie prze-

prowadzić z Antkiem męską rozmowę, ale chyba się jeszcze do niej nie zabrał.

Milczały przez chwilę, wsłuchane w rozśpiewany ogród. Radosny świergot sikorek mieszał się z bzyczeniem owadów, które swoimi małymi skrzydełkami ożywiały to miejsce, rozhuśtując łodygi kwiatów i przysiadając na delikatnych płatkach. Renata dobrze się tutaj czuła. Wypielegnowany przez Monikę ogród był idealnym miejscem na letni odpoczynek. Uwielbiała te chwile, kiedy jak dziś mogły spokojnie usiąść na leżakach i delektować się kawą, rozmową i tym brakiem pośpiechu, który obu im towarzyszył każdego dnia.

— Widziałaś tę pannę?

Monika pokiwała głową.

— No i jak? Można jej zaufać?

Kobieta spojrzała na przyjaciółkę z politowaniem.

— Renia, zaufać? W ich wieku? I do tego tyle kilometrów od domu?

Renata obruszyła się lekko.

— No, ja Staszкови ufam, pomimo tych kilometrów.

— Ale was łączy przysięga, a ich hormony młodości. Zupełnie nie wiem, co robić — jęknęła Monika i opadła wyczerpana na oparcie leżaka.

Renata zapatrzyła się na kolorowego motyla, który przysiadł na ramieniu zupełnie tego nieświadomej Moniki. Jego symetryczne, pomalowane barwnie skrzydła wachlowały leciutko, a motylek odpoczywał po męczącej podróży. Renata nieświadomie uśmiechnęła się. Takie чудо, które mijamy obojętnie, nie zwracając uwagi na jego kruchość i delikatność.

Monika poruszyła się, a motyl przestraszony poderwał się do lotu. Zaczął kolejny etap swojej drogi, barwiąc świat swoim istnieniem.

— Nie martw się, coś wymyślisz. — Poklepała przyjaciółkę po ręku i odsta-
wiła na trawę pustą szklanke.

Było jej dobrze. Nad nią lekko szumiała topola, zimny drink rozluźnił spięte ciało, pozwalając na moment zapomnieć o przytłaczającej odpowiedzialności za nieletnie jeszcze córki, a towarzystwo Moniki jak zawsze koło i dodawało skrzydeł. Przymknęła oczy i odleciała w niebyt, z dala od lady, kasy i niezmiennych ploteczek, które znosiły do sklepu osiedlowe plotkary. Odpoczywała.



Po dzisiejszym szkoleniu zmęczona była zarówno Renata, jak i Teodor. Duszny, parny dzień nie sprzyjał koncentracji i choć słońce utknęło gdzieś głęboko, ukryte za szarymi chmurami, wysoka temperatura wyczerpywała, a w powietrzu czuć było burzę.

Renata wolnym krokiem szła w stronę przystanku. Teodor trzymał się blisko jej nogi, nawet nie musiała wydawać komendy „równaj”. Była dziś w kiepskim nastroju. Miała świadomość, że większość soboty spędzi na zakupach. Julka wyjeź-

działa za kilka dni i miała już przygotowaną listę rzeczy, które koniecznie musi mieć! Renata obiecała jej, że pojedą dziś do Olimpu, jednej z największych lubelskich galerii, gdzie była szansa, że znajdą wszystko, co potrzebne i niezbędne Julii. Przy okazji wybiorą nowe rolety do pokoju małej. Na myśl o roletach Renata westchnęła i popatrzyła z wyrzutem na Teodora.

Przed oczami stanął jej upiorny obraz poszarpanej w strzępy rolety, którą Teodor umiłował sobie czas oczekiwania na ich powrót. Po pogryzieniu drzwi i zniszczeniu szpilek Igi ten numer był jednym z najbardziej dotkliwych. Renata na dobrą chwilę straciła dech, kiedy to ujrzała, a potem po prostu usiadła na podłodze i patrząc na nieszczęsne strzępy zwisające z okna, rozplakała się. Cały żal i napięcie nagromadzone od wyjazdu Stanisława znalazły ujście we łzach i spazmach szloch, które nią targały. Miała dość samotności rodzica, codziennych zmagania z nastoletnimi hormonami i psa, który się nudził i wymyślał sobie niecodzienne rozrywki.

Iga, zobaczywszy zdemolowany pokój siostry, uśmiechnęła się złośliwie i zamknęła u siebie, głośną muzyką zagłuszając wszystko, nawet własne myśli. Julia usiadła obok matki i przytuliła ją do siebie, głaszcząc Renatę po głowie, zupełnie jakby była małą dziewczynką. A Teodor wtulił się w nogi Julii i wylizał dokładnie jej stopy.

Dziś pies był posłuszny jak dobrze ułożony rasowiec, a Renata mniej wściekła, ale zmęczona, i chyba popadała w lekką depresję.

Schodziła właśnie ze ścieżki rowerowej biegnącej wzdłuż rzeki i skierowała się w stronę żelaznego mostka łączącego ze sobą dwa brzegi Bystrzycy, kiedy usłyszała za sobą znajomy głos:

— Dzień dobry, pani Renato. Jak miło tu panią widzieć.

Obejrzała się zdziwiona i ucieszona zarazem, i przez krótką chwilę na jej twarzy pojawił się leciutki uśmiech, a w oczach zatańczyły radosne iskierki.

— Dzień dobry, panie Karolu. Widzę, że dopieszcza pan Rekxa długimi spacerami.

— Coś mu się od życia należy. I tak zasłużył na psi medal za to, że znosi mnie i moje zmienne humory. A wy ze szkolenia?

Renata bez słowa skinęła głową, a Karol wyciągnął rękę i przyjaźnie poklepał Teodora po grzbiecie. Rex stał w pewnej odległości, czujny i z lekko najeżonym włosem. Teodor przyjaźnie machnął ogonem i spojrzał na Renatę, szukając w jej oczach aprobaty. Pogłaskała go uspokajająco po łbie.

— Wracacie do domu? — Karol przepuścił Renatę pierwszą na wąskim mostku i sam ruszył tuż za nią, pociągając lekko Rekxa, który teraz kroczył majestatycznie, zupełnie ignorując zaczepiającego go z pewnej odległości Teodora.

— Tak.

Karol przez chwilę zmagał się sam ze sobą, nie bardzo wiedząc, czy pomoc,

którą zamierza zaoferować Renacie, będzie przez nią właściwie przyjęta. Zaryzykował jednak.

— Jeśli zgodziłaby się pani przespacerować ze mną kawałeczek, odprowadziłbym Reksa, wziął kluczyki i odwiózł panią do domu. Po co macie się tłuc przez pół miasta autobusem? A poza tym to stres i dla Teodora, i dla pani.

Renata obejrzała się. Ścieżka, którą szli, była zbyt wąska, aby mogli iść obok siebie. Zauważyła, że Karol patrzy na nią tym łagodnym, ciepłym wzrokiem, do którego już zaczęła się przyzwyczajać.

— Nie chciałabym robić panu kłopotu, na pewno ma pan inne zajęcia w sobotnie przedpołudnie.

— Pani Renato — jego głos brzmiał spokojnie i łagodnie — proszę nie być taką upartą i pozwolić mi zrobić choć jeden dobry uczynek dziennie.

Uśmiechnęła się.

— Poddaję się. Ma pan siłę przekonywania, której nie można się przeciwstawić.

— Już taki mój urok. — Karol również się uśmiechnął. Ta kobieta budziła w nim jedynie ciepłe uczucia. Przy niej zapominał.

Weszli po sypiących się schodkach na szeroką, wyłożoną kostką aleję, która ciągnęła się nad rzeką wzdłuż ulicy Nadbystrzyckiej. Pół chodnika należało do ścieżki rowerowej, pustej w tym momencie, dlatego mogli iść obok siebie, trzymając przy sobie ulubieńców.

Karol był ciekawy postępów Teodora, więc wypytywał Renatę o szkolenie i zachowanie psiaka. Wysłuchał cierpliwie o dawnych i tych najnowszych wybrykach czworonoga. Czasami marszczył czoło i pocierał je kciukiem, czasami zamyślał się nad czymś, tak jakby próbował wyobrazić sobie ogrom zniszczeń dokonanych przez psa i zmagającą się z tym samotną kobietę.

— Próbowałam już wszystkiego, żeby to diablę cierpliwie czekało na nasz powrót — żaliła się Renata. — Pan Marcin odpowiedział mi parę sposobów i wszystkie wykorzystałam, ale ten pies ma niespożytą energię i najzwyczajniej w świecie się nudzi. Zostawiam mu włączone w kuchni radio, ale chyba nie lubi Jedyńki, bo je lekceważy. Nie zamykałam drzwi od pokoju córki, żeby mógł sobie biedaczek przez okno wyglądać, to pogryzł w drobny mak roletę. Podsuwam mu zabawki wypchane wątróbką, ale to starcza na pierwsze piętnaście minut, a potem wybebesza cały śmietnik i odpadki roznosi po całym domu. Ręce mi już opadają.

— A może spróbować z kenelówką? W większości przypadków przynosi to oczekiwane rezultaty.

Renata spojrzała na mężczyznę, który szedł na wyciągnięcie ręki obok niej.

— To znaczy z klatką? Pan Marcin dzisiaj mi o tym wspominał — westchnęła. — I obawiam się, że nie będę miała innego wyjścia.

— Pani Reniu, to tylko z naszego punktu widzenia wygląda tak strasznie.

Traktujemy swoje psy jak członków rodziny i utożsamiamy je z człowiekiem. A pies to zwierzę stadne. Musi mieć przewodnika, bo w przeciwnym wypadku wejdzie nam na głowę i zdominuje nas całkowicie. Źle znosi samotność, bo lubi towarzystwo, ale klatka, o ile używana z głową, to dla psa żadna tragedia. Po pewnym czasie psiaki tak się do niej przyzwyczajają, że nawet w ciągu dnia, gdy jest otwarta, wchodzi tam i śpią. Traktują taką kenelówkę jak budę, w której czują się bezpiecznie.

— A gdzie to się kupuje? — Renata złapała się na tym, że słucha Karola jak urzeczona. Lubiła jego głos, ciepły i łagodny jak jego spojrzenie, a jednocześnie bardzo męski. On opowiadał o klatce, a jej mrówki wędrowały od karku do pięt.

— Najlepiej przez Internet. Jeśli pani będzie chciała, chętnie pomogę. Trzeba tylko wymierzyć Teodora i znaleźć w domu kącik na to „cudo”, bo niestety, trochę miejsca toto zajmuje.

Tak dobrze im się razem rozmawiało, bez żadnego skrępowania ani chwil niezręcznego milczenia, że Renata nawet nie zauważyła, jak znaleźli się pod czteropiętrowym blokiem, w którym mieszkał Karol.

— Pani Renatko, a może da się pani zaprosić na filiżankę kawy?

— Nie! Nie, dziękuję. Naprawdę spieszę się do domu. I tak jestem panu ogromnie wdzięczna za pomoc. — Renata, przestraszona perspektywą sam na sam w mieszkaniu z obcym mężczyzną, zamachała rękami. Wyglądało to zupełnie tak, jakby odpędzała się od muchy.

— Ale czy to wypada tak zostawić kobietę samą pod blokiem? — Karol jeszcze chwilę się wahał, ale przerażony wyraz twarzy Renaty był dla niego odpowiedzią samą w sobie. — To ja tylko odprowadzę psa i wezmę kluczyki, i za moment jestem z powrotem.

Skinęła bez słowa głową i odetchnęła z ulgą, gdy tylko Karol zniknął w chłodnym cieniu klatki schodowej. Dziwnie się czuła, będąc na tym osiedlu zupełnie prywatnie. Dotąd ta część Lublina kojarzyła się jej wyłącznie z miejscem pracy i nie zwracała uwagi na piękno i atmosferę jednego z najstarszych lubelskich skupisk. Osiedle Bolesława Prusa miało mniej więcej trzydzieści lat i z biegiem czasu zarosło miłą dla oka zielenią, zapełniając się przyjaznymi dla dzieci placami zabaw. Czteropiętrowe bloki i wysokie wieżowce komponowały się bezkonfliktowo w dość przyjaznych odległościach względem siebie, tak że mieszkańcy, wyglądając przez okno, widzieli zielone trawniki i rozłożyste konary drzew, a nie wystrój kuchni sąsiada. Perełką osiedla był położony nieopodal wąwóz, ściągający mieszkańców Lublina na spacer i wycieczki rowerowe.

Karol wrócił z kluczykami w trzy minuty. Pilotem odblokował drzwi granatowego opla, a te od strony pasażera otworzył przed Renatą.

— Teodora zapakujemy na tylne siedzenie. Tam zwykle podróżuje Rex.

Renata skinęła głową, pozwoliła odebrać sobie psa i usiadła na siedzeniu

obok kierowcy. Zamknęła drzwi i zapięła pasy.

W wygodnym fotelu odprężała się. Spadł z niej stres związany z podróżowaniem z Teodorem autobusem. Oboje tego nie lubili. Dla Teodora ten duży pojazd wciąż był zagrożeniem, że ponownie zostanie bezdomny. Renata natomiast starała się unikać wzroku wzburzonych pasażerów, dla których miejsce psa jest w budzie, a nie w środkach komunikacji miejskiej. Dlatego propozycja Karola okazała się zarówno dla niej, jak i dla Teodora wybawieniem. Teraz patrzyła na przesuwane się za oknem migawki Lublina, rozmawiała swobodnie z Karolem i zaczynała dostrzegać nawet lekkie kolory w tej dzisiejszej szarości.

Karol podjechał pod sam wieżowiec, kierowany wskazówkami Renaty. Zaparkował na ciasnym parkingu, zgasił silnik i popatrzył na kobietę siedzącą w jego samochodzie. Pasowała tu. Złapał się na tym, że gapi się w tę zieleń w jej oczach, a między nimi panuje cisza. Uśmiechnął się lekko zmieszany.

— A więc tutaj się pani spieszy każdego dnia po pracy? — spytał, aby zapełnić czymś to milczenie w niewielkiej przestrzeni samochodu.

Skinęła głową i wskazała na dwa z okien wychodzące na tę stronę wieżowca.

— To okno na piątym piętrze z poszarpaną roletą to moje.

— Nie wygląda to jeszcze najgorzej — powiedział słabo, ale Renata wiedziała, że to tylko uprzejmość.

— Przepraszam, że nie zapraszam pana na górę, ale w sobotnie przedpołudnie w domu mam zazwyczaj megabałagan.

— Nawet nie śmiałybym naruszać pani prywatności, pani Reniu. — Topiła się pod tym jego spojrzeniem. Zrobiło jej się gorąco i poczuła, że musi natychmiast wysiąść z samochodu.

— Bardzo dziękuję panu za tę uprzejmość, panie Karolu. Uratował dziś pan mnie i Teodora. Ma pan u mnie dobrą kawę. — Odszukała dłonią klamki i otworzyła drzwi.

— Nie ma za co, pani Reniu. Kawę przyjmę, pod warunkiem że będzie wypita w pani towarzystwie.

Uśmiechnęła się i wysiadła, odprowadzana spojrzeniem piwnych oczu. Teodor, uwolniony z zamkniętej przestrzeni, wyskoczył szybko z samochodu i otrzepał się radośnie. Renata chwyciła smycz, obejrzała się jeszcze za siebie z krótkim „do widzenia” i odeszła do swojego życia, zostawiając Karola wraz z jego samotnością, do której wciąż nie mógł się przyzwyczaić.



Emilia otworzyła szeroko balkon i odetchnęła głęboko świeżym powietrzem. Pręgowany od razu wykorzystał ten moment i czmychnął za drzwi. Wyszukał na kremowej terakocie plamę słońca i ułożył się tam, wystawiając swój grzbiet w stronę promieni słonecznych. Po chwili tuż obok niego pojawił się Okruszek.

Rozłożył się obok kota, z łbem zwróconym w stronę balkonowych barierek tak, aby móc obserwować świat, który w tej chwili toczył się bez niego.

Emilia uśmiechnęła się do swoich zwierzaków. Emanowały ciepłem i spokojem, a to było Emilii dziś potrzebne. Wróciła właśnie ze szpitala, gdzie odwiedziła kuzynkę. Marianna była ciężko chora i dobrze o tym wiedziała. Pomimo optymizmu Emilii ich spotkanie było naznaczone niewypowiedzianym smutkiem i przygnębieniem.

Marianna nie miała oprócz niej w Lublinie nikogo bliskiego. Mieszkała w małej wsi pod Chełmem, gdzie Emilia często bywała w dzieciństwie i w czasie swojej beztrudnej młodości. Emilia uśmiechnęła się smutno do miłych wspomnień, a potem ciężko westchnęła. U Marianny zdiagnozowano raka płuc. Lekarze nawet nie udawali optymizmu. Już od jakiegoś czasu Emilia zauważyła, że współcześni doktorzy wyznawali zasadę: szczerść ponad wszystko. Prawda jest dobrem pacjenta. Kiedy... no właśnie, to nie zawsze tak działało. Czasami potrzeba było takiej złudnej nadziei, której pacjent mógł się uchwycić i walczyć do samego końca, a nie poddawać się na starcie.

Mariannie opadły skrzydła w momencie, gdy usłyszała diagnozę. Nie wierzyła już w szpital, leczenie i nawet tutejszych specjalistów i najchętniej, pomimo bólu, wróciłaby do domu. Ale jej dzieci się uparły. Marianna miała trójkę dzieci. Najstarszy syn miał trzydzieści sześć lat, a najmłodsza córka siedemnaście. To była chrześnica Emilii, Klaudia. Prezent od Pana Boga, przed którym Marianna długo się broniła, a za który po urodzeniu Klaudynki dziękowała w modlitwie każdego dnia.

— Najbardziej żal mi zostawiać Klaudynkę — mówiła Marianna, nieruchomym wzrokiem patrząc w okno. — Weronika ma swoje życie w tej Francji i na pewno już stamtąd nie wróci. Krzysiek został na gospodarce, ale ta jego Jadźka to się z Klaudią zgodzić nie może. Każda chce po swojemu, a wiadomo, że Krzysiek to za żoną pójdzie. Wiesz, Emila, o nią jedną się martwię. Jaka przyszłość to dziecko czeka, jak mnie zabraknie?

Emilia poklepała dobrodusznie wychudzoną rękę kuzynki i odwróciła wzrok, nie mogąc spojrzeć jej w oczy.

— A ona taka do Edzia podobna...

Emilia dostrzegła to podobieństwo, jak tylko dostała trzytygodniową wtedy Klaudię w ramiona. Maleństwo patrzyło na nią szeroko otwartymi, przejrzyście niebieskimi oczami. Takie same oczy miał Edward...

Emilia poczuła nagle ciepły oddech tuż za sobą. Cezar podszedł powoli i trącił ją mokrym nosem w zwisającą luźno wzdłuż tułowia rękę. Pogłaskała pieszczotliwie psa za uchem.

— Pewnie masz ochotę coś zjeść?

Cezar zastrzygł uszami i spojrzął wiernymi oczami na swoją panią. Jego

ogon wachlował w prawo i lewo, a pies przestępował z łapy na łapę, jakby nawołując: „No chodź, zanim zjawi się w kuchni ten cały zwierzyniec”.

Emilia zasunęła firankę, aby nie wpuszczać much do mieszkania, i poszła ciężkim krokiem do kuchni, prowadzona przez rozradowanego psa.



Kasia miała dylemat. Lato, które rozpoczęło się upałami, rozpałało zmysły, a pomysły Mikołaja stawały się coraz bardziej szalone. Tym razem, przyciskając Kasię do ściany ciemnej klatki schodowej i chcąc jak najdłużej opóźnić moment pożegnania, Mikołaj zaproponował kilkudniowy wypad nad jezioro. Oczywiście motocyklem. Kasi zaświeciły się oczy z ekscytacji. Świadomość spędzenia w ramionach ukochanego kilku dni i nocy bez konieczności wymykania się i powrotów do śpiącej córeczki, i do tego w pięknej scenerii Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, wydawała się wprost niezemska. Kusząca. Pocałunki nad brzegiem jeziora, na opustoszałym wieczorem pomoście, spacer przy zachodzie słońca, poranki przy Mikołaju i całe dni słodkiego lenistwa. Pragnęła tego tak, jak jej ciało pragnęło Mikołaja.

Ale... była jeszcze Marlenka. Nigdy dotąd, w całym maleńkim życiu dziewczynki, Kasia nie zostawiała jej samej z matką lub kimkolwiek innym. Nikomu nie ufała na tyle, aby mogła mu powierzyć swoją córeczkę choćby na kilka dni. Chciała pojechać z Mikołajem, bardzo chciała. Ale jak mogła zostawić Marlenkę?

Wiedziała, że jedyną nadzieją paradoksalnie był... Darek.

Spotkali się pod fontanną na placu Litewskim. O godzinie piętnastej słońce grzało niemiłosiernie i niektórzy śmiałkowie brodzili w zimnej wodzie fontanny, moczając nogi. Ławki pochowane w cieniu drzew obłożone były przez emerytów, odpoczywających w tym zielonym miejscu w środku miasta po trudach życia. Bez troskie i pełne niespożytej energii dzieci biegały wokół fontanny radośnie, chlapiąc się nawzajem wodą i śmiejąc radośnie.

Marlenka, po uprzednim pozwoleniu mamy, dołączyła do rozbrykanych rówieśników. W jej wieku szybko nawiązywało się znajomości i równie szybko o nich zapominało.

— Chciałabym cię o coś poprosić. — Kasia bacznie obserwowała córeczkę, stojąc z założonymi na piersiach rękami obok Darka. Wyglądała zjawiskowo. Miała dziś na sobie żółtą sukienkę, którą kupiła na powitanie wiosny. Sukienka odsłaniała jej zgrabne, szczupłe nogi, musnięte już pierwszą opalenizną. Gołe ramiona i kuszący dekolt Kasi też były ładnie zabrązowane, co w zestawieniu z kolorem sukienki sprawiało, że na dłużej przyciągała wzrok przechodzących mężczyzn.

Darek nie mógł oderwać od niej oczu.

— Chcę wyjechać na kilka dni i zostawić Marlenkę z mamą, ale... — spoj-

rzała na chłopaka znacząco — znasz temat, nie mogę jej tak do końca zaufać. Dlatego chciałam cię prosić, żebyś zaglądał tam do nich, nawet codziennie. Możesz zabrać małą na spacer albo nad Zalew. W przedszkolu już zgłosiłam, że możesz ją odbierać. Byłabym ci wdzięczna i spokojniejsza o nią.

Zielone oczy Kasi patrzyły na Darka błagalnie. Boże, ile by dał, żeby na nowo zobaczyć w nich miłość i tę namiętność, która ich kiedyś łączyła.

— Nie jedziesz sama, prawda? — wiedział, że Kaśka jest twarda i nie zamierza do niego wrócić, choć się starał. Ale nie mógł się tak łatwo pogodzić z tym, że w jej życiu ktoś jest.

— Nie. — Nie chciała drażnić tematu. Im mniej mu powie, tym mniej ucierpi jego zraniona duma.

— I oczekujesz ode mnie, że zajmę się twoim dzieckiem, jak ty będziesz się bujała po Polsce z jakimś fagasem?

Nie dała się sprowokować. Była spokojna i nie bała się patrzeć mu prosto w oczy.

— Naszym dzieckiem, Darek. To jest również twoja córka, o czym sobie ostatnio przypomniałeś.

Miała rację i wiedział o tym. Ale był bezsilny wobec wściekłości, która go wypełniała. Włożył ręce do kieszeni dżinsów i ze złością kopnął leżący na ziemi kamień. Już nie patrzył na Kasię, tylko na majestatyczną postać Piłsudskiego, który na swoim koniu spoglądał groźnie na plac Litewski i przemykających tędy zabieganych ludzi. W oddali, po drugiej stronie ulicy, znajdował się główny budynek Poczty Polskiej. Kilka lat temu odnowiony, dziś, obok sąsiadujących z nim odrestaurowanych hoteli, był wizytówką miasta.

— Darek, przecież wiesz, że twój foch nic tutaj nie zmieni. Nie pytam cię o zgodę, czy mogę z kimś wyjechać, tylko o czuwanie nad twoim i moim dzieckiem. Ona jedna nas łączy, czy nam się to podoba, czy nie.

— Ile cię nie będzie? — wciąż nie patrzył na nią. Nie mógł. Za ładnie wyglądała, aby mógł pozostać wobec niej obojętny.

— Pięć dni, góra tydzień. Mam tylko tyle urlopu, zresztą nie chcę zostawiać Marlenki na dłużej.

Wiedziała, że zmięknie. Zdążyła zauważyć, jak uzależniał się od córeczki. Czasami Kasi wydawało się, że mała była dla Darka kołem ratunkowym, dzięki któremu wciąż utrzymywał się na powierzchni.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— W sobotę rano. Będziesz trzymał rękę na pulsie?

Spojrzał w stronę dziewczynki, która przystanęła na chwilę zadyszana i pomachała mu radośnie ręką.

— Możesz jechać, nie dam jej zrobić krzywdy. Będzie okej, Kaśka.

— Dziękuję — szepnęła i świat wokół Darka się zazielenił, a on sam zagubił

się w tych tęczęwkach, które wciąż śniły mu się po nocach.



— Proszę starać się mocno trzymać kierownicę. Nie może pani jeździć zyg-zakiem. — Znudzony instruktor zaczynał się lekko irytować, widząc nieustanną walkę Renaty z kierownicą. — Proszę pamiętać o wciśnięciu sprzęgła przy zmianie biegów, w przeciwnym wypadku załatwi pani mężowi całą skrzynię. A tę wajchę to leciutko, droga pani, o tak. — Z lekkością noża krojącego masło zmienił bieg, demonstrując Renacie, w jaki sposób powinna to zrobić. — Nie musi jej pani tak szarpać, jakby mężowi wypłatę wyszarpywała — zaśmiał się ze swojego dowcipu, a Renata spojrzała na niego z niesmakiem.

Po wszystkich testach z teorii, które przeszła pomyślnie, nadszedł czas na podbicie polskich dróg. Dziś po raz pierwszy wyjechała samochodem na miasto i to doświadczenie zupełnie jej się nie podobało. Do tego instruktor, którego jej przydzielono, był antypatycznym, podtatusiałym sześćdziesięcioletkiem, który traktował ją z góry, jak jakąś nieopierzoną małąlatę. Po euforii, jakiej Renata doświadczyła, wykuwszy całą teorię, i po ogarnięciu wszystkich skomplikowanych przepisów ruchu drogowego jazdy okazały się porażką i Renata szczerze zwątpiła w to, że kiedykolwiek zdoła zapanować nad tą kupą złomu, która jak na razie wydawała się sama prowadzić Renatę własnymi drogami.

— No i dlaczego pani hamuje, przecież ma pani zielone!

— Ale przecież zanim dojadę do skrzyżowania, to zdąży się zmienić, więc już się do tego przygotowuję — odpowiedziała spokojnie, a instruktor tylko się złapał rękami za głowę.

Renata już miała dość, a siedziała za kierownicą dopiero od dwudziestu minut. Głowa ją bolała od uporczywego wpatrywania się w drogę przed sobą, a ruchy nie chciały się płynnie koordynować i skutek był taki, że walczyła ze skrzynią biegów, sprzęgłem i hamulcem, próbując utrzymać pojazd w ruchu.

— Proszę pamiętać o włączeniu kierunkowskazu, jeśli chce pani skrócić. Kierowca pojazdu za panią musi wiedzieć, co pani zamierza zrobić.

— Kiedy to nie ja zamierzałam skrócić, tylko pan kazał mi to zrobić, i to w ostatniej chwili! — głos Renaty drżał ze zdenerwowania.

Instruktor westchnął i przełknął przekleństwo. Po co te baby pchają się na ulicę? Nie dość, że są nieprzewidywalne, to jeszcze chyba same tak do końca nie wiedzą, co za chwilę zrobią.

— Po co pani to prawo jazdy? — burknął nieuprzejmie, czym tak zdenerwował Renatę, że zdjęła nogę ze sprzęgła i silnik po prostu zgasł.

— Bo mojemu mężowi zachciało się pracy w Londynie, proszę pana — odpowiedziała rozzłoszczona. — A mnie z tych nerwów chce się jeść, najlepiej coś słodkiego.

— No to będzie musiała pani na to jeszcze trochę poczekać. Ruszamy, noga ze sprzęgła, ale powolutku i gaz luźniutko, bardzo lekko. No i dobrze, i widzi pani, jedziemy!



Monika zadzwoniła późnym wieczorem. Renata pólleżała na sofie z pilotem w ręku i znudzona przeskakiwała po kanałach, szukając czegoś, co na dłużej przyciągnęłoby jej uwagę. Sobotni wieczór w telewizji oferował jej jedynie głupawe programy rozrywkowe, które nie ekscytowały już nawet dziewczynek, albo filmy akcji, przy których po prostu się nudziła. Zrezygnowana wyłączyła telewizor i pomruczała pod nosem trochę na temat jakości polskiej telewizji.

Monika po drugiej stronie słuchawki usłyszała więc na wstępie znudzone westchnienie i krótkie: „Co tam?”.

— No wiesz, ja też się cieszę, że cię słyszę — odcięła się przyjaciółce, ale szybko doszła do wniosku, że musi tą rozlazłą Renatą nieco potrząsnąć, choćby telefonicznie. — Odłóż tego pilota i posłuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia.

— Skąd wiesz, że trzymam pilota? — spytała Renata, posłusznie wykonując polecenie Moniki.

— Znam cię tak dobrze jak własną torebkę. Posłuchaj, mam genialny plan.

— Nie chcesz mnie chyba wysłać nad morze w charakterze przyzwoitki?

— Nie, ale zamierzam tam zabrać twoją Igę. W charakterze przyzwoitki. — Z głosu Moniki biła euforia.

— Zwariowałaś? Przecież ona jedzie do Chorwacji — zaprotestowała Renata.

— Dopiero dwudziestego pierwszego lipca. A my jedziemy nad morze pierwszego, więc spokojnie zdąży wrócić, wyprać się i przepakować, a ty będziesz miała ją z głowy i spokojnie oddasz się pracy.

Renata podniosła się z pozycji pólleżącej do siedzącej. Spuściła nogi na podłogę i wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, gdzie widziała pochrapującego cicho w przedpokoju Teodora.

— Jak to „my”?” — spytała, bo czegoś tu nie rozumiała. — Przecież miał jechać Antek z panną.

— Ojej, no przecież nie puszcę ich samych. Wyobrażasz sobie babcię w moim wieku? — Monika znacząco zawiesiła głos, a Renata parsknęła śmiechem.

— Nie. Zupełnie się nie nadajesz na babcię.

— Jeszcze — obruszyła się Monika. — Do wszystkiego w życiu się w końcu dojrzewa. Ale wracając do tematu, doszłam do wniosku, że nie mogę być wredną matką i stawać swojemu dziecku na drodze do miłości. Dlatego pozwoliłam na ten wyjazd z panną, pod warunkiem że ja, Paweł i Ignacy też tam będziemy. Tylko widzisz, logistycznie mi to jakoś nie wyszło. Zarezerwowałam dwa pokoje, w tym

jeden apartament, aby mieć chłopaków na oku, ale wyszło mi, że z panną będę musiała zamieszkać ja, bo jestem jedyną kobietą w tym męskim gronie. I jak sama rozumiesz, nie jest to najlepsze rozwiązanie. Dlatego zabieram ci Igę. Ona pomieszka z panną i będę miała świeże doniesienia z pierwszej ręki.

Renata westchnęła. Takie pomysły mogła mieć tylko Monika.

— A jak Iga utworzy front z Antkiem?

— No coś ty? Nie zrobi tego matce chrzestnej!

No fakt. Nie zrobi. Iga uwielbiała Monikę, czasami aż do przesady.

— No i co, powiedz, że plan jest genialny!

— Zobaczysz, kobieto, że Antek cię kiedyś znienawidzi.

— Nie znienawidzi, bo będzie SUPER!

— Mogę przynajmniej wiedzieć, gdzie zabierasz moją córkę?

— Do Dąbek, koło Darłowa. Niedaleko Koszalina. Zgadzasz się, prawda?

Renata przewróciła oczami. Cała Monika. Najpierw stawia cię pod murem, a potem niby pyta o zgodę, jak już sama wszystko ustaliła.

— Ty lepiej spytaj Igę, czy chce jechać, bo co ci z mojej zgody, jak młoda będzie miała inne plany?

— Już do niej dzwonię. A ty ją pakuj. Pa!

I już jej nie było po drugiej stronie słuchawki. A po chwili z pokoju Igi dobiegł głośny pisk radości. Renata odebrała to jako „tak” dla szalonego pomysłu przyjaciółki.



— Przyniosłam ci świeżych malin, prosto z działki sąsiadki. — Emilia krzątała się po szpitalnej sali, w której dziś leżała już tylko Marianna. Łóżko obok niej, po przeciwnej stronie, było puste i czysto zasłane.

— Widzę, że masz komfortowe warunki. Prawie jak w hotelu — próbowała żartem rozładować ciężką atmosferę wiszącą w powietrzu szpitalnej sali.

— Wypisali tę panią dzisiaj rano — powiedziała cicho Marianna. Emilia zauważyła, że mówienie sprawia jej trudność. — Doktor powiedział, że oni już nic tutaj nie poradzą. Rodzina załatwiła jej opiekę hospicyjną. — Zamilkła i zakaszła, łykając powietrze, którego jej brakowało.

— Emila, chcę z tobą porozmawiać. — Głos Marianny był cichy i słaby.

Emilia przysiadła na brzegu łóżka i ujęła w dłoń pokłutą i bardzo szczupłą rękę kuzynki.

— To może być dla ciebie trudne, Emila...

— Marianko, mówienie cię męczy. — W oczach Emilii był strach. Potrzebowała tej rozmowy, potrzebowała wybaczenia Marianny, ale, na Boga, nie była przygotowana do tej rozmowy.

— Pozwól mi. — Kaszel wciskał się niemalże w każde słowo kobiety. —

Zanim będzie za późno — szepnęła i na moment przymknęła oczy.

Przez dłuższą chwilę w sali panowała cisza, zakłócana jedynie brzęczeniem muchy gdzieś przy oknie i Emilia pomyślała, że Marianna zasnęła, ale słowa kobiety wysypały się nagle jak sznur zerwanych pereł.

— Zaopiekuj się Klaudynką, Emilko. Ona tam u nas nie ma żadnej przyszłości. Utknie w Chełmie i życie sobie zmarnuje. Nie pozwól na to, kochana. — Wyblakłe i zmęczone chorobą oczy kuzynki patrzyły na Emilię z niezwykłym żarem matki do ostatnich chwil walczącej o swoje ukochane dziecko.

— Wiem, że ona to... prawie jak twoja. Ja... wiem o wszystkim. Wiem, ile cię kosztował przyjazd na chrzest, ale... ja tak chciałam... chcę, żebyś wiedziała, że... wybaczam.

Emilia nawet nie próbowała powstrzymać łez, które ciekły po jej policzkach słonymi kroplami i spadały na białą pościel, zostawiając na niej mokre plamy.

— Przepraszam — wyszeptała. — Skrzywdziłam cię i twoje dzieci, ale... to było silniejsze niż lojalność.

— On cię kochał, Emila. Patrzyłam w jego oczy i widziałam tam pustkę. I ogromną tęsknotę. Ale został i za to byłam mu wdzięczna. I za to, że do końca mnie szanował. Był bardzo dobrym ojcem... A Klaudynkę wprost uwielbiał. Tak samo jak cię.

— Ja go kochałam, Marianno. Nigdy nikogo tak jak jego... Nie był kaprysem zepsutej starej panny. Był w moim życiu jedyny... Przepraszam.

Emilia poczuła, jak dłoń Marianny leciutko zaciska się wokół jej dłoni.

— Nie mam do cię żalu, Emila, chociaż kiedyś miałam ochotę cię wydrapać. Potem wybaczyłam. I było mi cię strasznie żal. Bo ty ucierpiałaś najbardziej. Co się stało z twoim dzieckiem?

Oczy Emilii rozszerzyły się ze zdumienia. Marianna dostrzegła w nich odbicie swojego wymęczonego chorobą ciała.

— Skąd wiesz o dziecku?

Kuzynka spróbowała się uśmiechnąć.

— Kobięca intuicja. Widziałam, jak rozkwitłaś i jak płonęły radością twoje oczy. Promieniałaś, a taką łunę daje kobiecie szczęśliwa miłość i dziecko pod sercem. To był chłopiec czy dziewczynka?

Emilia przymknęła oczy. Drżała i nie mogła uspokoić rozszalałego, rozkołatanego serca.

— Dziewczynka. Marynia. Zmarła na drugą dobę po urodzeniu. Urodziła się za wcześnie. Czy Edzio...?

— Nie wiedział — odpowiedziała szybko Marianna. — Gdyby się dowiedział, nic by go przy mnie nie utrzymało, Emilko.

Milczała, no bo co mogła Mariannie odpowiedzieć? Powiedziały sobie już wszystko. Emilia nie wiedziała, czy to tylko ona odniosła takie wrażenie, czy też

atmosfera białej, sterylnej sali stała się o wiele lżejsza, oczyszczona.

— Byłaby niewiele starsza od Klaudynki, prawda?

Skinęła głową.

— Miałaby teraz dziewiętnaście lat. Bóg ją zabrał, Marianko, zanim zdążyłam się nią nacieszyć. Zostałam ukarana, bardzo dotkliwie.

Cisza przedpołudnia koła, łzy powoli wysychały. Marianna wyglądała tak mizernie na tle białej, wykrochmalonej poduszki. Życie w niej gasło, ciało więdło, ale serce było spokojne. Wybaczyła, patrząc Emilii prosto w oczy. Wiedziała, że Klaudia zostanie pod dobrą opieką matki chrzestnej, która przyjmie ją i będzie traktowała jak swoją. Dług zostanie spłacony. Uczynek za uczynek. Miłość za miłość.



Emilia nie mogła znaleźć sobie miejsca. Chodziła po mieszkaniu rozdrażniona jak dzika kotka, niepokojąc swoim zachowaniem zwierzaki. W końcu po godzinie takiego obijania się z kąta w kąt i potykania o płaczące się pod nogami czworonogi, zaparzyła sobie melisę, włączyła płytę Vivaldiego i usiadła na swoim ulubionym fotelu, stojącym tuż przy drzwiach balkonowych. Na drewnianej ławie postawiła kubek z melisą i miseczkę z malinami. Dziś, po rozmowie z Marianną, pozwoliła sobie na wspomnienia. Przez tyle lat wypychała je ze swojej świadomości, udając, że w ogóle ich nie było. Nie było bólu, zranienia i cierpienia nie do uniesienia. Na ogół jej się udawało oszukać samą siebie i sprawić, że zapominała. Jedynie na cmentarzu, gdy stała nad grobem Maryni, smutna prawda docierała do niej każdym zakamarkiem. To się wydarzyło. To było prawdziwe, tak jak prawdziwa była ona, Edzio i maleńka Marynia.

Edward. Znów ujrzała jego przejrzyście niebieskie oczy i tę miłość, z jaką patrzył na nią, przyciskając ją do drzewa w lesie. Tylko tam mogli ukryć się przed spojrzeniami małomiasteczkowej społeczności.

Ich miłość i niepohamowana namiętność wybuchła któregoś lata, gdy Emilia pojechała na wieś do kuzynki. Edward podobał się Emilii od dnia, kiedy Marianna przedstawiła go jako swojego narzeczonego, ale nigdy dotąd Emilia nie odważyła się pomyśleć o nim inaczej jak o mężu kuzynki. Tamtego lata coś się zmieniło. Dużo ze sobą rozmawiali, odkryli wspólne pasje i zainteresowania. Marianna, zmęczona całodzienną pracą na gospodarstwie i doglądaniem dwójki dzieci, chodziła spać z kurami, a Emilia siadała z Edziem na ganku i przy herbacie, którą specjalnie dla niej przygotowywał, na nowo odkrywała Edzia z zachwytem. Pierwszy przypadkowy dotyk, gdy ich palce się zetknęły, spowodował, że uśpione ciało Emilii po raz pierwszy od długiego czasu zapłonęło, a ona już nie potrafiła wyrzucić ani z pamięci, ani z serca tych niebieskich oczu i ukochanej, łagodnej twarzy Edzia.

Tamtego popołudnia zmoczyła ich ulewa. Z nieba lały się strugi deszczu, a oni biegli przez pole, trzymając się za ręce. Schronili się w opuszczonej szopie na

skraju lasu. To ona stała się świadkiem ich miłości, której uciszyć żadne z nich nie było już w stanie. Marynia była owocem tamtego lata i tej miłości. Krótkiej, namiętej i dotkliwej. Emilia wróciła do domu ze skarbem pod sercem. Z każdym dniem, kiedy Marynia w niej rosła i dojrzewała, w Emilii budziły się coraz większe wyrzuty sumienia. Coraz wyraźniej docierało do niej, że to uczucie nie może przetrwać, bo krzywdziło zbyt wielu ludzi. Marianna, Krzysztof i Weronika po jednej stronie, ona i rosnące w niej maleństwo po drugiej. Trzy do dwóch. Nie miała szans. Przegrała.

Ona już o tym wiedziała, kiedy Edzio przyjechał do niej z szaleństwem w oczach. On jeszcze w nich wierzył. Błagał ją, żeby go nie odtrącała. Wszystko przemyślał, postanowił. Jest tylko ona, Emilia. On nigdy dotąd nikogo tak jak jej... Nie mogła tego słuchać. Spojrzała na niego wzrokiem, z którego wiało chłodem. Przeraziła go. Musiał przyrzec, że zapomni. Że to był tylko sen. Że zblądzili.

Wyszedł od Emilii ze spuszczoną głową. W ciągu jednego dnia przybyło mu lat. Jego miłość miała posmak goryczy. Nie zauważył zaokrąglonej sylwetki Emilii i tego zmienionego zapachu, jaki wydzielало jej ciało. Nie dostrzegł tych szczegółów, które dla kobiety byłyby oczywiste. Coś przeoczył i odszedł, dotrzymując obietnicy. A ona wyla w poduszkę, próbując zagłuszyć tęsknotę, która ją wypełniła. Wraz z pierwszym ruchem Maryni otrząsnęła się. Znalazła w sobie siłę, dzięki której wstawała każdego dnia i po prostu istniała. Dla niej. To wtedy wróciła do malowania. To pół roku było najbardziej płodnym okresem w jej twórczości. A potem ktoś wyrwał jej serce. Wraz z Marynią odeszło wszystko, a Emilia odebrała to jako karę za cudzołóstwo i wtargnięcie w nierozzerwalny sakrament małżeństwa. W jej życiu nastał czas pustki, a ona sama czuła się jak wydrążony owoc, z którego została tylko skorupa. Obrazy pomogły jej przetrwać. A później zwierzaki, na które przelała swoją miłość. Zdziwaczała. Nie dała się już wpasować w żadne społeczne ramy i nigdy więcej nie obdarzyła uczuciem żadnego mężczyzny. To wtedy ludzie nazwali ją wariatką. I wtedy zaczęła rozmawiać z motylami, bo mocno wierzyła w to, że w takim motylku unosi się gdzieś dusza jej córeczki, która powraca do niej, aby ją umacniać.

Podmuch wiatru poruszył nieruchomą dotąd firankę. Emilia spojrzała poprzez jej tiulowy splot. Na balustradzie balkonu siedział kolorowy krakowiak i poruszał swoimi skrzydełkami zupełnie tak, jakby machał do niej. Emilia uśmiechnęła się smutno, a potem wstała z fotela, wzięła swoje życie na ramiona i zawołała psy. Przypinając im smycze do czerwonych obróżek, pomyślała, że te zwierzaki, które przygarnęła, są dla niej błogosławieństwem, bo dzięki nim miała codziennie powód, aby wstać rano z łóżka i przetrwać do końca dnia. Pomimo wszystko.



— Mikołaj, tu jest oszałamiająco, niesamowicie, wprost niezmiernie pięknie!
— Kasia stała na pustej plaży, obserwując słońce chowające się za jeziorem, które płonęło czerwoną luną w zetknięciu z rozgrzaną kulą. Wiatr od wody rozwiewał krótkie włosy Kasi i zostawiał na jej twarzy swoje ciepłe pocałunki, a długie ramiona Mikołaja oplatały od tyłu szczupłą talię dziewczyny.

Kasia nie mogła uwierzyć, że są tu tylko we dwoje. Świat przy Mikołaju nabierał kolorów tęczy, a ona sama zaczynała wierzyć, że los i dla niej przygotował niespodziankę, która będzie w stanie odmienić jej życie, choć wcześniej wydawało jej się, że na dobre pozbyła się złudzeń.

— A mówiłem ci, mała, że będzie warto — szepnął i ugryzł ją delikatnie w ucho.

Skinęła głową, zapatrzona w ogrom wody przed sobą. I co z tego, że Mikołaj był dwa lata młodszy od niej? Był czarodziejem, który jednym dotykem sprawił, że zajaśniała i uwierzyła. Że jeszcze wszystko przed nią. Że życie może być piękne. Że ta miłość, której się chwyciła, jest wyjątkowa.

Mikołaj wynajął mały domek nad jeziorem, nad które jeszcze nie zdążyły dotrzeć tłumy młodych ludzi ani rodzin z dziećmi. Ich domek stał w pachnącym żywicą lesie, a jezioro mieli na wyciągnięcie ręki. Pusta plaża z nawiezionym białym piaskiem przesypującym się między palcami była jedynym świadkiem ich miłości. Kasia straciła czujność i uwierzyła, że już jest w niebie.



Po trzech cudownych dniach totalnego lenistwa, życia miłością, zasypiania o świcie i przesypiania poranków, które w domu są zawsze nerwowe i wypełnione obowiązkami, Kasia powoli zaczęła wracać do rzeczywistości. I uznała, że już najwyższy czas, aby porozmawiać z Mikołajem o przyszłości.

Po wspólnej szalonej kąpieli w chłodnym jeziorze wygrzewali się na kocu zmęczeni, szczęśliwi i zapatrzeni w siebie. Mikołaj pożerał wzrokiem każdy kawałek ciała Kasi, obejmując ją władczo wyciągniętym ramieniem, a ona mruczała jak zadowolona kotka.

— Tęsknię za Marlenką — powiedziała Kasia, nie otwierając oczu. Cisza Mikołaja zaniepokoiła ją. Otworzyła oczy i lekko podniosła głowę. Mikołaj bawił się ramiączkiem jej stanika. Jego dotyk był delikatny, zmysłowy. — Chciałabym, żebyście się poznali — powiedziała, patrząc na niego. Jej spojrzenie speszyło go. Odchrząknął i zaczął nieporadnie.

— Wiesz, Kasia, ja tak niekoniecznie lubię dzieci. Nie mam z nimi dobrego kontaktu.

Uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała.

— Marlenkę polubisz. Wszyscy ją kochają.

— Ale... myślę, że na razie nie ma takiej potrzeby.

Kasia uniosła się na łokciach i odsunęła dłoń Mikołaja wędrującą po plecach.

— Mikołaj, to chyba naturalne, że chciałabym, aby dwoje najbliższych mi osób poznało się ze sobą. Uważam, że jeśli się spotykamy...

— No właśnie — wszedł jej w słowo. — Spotykamy się i tyle. Jest dobrze, tak jak jest, Kaśka. Po co to komplikować?

Kasia usiadła i wpatrywała się teraz w Mikołaja z lekką dezorientacją i niedowierzaniem.

— Mikołaj, ja nie mam czasu na tego typu przygody. Ja mam córkę, za którą jestem odpowiedzialna. — Poczwała, że powoli traci nad sobą panowanie.

— Kaśka, ale ja zupełnie nie kumam, o co ci chodzi. Jest nam ze sobą fantastycznie, już dawno z żadną dziewczyną nie rozmawiało mi się tak dobrze, jak z tobą. Nie nudzimy się razem, seks z tobą jest jak lody waniliowe z polewą truskawkową, przeżywamy superprzygodę i do tego wyrwałem cię z tych sztywnych ram, w których tkwiłaś od urodzenia dziecka, więc o co ty się wściekasz? — Mikołaj patrzył na nią jak duży chłopiec, który nabroił, ale kompletnie nie ma pojęcia, za co dostaje burę, bo przecież nic takiego się nie stało.

— Więc dla ciebie to, co się dzieje między nami, jest tylko przygodą? — W tej chwili oczy Kasi pociemniały jak wzburzone morze.

— A dla ciebie nie? — zaczął Mikołaj, a po chwili stuknął się dłonią w czoło ze zrozumieniem. — Kaśka, ale ja ci nie obiecywałem małżeństwa ani rodziny.

— No fakt. — Kasia wstała i otrzepała się z piasku. — Masz rację, tylko że... kurczę, ja to inaczej odebrałam. Sorry, Mikołaj, ale ja nie mam czasu na wiecznych chłopców, którzy żyją wódką, rockiem i szybkimi motocyklami, a laska jest tylko miłym dodatkiem.

Kasia narzuciła na rozgrzane ciało sukienkę i sięgnęła po swój ręcznik.

— Kaśka, nie wygłupiaj się. Co robisz? — Przytrzymał jej rękę, ale chłód w jej oczach poraził go i szybko cofnął ją z powrotem.

— Wracam do swoich sztywnych ram — wycedziła.

— Daj spokój, mamy jeszcze dla siebie parę dni. No, nie dąsaj się.

— Wiesz co, Mikołaj... — głos Kasi był tak zimny jak jej spojrzenie — ...spadaj!

Mikołaj patrzył, jak dziewczyna odchodzi dostojnym krokiem. Letni wiatr bawił się jej włosami, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Pozwalała mu na pieszczotę nagich ramion i opalonych ud. Mikołajowi już na to nie pozwoliła.



Siedziały we trzy na podłodze w dużym pokoju i patrzyły zdezorientowane na leżącą przed nimi kupę żelastwa, która odpowiednio złożona miała być klatką dla Teodora. Na razie przypominało to płaskie szczebelki polowego łóżka oglądanego od spodu.

— No i co teraz? — Iga, która do wszystkiego zwykle podchodziła sceptycznie, spojrzała na matkę. Renata wzruszyła ramionami i wsadziła kciuk do ust w geście bezradności.

— Tam są jakieś rączki, może trzeba za nie pociągnąć? — Julia wskazała na plastikowy uchwyt, przymocowany do całości jak rączka do walizki.

— Nie widzisz, że to jest do trzymania i przenoszenia tego ustrojstwa? — Iga chwyciła za rączkę i podniosła klatkę tak, jakby podnosiła torbę podróżną.

— No to co robimy? — Renata popatrzyła bezradnie raz na jedną, raz na drugą córkę. Julia myślała ze zmarszczonym czołem, a Iga ziewnęła i powiedziała:

— Może po prostu trzeba spłaszczyć Teodora?

Renata ukryła twarz w dłoniach, a Julia pokazała siostrze język i odburknęła:

— Ty za to jesteś już tak płaska, że z pewnością byś się tam zmieściła.

Iga wydeła usta obrażona i wyszła z pokoju z założonymi rękami. Renata popatrzyła na Julię z wyrzutem.

— Dlaczego jej dokuczasz?

Julia wzruszyła ramionami.

— Bo mnie denerwuje i się wymądrza.

— Lepiej powiedz, mądralo, co my teraz zrobimy?

Julia przez chwilę wyglądała jak Pomysłowy Dobromir zastanawiający się nad jednym ze swoich wynalazków.

— A może... — podeszła bliżej do klatki i pociągnęła za jeden bok. — Wiesz, mama, zróbmy z tego figurę geometryczną. Taki duży sześcian.

Renata z podziwem patrzyła, jak jej młodsza córka swoimi drobnymi rączkami wyczarowuje z płaskich prętów całkiem zgrabną budę dla ulubieńca.

— *Voilà!* — Julia, uczęszczająca do klasy dwujęzycznej z językiem francuskim jako głównym, często wtrącała obce słówka do swoich wypowiedzi. Renata tylko część z nich rozumiała, ale była bardzo dumna z córki, gdyż jej nauka języków obcych zakończyła się w technikum na rosyjskim, na siłę wkładanym do głowy dzieciom i młodzieży w ramach pogłębiania przyjaźni polsko-rosyjskiej.

— Córcia, jestem pod wrażeniem. — Na środku pokoju, między sofą a stołem, wyrosła pokaźnych rozmiarów klatka, do której natychmiast wpełzła Julia, chcąc się osobiście przekonać, ile miejsca będzie miał tam ich pieszczoł. Kontrola przeszła zadowolająco, bo Julia w klatce mogła się nawet swobodnie obrócić.

— Nie wiem, czy mu się spodoba zawężenie terytorium, ale tu w środku jest nawet przytulnie.

— Najpierw trzeba go oswoić z tym miejscem bez zamykania — powiedziała tonem znawcy Renata. — Dopiero za kilka dni można będzie go tam... uwięzić. — Pomimo zapewnień trenera i pana Karola dla Renaty klatka pozostała klatką. Ale nie miała wyboru, jeśli chciała zatrzymać Teodora. Poza tym dziewczynki rozjeżdżały się na swoje wakacyjne przygody już za dwa dni, więc siłą rze-

czy Teodor zostanie skazany na nieco więcej niż dotychczas godzin samotności. Ta perspektywa już dziś niepokoiła Renatę.

Julka wyszła z klatki i zajęła się przygotowaniem odpowiedniego wystroju wnętrza na nowym posłaniu psa, a Renata usilnie zastanawiała się, gdzie tę wielką harharę wstawi, bo tam, gdzie znajdowała się obecnie, w żadnym wypadku zostać nie mogła. Generalnie ich trzypokojowe mieszkanie było małe, pięćdziesiąt cztery metry kwadratowe nie dawały za dużego pola do popisu w umeblowaniu, nie wspominając już o takich gabarytach jak buda dla Teodora. Aby pies mógł się do nowego posłania przyzwyczaić i zostawać tam bez protestów, klatka powinna stać w jednym wyznaczonym do tego miejscu, na dodatek otwarta, tak by pies mógł tam bez problemu wchodzić, kiedy tylko będzie miał na to ochotę. Pokój Julki był za mały. Idealnym rozwiązaniem byłby pokój Igi, niestety pierworodna córka Renaty szybciej by się wyprowadziła, niż pozwoliła na wstawienie do jej pokoju tej „ozdoby”. Klatka musiała więc zostać w dużym pokoju i po namyśle Renata wsunęła ją w kąt, tuż za stołem. Było to miejsce dość chłodne, co nabierało znaczenia przy upałach, jakimi zaczęło rozpieszczać ich lato.

Julia ułożyła w klatce miękkie koc, a na nim ulubione pluszaki Teodora. Pies obserwował te wszystkie zabiegi lekko skonsternowany. Na wyraźne wezwanie swojej młodej pani podszedł do nowego „mebla” dość nieufnie i obwąchał go ostrożnie. Spróbował wejść na znajomo pachnący koc znajdujący się w tym czymś, ale dźwięk metalowych prętów odstraszył go. Ponowił próbę dopiero wtedy, gdy Julka na nowo schowała się w klatce, przywołując psa do siebie. Koc okazał się tak miękki, jak wyglądał, pluszaki wyglądały znajomo i pachniały nim samym, a do tego Julia poklepała go po klacie, co Teodor bardzo lubił, ze słowami: „Dobry piesek. Mądry piesek”. Dlatego, aby zasłużyć na nową pochwałę, a przy okazji może i na kawałek jakiegoś smakołyku, Teodor został w „budzie”. W końcu to nie było nic takiego, co wymagałoby od psa wysiłku. Oczekiwano od niego, że od czasu do czasu poleży sobie tutaj. Też coś.

Julka z radością klasnęła w ręce, rozpluwając się nad mądrością ulubieńca. Renata odetchnęła z ulgą w poczuciu spełnionej misji, a Iga wyrzła ze swojego pokoju i na widok ogromnej budy zajmującej znaczną część nie tak dużego pokoju, rzuciła tylko w przestrzeń:

— No ładnie! — I już jej nie było.

Przygotowując kolację dla siebie i dziewczynek, Renata zastanawiała się, jak przetrwa te dwa tygodnie zupełnie sama. Tęsknotę za Staszkiem zagłuszała opieką nad córkami, a teraz, gdy dziewczynki wyjadą, pozostanie sama z tą straszną pustką w środku, której dziś jeszcze nie potrafiła sobie wyobrazić. Dobrze, że przynajmniej był Teodor. Będzie miała chociaż do kogo usta otworzyć. Przynajmniej nie będzie rozmawiała sama ze sobą.

Po dłuższej chwili zamyślenia nad krojonym pomidorem Renata doszła do

wniosku, że ona, podobnie jak Teodor, jest stworzeniem stadnym i nie potrafi funkcjonować solo. Umiała spełniać się tylko w rodzinie.

Rozdział szósty

SAMOTNOŚĆ

— Żadnych więcej małych, żadnych napalonych koleś, którzy godzinami potrafią filozofować, a o zwyczajnym życiu pojęcia nie mają. — Wzburzona Kasia wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Siedziała w swojej ulubionej pozycji, z podkulonymi nogami, na sofie Renaty i od czasu do czasu z miłością zerknęła na bawiącą się w pokoju Julii Marlenkę.

Było niedzielne popołudnie. Mieszkanie Renaty ziało pustką, z którą nie umiała sobie poradzić. Kiedy zadzwoniła Kasia, ciskając jej w słuchawkę potok słów, Renata chwyciła się jej obecności jak deski ratunkowej i niemal wyblała, żeby Kasia przyjechała do niej razem z Marlenką. Przynajmniej w ten sposób choć na chwilę zapełniła zimne przestrzenie pokoi i uległa złudzeniu, że dom nadal żyje, pomimo wyjazdu dziewczynek.

— Wiesz, że jeszcze musiałam za domek zapłacić? — Kasia oczyszczała się przed Renatą ze wszystkich upokarzających szczegółów jej wspólnego kawałka życia z Mikołajem. — Ten dupek zawiadomił mnie nadąsany, że on musiał zapłacić za paliwo. I do tego wkurzył się na mnie, że mu popsułam zabawę. Kurczę, Renia, gdzie ja miałam oczy? — spojrzała na koleżankę ze smutkiem.

— Naprawdę mam ci powiedzieć gdzie? — Renacie było szkoda Kasi, ale ona od początku czuła, że tak to się wszystko skończy. Zupełnie nie podobał jej się ten Mikołaj, zresztą ostrzegęła Kasię, ale było to jak grochem o ścianę, bo dziewczyna była wtedy pod wielkim urokiem chłopaka.

— Renia, czy ty myślisz, że Ten na górze — Kasia wzniosła oczy do nieba — że On już tak do końca o mnie zapomniał?

Opalona buzia Kasi była tak smutna, że Renacie aż się serce ścisnęło z żalu.

Przysunęła się w stronę koleżanki i mocno ją przytuliła. Tym prostym gestem chciała podzielić się z nią swoją wiarą i nadzieją, ale jednocześnie sobie samej dodać otuchy, że przetrwa ten czas pustki i rozstania bez codziennie wylewanych łez i paraliżującego strachu przed samotnością.

— Nie zapomniał, Kasiu — wyszeptała. — On nigdy nie zapomina. To my się w tym wszystkim gubimy i sami sobie wszystko komplikujemy. A On po prostu trwa i czeka. Na nas. Na nasze przyzwolenie i otwarcie się na Niego. Jeszcze dostaniesz swoją szansę, zobaczysz. Tylko jej nie przegap — pogładziła dziewczynę po miękkich włosach. Była taka delikatna i drobna jak jej Iga. Młodsza od Renaty o czternaście lat, w rzeczywistości wydawała się dużo starsza i dojrzała przez ciężar, który na sobie dźwigała. Życie nieźle jej dało w kość i wiele ją nauczyło.

— Chciałabym kiedyś zasnąć wieczorem tak jak dziecko, z tą nieświadomością okrucieństwa świata, i obudzić się w życiu, które tak strasznie nie boli — wes-

tchnęła Kasia. — Powiedz mi, Renia, co ja robię nie tak, że przyciągam takich marnych facetów?

Renata zaczęła się bawić kosmykiem swoich włosów, wsuniętym posłusznie w koński ogon zebrany klamerką. Jak miała odpowiedzieć na pytanie Kasi, skoro sama nie знаła na nie odpowiedzi?

— Daj sobie czas, Kasiu. I może nie zwracaj tak bardzo uwagi na... opakowanie — powiedziała Renata cicho. — Czasami to, co ukryte pod niezbyt atrakcyjną powierzchownością, zasługuje na głębsze poznanie. A często przechodzimy obojętnie obok takiej osoby, krzywdząc ją swoim osądem.

— Masz rację. — Kasia pokiwała głową, poprawiając się wygodnie na sofie. — Poleciałam na skórę Mikołaja i jego długie włosy i nie dałam sobie szansy, żeby zajrzeć w niego głębiej. Wiesz co — oczy Kasi zabłysły — przyjrzę się dokładnie Panu Porządnemu! Może on pod tą nieuprzejmą powierzchownością skrywa coś głębszego?

Renata roześmiała się. Kasi wracał dobry humor, nie było więc tak źle. Nadal była w formie, a przejściowy „dół” został zasypany.

— Nie zapominaj, że Pan Porządny ma żonę. Ogranicz się może do singli, chociażby tych z odzysku.

— Pan Karol by się nadawał — mruknęła Kasia, puszczając oko do koleżanki. — Ale on w tym sklepie widzi tylko ciebie!

— A ja za każdym razem błyskam mu obrączką przed oczami — odpowiedziała Renata i pochyliła głowę, aby nie napotkać przenikliwego spojrzenia Kasi.

Dlaczego się zarumieniła? I dlaczego jak tylko Kasia wymieniła to imię, ręce jej zwilgotniały, a na policzkach poczuła uderzenie gorąca?

— Wiesz, Renia. — Kasia spuściła nogi z sofy i oparła je o miękki dywan. — A tak w zasadzie to po co nam mężczyźni? Dzieci już mamy, kwiaty możemy sobie kupić same, a na spacerzy będziemy chodzić z Teodorem. Pomyśl, zero kłótni i zmartwień, czy jeszcze się mu podobam, koniec odwiecznej walki o pilota i opuszczanie deski sedesowej, koniec z liczeniem kalorii, bo jak przytyjesz, będzie to wyłącznie twoja sprawa i nikt nie będzie cię porównywał do Angeliny Jolie. Obiad ugotujesz albo nie, w zależności od nastroju, i nikt ci nie powie, że jesteś staroświecka, bo lubisz czytać książki, i do tego papierowe! No, sama przyznaj, czy nie mam racji?

Renata zamyśliła się przez chwilę. Niewątpliwie było w tym trochę prawdy i gdyby patrzeć na to wszystko w ten sposób, przedłużająca się nieobecność Staszka nie powinna jej martwić, ale... No właśnie.

— Czasami chciałabym, aby ktoś najzwyczajniej w świecie mnie przytulił — powiedziała, mrugając. Tak dziwnie zapiekły ją oczy. Spróbowała przytrzymać natarczywą łzę pod powieką. — A to najlepiej robią duże i bezpieczne męskie ramiona — dodała.



Pierwsze poranne promienie słońca zajrzały ciekawie przez okno i zatrzymały się na dłoniach Emilii. W świetle dnia te dłonie wyglądały na smutne i zagubione. Kobieta już nie spała. Leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w pustkę przed sobą. W uśpionym mieszkaniu słyszała ciche pochrapywanie zwierzaków. Pomimo snu były czujne. Emilia wiedziała, że jak tylko zaczną się kręcić i szykować do wstawania, psiaki będą już z radością merdać ogonami gotowe do spaceru.

Wczoraj Emilia rozmawiała z lekarzem prowadzącym Marianny. Niczym jej nie zaskoczył, może jedynie tym, że tak łatwo i z zimną twarzą pozbawił ją jakiegokolwiek nadziei. Jeśli tak samo zachowywał się w stosunku do Marianny, Emilia nie miała złudzeń, że kuzynka zgaśnie bez żadnej chęci walki.

Dziś miała się spotkać z Klaudią. Jeszcze nic nie zdecydowała, najpierw postanowiła porozmawiać z tą młodą dziewczyną, której — jako matka chrzestna — była coś winna. Co jej powie? Ile ta dziewczynka wiedziała? Była ukochanym dzieckiem Edzia. Urodziła się dwa lata po Maryni, zupełnie jakby Pan Bóg chciał zapłacić kimś tę lukę, jaka powstała po odejściu małego życia.

To wszystko było takie trudne.

— Panie Boże, dużo tego jak na barki jednego człowieka — wyszeptała Emilia, odnajdując wzrokiem krzyż zawieszony tuż nad drzwiami.

Przez uchylone okno wpadł do pokoju lekki podmuch wiatru, a wraz z nim przez głowę Emilii przeleciała myśl, że przecież Pan Bóg nigdy nie nakłada na nas więcej, niż jesteśmy w stanie udźwignąć. Z tą myślą odrzuciła kołdrę i wstała, postanawiając, że zmierzy się z tym dniem, cokolwiek przyniesie.



Zaprosiła Klaudię do Galerii na Złotej. Pomyślała, że klimat Starego Miasta i bliska obecność sztuki odwróci uwagę dziewczyny od cierpienia matki. Twarz Klaudii była smutna i tak pełna emocji, że można było czytać w niej jak w otwartej księdze. W przejrzystych oczach dziewczyny Emilia dostrzegła szczerłość i bezradność. Poczowała dreszcz, gdy tylko jej spojrzenie zetknęło się ze spojrzeniem chrześnicy. Takimi samymi oczyma patrzył na nią Edzio dawno temu. I kiedyś, w innym życiu, małe oczka dziecka w podobnym kolorze zatrzymały się na moment na Emilii. Na małą chwilę, dopóki nie uszło z tego małego życia. Teraz odnajdywała to spojrzenie w Klaudii, nieświadomej niczego młodej dziewczynie.

— Ładnie tu, ciociu. — Klaudia rozejrzała się ciekawie po zawieszonych obrazach i akwarelach galerii. Emilia uśmiechnęła się ciepło i zdjęła z głowy kapelusz. Rude włosy rozsypały się dookoła jej twarzy, spływając na ramiona.

— Sama to miejsce stworzyłam i dlatego tak bardzo je lubię.

— Te wszystkie obrazy też ty namalowałaś? — Oczy Klaudii chłonęły zdo-

biaące ściany pejzaże i martwą naturę.

— Nie. — Emilia potrzęsnęła głową. — Tylko część jest moja. Wystawiam tu wielu różnych twórców, tych mniej i bardziej znanych. Przynoszą mi nieustannie swoje prace. Jeśli coś mi się podoba, zostawiam tutaj i dzielę się tym z ludźmi, którzy mnie odwiedzają. Dużo ludzi tu zagląda, wielu te prace kupuje. Z tego żyję, chociaż to niełatwy kawałek chleba. Ale ja wiele nie potrzebuję. — Spokojna twarz Emilii rozświetliła się w ciepłym uśmiechu, w którym chciała ogrzać tę niewinną dziewczynę. — Napijesz się herbatki?

— Z przyjemnością. — Klaudia kiwnęła głową i podeszła do jednej ze ścian, przypatrując się dokładnie pejzażom.

— To przecież nasze Chojno — powiedziała cicho, a Emilia drgnęła, rozlewając wodę z pełnego czajnika. — Ten las i te pola poznałabym wszędzie. Pięknie ciocia to uchwyciła. I ta szopa... — wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć znajomego miejsca. — Nie ma jej już. Kilka lat temu uderzył w nią piorun. Spłonęła doszczętnie i tylko zwęglone resztki po niej zostały.

„Jak po mojej miłości”, przemknęło przez głowę Emilii. Zamrugła, chcąc odepchnąć napływające łzy, i zajęła się herbatą. Całą swoją uwagę skupiła na prostej czynności otwierania metalowej puszki pachnącej czarną herbatą z żurawiną, wsypania jej w dokładnie odmierzonych proporcjach do dwóch porcelanowych kubeczków i czekanie na zagotowanie wody.

— Musiałaś to namalować dawno temu — cichy głos dziewczyny rozbrzmiewał w jej uszach donośnie, prawie jak krzyk wepchniętych głęboko wyrzutów sumienia.

— Całe wieki temu — wyszeptwała. — Tak dawno, że już tego nie pamiętam — dodała i zebrała wszystkie siły, aby uśmiechnąć się do chrześnicy.

— Jejku, moja ciocia jest prawdziwą artystką! — Klaudia klasnęła w dłonie i okręciła się dookoła. Niebieska sukienka, harmonizująca z kolorem jej oczu, zatańczyła radośnie i oplótła się wokół zgrabnych ud dziewczyny.

— Niektórzy nazywają mnie wariatką — mruknęła Emilia, ale poczuła przyjemne ciepło. Słowa Klaudii kołysły, a jej obecność nie była natrętna. — Zostań u mnie kilka dni. Nie będziesz musiała kursować między Chojnem a Lublinem, będziesz bliżej mamy.

W jednej chwili Klaudia zgasła. Zatrzymała się w wirującym tańcu z jedną nogą lekko wysuniętą do przodu i jasnym warkoczem, który opadł na jej piersi. Westchnęła i spojrzała na Emilię bezradnie.

— Ale czy to wypada, ciociu? Nie chcę sprawiać kłopotu.

— Nie martw się, moja droga, wykorzystam cię do opieki nad moim zwierzyńcem. Poza tym i tak masz teraz wakacje, odpocznesz trochę.

— Jadzka będzie wściekła, już mi pracę w ogrodzie naszykowała. — Klaudia skrzywiła się lekko na wspomnienie bratowej.

— Poradzą sobie bez ciebie. W końcu ty też musisz trochę odsapnąć. W przyszłym roku przecież matura.

— Niech mi ciocia nie przypomina! — Klaudia przewróciła oczami. — Ale... ja nawet bielizny nie wzięłam. Mam tylko to, w czym przyjechałam. — Wskazała na przewieszoną przez biodra małą torebkę i sweterek zwisający na oparciu krzesła.

— Pojedziemy na zakupy — zdecydowała Emilia. — Zaszczyt bycia matką chrzestną do czegoś zobowiązuje. Poczekamy na Dorotkę, mojego dobrego duszka, która mi tutaj pomaga, a potem pojedziemy do Plazy. Tam na pewno coś dla ciebie znajdziemy.

— Ale ciociu...

— Proszę cię, żadnych „ale”! Wiesz, jak dawno nie byłam na zakupach? A kobiety to lubią, uwierz mi. — Puściła oko do dziewczyny i odwróciła się od obrazu, który tak zachwycił Klaudię. Słony wodospad się cofnął, a zagrożenie przelania łez minęło. Na jakiś czas.



W letni wieczór w dzień powszedni kościół był prawie pusty. Nieliczni wierni rozproszyli się po świątyni, chowając w zakamarkach starych dębowych ławek. Renata chłoneła spokój i ciszę tego miejsca. Zatrzymanie w środku pędzącego miasta. Lubiała tu przyjeżdżać i chociaż to nie była jej parafia, dobrze się czuła w tym kościele. Tak znajomo. Tak u siebie. Kościół pod wezwaniem Nawrócenia Świętego Pawła pamiętał wiele pokoleń i był świadkiem wielu wydarzeń. Liczący ponad sześćset lat, chłodził murami i miał w sobie atmosferę skłaniającą do refleksji w obecności świętych, którzy czuwali nad tym miejscem, a w szczególności świętego Antoniego z Padwy, roztaczającego swoją opiekę nad wzywającymi go wiernymi.

Renata potrzebowała tego czasu tutaj, aby wszystko sobie poukładać i prze wartościować. Od wyjazdu dziewczynek minęło zaledwie kilka dni, a ona nie umiała sobie z tym poradzić. Z przerażeniem doszła do wniosku, że jest matką kwoką, której życie koncentruje się wokół dzieci. Przeżywała ich nastoletnie problemy jak swoje własne, interesowała się tym, czym one się zajmowały, i gdyby mogła, uczestniczyłaby we wszystkim, co ich dotyczy. Ona sama, jej małżeństwo, jej pasje i zainteresowania, wszystko było obok. Na pierwszym miejscu były dziewczynki, a jej zadaniem było czuwać nad nimi i stworzyć im bezpieczny, ciepły dom, w którym będą chciały przebywać. Dopóki dziewczynki były młodsze, to wszystko funkcjonowało bez zastrzeżeń. Była dla nich wyrocznią i pępkiem świata. Ale czas mijał, a wraz z nim zmieniały się jej córki. Już nie potrzebowały jej tak bardzo jak kiedyś, więcej czasu spędzały z rówieśnikami i domagały się — szczególnie Iga — prawa do zachowania choć odrobiny prywatności. Iga chciała mieć

teren zarezerwowany wyłącznie dla siebie. Często się jeżyła i wywieszała ostrzegawczą tabliczkę: Obcym wstęp wzbroniony. I niestety, dotyczyło to głównie rodziców. A Renata nie potrafiła już żyć inaczej. Zresztą chyba nigdy nie umiała. Odkąd wyszła za męża, najpierw koncentrowała się na Staszku i dogadaniu mu, jak na młodą żonę przystało. Potem całą uwagę przeniosła na kwilącą Igę i tak już zostało.

Monika wielokrotnie przestrzegała ją przed tym. Namawiała do zarezerwowania tylko dla siebie kawałek czasu i przestrzeni, aby potem Renata mogła się czegoś złapać, gdy zabraknie punktu odniesienia w postaci dzieci. Za każdym razem po takim kazaniu przyjaciółki Renata fukała na nią jak rozzłoszczona kotka, ale ziarenko wątpliwości gdzieś tam głęboko w niej zostawało. Nie było jednak na tyle silne, aby zmieniła swój sposób życia i swoje priorytety.

A dziś, wsłuchując się w czytania i słowa księdza, zaczynała się niepokoić, bo nie umiała się odnaleźć bez dziewczynek. I z przerażeniem myślała o chwili, kiedy obie opuszczą rodzinny dom na zawsze. Dziś jeszcze nie mogła sobie tego wyobrazić, ale świadomość, że prędzej czy później będzie musiała się z tym zmierzyć, była nieunikniona. Spokój tego miejsca koił, a Renata starała się wierzyć, że wyjdzie stąd silniejsza i z gotową receptą na życie.

Nabożną ciszę podniesienia przerwał uporczywy i zwielokrotniony echem grubych ścian dźwięk telefonu komórkowego, dochodzący z torebki starszej pani siedzącej w jednym z pierwszych rzędów. Ksiądz drgnął, ale kontynuował modlitwę. Renata obrzuciła kobietę spojrzeniem pełnym oburzenia i niesmaku. Podobnie uczynili pozostali wierni, a jeden z nich sięgnął do kieszeni spodni po swój telefon, aby na wszelki wypadek wyciszyć dzwonek. Starsza pani natomiast, zirytowana natrętnym dźwiękiem, wygrzebała telefon z torebki i niewiele myśląc, odebrała. W dostojnej ciszy kościoła rozbrzmiały głośne słowa:

— Basia? A skąd ty dzwonisz? Ja w kościele jestem, nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń za godzinę.

Basia po drugiej stronie zamilkła, starsza pani też. Wrzuciła telefon byle jak do torebki i powróciła do modlitwy. Renata kątem oka dostrzegła, jak klęczącemu przed nią mężczyźnie drgają ramiona. Ręką przysłonił sobie usta, aby nie parsknąć śmiechem. Ona sama była wściekła. Miała ochotę wyprowadzić starszą panią z kościoła za ucho, jak niegrzeczne dziecko, i wykrzyczeć jej, co sądzi o takim zachowaniu. A narzeka się na młodzież, która wbrew pozorom potrafi wyciszyć lub wyłączyć komórki w miejscach, gdzie ich dzwonek jest niewskazany.

Szła do przystanku wolnym krokiem, przypatrując się wystawom i ludziom oblegającym letnie ogródki. Pomimo wieczora było bardzo ciepło. Sweterek, który wzięła ze sobą, zwisał smętnie przewieszony przez ramię Renaty. Pustka ciążyła. Wciąż nie miała gotowego rozwiązania swoich dylematów i nadal nie wiedziała, czym wypełnić dni bez Staszka i dziewczynek.



— Chcem batonika! — Mały chłopiec, na oko czteroletni, stał przed półką ze słodyczami i patrząc z błyskiem złości na swoją mamę, tupał wściekle małą nóżką.

— Krzysiu, w domu masz czekoladkę i ciasteczka. I zobacz, o, kupiłam ci biszkopeciki, takie jak lubisz. Nie mam już pieniążków na batonika. — Młoda mama, jeszcze przed trzydziestką, starała się spokojnie odciągnąć synka od zaczarowanej półki. Jej głos był jeszcze spokojny, ale w jego lekkim drzeniu można było wyczuć pierwsze ślady paniki.

— Nie chcem biskopcika! Chcem batonika! — Krzyś był stanowczy i nieugięty.

— Syneczku, te batoniki są z nadzieniem, które nie będzie ci smakowało. Ugryziesz raz i zostawisz. Chodź, proszę, musimy zapłacić za to, co mamy w koszyku. — Kobieta wyciągnęła do chłopca rękę, ale Krzyś zupełnie to zignorował.

— Chcem batonika! — powtarzał, wpatrzony w jeden punkt jak zahipnotyzowany. — Chcem batonika! Chcem batonika! Chcem batonika! — dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów do tupnięć dołączyła już druga noga i ton głosu, który zaczynał wzrastać.

Renata obserwowała całą tę scenę z ciekawością, kto zmięknie. Silna osobowość Krzysia wydawała się nie do pokonania, ale stanowczość i, jak dotąd, spokój jego mamy też robiły na niej wrażenie. Ona sama już dawno by się poddała i zatkała dziewczynom buzię tym nieszczęsnym batonikiem, aby tylko uniknąć podobnych scen. Mama Krzysia przyjęła inną taktykę i Renata bardzo ją w tym dopingowała. Wyminęła synka, dorzuciła do koszyka jakieś przyprawy leżące po drodze i skierowała się do kasy. Krzyś zerkał na mamę raz po raz, chcąc sprawdzić, jaki efekt przyniesie jego głośne domaganie się o swoje. Widząc, że mama nie reaguje, usiadł na ziemi i zaczął głośno płakać. Zadziwiające było jednak to, że oczy chłopca pozostały suche.

Renata uśmiechnęła się do młodej mamy, chcąc jej dodać otuchy. Kobieta zarumieniła się i niepewnie odwzajemniła uśmiech.

— Babcia nauczyła go, że natychmiast dostaje wszystko, co chce. Mamy z tym duży problem — powiedziała tonem usprawiedliwienia. — Najgorzej jest w dużych centrach handlowych. Unikamy ich z mężem jak ognia. Nie dość, że więcej pokus, to do tego ludzie patrzą na mnie jak na wyrodną matkę, bo odmawiam dziecku czegoś, co kosztuje grosze. A mnie chodzi o zasadę, to przecież nie ze skąpstwa, bo dla niego i tak wyrzekamy się wielu rzeczy. — Spojrzała na Renatę, szukając w jej oczach zrozumienia.

— Bardzo dobrze wychowuje pani syna. — Renata popatrzyła na twarz kobiety i jej zarumienione zakłopotaniem policzki. — Nie można dziecku ulegać

we wszystkim, bo będzie to skutecznie wykorzystywać przez całe życie. Im będzie starszy, tym więcej będzie żądał.

Kobieta pokiwała głową i sięgnęła po portfel. Nagle w tym sklepowym zgiełku i hałasie zawodzącego chłopca dał się słyszeć donośny głos Melanii, która stała przy drzwiach i wyglądała ciekawie na zewnątrz.

— Ludzie kochani, Święty Mikołaj pod świerkiem stoi i grzecznym dzieciom cukierki rozdaje! O, pomachał do mnie! — Melania odmachnęła gdzieś w pustą przestrzeń, nie odrywając wzroku od iglastego drzewa, na które patrzyła.

Płacz w głębi sklepu ustał i nagle zrobiło się nienaturalnie cicho. Po chwili słychać już było tupot małych stópek, a chłopiec odepchnął Melanię zagradzającą wejście do sklepu i wypadł na zewnątrz. Tuż za nim wybiegła mama, po drodze chowając portmonetkę do przewieszanej przez ramię torebki.

— No i problem usunięty ze sklepu. — Melania westchnęła teatralnie i spojrzała na Renatę z wesołymi iskierkami w oczach.

— Teraz będzie wył przed sklepem, że mu zacny staruszek zniknął i nie zostawił ani jednego cukierka.

— Ale stamtąd już zawsze parę kroków bliżej do domu niż ze sklepu. A poza tym na dworze łatwiej dzieciaka zagadać. Wystarczy zabrać go na plac zabaw i już nie pamięta o awanturze, którą przed chwilą urządził.

Renata wyjrzała ciekawie przez okno i przyznała rację mądrości Melanii. Krzysio maszerował z mamą za rączkę w stronę pobliskiego placu zabaw. Co jakiś czas oglądał się jeszcze za siebie, wypatrując czerwonej, pękatej postaci, ale już wkrótce widok huśtawek i drabinek zrekompensował mu brak batonika i Świętego Mikołaja.

— Jak ty to robisz, Melu? — Renata spojrzała na koleżankę z wielką życzliwością i niekłamany podziwem.

— Nie zapominaj, że całe życie pracowałam z dziećmi. W sklepie jestem dopiero drugi miesiąc.

— Ale świetnie sobie radzisz, a klienci cię uwielbiają.

— Bo ja lubię ludzi. — Melania rozświeciła się w uśmiechu. — I lubię z nimi rozmawiać. A ludzie potrzebują uwagi, szczególnie ci starsi i samotni. O, o wilku mowa. — Wskazała na zbliżającą się do sklepu postać. — Pani Aniela do nas wędruje. O, i pan Antoni drepcze ze swoją laseczką.

Renata spojrzała na zegarek.

— Jak zawsze punktualnie o jedenastej. Według pana Antoniego to zegarki można nastawiać.

Przez szesnaście lat pracy w tym samym miejscu Renata znała już plan sklepowego dnia wielu klientów i w większości przypadków wiedziała, kogo i o której oczekiwać. Wystrój sklepu się zmieniał, zmieniały się pracujące z nią koleżanki, ale klienci pozostawali w zasadzie niezmiennie ci sami. Dzieci dorastały na jej

oczach, starsze pokolenie powoli się wykruszało, a codzienne problemy i troski trwały nieprzerwanie od lat. Pan Antoni był z nią od początku. Codziennie przychodził o jedenastej i codziennie kupował połówkę takiego samego chleba.

— Witam panią Renatkę — uklonił się szarmancko, drżącymi rękoma chwycił koszyk i drobnymi, ostrożnymi krokami zagłębił się w labiryncie sklepowych półek.

Do Renaty podeszła pani Aniela i ostrożnie położyła na ladzie dokładnie odliczoną sumę pieniędzy. Honorowy dług, który zawsze spłacała. Renata zauważyła, że pomarszczona twarz starszej kobiety promieniała dziś dawno niespotykanym blaskiem.

— Pani Mela będzie tak dobra, że mi z koszykiem po sklepie obleci i zakupów nawładza. Bo mnie to już tak coraz ciężiej z tym chodzeniem. — Pani Aniela cicho westchnęła, ale jej radosne oczy pozostały roześmiane. — Wnuczka z mężem do mnie na parę dni przyjeżdża. Z prawnikiem. On już trzy latka ma, a ja go ostatnio widziałam, jak jeszcze taki maciupki, w wózeczku był. Ale zdjęcia na bieżąco Agatka wysyła. Tak się cieszę, pani Reniu, bo i wnuczki dawno nie widziałam, i tego małego to prawie nie znam. Oni w Szwecji mieszkają. Mąż wnuczki ma tam pracę, to i wracać tutaj nie mają po co. Zresztą nawet nie mają gdzie, bo zaraz po ślubie wyjechali.

— A po polsku ten mały rozumie? — Melania postawiła przed panią Aniela żółty koszyk, wypakowany delikatesami.

— A co ma nie rozumieć? — Pani Aniela spojrzała na nią z wdzięcznością. — Przecież to polskie dziecko, pani Melu. Dziękuję ci, złociutka, za te zakupy. Wszystko z kartki jest? Rozczytała mnie pani? Bo mnie to i długopis już utrzymać ciężko, wie pani, ten reumatyzm...

— Wszystko rozczytałam, nie ma za co dziękować, pani Anieliu. Tylko jak pani to wszystko do domu zanieś? Przecież to ciężkie.

— A tu mam taką sprytną torbę na zakupy na kółeczkach, to za sobą pociągnę, a jeszcze się na rączce mogę oprzeć, jak mi się w głowie zakręci. A pod blokiem to mi ktoś z sąsiadów pomoże. Życzliwi ludzie tam mieszkają.

Melania skinęła głową i stanęła przy pani Anieli, aby pomóc jej spakować te frykasy w torbę na kółeczkach, a Renata ostrożnie wyjmowała produkty z koszyka i nabijała na kasę. Naprawdę dużo tego było. Warzywa, trochę owoców, pieczywo, masło zwykłe i roślinne, trzy rodzaje wędliny, cztery udka, mleko, dwa kefiry, kasza, ryż i makaron, herbata i słodczyce. Monotonne „pip” dobijało kolejne cyferki do rosnącej sumy, a Renata wiedziała, że radość z przyjazdu wnuczki musi w tym miesiącu wystarczyć pani Anieli i wyjść na zdrowie, bo leków na pewno w lipcu wykupić jej się nie uda. A żyć trzeba...

— A cóż to pani się tak rozszalała, droga pani Anieliu? — Pan Antoni dołączył do kolejki przed kasą ze swoim chlebkiem i zsiadłym mlekiem.

— Wnuczka przyjeżdża, to i ugościć trzeba — uśmiechnęła się pani Aniela, patrząc życzliwie na sąsiada.

— Pewnie chce, żeby mieszkanie jej pani zapisała. — Pan Antoni postawił koszyk na ladzie i podparł się na swojej laseczce.

Pani Aniela machnęła lekceważąco ręką.

— Mieszkanie już dawno jej zapisałam. Przecież do grobu ze sobą nie zabiorę. A pan to w zwykłą dobroć i bezinteresowność człowieka nie wierzy?

— Syn mnie oduczył, droga pani — zauważył pan Antoni zgryźliwie. — A masło to niepotrzebnie pani tutaj brała, bo w Realu jest o złotówkę taniej. I na sery też w tym tygodniu mają promocję. A kurczak to w Lidlu do szesnastego jest tańszy. I jeszcze przyprawę gratis do niego dodają.

— A gdzieżby mi się tak chciało latać po tych sklepach, panie Antoni — obruszyła się pani Aniela. — Dla mnie pójść po leki na Narutowicza to cała wyprawa.

— A co ma pani innego do roboty? — Pan Antoni koniecznie chciał przekonać sąsiadkę do swojej filozofii. — Ja to, droga pani, wstaję o siódmej i po śniadaniu już na targ jadę. Tam zawsze warzywa świeże i tanio też wybrać można. O dziewiątej wsiadam w autobus i jadę do supermarketu, w zależności od tego, gdzie promocja. A o jedenastej już jestem tutaj. A teraz wrócę do domu i kawkę sobie wypiję. W Tesco była ostatnio w promocji. Dzięki temu zawsze parę groszy zaoszczędzę.

— Akurat dla syna więcej zostanie — zauważyła zgryźliwie Melania. Pan Antoni nic nie odpowiedział, obrzucił tylko Melanię ponurym spojrzeniem, sięgnął po swoją siateczkę, ukłonił się grzecznie Renacie i pani Anieli i wyszedł ze sklepu.

— Samotny mężczyzna bez kobiety gnuśnieje — zawyrokowała Melania, odprowadzając wzrokiem drobną postać pana Antoniego, czule przytulającego prawą dłońią swoją laseczkę.

— A samotna kobieta bez mężczyzny to tylko o chorobach gada i wsłuchuje się, gdzie ją boli — dopowiedziała pani Aniela, wsypując do portfela złote monety pozostałe z reszty. — Z chłopem źle, ale bez chłopca jeszcze gorzej — powiedziała, uśmiechnęła się na do widzenia i wyszła, ciągnąc za sobą wypakowany siatko-wózek.

Renata westchnęła ciężko i pomyślała, że pani Aniela ma świętą rację. Samotność bolała. Dotkliwie.



Przedpołudnie bez dziewczynek przeciekało Renacie między palcami. Minuty spletały się leniwie w godziny, które zmierzały donikąd, a ona błąkała się po mieszkaniu i jedyne, co musiała zrobić, to wyprowadzić psa i zdążyć do pracy na trzynastą trzydzieści. Obiadu nie ugotowała, bo nie była głodna, a zresztą nie

miała dla kogo. W domu panował lekki bałagan, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Doszła do wniosku, że nie mieszka w muzeum, a obie pociechy, dla których taki przykład byłby bardzo niepedagogiczny, znajdowały się daleko stąd, więc Renata mogła wrzucić na luz. Trochę lenistwa i rozmemłania należało się i jej.

Zasiadała właśnie z kawą na swoim ulubionym miejscu w jasnej kuchni, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz komórki i uśmiechnęła się. Monika.

— Masz chyba jakiś radar, bo właśnie zrobiłam sobie kawę, ale brakuje mi towarzystwa — zaczęła.

Głos przyjaciółki po drugiej stronie Polski tryskał entuzjazmem.

— To dobrze, bo będzie długo. Ja też siedzę przy kawie i zamierzam szczegółowo ci opisać gdzie. Zamknij oczy. — Renata posłusznie wykonała polecenie przyjaciółki. — I wyobraź sobie zaczarowany ogród, do którego wchodzisz przez ukrytą w żywopłocie furtkę. Prowadzi cię ona przez szpaler jałowców, pośród których biegnie wyłożona kostką ścieżka. Dochodzisz nią do wejścia, z którego dachu zwisają różowe i burgundowe dzwoneczki fuksji i czerwona, drobna pelargonia. Po lewej stronie masz taras wyłożony lustrzanymi płytkami. Tutaj właśnie siedzę w tym momencie. Zapadam się w wygodnym miękkim fotelu, przede mną na stole stoi aromatyczna, mocna kawa, a ja chłonę piękno tego miejsca i czuję, jak odpoczywam. Przy mnie, tuż na wyciągnięcie ręki stoją wielkie donice, z których zwisają drobnutki surfinie, bidens z drobnymi, małymi kwiatuśkami, a nad nimi króluje ciemnoróżowa begonia. Po drewnianych kratkach wspina się kolorowy klematis, a nieco dalej panoszy się barwinek, kwitnący na żółto pięciornik gęsi, pnąca hortensja, w tej chwili przekwitła, i drzewka, które wsiady się tutaj bez zaproszenia, ale pozostały i pięknie prowadzone komponują się z całością i cieszą oko — jesion, klon, wierzba, jarzębina, a nawet ciekawa odmiana mirabelki. Jak dodam do tego jeszcze bzy, forsycję, świerki, rdest ptasi oplątany wokół latarni, wiciokrzew, rozłożyste paprocie otoczone przez bratki, aksamitki, gardenię i dzwonki, rząd czerwonych róż, a nawet tymianek i dekoracyjne drzewko oliwne o lekko popielatych liściach... — Monika na chwilę zawiesiła głos — to uznasz, że jesteś w raju. Ja przynajmniej tak się czuję — dokończyła.

Renata jęknęła.

— Za dwie godziny muszę iść do pracy, a ty mi takie rzeczy opowiadasz? — powiedziała do przyjaciółki z wyrzutem.

— To naprawdę bajeczne miejsce na urlop i odpoczynek. Zapominasz o wszystkim, nawet o tym, że syn ci się zakochał.

Renata upiła łyk kawy, oparła stopy o leżącego pod stołem Teodora i rozmazana wyjrzała przez okno.

— Powiedz coś jeszcze. Wyobraźnia zaczyna mi pracować, może mi humor poprawisz.

— Tęsknisz? — Monika w zasadzie nie musiała pytać. Słyszała to dobrze

w głosie przyjaciółki.

— Jak szalona. Czuję się tak, jakby mi zabrakło powietrza.

— Już dawno ci mówiłam, że jesteś uzależniona.

— Kontynuuj — ucięła krótko Renata. — Skończyłaś na tym, że syn ci się zakochał.

Monika westchnęła i powróciła do swojej opowieści.

— Mówię ci, Renia, ośrodek bajka, a miejscowość malutka, spokojna, z szeroką plażą, na której nawet nie bardzo musisz się bić o miejsce, białym piaskiem i morzem o zmiennych nastrojach i barwach. Do tego rozkrzyczane mewy, które uwielbiam, a jak przejdiesz się trochę dalej, to nawet i kormorany.

Renata wydała z siebie przeciągły jęk.

— Błagam, dość! Jak jeszcze trochę pokusisz, to wsiądę z Teodorem w pociąg i jutro będziemy razem z wami pławić się w luksusie. Córkę mi rozpuścisz!

— Ma dość duże powodzenie wśród kelnerów. — Renata wyraźnie usłyszała rozbawienie w głosie Moniki.

— Nie chcę nic o tym wiedzieć! Mam tylko nadzieję, że dostatecznie ją pilnujesz.

— Nic się nie martw, Renatka, wróci cała i zdrowa. A do tego wypoczęta i opalona.

— Zazdroszczę wam — powiedziała cicho Renata.

— No dobra. — Monika wyczuła przygnębienie przyjaciółki. — To teraz posłuchaj mnie, Grońska, masz czas na to, aby pokochać i porozpieszczać siebie. Nie siedź całymi wieczorami przed telewizorem, tylko idź na długi spacer z psem, poczytaj ciekawą książkę, na którą nigdy nie masz czasu, posłuchaj fajnej muzyki, póki masz ciszę w domu. Nie myśl przez cały czas o dziewczynach, tylko zadbaj o siebie. One kiedyś odejdą, Renia, a ty zostaniesz z pustką i samotnością. Zaczynj wypełniać ją już teraz, bo potem się nie pozbierasz.

Wiedziała, że Monika ma rację, ale to wcale nie było takie proste, przynajmniej dla niej.

— Uściskaj ode mnie Igę — powiedziała cicho. Chciała zakończyć tę rozmowę, bo coraz bardziej się rozklejała.

— Uściskam, jak ją spotkam. Widuję dzieciaki jedynie na posiłkach, ale to świadczy o tym, że chyba dobrze się tutaj czują. To pa, Renia. I pamiętaj, pokochaj siebie.

— Pa! Odpoczywajcie. Postaram się nie dzwonić za często.

— A dzwoń sobie, dzwoń. Najwyżej nie odbiorę.

To była cała Monika. Po chwili w uszach Renaty brzęczał już tylko urywany sygnał, oznaczający koniec rozmowy. Zajrzała w filiżankę i ze zdziwieniem dostrzegła, że wypila całą kawę, słuchając Moniki. Wstała od stołu i wstawiła

brudne naczynie do zlewu. Pasek od szlafroka, który wciąż miała na sobie, wysunął się z luźnego supła i przejechał po podłodze, intrygując Teodora.

Dzwonek do drzwi był ostatnią rzeczą, której Renata pragnęła, wiedziała jednak, że prędzej czy później będzie musiała zareagować. Stała w przedpokoju z ujadającym przy jej nodze psem i otworzyła drzwi.

— Dlaczego on robi tyle hałasu? — starsza wersja Renaty, parę kilogramów pulchniejsza i z popielatymi włosami, weszła do mieszkania tak naturalnie, jakby była u siebie. — A co ty jesteś taka rozmemłana? Przecież to już prawie południe, a ty się jeszcze nie ubrałaś?

Renata kochała swoją matkę, ale nie znosiła, kiedy Helena traktowała ją tak, jak ona swoje nastoletnie córki.

— Nigdzie mi się nie spieszy, a dla Teodora stroić się przecież nie będę — odpowiedziała lekko rozzłoszczona, całując matkę w policzek.

— Dla siebie samej powinnaś to robić, bez względu na to, czy wychodzisz do ludzi, czy siedzisz sama w domu. Mój Boże, niech ten Staszek wraca, bo zupełnie zdiczejesz.

— Mamo, on dopiero co pojechał! I tak prędko nie wróci.

Helena westchnęła i spojrzała na córkę z nieukrywaną troską.

— Masz jakiś obiad na dzisiaj czy postanowiłaś się zagłodzić, jak już twoje dzieci wyjechały?

— Dla jednej osoby nie opłaca się gotować — odburknęła Renata, zmierzając do łazienki, w której planowała się na jakiś czas schować.

— Jakbym wyznawała tę filozofię, już dawno umarłabym z głodu. — Helena nie była łatwym przeciwnikiem, a jej przenikliwość zdumiewała Renatę od czasu, gdy była dzieckiem. — Idź się ogarnij i zrób coś z twarzą, bo straszysz. Ja się tu trochę rozejrzę.

— Tylko nic mi nie sprzątaj! — krzyknęła Renata, znikając w łazience.

Helena pokręciła z dezaprobatą głową, odgoniła psa, który plątał jej się pod nogami, i zaczęła rekonesans od kuchni, przeglądając zawartość lodówki i szafek. Kiedy pół godziny później Renata ubrana i z lekkim makijażem wyszła z łazienki, w garnku na parze gotowała się ryba i kilka młodych ziemniaczków. Teodor, z nosem uniesionym w górę, nie odstępował starszej pani ani o krok.

— Coś tam w tej lodówce znalazłam. — Helena obrzuciła córkę uważnym spojrzeniem.

— Mamo, zaraz wychodzę do pracy, nie zdążę zjeść.

— Zdążysz. Ty zjesz obiad, a ja wyprowadzę twojego psa. Musisz mi jeszcze pokazać, jak schować tego zwierzaka w tej klatce.

Renata wyraziła w jednym spojrzeniu całą wdzięczność dla matki, dla której bez względu na wiek na zawsze pozostanie dzieckiem.

— Posiedzisz z nim trochę? Serce mi pęka, jak muszę go zostawiać samego

na tyle godzin.

— Posiedzę. I tak nie mam nic ciekawszego do roboty. Dziewczynki się porozjeżdżały, uniwersytet zawiesił zajęcia na czas wakacji, a ty jesteś wciąż w pracy. Przynajmniej tym psem się trochę poopiekuję.

Renata poczuła unoszący się znad garnka zapach ryby i stwierdziła, że jednak jest trochę głodna.

— Wiesz, że zaczęłam już jazdy? — Wyjęła z dolnej szafki dwa talerze i postawiła obok siebie na stole. Obok nich ułożyła sztućce.

— To dobrze, że w końcu się za to wzięłaś. Kobieta powinna być niezależna, a praca i samochód doskonale jej w tym pomagają.

— Zupełnie jakbym słyszała Monikę — mruknęła Renata, nie patrząc na matkę.

— Słuchaj jej, bo jest mądra i wie, czego chce od życia.

Renata zauważyła, że wraz z Heleną do jej mieszkania powracał spokój i harmonia. Matka była tą osobą, która nie pozwalała jej na roztapianie się we własnych smutkach, tylko zmuszała do nieustannej pracy nad sobą. Dziewczynki za babcią przepadały, a Renata była czasami o tę ich miłość zazdrosna, bo jej stawiały warunki, a babcię przyjmowały bez zastrzeżeń. Ale i dla Renaty matka była skałą, na której wznosiło się całe jej życie. Po śmierci ojca, siedem lat temu, Renata miała wrażenie, że Helena już się nie podniesie, że zgaśnie i nic nie zaspokoi tej potrzeby trwania przy kimś, nawet bez wielkich porywów i uniesień. Helena jednak, pomimo wielkiego przywiązania do męża, potrafiła sobie ten samotny świat uporządkować, odkrywając w sobie niespełnione pasje i nowe możliwości, jakimi okazał się działający przy Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej Uniwersytet Trzeciego Wieku. Renata była pełna podziwu dla matki i cieszyła się z tego wyjścia Heleny do ludzi, ona sama jednak była typową domatorką i najlepiej czuła się wśród bliskich.

A dziś, w ciągu jednego przedpołudnia, aż dwie osoby powiedziały jej, że musi spojrzeć na siebie łaskawiej i dać szansę możliwościom, które jeszcze nie przepadły. Pytanie tylko, czy ona sama naprawdę tego chciała i czy była na to gotowa.



Upał na zewnątrz dawał się porządnie we znaki, ale przyjemnie schłodzone powietrze w sklepie sprzyjało zakupom. Najszybciej schodziły lody i zimne napoje. Melania raz po raz musiała uzupełniać zawartość lodówek, bo pustoszały w zaskakującym tempie. Grzegorz Lewandowski, właściciel kilku małych osiedlowych delikatesów, tylko zacierał ręce z radości, a magazyny w hurtowniach wód świeciły pustkami, bo towar schodził na bieżąco. Idąc za ciosem i potrzebą rynku, Grzegorz zarządził, że na czas letni wszystkie jego delikatesy wydłużają pracę o godzinę,

o czym z uśmiechem poinformował pracujące panie. A potem przejrzał faktury, rzucił okiem na sklep jak pan na swoje włości i odjechał z piskiem opon swoim audi schłodzić się gdzieś nad jeziorem.

Renata zastanawiała się właśnie, jak Teodor zniesie kolejną godzinę samotności i czy wytrzyma z siusianiem, kiedy do sklepu wpadła Furia. Żaneta Tarnowska-Przybysz miała dziś na sobie bardzo krótką koronkową sukienkę w kolorze bladego różu i lekki makijaż. Jej długie, luźno puszczone włosy blond podtrzymywały markowe okulary przeciwsłoneczne, precyzyjnie nałożone na czubku głowy, a czerwone paznokcie z daleka przyciągały wzrok, tym bardziej że w wyciągniętej przed siebie ręce trzymała palcem wskazującym i kciukiem woreczek z plasterkami jakiejś wędliny w środku.

— Co to jest? — spytała oskarżycielsko i zamaszystym krokiem podeszła do Renaty, zamykającej właśnie kasę. Pani Tarnowska-Przybysz położyła z obrzydzeniem woreczek na ladzie i stuknęła w niego palcem.

Renata aż się wzdrygnęła. Z trudem oderwała wzrok od krwistoczerwonego paznokcia i spojrzała na zawartość woreczka i przyklejoną do niego etykietę.

— To jest, proszę pani, wędlina. Bardzo dobra szynka, z górnej półki.

— No przecież widzę! — fuknęła Żaneta jak rozzłoszczona kotka. — Ale to jest, droga pani Reniu, skandal! Ja wiem, że to ona — machnęła ręką w stronę stoiska, na którym Kasia obsługiwała klientkę, zerkając ciekawie na panią mecenasową. — To ta młoda Jasiowi to sprzedawała! Przecież on się w ogóle do zakupów nie nadaje! Starego koguta mu pani wciśnie, a on wróci do domu i z radością oznajmi, że kupił tłustą kaczkę!

— Ale ta szynka jest naprawdę bardzo dobra i świeża, bo schodzi na bieżąco — odpowiedziała Renata niepewnym głosem. Zupełnie nie rozumiała, w czym tkwił problem i co tak oburzyło panią mecenasową Tarnowską-Przybysz. — Sama kupuję ją moim dzieciom — dodała, ale po chwili tego pożałowała, bo Żaneta spojrzała na nią tak, jakby powiedziała, że jada koty.

— No, tego się po pani nie spodziewałam! — wykrzyknęła Żaneta, ściągając na siebie spojrzenia znajdujących się w sklepie klientów. — Bo że ta młoda — machnięcie w stronę Kasi — to rozumiem, ale pani?! Szynkę z bobra?! Takiego milutkiego, futrzastego stworzenia? Kto to w ogóle dopuścił do obrotu? Przecież to powinno być zabronione!

Renata z trudem zachowywała powagę. Ramiona zaczęły jej drżeć w powstrzymanym spazmie śmiechu i bała się, że jeśli tylko się odezwie, aby wytłumaczyć pani mecenasowej nieporozumienie, to nie zapanuje nad sobą, tylko parsknie jej prosto w upudrowany nos. Rozpaczliwie zamachała rękami w stronę Kasi, ale na szczęście uratowała ją Melania.

— Pani Żanetko, to nie jest szynka z bobra, tylko szynka z Bo-brow-nik. — Ostatnie słowo Melania wypowiedziała bardzo wyraźnie, dzieląc je na sylaby. —

Tak się nazywa. Z Bobrownik. Mamy jeszcze krakowską z Bobrownik, też wyjątkowo dobra. Nasi klienci bardzo lubią tę wędlinę. Jedna z niewielu szynek, która nie jest napompowana wodą z konserwantami.

Żaneta pochyliła się ostrożnie nad woreczkiem i spojrzała uważnie na etykietę.

— Ale kiedy tu jest napisane „Szynka z bobra” — powiedziała już znacznie ciszej.

— Szynka z Bobro. — Melania włożyła okulary, które miała zawieszona na łańcuszku na szyi, i przeczytała, wskazując palcem: — Bobro. Kończy się na „o”. Cała nazwa nie mieści się na wydruku, ale w witrynie jest poprawnie napisane. Nie mamy wędliny z bobra, może być pani pewna. A pan mecenas świetnie sobie radzi z zakupami, naprawdę. — Melania poklepała Żanetę po ramieniu i wróciła do lodówki z napojami.

Żaneta Tarnowska-Przybysz chwyciła woreczek w dłoń i szybkim krokiem wyszła ze sklepu. Stukot jej szpilek ucichł tuż za zamkniętymi drzwiami.

Renata dopiero teraz odważyła się spojrzeć na Kasię. Gdy dwa odcienie zieleni się spotkały, obie kobiety wybuchnęły śmiechem, nad którym długo nie mogły zapanować.



Powietrze stało nieporuszone nawet łagodnym wietrzykiem, a rozgrzane upałem wciskało się do otwartych na przestrzał okien i drzwi balkonowych. Renata przewracała się z boku na bok, próbując zasnąć, ale gorąco panujące w mieszkaniu powodowało, że serce kołatało jak szalone, a sen nie nadchodził. Do tego odgłosy młodzieżowej imprezy, dobiegające z sąsiedniego wieżowca, w ciszy uśpionego osiedla potęgowały się i były tak wyraźne, że Renata była w stanie rozróżnić niemal każde słowo, przy czym niestety przeważały te niecenzuralne. Odrzucona kołdra leżała zwinięta w kłębek na miejscu Staszka, a w głowie Renaty zaczynała odzywać się natarczywa myśl, że jeśli nie zaśnie przed północą, jutro w pracy będzie nieprzytomna. Świadomość, że musi wstać rano o czwartej trzydzieści, i że wskazówka nieubłaganie zbliża się do dwunastej, a ona wciąż nie śpi, nie pomagała. Wręcz przeciwnie, to było jak błędne koło. Im bardziej Renata chciała zatopić się w ramionach Morfeusza, odcinając wszystkie bodźce, tym dalej był sen przynoszący odpoczynek i ukojenie.

Teodor raz po raz zmieniał miejsce, szukając przyjemnego chłodu, który dawała terakota lub balkon. Odgłos jego kroków rozpraszał Renatę, a wściekłość na cały świat narastała.

— Macieeeeek się żeeeni! Ludzie, słyszycie? Macieeeeek się żeeeniii! — Donośny, męski głos niósł się głośnym echem po osiedlu, a towarzyszące mu dziewczęce piski i chichoty potęgowały hałas, który obudził już chyba wszystkich miesz-

kańców okolicznych bloków. Tej jednej nocy Renata żałowała, że nie jest głucha jak babcia Staszka, która słyszała tylko to, co sama chciała usłyszeć.

— Macieeeeek się żeeeniii! Ludzie, dlaczego wy śpicie, skoro Macieeeeek się żeeeniii?

— A musi to robić tak głośno? — odkrzyknął ktoś z bloku Renaty. — I do tego informować o tym całe osiedle?

Z balkonów sąsiadujących z mieszkaniem Renaty zaczęły dobiegać ciche poszemrywania i szuranie stóp, co świadczyło o tym, że niefrasobliwi goście Maćka zdołali już postawić na nogi wielu rozzłoszczonych mieszkańców.

— Kaziu, no zadzwońże na policję, przecież tu się spać nie da. — Renata usłyszała głos sąsiadki zza ściany.

— A dlaczego to ja mam dzwonić? — zaperzył się pan Kazio. — Przecież nie tylko ja ich słyszę, tylu innych ludzi tu mieszka, niech ktoś inny zadzwoni.

— Ale zlituj się, Kaziu. Każdy tak myśli i skutek jest taki, że nikt nie dzwoni, tylko ogląda się na innych.

— Sama zadzwoń, jak tak bardzo chcesz.

— Właśnie, że zadzwonię! — głos sąsiadki zabrzmiał bardzo stanowczo i po chwili Renata usłyszała jej głośne kroki opuszczające balkon.

Tymczasem impreza trwała nieprzerwanie, muzyka ryczała, a młodzież wtórowała jej w najlepsze. Około pół godziny po ożywionej rozmowie sąsiadów na balkonie Renata usłyszała sygnał podjeżdżającego radiowozu, a potem wzajemne przekrzykiwanie się władzy i imprezowiczów. Na skutek interwencji muzyka znacznie przycichła, młodzież opuściła balkon i pochowała się w środku mieszkania Maćka czy któregoś z jego kolegów, a Renata nie mogła teraz przyzwyczaić się do ciszy, która zapadła za oknem. Zastanawiając się nad tym, czy po tej nocy Maciek aby na pewno się ożeni, zapadła w sen.



Obudził ją natarczywy dzwonek telefonu brzęczący tuż przy jej głowie. Nieprzytomna ze zmęczenia wymacała ręką leżącą na poduszce Staszka komórkę i spod zmrużonych powiek spojrzała na wyświetlacz. Praca? Dzwoniła do niej pani Halinka?

— Słucham? — wychrypiała jeszcze zaspanym głosem.

— Renatko kochana, od godziny powinnaś być w pracy, a tu ani ciebie, ani żadnej wiadomości. Niepokoiśmy się. Wszystko u ciebie w porządku? — W głosie pani Halinki Renata wyczuła prawdziwą troskę.

— A przepraszam — spytała nieśmiało, zaraz po tym jak po drugiej stronie słuchawki zapadła oczekująca wyjaśnienia cisza. — Która jest godzina?

— Siódma, Reniu. A ty dzisiaj powinnaś mieć pierwszą zmianę.

Dopiero teraz Renata dostrzegła ostre promienie słońca wędrującego już

dość wysoko po niebie i jęknęła z bezsilności.

— Przepraszam, zasnęłam. Młodzież na osiedlu balowała prawie do świtu, nie mogłam spać, a jak już zasnąłam, zupełnie nie słyszałam budzika. Jak kamień.

— Nie tylko budzika, Renatko, bo Kasia wydzwaniała już od szóstej.

— Przepraszam. — Renata jak zacięta powtarzała wciąż to jedno słowo. — Zaraz przyjadę, tylko się ubiorę i wyjdę z psem — wyszeptała drżącym i bliskim płaczem głosem.

— Nigdzie nie przyjeżdżaj — głos pani Halinki zabrzmiał stanowczo. — Ściągniemy tę młodą Anetkę, ona mieszka tuż przy sklepie. Damy sobie dzisiaj radę bez ciebie, Renatko, ale weźmiesz dyżur jutro i w niedzielę, dobrze?

— Dobrze. Dziękuję, pani kierowniczo.

— No to wyśpij się dzisiaj porządnie i odpocznij. A jutro rano jesteś w pracy, tak?

— Tak. Dziękuję. I jeszcze raz przepraszam.

Pani Halinka rozłączyła się, a przy uchu Renaty pozostał przerywany sygnał skończonej rozmowy. Odłożyła komórkę, rzucając ją niedbale na łóżko, i opadła na poduszkę. Zasnęła. Nie mogła w to uwierzyć! Nigdy dotąd nic takiego jej się nie przydarzyło. Parę razy spóźniła się do pracy, ale było to w zimie, kiedy śnieżycy sparaliżowała całe miasto, a zima jak zwykle zaskoczyła drogowców. Ale zasnęła? Nawet jak dziewczynki były małe i nie dosypiały po nocach, Renacie nigdy nie zdarzyło się zasnęła. Poczucie obowiązku zawsze u niej było silniejsze niż zmęczenie. Aż do dziś. Przez niefrasobliwego Maćka i jego rozwrzeszczanych gości Renata wyłączyła świadomość i odpłynęła w niebyt. I po raz pierwszy zaniepokoiła się. Czy to już ten wiek i jego prawa? I czy to będzie się zdarzało częściej? Czy to już taki czas, że własnemu organizmowi nie mogła zaufać?

Teodor położył swój duży łeb na kołdrze i trącił Renatę mokrym nosem, upominając się o spacer i pieszczotę. Dotknęła aksamitnego ucha, a potem, nieoczekiwanie dla siebie samej, przytuliła głowę do ciepłego łba psa. Tak bardzo tęskniła za obecnością drugiego człowieka. Za dużą dłonią Staszka i jego ciężkim ramieniem, którym obejmował ją władczo nawet podczas snu. Za jego donośnym głosem i spojrzeniem ciemnych oczu, w których zawsze potrafiła się odnaleźć. Tęskniła za rozgardiaszem i wiecznym tłokiem w domu, który nigdy nie milczał tak jak teraz. Za przekomarzaniem się dziewczynek, ich trzaskaniem drzwiami i dudniącą muzyką dobiegającą z ich pokoi. Za pielgrzymkami koleżanek odwiedzających Julię i za bałaganem, który musiała po nich sprzątać. Tęskniła za docinkami i żartami, fochami Igi i paplaniną Julki. I za mężczyzną. Za jego zapachem, nienasyceciem, ciągłym zagładaniem do lodówki i podjadaniem między posiłkami. Przeraził ją tęsknota za Staszkiem. I nie wiedziała, czy będzie na tyle dzielna i silna, aby pozwolić mu znowu wyjechać, kiedy tu do niej wróci na kilka dni w sierpniu.

Teodor stawał się coraz bardziej niecierpliwy, informując o tym Renatę pacnięciem łapą i jęzorem, którym złożył psi pocałunek na jej czole. Wytarła się z niesmakiem i wstała z łóżka, aby zacząć nowy samotny dzień spacerem z jedyną żywą istotą, która przy niej była.



— Jak to — zasnęłaś? Ty? Takie poczucie obowiązku aż do obrzydzenia i tak po prostu nie wstałaś rano do pracy? — w głosie Moniki słychać było autentyczne zdziwienie. Znała Renatę od lat i takie zachowanie było do przyjaciółki zupełnie niepodobne.

— No zasnęłam. Maciek się żenił i jego goście pół nocy się wydzierali, więc najzwyczajniej na świecie zasnęłam. Każdemu się zdarza — obruszyła się Renata, sięgając po truskawkę do miseczki znajdującej się na kuchennym stole.

— Każdemu może i tak, ale nie tobie, Renatka! A w ogóle to jaki Maciek? I czy ja o czymś nie wiem? Tak dosłownie wzięłaś sobie moje pouczające słowa do serca, że imprezę zrobiłaś?! I to dla małałatów?

— Oj, głupia jesteś — zachnęła się Renata. — Jakiś osiedłowy Maciek się żenił, wszystkich pobudził, pół nocy nie spałam, a jak już zasnęłam, to jak kamień. Ale ja nie chcę opowiadać o Maćku! — Renata machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. — Powiedz mi lepiej, co u Igi? Dała ci popalić?

— Mnie? — Głos Moniki był radosny i naładowany pozytywną energią. — Absolutnie! Przecież wiesz, że ona ubóstwia swoją matkę chrzestną. — Renata wiedziała, że mówiąc to, Monika się uśmiecha, a przy jej oczach pojawiają się cieniutkie pajęczynki, które tak lubiła w przyjaciółce, bo były samym ciepłem i dodawały urody, a nie lat.

— Wiem, wiem, ale dłuższy pobyt z Igą zawsze grozi wybuchem.

— Nie mamy czasu na wybuchy, za dużo się dzieje. Do obiadu i po obiedzie leżymy na plaży i nabieramy złotego koloru. Ciała zresztą też nabieramy przy tutejszej kuchni i szefowej. Po kolacji chodzimy na długie spacery brzegiem morza, najczęściej w stronę przekopu, to znaczy takiego miejsca tutaj, gdzie morze łączy się z jeziorem Bukowo. Wiesz, że tutaj są takie miejsca, gdzie masz plażę wyłącznie dla siebie? — podekscytowany głos Moniki powodował, że Renata naprawdę zaczynała zazdrościć własnej córce tego, że może tam być. — To miejsce jest niezemskie, Renia! Koniecznie musisz tu kiedyś przyjechać!

— Kiedyś... — westchnęła Renata, starając się, aby Monika nie usłyszała nuty melancholii w jej głosie. — A co z panną? — spytała ciekawie.

— No, powiem ci, że nie jest źle. Niegłupia ta panna i jakaś taka... — Monika próbowała znaleźć właściwe słowo — ...sympatyczna nawet. Od razu się z Igą dogadały i chyba spędzają razem więcej czasu niż panna z Antkiem. Ma na imię Justyna i jak patrzy na mojego syna, to robi takie maślane oczy, że... aż mi się

miło robi, że dla kogoś jest on tak samo ważny i drogocenny jak dla mnie.

— Za szybko przyszedł ten czas w naszym życiu, nie uważasz? — Renata bezwiednie zaczęła się bawić kosmykiem włosów, który uciekł z niedbale związanego kucyka. — Tylko patrzeć, a będę wybierała z Igą sukienkę ślubną dla niej.

— No coś ty, Renia! — fuknęła Monika. — Przecież oni zaczną dopiero klasę maturalną, daj im trochę pożyć, zasmakować życia i nie pakuj swojej córki w małżeństwo w wieku dwudziestu lat.

— Kiedy ja jej nigdzie nie pakuję. Po prostu... — Renata zawiesiła głos — tęsknię za nią i tyle.

— Renia... — Monika tym jednym słowem wypowiedzianym miękko chciała przyjaciółkę przytulić i schować w ramionach na kolejne, puste dni, których Renata nie potrafiła wykorzystać.

— Wiem, wiem, mam być dzielna i będę. Tylko... ten dzień dzisiaj jakiś taki popapwany. Nie mów Idze, że się rozkleiłam, dobrze?

— Okej, nie powiem, ale pod warunkiem, że się posklejasz do kupy. Wiesz, tobie też przydałby się urlop.

— Pomyślę o tym, ale bez Staszka i dziewczynek i tak nie odpocznę. Moni, ja kompletnie nie potrafię odnaleźć się bez nich.

— Nie będę dzisiaj z tobą o tym rozmawiać, ale przygotuj się na pogadankę, jak zbiorę myśli i argumenty. — Głos Moniki nabrął już swojego zwykłego, pewnego siebie tonu. — Dbaj o siebie, Renia. A jak będziesz miała doła, weź Teodora na spacer albo dzwoń do mnie. Tylko nie licz na to, że powiem ci to, co będziesz chciała usłyszeć. Pa!

— Pa!

Renata odłożyła telefon i przez chwilę trwała nieporuszona, patrząc na samochody przesuwające się leniwie po ruchliwej dwupasmówce. Rozmowa z Moniką, zamiast dodać energii, rozstroiła ją, podobnie jak cała poprzednia noc i ten dzień, który dostała w kłopotliwym prezencie, zupełnie nie wiedząc, co z nim zrobić. Samotność — wraz z jej ciszą, która zupełnie nie koła, tylko przeszkadzała — dokuczała Renacie i rozpraszała ją, kierując nieustannie myśli w stronę tych, za którymi tak strasznie tęskniła. Zmęczona stanem, którego miała już serdecznie dosyć, sięgnęła ponownie po komórkę i na wypukłych klawiszach swojej starej nokia wystukała: „Bardzo za tobą tęsknię”. Wysłany z lubelskiego osiedla esemes trafił chyba w londyńską próżnię. I odpowiedział Renacie jedynie dostojnym angielskim milczeniem.

Rozdział siódmy

LIPIEC

Melania od kilku dni chodziła jakaś zamyślona i jakby nieobecna. Renata obserwowała ją dyskretnie i zaczynała się niepokoić, bo rozmowna dotychczas Mela, która przystawała przy klientach na krótką, serdeczną pogawędkę i która codziennie piła herbatę w towarzystwie Renaty, od jakiegoś czasu wycofała się, zamknęła w sobie i błędziła po półkach nieobecnym wzrokiem.

— Zauważyłaś, że coś dziwnego dzieje się z Melą? — spytała Renata Kasię, gdy obie piły kawę w czasie przerwy, a Mela z panią Halinką przejęły sklep i klientów.

— No, jakby trochę zamilkła — odpowiedziała Kasia, odgryzając kawałek drożdżówki z jagodami, którą przechwyciła z dopiero co przywiezionej dostawy.

— Nie trochę, Kasiu, tylko zupełnie. Mela w ogóle z nikim nie rozmawia i do tego jakaś osowiała się zrobiła. Na pewno ma jakiś problem.

Kasia zamarła w bezruchu z drożdżówką, która zawisała gdzieś pomiędzy kubkiem z kawą a jej na wpół otwartymi ustami.

— Myślisz, że powinniśmy być wścibskie i spytać wprost, o co chodzi? — spytała ostrożnie, wpatrując się w Renatę jak w wyrocznię.

— Może nie wścibskie, ale... zatroskane?

— Ładnie to ujęłaś. — Kasia ponownie wgryzła się w jagodziankę i popiła łykiem ciepłej kawy. — Zawsze jak człowiek się wygada, to lepiej mu się robi i trochę lżej na duszy. A wiesz, że my tak właściwie niewiele o Meli wiemy?

— Jak to w pracy. — Renata wzruszyła ramionami. — Ludzie są ostrożni i nie bardzo chcą się otwierać, aby inni potem nie plotkowali za ich plecami. Ale Melę trzeba zapytać, może będziemy mogły coś zaradzić.

— Albo doradzić — dopowiedziała Kasia.

Zapytały. Renata zagadnęła ją w porze, gdy sklep pustoszał przed godzinami zakupowego szczytu.

Mela stała przed półką z dżemami, wpatrując się w różnobarwne słoiki z pustką w oczach.

— Mela, patrzę i patrzę, i już wytrzymać nie mogę. Co się dzieje? Jakiś problem w domu?

Melania odwróciła się w stronę Renaty i przez chwilę wyglądała tak, jakby z trudem przypominała sobie imię koleżanki.

— Wiesz, Reniu, ja to bym kiedyś chciała przeżyć taką miłość, która zapiera dech, odbiera rozum i skłania do szaleństwa. I do tego tego widzi w tobie piękno nawet wówczas, gdy masz lat pięćdziesiąt plus.

Renata milczała. Zupełnie nie przygotowała się na taką odpowiedź i nie

miała pojęcia, jak zareagować. Jedyne, co przychodziło jej na myśl, to: „Brałaś coś?”, ale przecież o to nie mogła Meli zapytać. Nie wypadało.

— Mój Fryderyk to tylko w domu przed telewizorem by siedział. Albo w Internecie. Nawet do kina ciężko go wyciągnąć, a ja to bym chciała do Sopotu pojechać. Choćby na kilka dni. I róże dostawać, nie tylko te z działki czy na imię-niny, ale tak zupełnie bez okazji. Chciałabym, aby ktoś kochał mnie tak jak Piotr Marię.

Renata próbowała usilnie przypomnieć sobie, który z ich klientów ma na imię Piotr. Nie miała pojęcia, o kim mówi Melania, a nie chciała wyjść na wścibską, dopytując o to. Uśmiechnęła się niepewnie i lekko pokiwała głową na znak, że też by chciała być kochana tak jak Maria przez Piotra.

— Od tygodnia spać nie mogę, tylko przewracam się z boku na bok i myślę o tej książce i historii tam zapisanej. Reniu, jak to jest, że ludzie dostają kogoś na długą drogę życia, a potem nie potrafią tej miłości uszanować albo tak się do niej przyzwyczajają, że zupełnie przestają ją dostrzegać? Gubią gdzieś po drodze wzajemny szacunek, nie umieją się już sobą zachwycać, wszystko im powszednie. Każdy dzień jest taki sam i żaden nie wnosi niczego nowego, bo ludzie wcale tego nie potrzebują. Albo tak im się tylko wydaje...

— Melu, o jakiej książce ty mówisz? — Renata powoli przytomniała.

— Pani Agnieszka, kierowniczka mojej osiedlowej biblioteki, ostatnio mi podsunęła *Miłość w kasztanie zaklęta*. Polecam, Renatko. Jak będziesz chciała, to przedłużę ją i ci pożyczę.

Renata odetchnęła. Wyglądało na to, że z Melą wszystko było w porządku. Poruszyła ją tylko lektura, na którą Renata również nabrała apetytu, zaciekawiona słowami Melanii. Postanowiła, że poprosi Melę o pożyczanie tej książki albo sama sprawdzi w swojej bibliotece. Była ciekawa, jakie emocje w niej wywoła i czy skłoni ją do podobnych refleksji co Melanię.



Renata odliczała dni. Odkąd tylko Staszek powiedział jej, że przyjeżdża szesnastego sierpnia, Renata rozpoczęła swoje niecierpliwe oczekiwanie, wsuwając tęsknotę głęboko do szuflady i żyjąc nadzieją. Z dziewczynkami było łatwiej. Na nowo swoim rozgardiaszem wprowadziły do domu znajomy rytym i bałagan, którego Renata nawet im nie wypominała. Zresztą Iga i tak pojawiła się tylko na chwilę, niecierpliwie wyczekując już obozu w Chorwacji. Pralka chodziła nieustannie, piorąc rzeczy zarówno starszej, jak i młodszej panny Grońskiej, a Renata nareszcie czuła się spełniona. Jej kurczęta wróciły pod opiekuńcze skrzydła.

— Wiesz, że tutaj nie ma kelnerów, tylko uprasza się o zwrot naczyń do kuchni? — Renata weszła do pokoju Igi, wskazując na dwa puste kubki i talerzyk z niedojedzoną kanapką. Położyła czyste i wyprasowane ubrania córki na kanapie,

a potem zmęczona prasowaniem i dokuczającym bólem w kręgosłupie przysiadła na krótką chwilę, by odpocząć.

— Oj, mammo... — zaczęła Iga i spojrzała na Renatę oczami Staszka. Patrząc na matkę, dostrzegła zmęczenie wypisane na twarzy i smutne oczy, do których nie zdążyła jeszcze powrócić pełna radość i błyszczące tam niekiedy iskierki. — Przepraszam, zaraz wyniosę — dokończyła, przysuwając się i, nieoczekiwanie dla samej siebie, przytulając się do matki. — Szkoda, że nie było cię z nami nad morzem. Odpoczęłabyś.

Renata uśmiechnęła się sama do siebie i pogładziła córkę po aksamitnych włosach pachnących szamponem i świeżością.

— Odpocznę, jak tata przyjedzie. Cieszę się, że ty mogłaś tam być. Należy ci się odpoczynek, bo ciężki rok przed tobą. Fajnie było?

Iga wysunęła się z objęć Renaty i spojrzała na nią ze szczęściem w oczach, którym chciała zarazić matkę.

— Było bosko! Fantastycznie! To miejsce jest niesamowite, mammo. Ma dobrą energię, która przenika cię aż po czubki palców i cebulki włosów. Nigdy wcześniej nie spotkałam takich ludzi, mammo, a atmosfera, która tam panuje... — Iga pokręciła głową — tego nie da się opisać, tam trzeba po prostu być i zasmakować tego. Chciałabym tam pojechać w przyszłym roku z tobą, tatą i Julką.

— Rok to ogromnie dużo czasu. Wiele się może w naszym życiu zmienić. W twoim też po maturze. — Renata posłała córce uśmiech, który ożywił jej zmęczoną twarz.

— Mogłabyś mi o tym nie przypominać? — Iga skrzywiła się i podwinęła nogi, siadając po turecku.

— Myślę, że powinnaś o tym pamiętać już od pierwszego dnia szkoły. Przypominam ci, że ten rok szkolny jest dla ciebie dużo krótszy, a osiem miesięcy to dość mało czasu jak na gruntowne przyswojenie wszystkich niezbędnych informacji.

— Spoko, dam sobie radę. — Iga puściła oko, a Renata pokręciła głową, zadając sobie pytanie, skąd w jej córkach tyle pewności siebie, której jej samej brakowało. Zarówno Iga, jak i Julka były śmiałe i potrafiły otwarcie wyrażać własne zdanie. Obie miały swoje plany i marzenia, do których konsekwentnie dążyły, a ich dojrzewanie i młodość w niczym nie przypominały tej, którą pamiętała Renata. Może więc jednak inwestycja czasu, uwagi i zaangażowania w dzieci nie była tak do końca kajdanami, którymi Renata sama się do dziewczynek przykuła. Procentowała w nich, bo czuły się kochane i wiedziały, że choćby nie wiadomo co, mają oparcie w niej i Staszku. I w rodzinnym domu, który dla dziewczynek stworzyli, ucząc się wszystkiego na własnych błędach i często wybierając drogę pod górkę. Ta świadomość cieszyła, a miłość matki podszeptowała, że Renata wybrała dobrą drogę.

— Julka i ja wybieramy się na spacer z Teodorem. Idziesz z nami?

Iga już miała odruchowo zaprzeczyć, ale spojrzała na matkę i doznała dziwnego uczucia w okolicy serca. Ciepło, które rozlało się gdzieś po niej całej i wypełniło ją od środka. Dziwna czułość, której dawno już nie doświadczała i za którą nagle zatęskniła. Wspomnienie dzieciństwa.

— Idę — odpowiedziała. — Tylko dajcie mi chwilę, muszę się przebrać.

— Okej. — Renata wstała z kanapy i jeszcze raz pieszczotliwie dotknęła miękkich włosów córki. — Lubię, jak obie jesteście w domu.

— A ja lubię, jak masz pierwszą zmianę. — Iga uśmiechnęła się do matki i odwróciła w stronę otwartej szafy.

Renata wychodziła już z pokoju, gdy zatrzymał ją cichy głos córki.

— Mamo!

Odwróciła się i spojrzała na Igę pytająco.

— A może upieczemy dziś ciasto z malinami? To z pianką, które tak lubi tata?

Renata uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Upieczemy. I wyślemy mu ememesa, a potem dokładnie opiszemy na Skypie, jak smakuje. Na pewno się ucieszy.

Iga pokręciła głową.

— Zupełnie cię nie poznaję, mamo.

— Tęsknota za wami tak na mnie działa. Staję się wredna i zgryźliwa — odpowiedziała. — Zbieraj się w miarę szybko, bo Teodor potrzebuje trawnika i drzewka na siku.

— Się robi, szefowo. — Iga posłała Renacie całusa i zniknęła w szafie z odwiecznym pytaniem kobiety: Co na siebie włożyć?



Wracały z wieczornego spaceru przyjemnie zmęczone. Teodor wyszalał się w pogoni za patykiem, który niezmordowanie rzucała mu Julka, i szedł teraz nienaganie przy nodze Renaty, głośno ziejąc i z wywieszonym jęzorem.

Ciepły lipcowy wieczór pachniał maciejką i rozleniwił. Napięcie i pośpiech, jakie towarzyszyły Renacie i dziewczynkom przez cały rok szkolny, teraz, na całe dwa miesiące, odeszły w zapomnienie. Nikt za nimi nie tęsknił. Rozciągnięty do granic możliwości plan dnia całkowicie zmienił swój rytm i toczył się tak, jak sam chciał, bez nerwowości i dylematów, bez stresu towarzyszącego szkolnej rzeczywistości.

Renata ze zdumieniem zauważyła, że zatrzymanie zbliżało. Spacerowały i rozmawiały. Słuchały i odpowiadały jedna drugiej. Miały dla siebie czas, którym wzajemnie się obdarowały. Żartowały i śmiały się razem. Czerpały z chwili, która nieprędko się powtórzy.

Renata zdawała sobie sprawę, że dziewczynki rosną i że jej relacja z nimi wraz z tym dorastaniem się zmienia. Zmieniały się ich problemy i priorytety. Zmieniał się sposób, w jaki patrzyły na świat. Renata wiedziała, że wcześniej czy później każda z jej córek stworzy dla siebie swój własny kawałek świata, w którym matka będzie tylko gościem. Dlatego taki wieczór jak dziś chciała zatrzymać, zapisać gdzieś głęboko w sercu i pamięci, aby sięgać tam, gdy znów nadejdzie trudny czas wojny domowej czy po prostu tęsknoty.

— Dzień dobry. Cześć, Julka! — Młody, nastoletni głos przerwał rozmyślenia Renaty.

Chudy chłopak, rówieśnik Julki, stał przed blokiem, podpierając ścianę z wymalowanym na niej graffiti.

— Dzień dobry — odpowiedziała Renata, rozpoznając kolegę z klasy młodszej córki.

— Cześć, Patrycjusz! — Julka pomachała ręką, a Teodor dodatkowo machnął ogonem.

— Kiedy wróciłaś?

— Kilka dni temu — odpowiedziała Julka zupełnie nieskrępowana obecnością mamy i starszej siostry.

— Fajnie było? — Patrycjusz, równie nieskrępowany obecnością Renaty, wydmuchnął w jej stronę papierosowy dym.

— Super! Co prawda sorka od francuskiego trochę się czepiała, ale zdążyłam się już do tego przyzwyczaić.

— Racja — odpowiedział beznamiętnie Patrycjusz. — Zawsze się czepia. Siedzisz teraz w Lublinie czy gdzieś wyjeżdżasz? — spytał, patrząc gdzieś pomiędzy Igę a Julkę.

— Na razie jestem.

— To wejdź dzisiaj na fejsa, pogadamy.

— Okej.

Ruszyły, odprowadzane spojrzeniem Patrycjusza i jego głośnym splunięciem.

— Mamo, proszę cię, tylko nie komentuj — rzuciła Julka szybko, starając się jak najprędzej oddalić z zasięgu wzroku kolegi.

— Jula, no nie wierzę! — nie wytrzymała Iga. — Ty, taka grzeczna, zadajesz się z takim zapleczem społecznym?

— A ty co, zapomniałaś już, jak wygląda gimnazjum? — Julka natychmiast odbiła piłeczkę.

— No, ciężkie jest. Głównie ze względu na nadęte ego co poniektórych nauczycieli i nadmierną głupotę dojrzewających nastolatków.

— Więc właśnie miałaś do czynienia z takim dojrzewającym hormonem. Jednym z wielu, chociaż nie powiem, w mojej klasie zdarzają się wyjątki.

— Na przykład Ziemowit — zgodnym chórem przytaknęły Renata i Iga.

Ziemowit, uczęszczający do tej samej klasy co Julka i Patrycjusz, pomimo swoich piętnastu lat wykazywał się dojrzałością dwudziestolatka. Choć był geniuszem matematycznym, z przedmiotami humanistycznymi radził sobie równie dobrze. I do tego miał ogromny talent do języków. Angielskim i francuskim władał z taką łatwością i płynnością, jakby opowiadał bajkę o Czerwonym Kapturku. Ziemowit był stawiany za przykład na każdym zebraniu i skutecznie ratował średnią klasy, która od dwóch lat była jedną z tych najlepszych.

— Jeszcze kilku, oprócz Ziemowita, też by się znalazło — mruknęła Julka. — A Patrycjusz nie ma lekko. Gdyby nie to, że jest dość inteligentny, do dziś pewnie byłby w pierwszej klasie. Dużo zajęć opuszcza i wszyscy myślą, że wagaruje. A on... — Julka zacięła się przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy może wyjawić tajemnicę kolegi. — Jego matka ma problem z alkoholem. Mieszkają tylko we dwoje, nie wiem, co się dzieje z jego ojcem. Często bywa tak, że Patrycjusz jej pilnuje, bo ona nie zna umiaru. Tak mi powiedział.

Renata westchnęła. Życie ludzkie przynosiło tyle niespodzianek, niekoniecznie miłych dla tych, którzy byli obok. Dorośli nie radzili sobie z takimi problemami, a co dopiero dzieciaki, które w tych sytuacjach widziały przed sobą tylko mur, bez żadnej furtki i drogowskazów, jak przedostać się na drugą stronę.

„Jaką krzywdę robimy swoim dzieciom, nie umiając uporać się ze swoim własnym życiem”, pomyślała. I przyrzekła sobie, że choćby nie wiadomo co, nigdy nie obciąży własnych córek czymś, co dla niej samej będzie nie do uniesienia.



Emilia stanęła w drzwiach małego pokoju i spojrzała z zadowoleniem na panujący tam porządek. Skromny pokój był gotowy na przyjęcie Klaudii. Niewiele tam było, ale i Klaudia niewiele wymagała. Przez kilka dni, które spędziły razem, Emilia zdążyła już co nieco dowiedzieć się o siostrzenicy. Niełatwe życie miała z tą bratową, oj niełatwe. Emilia westchnęła, przypominając sobie rozmowę z dziewczyną, gdy obie wróciły ze szpitala. Przejrzyste łyzy Klaudii spływały po policzkach i było ich tyle, jakby ktoś odkręcił jakiś kran ze słoną wodą. Emilia początkowo próbowała je ocierać, potem jednak dała spokój i tylko przytuliła drobne ciało dziewczyny do siebie, pozwalając jej po prostu przelać te łyzy, które w sobie nazbierała.

Długo rozmawiały. Zza otwartych balkonowych drzwi wpadała do pokoju muzyka wygrywana przez świerszcze, które dyskretnie wkomponowały się w ciszę nocy. Pręgowany mruczał, ułożony na stopach Emilii, a Cezar głośno pochrapywał w swoim kojcu. Słowo „dlaczego?” odbijało się echem od ścian i umiała odpowiedzieć na nie tylko cisza.

— Zdasz maturę w Lublinie i tutaj pójdziesz na studia. Z tak wielu kierun-

ków, które oferują nasze uczelnie, na pewno wybierzesz coś dla siebie. W Chojnie nie będziesz się szarpać z Jadźką, bo to do niczego was nie doprowadzi, a ty za młoda jesteś, żeby prowadzić wojnę. Zresztą wcale nie musisz, bo tutaj u mnie masz swoje miejsce. We dwie sobie poradzimy. Zwierzaki cię zaakceptowały, a to najważniejsze. Tobie też chyba one nie przeszkadzają, prawda?

Klaudia pokręciła głową, nie mogąc wydobyć z siebie nic więcej oprócz szlochu.

— Ona umrze, prawda? — Emilia ledwo dosłyszała cichy, przerywany zdławionym łkaniem głos.

— Mama jest już bardzo zmęczona, Klaudynko. Ona chce, żeby to cierpienie już się skończyło. Marianna wie, że koniec tutaj jest dopiero początkiem czegoś pięknego. Nam trudno to zrozumieć, bo tracimy kogoś bliskiego i nie potrafimy wyobrazić sobie siebie samych bez tej bliskiej osoby. Wiem, że to trudne, Klaudia, ale uwierz mi, kochanie, że życie nie kończy się tutaj. Pielgrzymując po tej ziemi, przemierzamy jedynie pewien etap naszego istnienia. Mały odcinek, który jest jednak bardzo ważny, bo daje nam przepustkę do czegoś piękniejszego. Tam jest lepszy świat, Klaudia, bez bólu, cierpienia, zła i zawiści. Twoja mama o tym wie i dlatego jest już na to gotowa.

— Mówisz do mnie, ciociu, jak do dziecka.

Emilia uśmiechnęła się łagodnie.

— Bo tylko dzieci przyjmują tę prawdę bez zastrzeżeń. Dorośli mają na każdy temat swoje własne zdanie, często sprzeczne z tym, co oczywiste. — Wyciągnęła rękę i pogładziła dziewczynę po spoconych włosach. — Te dni teraz, taki czas pomiędzy, potrzebne są bardziej tobie niż jej. To ty dostajesz je po to, aby się przygotować i spróbować zrozumieć, choć to trudne. Bardzo trudne.

Postanowiły, że Klaudia wprowadzi się do Emilii jak najszybciej, aby móc wykorzystać ostatnie chwile, gdy Marianna jest jeszcze przytomna. Niewiele można było zrobić przy skromnych środkach finansowych, którymi dysponowała Emilia. Opróżniła szafę, powymiotowała swoje rzeczy z szuflad komody i kupiła nowy komplet pościeli. Taki dziewczęcy, różany. Pasował do Klaudii. Starannie wysprzątała pokój, wymiotła z kątów wszystkie zalegające tam sprawy i czekała. Na Klaudię i nowy rozdział w życiu ich obu.



Pomimo klimatyzacji upał w sklepie bardzo im dokuczał. Wszystkie lodówki chodziły z głośnym pomrukiwaniem, lody znikwały w zastraszającym tempie, a pani Halinka zwiększyła zamówienie napojów niegazowanych, które schodziły lepiej niż świeże pieczywo. Lato trwało w pełni, rozpieszczając lipcowym ciepłem nawet tych, którzy pozostali w mieście.

Renata poddała się rytmowi mijających leniwie dni, mając świadomość, że

każdy z nich przybliżyła ją do przyjazdu Staszka. Tęskniła i czekała. Im bliżej było do przyjazdu Stanisława, tym to oczekiwanie stawało się coraz bardziej niecierpliwe. Zupełnie takie samo jak oczekiwanie Gwiazdki przez dziecko po tym, jak spadnie pierwszy śnieg.

Iga wyjechała na obóz do Chorwacji, a Julka razem z babcią troskliwie zajmowała się Teodorem, wynagradzając mu pustkę minionych dni, kiedy całymi godzinami musiał siedzieć sam w domu, czekając na powrót Renaty.

Życie w sklepie biegło utartym torem, klienci przychodzili o stałych porach, czasami zaglądali dodatkowo po lodowy kaprys albo uzupełniali zapasy wody i kolorowych napojów. Alkohol też lepiej schodził, zwłaszcza piwo w upalne dni, więc Grzegorz był zadowolony, bo obroty nie spadały pomimo otwarcia nowego supermarketu na osiedlu. Dodatkowa godzina pracy sklepu też przynosiła same korzyści, bo spragnieni klienci nie biegali już do nocnego ani na stację benzynową, tylko zaopatrywali się na swoim osiedlu, w pobliżu ulubionych ławek, które okupowali do późnych godzin nocnych.

W ten leniwy wakacyjny rytm około siedemnastej wkroczył do sklepu żołnierskim krokiem Pan Porządny. Nikt go wcześniej nie wypatrzył, więc wraz z jego wejściem pojawiła się również panika i gorączkowe maskowanie niedoskonałości i niedociągnięć. Prawie równocześnie pojawił się pan mecenas Jan Tarnowski-Przybysz. Przyglądając się mu dyskretnie, Renata pomyślała, że wygląda na jeszcze bardziej zagubionego niż zazwyczaj. Biała koszula z krótkimi rękawami była rozpięta z trzech guzików tuż pod szyją, a twarz mecenasa, z jednodniowym zarostem na policzkach, wyglądała na zmęczoną.

Pan Porządny nawet nie zareagował na niepewne „dzień dobry” Renaty, tylko od razu, bez koszyka, ruszył w kierunku stoiska, które obsługiwała Kasia. Cisza w sklepie zapowiedziała spokój przed burzą. Każda z nich to wyczuła. Napięcie, które wśliznęło się wraz z Panem Porządnym, i zapowiedź kolejnej awantury, którą niechybnie mężczyzna chciał wywołać.

Renata nasłuchiwała. Tymczasem obsłużyła dwoje młodych ludzi, którzy żyli głównie perłą i czipsami, myśli jej jednak kierowały się w stronę Kasi, która była na stoisku sama, bez wsparcia Meli, przebywającej na dwudniowym urlopie. Głośny krzyk usłyszała, gdy tylko wydała resztę i zamknęła kasę.

Pan Porządny najwyraźniej pragnął, aby usłyszał go każdy przebywający w sklepie.

— To skandal, żeby wciskać ludziom coś takiego! — Głuche plaśnięcie o blat lady oznaczało, że Pan Porządny musiał tam zamasyżować coś rzucić.

— A co mi pan tu kurczaka podsuwa? — Kasia nie zamierzała ustępować. Renata pomyślała, że wojowniczy nastrój klienta udzielił się również koleżance, i bała się, dokąd to może doprowadzić.

— Tego kurczaka, droga pani, kupiłem w waszym sklepie. Miał być świeży,

a jest po prostu śliski. I do tego śmierdzi! — głos mężczyzny stawał się coraz donośniejszy.

— No przecież czuję, że śmierdzi, i bardzo proszę, aby pan to zabrał z lady.

— Nie zabiorę, dopóki nie dostanę zwrotu pieniędzy za towar, który nie spełnia moich oczekiwań!

— Paragon poproszę — urzędowy ton głosu Kasi ledwo wydostał się zza zaciśniętych zębów.

— Nie zbieram paragonów. Wyrzucam je zaraz po przeanalizowaniu, czy mnie nie oszukaliście.

— Więc oświadczam panu, że nie przyjmę tego kurczaka, gdyż nie został on zakupiony w naszym sklepie. — Renata wyraźnie usłyszała, jak Kasia nabiera odwagi.

— A ja pani oświadczam, że zwrócę się do rzecznika praw klienta i skieruję tę sprawę dalej, jeśli nie chcecie tego załatwić ugodowo. Ten kurczak został kupiony właśnie tutaj i właśnie od was żądam rekompensaty.

— A ja oświadczam panu, że jest pan oszustem, który chce wyłudzić od nas pieniądze. Nasz sklep nigdy nie sprzedawał takich chudych kurczaków. Nasze są tłuste i dorodne, a tego kupił pan w hipermarkecie, i do tego w promocji, a teraz to panu śmierdzi, tak?

Pan Porządny nie zdołał zareagować, bo nagle w ten dwustronny spór wdarł się opanowany głos należący do mecenasa Tarnowskiego-Przybysza.

— Za próbę wyłudzenia i oszczerstwa wobec tego sklepu grozi panu kara...

— Kim pan niby jest, że mi grozi i wtrąca się do rozmowy? — Pan Porządny niegrzecznie przerwał mecenasowi.

— Mecenas Jan Antoni Tarnowski-Przybysz, reprezentujący ten właśnie sklep. Jeśli ma pan jeszcze jakiegokolwiek zastrzeżenia wobec pracy tej pani lub nieuczciwych praktyk rzekomo prowadzonych przez ten sklep, chętnie z panem o tym porozmawiam w literze prawa.

Zapadła niezręczna cisza. Pan Porządny nic nie odpowiedział, a po chwili razem ze swoim kurczakiem bez słowa opuścił sklep.

Kasia podziękowała mecenasowi najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.



Renata nie lubiła pracować w niedzielę. Każdy taki dyżur, który wypadł niestety co dwa tygodnie, był dla niej zawsze ogromnym wyrzutem sumienia wobec dzieci. Wiedziała, że odbiera im coś cennego, ale nie miała na to wpływu. Tak działał świat, który opierał się na gospodarce. Ona potrzebowała pracy, a Grzegorz potrzebował pracowników, aby zaspokoić wymagania klientów, dla których wolne niedziele w handlu były komunistycznym przeżytkiem. Walczyć z tym nie było sensu, bo młodych ludzi do pracy na jej miejsce nie brakowało. Renata zda-

wała sobie z tego sprawę i dlatego od kilku lat bez szemrania przyjeżdżała na swój dyżur, zerkając tylko tęsknie na odpoczywające po trudach tygodnia osiedle.

„Piękna, pogodna niedziela”, pomyślała. „Dokładnie taka, jak niedziela być powinna. Ciepła, słoneczna i leniwa”.

W sklepie też było dziś dość leniwie. Co prawda zdarzali się klienci, którzy właśnie tego dnia robili swoje cotygodniowe zakupy, łącznie z proszkiem do prania i papierem toaletowym, nie było ich jednak aż tak wielu. Zwykle zaglądali tu ci, którym akurat coś się skończyło w trakcie przygotowywania obiadu, albo tacy, którym się nagle przypomniało, że czegoś wcześniej nie kupili. I zwykle byli to młodzi ludzie. Starsi w niedzielę do sklepu nie zaglądali.

— Z kim zostawiłaś Marlenkę? — spytała Renata, gdy Kasia tradycyjnie przyniosła dwa kubki z kawą.

— Darek zabrał ją do parku Saskiego. Mają obejrzeć pawie, pójść na lody, a potem na Happy Meal do McDonalda. Przynajmniej ona pobędzie na świeżym powietrzu. — Kasia westchnęła, wyglądając tęsknie przez otwarte sklepowe drzwi.

— Jak się układa ich relacja? — Renata upiła łyk kawy, która przyjemnym ciepłem i mlecznym smakiem rozeszła się po podniebieniu i spłynęła w dół, dodając jej energii.

— Powiedziałabym, że nienagannie. Darek na odległość jest dużo lepszym ojcem niż wtedy, gdy mieszkaliśmy razem. Rozpieszcza Marlenkę tak bardzo, że czasami aż mi to przeszkadza.

— A ona? Jak traktuje ojca? — Renata przysiadła na ukrytym za ladą krześle, a Kasia stanęła naprzeciwko niej i wsparła się o dzielący je blat.

— Uwielbia go, jak to dziecko. Wiesz, każde spotkanie z Darkiem to dla Marlenki taki prywatny dzień dziecka. Ojciec nie jest codziennością, nie stawia wymagań i zawsze ma dla niej jakiś prezent. No i zabiera ją do McDonalda, którego mama unika jak ognia!

— Taaak. — Renata przytaknęła, zapatrzona w kusząco otwarte drzwi za koleżanką. — Fenomen fast foodów. Też przez to przechodziliśmy. Na szczęście dziewczynki same doszły do wniosku, że ten rodzaj jedzenia im nie służy, i teraz zaglądają tam od wielkiego dzwonu, jak je koleżanki wyciągną.

— Marlence jeszcze wszystko tam smakuje.

— Patrząc na ciebie, otyłość jej nie grozi. — Renata obrzuciła spojrzeniem szczupłą sylwetkę Kasi.

— Otyłość może i nie, ale uzależnienie — odpowiedziała Kasia, zmieniając pozycję i przerzucając teraz cały ciężar na drugą nogę. — Muszę porozmawiać z panią Halinką, może da mi dwa dni wolnego. Pojechałabym z Marlenką nad jezioro albo do Janowca, do tych Magicznych Ogrodów. Słyszałam, że to duża frajda dla dzieciaków.

— Ja też nie mogę się już doczekać urlopu — westchnęła Renata. Tylko

poczucie obowiązku trzymało ją przy tej ladzie, bo wszystko w niej krzyczało, że chce na powietrze, na długi spacer z Teodorem i Julką.

— Od kiedy cię nie ma? — Kasia spojrzała na starszą koleżankę pytająco.

— Od czternastego do końca miesiąca — odpowiedziała Renata z rozmarzeniem. — Staszek przyjeżdża szesnastego i chcemy gdzieś wyjechać, przynajmniej na tydzień.

— Na długo przyjeżdża?

— Na dwa tygodnie. Nie wiem, czy zdążę się nim nacieszyć...

— Te rozstania mamy wpisane w historię kobiety od zarania dziejów. Już jaskiniowcy chodzili na polowania, a ich kobiety strzegły ogniska domowego.

— Raczej chyba jaskiniowego — dopowiedziała Renata, delektując się spokojem w sklepie i swoją kawą.

— Potem mężczyźni wojowali, wypływali w morze, a dzisiaj emigrują za pracą. A my czekamy i zmagamy się z życiem w pojedynkę, i nie zawsze wychodzi nam to na dobre. — Kasia poczuła, że wpada w za bardzo refleksyjny nastrój, odebrała się więc od lady, przeciągnęła i chwytając swój kubek, odwróciła się w stronę okna i słońca.

Lipiec w mieście dbał o szczegóły, jakby samą swoją obecnością chcąc wynagrodzić tym, którzy z różnych powodów musieli pozostać w murach miasta. Zielone drzewa cieszyły bogactwem poruszających się łagodnie na wietrze liści, a trawniki żyły za sprawą pracowitych owadów, które niezmiernie dokądś podążały. Bielinki i krakowiaki ubarwiały letni krajobraz, dopieszczając świat swoją delikatnością, a małe sikorki z żółtymi brzuskami uganiały się za tłustymi muchami i dżdżownicami, które ciekawie wyglądały ze swoich mieszkań, skuszone zapachem rozgrzanej ziemi. Pogoda chciała człowieka zatrzymać przy sobie, ukazując to, co w niej najpiękniejsze; a on często, nawet w niedzielę, nie umiał przeostać pędzić.

— To ja się zmywam do siebie, bo masz klienta. — Kasia odwróciła się w stronę Renaty i puściła do niej oko, a potem szybkim krokiem oddaliła się do swojego stanowiska.

Renata spojrzała w stronę drzwi i nie umiała powstrzymać rumieńca, który schłodziła dłońmi przyłożonymi do policzków.

Karol wszedł do sklepu przywitany uśmiechem, który rozświetlił mu dzień i sprawił, że niedziela i dla niego się wypogodziła.

— Dzień dobry, pani Renato. — Miękki głos mężczyzny otulił Renatę niczym jedwabny szalik.

— Dzień dobry, panie Karolu. Taka piękna niedziela, a pan w mieście? — spytała, spuszczając wzrok przed spojrzeniem, które parzyło.

— Taka piękna niedziela, a pani w pracy — odpowiedział, wciąż wpatrując się w Renatę, która ze swoim rumieńcem wyglądała bardzo dziewczęco.

— Ktoś musi pracować, by odpoczywać mógł ktoś — odpowiedziała filozoficznie i przekornie, pozwalając sobie na uśmiech i krótkie spotkanie spojrzeń, które zaczynały coraz lepiej się rozumieć.

— Zachciało mi się czegoś słodkiego na deser, więc wstąpiłem do sklepu jak typowy Polak.

— Typowy Polak spędza niedzielę w hipermarkecie albo w galerii. Kasia ma w lodówce bardzo dobre ciasto z galaretką. Przywieźli je wczoraj rano, więc jest świeże. Próbowałam i polecam.

Karol uśmiechnął się, patrząc na Renatę tak, jakby zobaczył w niej kogoś innego.

— Dorota piekła ciasto z galaretką — powiedział cicho, pozwalając boleśnym wspomnieniom przez chwilę wydostać się na powierzchnię. — Do dziś pamiętam jego smak. I tęsknię za nim.

Rozumiała. Choć nie straciła nikogo tak bliskiego, bo przecież śmierć ojca jest rzeczą naturalną i do myśli, że rodzice odejdą pierwsi, jesteśmy w stanie w pewnym wieku dojrzeć, doskonale rozumiała Karola. Jako kobieta miała w sobie dużo więcej empatii niż mężczyźni, a wyjazd i długa nieobecność Staszka dodatkowo to potęgowały. Wiedziała jednak, że on wróci, a rozstanie kiedyś się skończy. Karolowi pozostały tylko wspomnienia. Dobrze, jeśli były warte powrotu do nich.

— Czy szkolenie Teodora przynosi jakieś efekty? — Karol najwyraźniej ociągał się z odejściem od lady, za którą stała Renata.

— Dzisiaj, ze względu na pracującą niedzielę, jesteśmy na wagarach — uśmiechnęła się, z ulgą wracając do bezpiecznego tematu. — Ale muszę przyznać, że Teodor się zmienił. Nie szarpie już na smyczy i nie stara się za wszelką cenę udowodnić, że on rządzi w domu. Co prawda demolka jest nadal jego ulubioną formą spędzania czasu samotnie, ale odkąd mamy kenelówkę, i ten problem już się rozwiązuje. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie grzebał w śmieciach albo nie ukradł czegoś ze stołu, ale to mu wybaczymy.

Karol się roześmiał.

— Doskonale panią rozumiem. Rex wykręca mi podobne numery i jest pod tym względem niereformowalny. Sądzę, że psy mają to w naturze. To taka ich walka o przetrwanie zapisana w genach.

Do sklepu weszło dwóch klientów, więc Karol skinął tylko Renacie głową i aby nie blokować przejścia, oddalił się w głąb sklepu.

Kolejna godzina niedzieli mijała rozgrzana upałem lipcowego dnia. Czas swoim własnym rytmem posuwał się do przodu, nie zwracając uwagi na protesty ludzi i ich pragnienie zatrzymania dobrych chwil lub cofnięcia lat. Niedziela mijała niezauważona w swojej skromności, nie narzucając się nikomu, a splatające się w całość minuty łączyły niczym kłamra początek i koniec dnia wypełnionego zda-

rzeniami, które przynosiło życie.



Kasia wracała z pracy zmęczona, wolnym krokiem zmierzając od przystanku w kierunku bloku. Niedzielny dyżur zawsze był męczący, a już szczególnie w taki ciepły i słoneczny dzień jak dziś. Kasia cieszyła się, że przynajmniej Marlenka mogła poczuć wyjątkowość tej niedzieli, różniącej się od pozostałych dni, które były do siebie tak podobne, nawet dla małego dziecka. Poprawiła na ramieniu płócienną torbę i rozejrzała się dookoła, chcąc nasycić oczy osiedlową zielenią. Jej wzrok przemknął po ławce, na której zauważyła Darka z siedzącą obok niego i wymachującą małymi nóżkami córeczką. Przyspieszyła kroku i ostatnie metry już prawie do nich biegła, z niepokojem wpisanym w serce matki.

— Cześć! — rzuciła zdyszana, siadając obok dziewczynki, która natychmiast rzuciła jej się z piskiem na szyję.

— Mamusia! Wróciłaś!

— Wróciłam, kochanie. Jak minął dzień? — spytała, patrząc z czułością na córeczkę.

— Było suuuper! — Marlenka uśmiechnęła się tak słodko, że Kasia nie mogła się powstrzymać i pocałowała dziewczynkę w umorusany policzek.

— Byliście w domu? — spojrzała pytająco na Darka.

Przytaknął i odpowiedział Kasi wzrokiem, w którym wyczytała wszystko. Wiedziała już, że wieczór będzie równie ciężki jak cały dzisiejszy dzień.

— Tu jest zdrowsze i świeższe powietrze — odpowiedział. — Postanowiliśmy z Marlenką, że tutaj na ciebie poczekamy.

— Sama jest? — Kasia nie mogła zapanować nad sercem, które nerwowo przyspieszyło swój rytm i biło teraz jak oszalałe.

— Już tak, ale miała gości. — Darek milczał przez chwilę, jakby zbierał się w sobie.

Kasia poczuła ciężar tego milczenia i chyba nie chciała słuchać dalszych słów, które i tak padły.

— Mała nie powinna wychowywać się w takich warunkach, Kaśka.

— Wiem. Ale nic na to nie poradzę. Nie gram w Lotto, chociaż może powinienam.

— Oboje pracujemy, moglibyśmy coś wynająć i zapewnić jej normalny dom.

— Normalny? — Chłód w oczach dziewczyny zmroził Darka. — Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Marlenko, spójrz, jaki śliczny ptaszek. — Kasia zwróciła się do córeczki, wskazując na oddalony nieco od nich trawnik i rosnące tam drzewo.

— Idź, zobacz, jaki ma brzusek. Spróbujemy go w domu narysować.

Marlenka zeskoczyła z ławki, na której zaczynało jej się już nudzić, i pobie-

gła w kierunku wskazanym przez mamę.

— Darek, wyjaśnijmy sobie coś — zwróciła się do chłopaka. — Jesteś ojcem Marlenki i tego nie kwestionuję. Cieszę się, że macie taki dobry kontakt, choć uważam, że za bardzo ją rozpieszczasz. Nas jednak już nic nie łączy i nie wrócę do tego, rozumiesz?

Rozumiał. Znał ją, była twarda, ale wciąż jeszcze miał nadzieję. I nie zamierzał odpuszczać.

— Jesteśmy rodziną, Kaśka. Nie widzisz tego? Marlenka już pyta, dlaczego nie mieszkam z wami.

Kasia wstała, chcąc znaleźć się jak najdalej od chłopaka.

— Nie mieszaj jej w głowie, Darek — powiedziała zimno. — Ona i tak przeżyła już za dużo jak na czterolatkę.

Kasia przewiesiła swoją torbę przez ramię, podeszła do córeczki i ujęła jej ciepłą rączkę. Przez chwilę przyglądały się jeszcze małemu ptaszкови, a potem Marlenka podbiegła do taty, cmoknęła go w szorstki policzek i w podskokach ruszyła za Kasią, która zgięła się pod ciężarem życia, jakie musiała unieść.



— Ciociu, tu jest tyle apetycznie wyglądających ciast, że samo patrzenie na nie jest rozpustą, a co dopiero spróbowanie któregoś z nich! — Klaudia stała przed witryną, za którą pięknie poukładane prezentowały się ciasta wyrobu własnego nałęczowskiej kawiarni Ewelina.

Przyjechały do Nałęczowa w pogodny, lipcowy czwartek, aby w tym niewielkim miasteczku zaczerpnąć spokoju i zostawić tu wszystkie swoje smutki, które ze sobą przywiozły. Stan Marianny pogarszał się z dnia na dzień, a ona sama była tak umęczona chorobą, że pragnęła już jedynie uwolnienia. Od bólu i sponiewieranego życia ciała. Od trosk, których z latami przybywało, i od samej siebie, której już nie poznawała.

Klaudia przywiozła do Emilii część swoich najpotrzebniejszych rzeczy i zajęła mały pokój, który dzieliła wraz z Okruszkiem i Pręgowanym. Mieszkanie Emilii wypełniło się dziewczynskimi drobiazgami, a letnie wieczory nabrały smaku owocowej herbaty w miłym towarzystwie. Obie trochę się obawiały tej nagłej i niespodziewanej dla każdej z nich zmiany, ale postanowiły zaufać sobie i woli Bożej, która w taki przedziwny sposób sprowadziła tu Klaudię.

Emilia zabrała dziewczynę do Nałęczowa, wierząc, że to miasteczko otuli ją swoją ciszą i spokojem, których rozdarte niezrozumieniem serce dziewczyny bardzo potrzebowało. Swoją wędrówkę rozpoczęły od parku Zdrojowego, gdzie Klaudia po raz pierwszy od kilku tygodni uśmiechnęła się do przechodzącego alejką łabędzia, śmiesznie kołyszącego się na swoich nogach, i do wygrzewających się w słońcu nad stawem kaczek. Przystanąły przy posągu Bolesława Prusa, który

w eleganckim meloniku i z rozłożoną książką w ręku przysiadł na ławce tuż obok pałacu Małachowskich i tak już pozostał. Korzystając z tego, że w parku w dzień powszedni było dość pusto i że nie było chętnych do fotografowania się z wielkim pisarzem, przysiadły obok mistrza na jego ławeczce, przytulając się do chłodnego brązu. Niewiele rozmawiały. Nie potrzebowały słów w tym miejscu, które leczyło nie tylko skołatane serca, ale i spragnione spokoju dusze. Nałęczowski park rozmawiał z nimi na swój sposób. Śpiewnym zaciąganiem i ćwierkaniem ptaków, bzy-czeniem owadzych skrzydełek, kwakaniem kaczek i pluskiem podpływających pod powierzchnię stawu ryb. Od czasu do czasu owinął się dookoła nich wiatr poruszający drobnymi listkami lip, kasztanów, klonów i wierzb płaczących, które przycupnęły dookoła stawu, chroniąc go przed oczami ciekawskich. Chłoneły tę ciszę, starając się zaczerpnąć jej jak najwięcej i zapamiętać, gdy miasto znowu ogłuszy je swoim krzykiem.

Kawiarnia Ewelina była ich kolejnym przystankiem w wędrówce po Nałęczowie. Emilia wiedziała, że to miejsce zachwyci Klaudię tak samo, jak zauroczyło ją ponad trzydzieści lat temu. Nawet dziś, przyjeżdżając tutaj, Emilia czuła to dziecięce podekscytowanie, gdy tak jak Klaudia patrzyła na szklaną gablotę z wystawionymi w niej ciastkami.

— Polecam ci delicję nałęczowską. Nigdzie nie jadłam czegoś tak niezmiernie dobrego. Wiesz, delicja nałęczowska z Eweliny zawsze ma dla mnie przedsmak raju. Jedząc ją i delektując się jej smakiem z zamkniętymi oczami, mam wrażenie, że stoję w samym jego przedsionku i mogę dotknąć nieba. W tym miejscu zawsze czuję się szczęśliwa.

— Dzień dobry, pani Emilio. — Ciepły, kobiecy głos zza lady przywitał Emilię przedpołudniową serdecznością. — Przywiozła nam pani coś nowego do galerii?

Emilia odwzajemniła uśmiech, którym tak ładnie przywitała ją drobna, szczupłutka blondynka o pięknej i bardzo miłej twarzy.

— Dzień dobry, pani Aniu. Dzisiaj nic nie przywiozłam, bo jestem tu wyłącznie dla przyjemności — odpowiedziała Emilia. — Ale mam dla was odłożonych trochę pejzaży i dowiozę w przyszłym tygodniu. Dzisiaj chcę uwieść waszymi ciastami moją siostrzenicę — wskazała na Klaudię, która wciąż nie mogła się zdecydować. — Klaudio, chciałam ci przedstawić panią Annę Bartoszewską, która wraz z mężem zachowuje dawny klimat Eweliny, stworzony przez teściową pani Ani. To miejsce ma niesamowitą historię i równie niesamowici ludzie są dobrymi duchami tej kawiarni, restauracji i pensjonatu. Skusisz się na delicję czy wolisz sernik z galaretką?

— A mogę to z galaretką i kremówkę? — spytała Klaudia nieśmiało, rumieniąc się jak mała dziewczynka.

— Oczywiście, że tak. — Emilia roześmiała się. — Przy twojej przemianie

materii możesz dołączyć do tego jeszcze babeczki z kajmakiem i nic z tego nie odłoży ci się na biodrach. Nie to, co u mnie. — Emilia oparła dłonie o swoje mocno uwypuklone biodra i uśmiechnęła się do pani Ani.

— Ja standardowo poproszę o czarną kawę i delicyję, a dla tej panny poprosimy to ciasto z galaretką, kremówkę, latte i babeczkę na spróbowanie.

Klaudia chłonęła wzrokiem przytulne pomieszczenie i czuła się tak, jakby się cofnęła o wiek. Podobał jej się klimat tego miejsca, ze ścianami obwieszonymi obrazami, ogrodowymi kwiatami na stolikach i pianinem, które w tej chwili milczało, ale mimo to działało na wyobraźnię. Podsuwała ona obraz wieczorów spędzanych przy jego dźwiękach i zasluchanego Bolesława Prusa, Stefana Żeromskiego, Ewę Szelburg-Zarembinę czy Henryka Sienkiewicza, którzy byli związani z Nałęczowem — każde na swój sposób — i tu, w tym miasteczku mieszkali, leczyli się lub odpoczywali. I tworzyli, obdarowani jego ciszą i spokojem. Klaudia widziała to wszystko pod powiekami, a obecność osobliwej ciotki Emilii była dla niej dodatkowym powodem do tego, aby dziewczyna poczuła się w Ewelinie wyjątkowo.

Ten dzień w Nałęczowie obie dobrze zapamiętały. Każda z nich znalazła w nim coś, co dało siłę na kolejne dni, z całym bagażem, jaki miały one przynieść.

Emilia pokazała Klaudii jeszcze kilka swoich ulubionych miejsc, w których dobrze się czuła. Posilone potężną dawką kalorii przespacerowały się na wzgórze Jabłuszko, gdzie Klaudia poczuła się jak w innym świecie. Widok stąd przypominał jej rodzinne Chojno i przez chwilę jej serce ścisnęło się bolesnym skurczem tęsknoty. Ciepła dłoń Emilii, która dotknęła ramienia dziewczyny, rozviała ten moment nostalgii, składając obietnicę czegoś nowego. Klaudia trochę się tego obawiała, ale młodość i ciekawość świata gotowe były podjąć każde wyzwanie. Nawet to najtrudniejsze, wymagające od niej dojrzałości i pożegnania z dzieciństwem.

Wracały spokojniejsze i pogodniejsze. Bogatsze o miłe doświadczenia dzisiejszego dnia. Odmienione. Nałęczów, w sobie tylko wiadomy sposób, ukoił je jak balsam i przejął część smutków, posyłając je z wiatrem daleko stąd. Nie złożył obietnic bez pokrycia i nie omamił nadzieją na to, co niemożliwe. Po prostu podzielił się swoim spokojem i atmosferą, którą można było odnaleźć jedynie tu, w mieście ogrodzie pachnącym lipami, w którym zakłęty w chwilę czas się zatrzymał, by leczyć i regenerować. I aby dać wytchnienie od życia, które pędziło coraz szybciej, jak szalone.

Rozdział ósmy

SIERPNIOWE POCAŁUNKI

— Zupełnie tego nie rozumiem, pani Renatko, dlaczego w ludziach jest tyle nienawiści, że jeden, jakby mógł, toby drugiego w głęboką przepaść zepchnął, nawet nie mrugnawszy. — Pani Aniela pakowała swoje skromne zakupy do ekologicznej materiałowej siatki i ciężko westchnęła, wysupłując z małego portfela papierowe banknoty. — Poszłam dzisiaj do przychodni, bo mi się ważność recepty skończyła, a leki muszę wykupić, jakoś tak ostatnio niedomagam... — Spakowana siatka rozparła się na podpórce pod ladą, a pani Aniela cierpliwie czekała na wydanie reszty, dzieląc się przy tym swoim przeżyciem z „kochaną panią Renatką”. — Numerków nie było, więc miła pielęgniarka w rejestracji powiedziała, żebym zaczekała przed gabinetem i weszła z którymś pacjentem, bo ja tylko zmienić datę chciałam, a do tego, wiadomo, tylko pieczętka i podpis lekarza potrzebne... — Cała reszta, łącznie z miedzianymi groszami, została starannie wsypana do portfela, który pani Aniela drżącą ręką schowała do torby z zakupami. — Kolejka była spora, bo ludzie teraz co rusz po coś do lekarza przychodzą, ot choćby po to, aby z kimś w końcu porozmawiać. Bo jak się tak, pani Renatko, samemu w tych czterech ścianach siedzi, to człowiek zaczyna się obawiać, czy jeszcze ludzkim językiem przemówi. I wtedy, jak nie ma psa ani kota, do sklepu przydrepcze lub do lekarza się zapisze. Ale na czym to ja skończyłam? — Pani Aniela zerknęła, czy nikt się nie zbliżył do kasy obsługiwanej przez panią Renatkę, a zobaczywszy, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, kontynuowała: — Wytłumaczyłam grzecznie, że ja tylko z tą receptą i spytałam, czy mogę wejść razem z osobą, która ma teraz swoją kolej. I proszę sobie wyobrazić, pani Renatko, jak na mnie skoczyli, że wszyscy tak mówią, że z receptą, że bez kolejki chcę się wepchnąć, że każdy z nich czeka, a ja to tak od ręki bym chciała. Nikt mnie nie wpuścił i jeszcze niepotrzebnie szumu narobili, aż przybiegła ta miła pielęgniarka z rejestracji, zabrała mi tę receptę, bo chyba te łzy, które chciałam ukryć, zobaczyła, i sama weszła do pani doktor. Nawet minuty nie trwało, jak wyszła z powrotem, ale ludziom tym ust nie zamknęła, bo jeszcze jak z tą swoją kulą wychodziłam, to szemrali za moimi plecami. I dlaczego, pytam? Przecież nic złego im nie zrobiłam, tej recepty tylko potrzebowałam. — Drżąca ręka pani Anieli chwyciła siatkę z zakupami, a ciepłe, pogodne oczy uśmiechnęły się do Renaty.

— Człowiek człowiekowi wilkiem, pani Anielo. Nie od dzisiaj to, niestety, wiadomo. — Renata pokręciła głową, wyrażając tym swoją dezaprobatę.

— Ale to przecież nie do końca tak, kochana pani Renatko. — Pani Aniela ociągała się z odejściem. Renata wiedziała, że w domu czekają na nią tylko puste ściany, które odpowiadały bezdźwięcznym echem. Tutaj, w osiedlowym sklepie,

byli ludzie, z którymi kobieta mogła porozmawiać i którzy ją rozumieli. Ciepło człowieka było tym, czego pani Aniela najbardziej potrzebowała. — Przecież dobro też wychodzi od człowieka i przechodzi z jednych rąk do drugich. Czasami tylko człowiek, który je dostaje, zatrzymuje wyłącznie dla siebie, innych jedynie szturchając z obawy, aby mu tego nie odebrali. A przecież kiedy się tym dobrem dzielimy, ono powraca do nas w dwójnasób. Nie wszyscy jednak to rozumieją. — Pani Aniela pokiwała smutno głową, jakby tym gestem chciała postawić kropkę kończącą wypowiedziane przez siebie zdanie. Ukłoniła się jeszcze Renacie, posyłając jej serdeczny uśmiech, i wyszła, szurając powoli zniedołężniałymi nogami.

Renata zamyśliła się nad tym, co usłyszała. Pracując wiele lat w sklepie, nauczyła się już, że ludzie prędzej rzucą kamieniem, niż pogłaskają z życzliwością. Niezadowolenie bardzo łatwo rozchodziło się po sklepie, o uśmiech było już znacznie trudniej. Współczesny świat nie doceniał tego, co miał, tylko wciąż gnał przed siebie, pragnąc więcej. A przecież życie tak szybko przemijało, i tak łatwo było przeoczyć to, co ważne i piękne, skupiając się na błahych lub zupełnie nieistotnych szczegółach.

— Kawa i herbata poukładane, gablotę na wędlinach też przetarłam i w owocach porządek zrobiłam. Jeszcze bym się za jakąś robotę wzięła. Pusto tu u nas dzisiaj. — Mela zjawiała się przy Renacie jak dobry duch.

— Sierpień, Melu. Ludzie na urlopy powyjeżdżali, a ci, co nie pojechali, to albo w pracy teraz siedzą, albo na działkach świeżym powietrzem oddychają.

— Ja na swoją też muszę dzisiaj pojechać i popodlewać. Kwiaty przywiozę i śliwek narwę. Mój Fryderyk to bardzo lubi placek ze śliwkami. — Melania usiadła na krześle stojącym przy drugiej kasie, z której korzystano w godzinach dużego ruchu w sklepie. — Szukam jakiegoś pomysłu na siebie, Reniu — powiedziała, skubiąc w zamyśleniu firmowy fartuch.

Renata spojrzała na koleżankę pytająco.

— Chcesz od nas uciec?

— Ależ skąd! — Mela zamachała rękami, jakby opędzała się od muchy. — W żadnym wypadku! Dobrze mi tu, praca mi się podoba, a z ludźmi to zawsze lubiłam rozmawiać, więc teraz mogę nagadać się do woli.

Renata uśmiechnęła się. Rzeczywiście, Melania lubiła mówić, ale jednocześnie potrafiła słuchać. Dzięki niej ich sklep stał się jeszcze bardziej przyjaznym klientom miejscem i ludzie chętnie tu przychodzili pomimo bliskiego sąsiedztwa Groszków, Żabek i Stokrotek.

— Tak ogólnie szukam — kontynuowała Mela. — Nie chcę, żeby moje życie ograniczyło się tylko do rytmu praca–dom, czasami działka, ale zimą to już jedynie seriale, które człowieka tak uzależniają i rozleniwiają umysłowo, że nawet po książkę mu się sięgnąć nie chce.

Renata przytaknęła. Wiedziała, o czym Mela mówi. Znała to uczucie

wszechogarniającego zniechęcenia, gdy wracała z pracy tak zmęczona fizycznie i emocjonalnie, że jedyne, na co miała ochotę, to przeskakiwanie pilotem po programach, na żadnym z nich nie skupiając zbyt długo swojej uwagi. Prawo jazdy, do którego namówił ją Staszek z Moniką, skłoniło Renatę do podjęcia intelektualnego wysiłku i uświadomiło jej, jak bardzo się rozleniwiła przez te lata od urodzenia dziewczynek. Dawne pragnienia i plany zweryfikowało życie i potrzeby rodziny, a Renata już nawet zapomniała, że kiedyś miała marzenia.

— Mam dopiero pięćdziesiąt pięć lat i wcale nie uważam, że już wszystko za mną. Wręcz przeciwnie, sądzę, że jeszcze wiele mogę, szczególnie teraz, gdy moje dzieci są już dorosłe, a wnuczki za swoją córkę wychowywać nie zamierzam. Pomóc, owszem, ale i to tylko wtedy, gdy mnie o to poproszą. Nie wtrącam się do młodych i ich życia, bo wiem, że każdy musi popełnić swoje własne błędy. I tak dzieci przed nimi nie ustrzeżemy, a na swoich uczą się najskuteczniej. Chciałabym, Reniu, w końcu czegoś dla siebie. — Mela westchnęła ciężko i spojrzała na Renatę tak przejmująco, że kobieta poczuła wędrujący jej w dół kręgosłupa dreszcz.

Dźwięk przychodzącego esemesa oderwał myśli Renaty od tego, co usłyszała od Melanii. Sięgnęła do kieszeni po komórkę i zerknęła na wyświetlacz.

„Rozpocząłem końcowe odliczanie. Tęsknię i nie mogę się już doczekać, kiedy Was zobaczę. S”.

Uśmiechnęła się do słów, które ogrzały jej serce. Już niedługo Staszek zamknie ją w swoim niedźwiedzim uścisku i nie będzie liczyło się nic oprócz tych dwóch tygodni, które dostaną w prezencie. Renata nie liczyła już dni, odliczała godziny.



Uścisk był naprawdę niedźwiedzi, a Renata wcale nie chciała się z niego uwalniać. I chyba trwałaby tak, wtulona w Staszka, bez końca, gdyby nie zimny nos Teodora. Pies wepchnął się bezczelnie między ukochaną panią a tego obco pachnącego mężczyznę i wyraźnie dał do zrozumienia, że to powitanie trwa już za długo. Renata z niechęcią oderwała się od męża, wodząc jednak za nim spojrzeniem jak dopiero co poślubiona panna młoda. Szukała zmian w Staszku, do którego nie mogła się przyzwyczaić. Nie widzieli się dwa miesiące. Niby nic, a jednak dla małżeństwa, które dotąd się nie rozstawało, to jakby wieczność. Oboje czuli się sobą nieco skrępowani, jednocześnie łączywie obejmując się wzrokiem i ucząc się nowych siebie po rozstaniu.

Dziewczynki poradziły sobie znacznie lepiej niż Renata. Julka najpierw zawisała ojcu na szyi, a potem pociągnęła go do pokoju, próbując opowiedzieć mu wszystko naraz, natomiast Iga zerkała na wypchaną torbę Staszka z nadzieją, że znajdzie się tam coś dla niej.

Dzień przyjazdu Stanisława był świętem w rodzinie Grońskich. Renata upie-

kłą kaczkę i podała ją z opiekаныmi ziemniaczkami, a Julka specjalnie dla taty zrobiła ciasto z malinami. I jak dawno już nie bywało, nikomu nie spieszyło się do żadnych zajęć. Siedzieli przy stole w dużym pokoju, jedli, rozmawiali i żartowali. Nikt nie patrzył na zegarek i nawet Iga zignorowała swój telefon, który brzęczał w jej zamkniętym pokoju.

Ten czas, który zatrzymali w rodzinnym spotkaniu, uświadomił im, jak bardzo siebie potrzebują i jak wielką siłą jest rodzina w komplecie.

— Ależ ja za wami tęskniłem! — Stanisław patrzył na swoje trzy kobiety, a jego oczy śmiały się do każdej z nich.

— Musisz tam znowu jechać? — zielone spojrzenie Julki zakłuło boleśnie w okolicy serca.

— Jula, ja dopiero podjąłem tam pracę. Nie mogę tak od razu poddać się i wrócić. Popracuję rok, a potem zobaczymy.

— A możesz zrobić coś, żeby mama nie była cały czas taka smutna?

Ciemne spojrzenie Staszka objęło z czułością zieleń oczu Renaty. Wiele miał jej do powiedzenia, ale nie to, co podświadomie chciała usłyszeć. Nie miał recepty na tęsknotę, zresztą nikt jej dotąd nie wymyślił i nie opatentował. A szkoda, bo zbiłby na tym fortunę.

— Mogę jedynie częściej dzwonić albo tak mamę zdenerwować, żeby nie chciała mnie oglądać — zażartował, ale smutne oczy Renaty nawet się nie uśmiechnęły.

— Zrobić ci kawy? — Renata podniosła się. Potrzebowała zajęcia, aby jej ręce, wykonując znajome czynności, przestały drżeć. Wiele ją kosztowało to spotkanie, a jeszcze bardziej przerażała myśl, że Staszek znów wyjedzie, tym razem na dłużej, bo oboje wiedzieli, że wróci dopiero na święta. Nie sądziła, że tak będzie przeżywała rozstanie z mężem i że serce, któremu brakuje drugiej połowy, tak boli.

— Poproszę czarną. Z fusami — odpowiedział, nie mogąc się nasycić jej widokiem.

— Pomogę ci. — Iga podniosła się od stołu i zebrała puste talerze po obiedzie.

Renata spojrzała na córkę z wdzięcznością.

Działy jak zgrany duet. Iga zmywała, a Renata kroїła ciasto i przygotowywała kawę. Krzątały się po kuchni, nie wchodząc sobie w drogę, pod czujnym okiem Teodora.

— Liczysz na kaczkę z obiadu?

Pies, słysząc głos swojej uwielbianej pani, zamerdał ogonem.

— Coś tam się dla ciebie znajdzie, psie o żebrzącym spojrzeniu. — Renata podniosła miskę Teodora i wsypała tam resztki niedojedzonego mięsa kaczki. Wszystkie kości, ku ogromnemu niezadowoleniu psa, wyrzuciła do kosza.

— Jak to jest, że jak się ma rodzinę na co dzień, to się jej nie docenia? — Iga

odłożyła ostatni talerz na suszarkę, wytarła ręce i odwróciła się w stronę matki.

— Często tak jest, że nie zauważamy, jak wielkimi jesteśmy szczęściarzami, mając bliskich ludzi obok siebie. — Renata przypomniała sobie te wszystkie historie znoszone do sklepu, wypłakiwane i wyżalane, aby komuś o tym opowiedzieć.

— Myślisz, że jakby tata nie wyjechał, dostrzeglibyśmy, jak boli nieobecność?

— Raczej nie, bo nie znaleźlibyśmy się w takiej sytuacji. Zawsze coś dzieje się po coś. Może tak samo jest z wyjazdem taty? Abyśmy uświadomili sobie, jak bardzo się dopełniamy jako rodzina i jak bardzo siebie nawzajem potrzebujemy.

Iga pokręciła głową, a jej brązowe włosy załśniły, łapiąc promienie słoneczne i pozwalając, aby wplątały się w rozjaśnione refleksami pasma.

— Jejku, jeszcze pół roku temu dostałabym gęziej skórki na myśl o wspólnym wyjeździe z Julką i z wami. A dziś nie mogę się już tego doczekać.

Renata uśmiechnęła się, przypominając sobie ich rodzinny wypad do Kazimierza tuż przed wyjazdem Staszka. Ona też wówczas nie wierzyła, że ich prawie pełnoletnia córka będzie chciała jeszcze dokądkolwiek z nimi pojechać. „Życie jest pełne niespodzianek”, pomyślała, parząc kawę, której aromatyczny zapach rozszedł się po całym domu.

Tej nocy dłonie Staszka niecierpliwie błędziły po spragnionym bliskości ciele Renaty, odnajdując wszystkie miejsca i zakamarki, których były stęsknione. Staszkowe usta smakowały znajomą skórę kobiety, dla której chwila bliskości z mężem po dziewiętnastu latach małżeństwa była czymś wyjątkowym i wyczekiwany. Odkrywali siebie na nowo, przypominając sobie ten czas, gdy wciąż byli spragnieni i nienasyчени, czekając na moment samotności lub na głęboki sen dziewczynek. Kochali się tak, jakby chcieli nadrobić stracony czas i samotne noce, w czasie których przewracali się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Dzisiejszej nocy znów byli pełnią. Należeli do siebie, obdarowując się nawzajem bliskością i pragnieniem i lecąc tęsknotę w ciasnym uścisku i wymienianych namiętnych pocałunkach. Mąż i żona. Siła i płomień. Dwie połówki, które stały się całością, do jakiej zostały powołane.

Leżąc obok mężczyzny, któremu kiedyś powierzyła swoje życie, Renata pomyślała, że chciałaby zatrzymać czas właśnie w tym momencie. Wtulona w rozgrzane ciało męża czuła się bezpieczna i spokojna. Świadomość, że spędzą razem najbliższe dwa tygodnie, mając możliwość nasycić się sobą, cieszyła. I tylko jedna myśl, jak natrętna powracająca mucha, przysiadła na poduszce Renaty, nie pozwalając zapomnieć się w tym odnalezionym przy Staszku szczęściu. On wyjedzie, a ona znów zostanie tutaj, z samotnością i tęsknotą, na które świadomie się zgodzili.



— Czy nie uważacie, że zachowujecie się nieprzyzwoicie, i to w obecności własnych dzieci? — Iga rzuciła tę uwagę, przyłapując Renatę i Staszka na kolejnym pocałunku.

Nie mogli się sobą nacieszyć i będąc daleko od codzienności oraz czekających tam na nich obowiązków, próbowali wykorzystać ten wspólny czas najpełniej. Aby potem mieć z czego czerpać, gdy nadejdą długie i puste wieczory jesiennej nostalgii. Dzisiaj jednak ten jesienny czas był daleko, a szczęście wyglądało zielonymi oczami Renaty, w których przeglądały się góry.

Ich skromne oszczędności i czas, którym Stanisław był ograniczony, pozwoliły im na tygodniowy wypad w Tatry, gdzie szczególnie Renata i Staszek chcieli zregenerować siły i odpocząć po całym roku ciężkiej pracy.

— Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi. — Renata wzruszyła ramionami, uśmiechając się do Staszka.

— W tym wieku nie wypada wam już chyba chodzić za rękę i migdalić się do siebie jak para nastolatków.

Wiedzieli, że za tym udawanym sarkazmem kryje się zadowolenie. Już dawno obie dziewczynki nie widziały rodziców tak bliskich sobie i tak w siebie wpatrzonych. Harmonię, która między nimi panowała, czuła cała rodzina, a więź między Renatą i Staszkiem umacniała ich córki, dając im poczucie bezpieczeństwa.

— Zobaczysz, jak będziemy zachowywać się na emeryturze, kiedy w końcu będziemy mieć dla siebie czas. — Stanisław puścił oko do Igi i głośno cmoknął Renatę w ciepły policzek.

— O ile dożyjemy — dorzuciła Renata, rozglądając się w poszukiwaniu Julki.

Późnopołudniową porą Krupówki zatłoczone były schodzącymi z gór turystami, poszukującymi dobrej knajpy z jedzeniem i czymś do ugaszenia pragnienia. Tłumy ludzi wędrowały w górę i w dół tej najśłynniejszej ulicy Zakopanego, która zmieniała się i piękniała z każdym rokiem. Eleganckie sklepy kusiły drogą biżuterią, markowymi torebkami, ubraniami i butami, niekoniecznie nadającymi się na piesze wędrowki. Uliczni mimowie, poprzebierani w stroje z różnych epok i baśni, umilali monotonne dreptanie po zakopiańskiej ulicy, zachęcając swoim milczeniem do tego, aby przy nich przystanąć i monetą skłonić do jakiegokolwiek ruchu.

Julka stała właśnie przy jednym z nich, próbując wzrokiem i wdzięczną pozą namówić srebrnego rycerza do choćby cienia uśmiechu czy przyjaznego pomachania.

Lubili tu przyjeżdżać. Bliskość gór koila i dawała energię, którą cała czwórka starała się naładować po czubki uszu. Mieli swoją ulubioną kwaterę na Mrażnicy, U Burnusów i wracali tam w poszukiwaniu spokoju i wyciszenia. Przy domu, w którym się zatrzymywali, pasły się owce, pilnowane przez ubranego po

góralSKU gazdę i psa pasterskiego, który łąsił się do Julki podobnie jak zacieka-
wione owce, kuszone skórkami chleba.

To miejsce łączyło całą ich rodzinę, ale Renata podejrzewała, że w przy-
szłym roku Iga już nie będzie chciała z nimi tu przyjechać. Wędrówki górskimi
szlakami, i do tego w obecności rodziców, nie należały do ulubionych rozrywek
osiemnastolatek. W małym plecaku Igi, który dziewczyna nosiła tylko dlatego, że
pasował jej kolorystycznie do spodenek i adidasów, rozdzwoniła się komórka
Renaty. Iga przystanąła i odwróciła się tyłem, a Renata sięgnęła w głąb i wycią-
gnęła dzwoniący telefon. Odebrała natychmiast, gdy tylko zerknęła na wyświe-
tlacz.

— Czy mój pies się za mną stęsknił? — spytała po wciśnięciu „Odbierz”.

— Twój pies wprowadził w moim domu rewolucję! — W głosie Moniki
Renata usłyszała lekkie poirytowanie. — Nie uprzedziłaś mnie, że Teodor śpi
w łóżku, czym doprowadza do szewskiej pasji Pawła. Szczególnie jego umorusane
łapy budzą w moim mężu mordercze instynkty.

— No wiesz, myślałam, że tylko w domu pakuje się na kanapę — odpowie-
działa Renata przepraszającym tonem. — Sądziłam, że w gościach będzie umiał się
zachować i nauczy się spać w kojcu, jak przystało na wychowanego psa.

Monika prychnęła w słuchawkę tak głośno, że Renata musiała odsunąć tele-
fon od ucha.

— Wychowany pies nie rozgrzebuje śmietnika, nie przekopuje rabatek
w ogrodzie i nie wywleka intymnej garderoby z sypialni, roznosząc ją po całym
domu. Ostatnio na środku trawnika leżały moje majtki, które znalazł w łazience. Co
sobie o mnie sąsiedzi pomyślą?

— Jak dobrze z tobą żyją, to pozazdroszczą tobie i Pawłowi relacji małżeń-
skiej, a jak źle, to dopowiedzą sobie resztę i posądzą cię o romans.

— Ty mnie nie podpuszczaj, tylko uprzedź lepiej, czego jeszcze mogę się
spodziewać po twoim pupilku?

Renata próbowała się skupić, ale śmieszne miny, które robił do niej Staszek,
zupełnie odwracały jej uwagę od Teodora i żalącej się Moniki.

— Oprócz tego, że może ci zjeść pół drzwi i poobgryzać tapetę, raczej nie
powinien cię już niczym zaskoczyć. Gryzienie butów już mu się znudziło, a! krad-
nie ze stołu, więc uważaj, co na nim zostawiasz.

— Lodówkę też umie otwierać? — spytała Monika łamiącym się głosem.

— Jeszcze nie, ale to zdolny pies. Jego trener, pan Marcin, powiedział, że
Teodor ma potencjał i szybko się uczy, więc jeszcze cię może zaskoczyć przez ten
tydzień.

— Zobaczysz, Renia, zostawię ci pod opieką Antka z panną i będziesz
musiała dopilnować, żebym za wcześnie nie została babcią — syknęła przyja-
ciółka, a Renata uśmiechnęła się do Staszka i odpowiedziała:

— Ja też cię kocham! — a potem rozłączyła się, wrzucając telefon z powrotem do plecaka. Opadł cicho na polarową bluzę Igi, chowając się w miękkości materiału.

— Czyżby opieka nad naszym psem przerosła twoją przyjaciółkę? — spytał Staszek z wesołymi iskierkami w oczach.

— Poradzi sobie. — Renata machnęła ręką w stronę Julki, odrywając ją od gry spojrzeń z zakopiańskim mimem.

— Monika czy Teodor?

Renata parsknęła śmiechem.

— Oboje sobie poradzą. Wbrew pozorom lubią się.

— Bo oboje mają charakter — mruknął Staszek, a potem odszukał dłoń Renaty i zamknął ją w swojej, dużej i męskiej. Silnej i bezpiecznej.

Ruszyli powoli w stronę targu pod Gubałówką, nigdzie się nie spiesząc i nie spoglądając na zegarek. Mijali kolorowy tłum, mając za sobą i przed sobą góry. Majestatyczne skały spoglądały na Zakopane wyniośle, przypominając, kto tak naprawdę sprawuje tu władzę. Urzekały i niepokoiły. Stawiały wyzwanie, drwiąc sobie z ludzkich ograniczeń i słabości, nagradzając jednak mądrość i wytrwałość tych, którzy odważyli się je zdobyć. Pozwalały się podziwiać, zostawiając sobie jednak tajemnicę i nie do końca odkrywając to, czym mogły zachwycić. Kapryśne i władcze. Piękne w swojej potędze i obietnicy, z której zawsze się wywiązywały. Skała, która trwa i której nic nie złamie. W przeciwieństwie do słabości człowieka, który w chwilach próby zbyt łatwo się poddaje.



Druga połowa sierpnia niosła już zapowiedź jesieni. Co prawda dni były jeszcze ciepłe i rozświetlone promieniami słonecznymi, ale w powietrzu czuć już było chłód, a beztruską radość zastąpiło oczekiwanie nieuchronnego początku roku szkolnego.

Melania zastanawiała się, jak to jest, że ten szkolny rytm narzuca wszystkim, bez względu na wiek, swoje napięcie, pośpiech, podenerwowanie i schemat dnia, w który na nowo trzeba wejść. Mimo że jej dzieci były już dorosłe i szkoły dawno pokończyły, a wnuczka zaczynała dopiero edukację przedszkolną, w ich domu nadal czuło się koniec wakacyjnej beztruski i początek nowego, wypełnionego obowiązkami rytmu. Melania podejrzewała, że tak samo jest w domach większości Polaków, a szkoła i jej dyscyplina, porządkująca dni od września do czerwca, tak wessała się w krwiobieg ludzi, że nie potrafili już żyć inaczej, bardziej spontanicznie. Przypomniała sobie, jak Ilonka po którymś pobycie za granicą opowiadała jej z zachwytem w oczach, jak żywiołowo Włosi świętują zwyczajną codzienność.

— Mamo, wyobraź sobie, marzec, niedzielny wieczór. My o dwudziestej pierwszej skończyliśmy kolację i, pomimo urlopu, wracaliśmy do hotelu, spięci

nadchodzącym poniedziałkiem, a oni dopiero tłumnie wychodzili na ulice. I to całymi rodzinami, z małymi dziećmi! Spacerowali po rynku, zapewniali pizzerie i restauracje, roześmiani i gestykujący żywiołowo, z radością. Zupełnie tak, jakby niedziela trwała w nieskończoność, a poniedziałek odwołano. I to ich zaraźliwe celebrowanie chwili, bez stresu, że trzeba się mentalnie przygotować do nowego tygodnia. My się spinamy i pracujemy po godzinach, a oni spokojnie zamykają lokale w porze najlepszej w Polsce sprzedawalności i udają się na sjęstę, zmęczeni po kilku godzinach pracy. Inny kraj, inna kultura, ale czy nie możemy choć trochę się od nich uczyć i porzucić to nasze polskie udreczanie się i nieustanne narzekanie na wszystko?

Melania była zdania, że Polakom rzeczywiście przydałaby się zmiana mentalności, a szczególnie porzucenie wiecznego użalania się nad sobą i wyrażania niezadowolenia ze wszystkiego. Pracując w sklepie, mogła się napatrzyć na ludzkie charaktery i osobowości, dostrzegając przeróżne zależności i ucząc się postępować z klientem tak, aby go nie obrazić, ale jednocześnie nie pozwolić na to, aby klient obrażał ją lub którąś z jej koleżanek.

W ogonku przesuwających się przy kasowym stanowisku ludzi Melania kątem oka dostrzegła mecenasa Tarnowskiego-Przybysza, z koszykiem smętnie zawieszonym na zgiętej w łokciu ręce. Mecenasa wyglądał na mocno zagubionego, a optymizm i pewność siebie, z którymi zawsze wkraczał do sklepu, dziś schowały się głęboko na dnie przygaszonego spojrzenia. Melanię ten widok tak wytrącił z równowagi, że nie mogła się skupić na obsługiwanych klientach, prowadząc z nimi jedynie zdawkową wymianę zdań i niecierpliwie wyglądając zbliżającego się ku niej mecenasa.

Kiedy Jan Tarnowski-Przybysz postawił na ladzie swój koszyk, Melania zamarła. Na jego dnie leżała butelka niegazowanej wody, puszka piwa i paluszki.

— A co to dzisiaj tak skromnie, panie mecenasie? — spytała, spoglądając na Jana Tarnowskiego-Przybysza z taką troską w oczach, że mężczyzna po prostu musiał „wyplakać się” w czyjś rękaw i opowiedzieć, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

— A... — machnął ręką, jakby chciał zbagatelizować pytanie, ale Melania czuła, że to dopiero wstęp. — Bo wie pani, Żanetka wyjechała. Powiedziała, że musi do SPA i że przez kilka dni sobie poradzę. Dotychczas jadłem na mieście, ale dzisiaj tak jakoś do domu mi się zachciało, a tam, szanowna pani, tylko światło w lodówce. Bo to jest tak, pani Melu, że zarabiać pieniądze to ja umiem, ale o wydawaniu ich to nie mam bladego pojęcia.

— O robieniu zakupów, jak widać, również. — Melania wskazała na koszyk, w którym prawie nic nie było. — I to pan zamierza dzisiaj jeść?

Mecenas wzruszył ramionami.

— Jakoś nic innego nie przyszło mi do głowy.

Mela przewróciła oczami i wypowiedziała bezgłośnie: „Mężczyźni!”

a potem odstawiła koszyk mecenasa na bok, chwyciła kartkę i długopis i zapisała kilka produktów, które przysły jej do głowy „na szybko”.

— Niech pan jeszcze raz przeleci się po sklepie, mecenasie, i znajdzie to wszystko, co zapisałam. — Podała mężczyźnie kartkę i koszyk. — A potem z tym wszystkim zapraszam do mnie, do kasy. Wytłumaczę panu, co z tym dalej zrobić.

Mecenas Tarnowski-Przybysz spojrział nieufnie na Melanię, ale doszedłszy do wniosku, że dobrze jej z oczu patrzy, wycofał się i zniknął między półkami.

Zanim wrócił, Melania zdążyła obsłużyć dwie gospodynie domowe, które wymieniły się z nią przepisem na powidła śliwkowe i dżem wiśniowy, odesłać nastolatka, który próbował kupić dwa piwa na legitymację, oraz wytłumaczyć starszemu, niedosłyszającemu panu Tadeuszowi, że pani Renia jest na urlopie i że nie odeszła ze sklepu ani nie została wyrzucona, tylko odpoczywa.

— A czy aby na pewno pani jej nie wygryzła? — dopytywał dociekliwie pan Tadeusz, a Melania z trudem powstrzymała się, aby nie rwać sobie włosów z głowy, tylko rozciągając usta w uprzejmym uśmiechu, odchrząknęła mu do ucha:

— Nasza Renatka jest zbyt cenna, aby się jej pozbywać. A ja gryźć nie potrafię.

— Ja też nie, bo już zębów nie mam — odpowiedział starszy pan, pakując swoje mleko i bułeczki do plastikowej reklamówki z Mikołajem i reniferem.

Gdy mecenas Tarnowski-Przybysz pojawił się przy Melanii ponownie, jego koszyk wyglądał dużo pełniej niż poprzednio. Oprócz piwa i wody wyglądały z niego dorodne pomidory, ogórki gruntowe i cebulka, makaron, dwa rodzaje wędliny, łosoś w plastrach, serek mascarpone, masło, cytryna, koperk, chleb razowy i olej.

— No, teraz to nie zginie pan z głodu, tylko jakoś przetrwa do przyjazdu żony. — Melania uśmiechnęła się do mecenasa zachęcająco.

— Tylko nadal nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić. Po co mi niby ten serek? I z czym mam zjeść makaron?

— Niech pan teraz słucha uważnie, panie mecenasie. Mądry pan jest, bo aby te wszystkie artykuły kodeksów zapamiętać, to głowę trzeba mieć na karku, więc zapamiętać jedno proste danie to dla pana pikuś, prawda?

Mecenas skinął niepewnie głową.

— Pokroi pan tego łososa w kostkę i podsmaży chwilę na oleju. W tym czasie ugotuje pan makaron, tak aby nie był zbyt miękki, taki akurat, rozumie pan?

Mecenas ponownie skinął głową.

— Do łososa doda pan ten serek i wymiesza wszystko razem, cały czas podsmażając na wolnym ogniu. Na koniec wciśnie pan sok z połowy cytryny i zdejmie patelnię z ognia. Odcedzi pan makaron i całość z patelni wymiesza z nim w garnku. A potem to wszystko na talerz i posypać koperkiem. Pycha! Danie szybkie i bardzo smaczne. Żonie będzie pan mógł zrobić, jak wróci. Zapamiętał pan?

Mecenas przytaknął bez przekonania.

— A pomidory mi do czego potrzebne? — spytał, patrząc zdezorientowany na zawartość koszyka.

— A dla zdrowia, panie mecenasie. Potas zawierają i na serce dobrze robią.

Jan Tarnowski-Przybysz wolno pakował produkty, analizując słowa Melanii.

— A myśli pani, że sobie poradzę z tym łososiem?

— A dlaczego ma pan sobie nie poradzić? — w głosie Meli było tyle pewności, że mecenas odetchnął i wyprostował się, gubiąc gdzieś niedawną nieśmiałość i zagubienie.

— Jeszcze nie odkrył pan całego potencjału, jaki w panu drzemie, mecenasie. — Melania nie przestawała głaskać skulonego ego Jana Tarnowskiego-Przybysza.

— Tak pani sądzi? — spytał z nadzieją w głosie.

— Ja to wiem, panie mecenasie. Widzę to w pana oczach. Zbyt rzadko pan w lusterko zerka, proszę się sobie dokładnie przyjrzeć, a zobaczy się pan w zupełnie innym świetle.

Dopieszczony słowami Meli i ujmującym uśmiechem Kasi mecenas opuścił sklep z mocnym postanowieniem poprzyglądania się sobie i odkrycia kulinarnego talentu, którym zamierzał zaskoczyć Żanetkę po jej powrocie.

Odprawdzając go wzrokiem, Melania pomyślała, że Pan Bóg urządził ten świat z wielką starannością o szczegóły. Dał kobietę i mężczyznę sobie, aby wzajemnie się uzupełniali i zapełniali sobą te luki i wyrwy, które w nich powstały lub z którymi się po prostu urodzili. Dwie z pozoru różne połówki łączył w doskonałą całość, latami przeżyłymi razem zacierając różnice i łagodząc ostre kandy, o które jeszcze od czasu do czasu się obijali. I nawet tęsknota i brak miały w związku dwojga ludzi swoje miejsce i sens, bo prowadziły do samodoskonalenia się człowieka, do jego rozwoju i odkrywania uspiionych talentów i umiejętności, o które siebie samego nie podejrzewał.

„Ciekawe”, Melania zadała sobie w myślach pytanie, „co mecenas Tarnowski-Przybysz odkryje w sobie podczas nieobecności żony?”



Sierpniowy poranek w górach był rześki i pachniał wilgocią omszałych skał, ponad którymi wstawała mgła, spowijająca Tatry tajemniczością. Droga z Kuźnic na Kalatówki wczesnym rankiem była jeszcze dość pusta, choć pojedynczy miłośnicy gór już wędrowali tatrzańskimi szlakami, spragnieni kontaktu z naturą i gotowi na wyzwania, jakim miało sprostać słabe ciało.

— Chciałam powiedzieć, że jesteś najokrutniejszym ojcem na świecie — odezwała się idąca na końcu rodziny Grońskich Iga, ziewając i przecierając zaspane jeszcze oczy.

— A ja chciałem zaznaczyć, że podjęłaś wyzwanie, choć uprzedzałem, że nie będzie łatwo — odpowiedział Stanisław, uśmiechając się do idącej obok niego Renaty. — Nie sztuką jest wjechać na Kasprowy kolejką, ale wejść tam na własnych nogach.

— Ale tato — wtrąciła radosna jak skowronek Julka — Iga nie przewidziała, że będzie musiała na wakacjach wstać o szóstej rano i do tego pokazać się ludziom bez makijażu.

Iga wykrzywiła się w stronę siostry, a Julka w odpowiedzi pokazała jej język.

Renata przystanęła na chwilę, aby wyrównać oddech, i przymknęła oczy. Cisza gór koła i przywracała równowagę. Ostre powietrze oczyszczało zmęczone miastem płuca i przynosiło ledwo wyczuwalny zapach szczęścia, które Renata chłonęła całą sobą. Te ich wspólne dni w górach były czasem odnowy dla całej rodziny. Potrzebowali takich rozmów i bliskości, wyznań szeptanych w ciemności nocy i czułości, o której już niemal zapomnieli. Potrzebowali siebie, aby wzajemnie czerpać od siebie siły i odszukać w oczach zapewnienie, że dadzą radę i uniosą rozstanie, którego byli świadomi.

Wszystko się zmieniało. Dziewczynki rosły i już nie wymagały tyle uwagi rodziców, co jeszcze kilka lat temu. Emigracja zarobkowa Staszka też była czymś zupełnie nowym w ich rodzinie. Nawet Teodor, który pojawił się nieoczekiwanie, też był czymś zupełnie nowym, czego dotychczas nie doświadczyli.

Natura dookoła i surowość gór swoją ciszą oczyszczały umysł przeciążony codziennymi sprawami, obowiązkami, powinnościami i problemami. Zanurzony w tę ciszę człowiek, przez swoje zmęczenie i wyciszenie, odnajdował na nowo siebie samego i dotykał tego, co kiedyś poukrywał gdzieś głęboko w sobie. Taka wędrówka sprzyjała odkrywaniu siebie i spojrzeniu na drugiego człowieka, przemierzającego tę samą trasę, w zupełnie inny sposób.

Renata pomyślała, że dawno już nie widziała takiego Staszka. Zdecydowanego, opiekuńczego i niewstydzającego się swoich uczuć ani tęsknoty. Dawno też ich rodzina nie była taką jednością jak podczas tego pobytu w Tatrach, w czasie tej wędrówki, którą sobie zamierzali.



Brakowało jej tchu, a spragnione powietrza płuca łapczywie chwyciły każdy łyk tlenu. Trasa, którą wybrali, była malownicza, ale nie należała do łatwych, szczególnie dla kogoś, kto prowadzi mało aktywny tryb życia, tak jak Renata.

Często przystawała na chwilę odpoczynku, próbując wyrównać oddech. Zdawała sobie sprawę, że spowalnia wycieczkę, ale jej kiepska kondycja fizyczna stawała ograniczeniem dla słabego ciała, które nie chciało już Renaty słuchać.

— Rena, jesteśmy już w takim miejscu, że nie opłaca się nam wracać.

Zostało już naprawdę niewiele drogi, dasz radę. — W głosie Staszka Renata usłyszała troskę, która rozlała się przyjemnym ciepłem gdzieś w środku niej.

— Dajcie mi chwilę — wydyszała, opierając dłonie o uda i pochylając się, aby uspokoić urywany oddech.

— Już nigdy nie dam ci się podpuścić. — Iga spojrzała na ojca niby z wymówką, ale Stanisław dostrzegł wesołe iskierki w ciemnych oczach córki.

— Popatrz mamó, kozica! — Julka wyciągnęła rękę w stronę widocznych w oddali skał i wskazała nieruchomy punkt, który po chwili wpatrywania się w niego poruszył się. Kozica górską z gracją przeskoczyła wyżej, jakby świadoma tego, że ktoś ją obserwuje.

— Pięknie tu. — Renata rozejrzała się dookoła, chłonąc widok, który ją otaczał.

Potęga i majestat gór zdawały się chwalić wielkość Boga, który stwarzając świat, wypowiedział słowa: „Niech się stanie”. Poprzez słowo podarował człowiekowi piękno w najczystszej postaci, które chłonąć można tylko w ciszy, będącej modlitwą dziękczynienia. W tym miejscu każda skała opowiadała historie. Można z nich było spisać grubą księgę o tym, jak ludzie przezwyciężają własne słabości i lęki, przekraczają granice wytrzymałości, bólu i zmęczenia, oddając ten trud w zamian za wolność, którą tak prawdziwie można było poczuć tylko tutaj, w uśpionych górską ciszą Tatrach, na szczytach, z których wysokości świat w dole był jedynie miniaturowym obrazem rzeczywistości, która tu, pod niebem, nie kreśliła żadnych ograniczeń.

— Będziecie miały co wspominać. — Staszek uśmiechnął się i sięgnął do plecaka po wodę, którą podał Renacie. — Nie sztuką jest przyjechać w góry i zbijać baki na Krupówkach. Dopiero jak człowiek czegoś doświadczy i dotknie z bliska, czuje, że żyje naprawdę, i zaczyna to doceniać.

— No, ja na pewno będę miała o czym opowiadać — odpowiedziała Julka, próbując komórką sfotografować kozicę, która znów zamarła w oczekującej pozie.

— Skąd w tej małej tyle entuzjazmu? — spytał głośno Stanisław, kierując to pytanie do Renaty, która pomyślała właśnie, że nawet oczy jej męża śmieją się do niej w tej górskiej ciszy.

— Ma to po tatusiu — odpowiedziała, czując, jak wracają jej siły. Nie wiedziała, na jak długo ich wystarczy, ale nie zastanawiała się nad tym i nie martwiła na zapas, jak to często miała w zwyczaju robić. Ufała Staszкови i wiedziała, że razem dadzą radę i że on będzie przy niej, przy każdym jej kroku i przy każdym osłabnięciu.

— Ty zawsze masz o czym opowiadać. — Iga spojrzała na Julię z pobłażaniem starszej siostry. — Buzia ci się w ogóle nie zamyka, bez względu na to, czy ktoś chce cię słuchać, czy nie.

— Natomiast ty czasami zupełnie zapominasz ludzkiej mowy — odcięła się

Julka, chowając komórkę do plecaka.

— Ja po prostu nie paplam bez potrzeby i rozmawiam tylko z tymi, z którymi warto rozmawiać. — Iga, jako starsza, nie odpuszczała.

— Czyli najczęściej z lusterkiem — dokończyła Julka, uchylając się przed zamachem siostry.

— Mamo! Powiedz jej coś!

Renata pokręciła głową, odwróciła się i wolnym krokiem zaczęła wspinać się pod górę. Tuż za nią ruszyła Julka, a na końcu, ramię w ramię, Iga ze Staszkiem.

Słońce, przysłaniane od czasu do czasu puchatymi chmurami, przyjemnie przygrzewało, uśmiechając się do Tatr radosnymi promykami. W ciszę tatrzańskiego parku wkomponował się śpiew ptaszka, zdziwionego obecnością ludzi w tym miejscu. Góry prezentowały dumnie swoje wyprostowane, masywne sylwetki, kusząc do zdobycia ich szczytów i obiecując niezapomniane przeżycia tym, którzy się na to odważą.

Pośród tych gór, połączonych przełęczami, Renata uświadomiła sobie, że nieważne, ile szlaków uda im się zdobyć, bo tak naprawdę nie po to wracają tutaj co roku. Wracają, bo kiedyś z bardzo bliska poczuli oddech gór i pozwolili, by w ich serce wszczepiła się miłość do tego miejsca. Miłość zachłanna i niedająca o sobie zapomnieć, już na zawsze pozostająca tęsknotą, dla której tak wielu tu powracało, chcąc nakarmić niespokojne serce i wywieźć stąd spokój, jakiego nie można było odnaleźć nigdzie indziej.



Emilia tańczyła w deszczu. Z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą w stronę zasnutego chmurami nieba łapała ciepłe krople w uniesione dłonie i zatrzymywała je na twarzy, pozwalając, aby skapywały, jak łzy, po policzkach. Całą sobą czuła rytm, którym pulsowała ziemia, i zatracala się w nim, chcąc oczyścić umysł i zmęczone upałami ciało. Żyła i chłonęła to wszystko, czym obdarowywała człowieka natura. Ukryta za zasłoną powiek odgrodziła się od świata, nie widząc wpatrujących się w nią, zdziwionych spojrzeń i pobłażliwych uśmiechów. Nie słyszała rzucanych mimochodem uwag, którymi już dawno przestała się przejmować. Przyzwyczała się do tego, że ludzie traktowali ją jak wariatkę, i nie zależało jej na tym, aby za wszelką cenę przekonać ich, że nie mają racji. Ceniła znajomości i przyjaźnie, które dostała w darze od życia, a nowych nie poszukiwała. Ona nie miała problemu z ludźmi, bo umiała żyć obok nich, wkomponowując się w złożoną mozaikę lokalnej społeczności. To ludzie mieli problem z nią, bo nie pasowała do żadnych ram i nie dawała się zamknąć w schematach. Była inna przez to, że po prostu starała się być sobą. I nie ukrywała szczęścia, które potrafiła czerpać z każdego dnia. Bo Emilia wiedziała, że każdy ma jej coś do zaoferowania.

Teraz, schowana za kroplami deszczu, leczyła żal po stracie kolejnej, bliskiej

jej osoby. Wiedziała, że Marianna w tej chwili się do niej uśmiecha, pozbawiona trosk i ziemskich zmartwień. Całym swoim sercem czuła, że stamtąd, gdzie jest teraz, Marianna nie chciałaby wrócić, nawet gdyby dostała młode i zdrowe ciało. Emilia w to wierzyła, ale dusza bolała, a w wyszczerbionym sercu powstała kolejna wyrwa, której nie dało się zakleić. Bo to serce rządziło się swoimi prawami i nikogo nie słuchało. Było autonomiczne; obejmowało sobą bez pytania o zdanie i wyszczerbiało się po czyjejs stracie. I nie można go było wymienić na nowe. Emilia już to wiedziała i nauczyła się z tym żyć. Klaudia była dopiero na początku tej drogi. Przeżywała żalobę smutkiem, opłukiwanym przez łzy. Manifestowała swój żal wobec całego świata z nieustannym pytaniem: „Dlaczego?” na ustach. Szukała winnych, nie umiejąc przyjąć prawdy.

Z ulgą wróciła zaraz po pogrzebie do domu Emilii. We własnym nie potrafiła się odnaleźć. Ślady jej matki zostały zdeptane przez bratową, która poczuła się już gospodynią na swoim. Dla Klaudii nie było tam miejsca.

W ciepłym domu Emilii psy witały ją radośnie, merdając ogonami, a koty kładły się na kolanach bądź wtulały w szyję, gdy nie potrafiła powstrzymać szlochu w ciemności. Oczy ciotki śmiały się od samego rana, a czajnik gwizdał wesoło na gazie zupełnie jak u mamy, gdy jeszcze kręciła się po kuchni... W domu Emilii nikt nie robił jej wyrzutów i nikt nie dawał do zrozumienia, że przeszkadza. Klaudia ogrzewała się w tym miejscu pełnym miłości, coraz bardziej tu wrastając i odnajdując samą siebie. Ciotka Emilia fascynowała ją. Była inna niż ludzie, których Klaudia знаła i których spotykała. Nie przejmowała się ludzkim gadaniem i obojętnie przechodziła obok spojrzeń, które Klaudię początkowo krępowały. Po pewnym czasie jednak ona też zaczęła się do nich przyzwyczajać i ich nie dostrzegać.

Teraz, patrząc na Emilię roztańczoną w kroplach deszczu, uśmiechnęła się. Ona też tak robiła, ale na łące, kiedy nikt nie patrzył. Uciekała tam, kiedy było jej źle lub gdy Jadźka jej dopiekła. Latem chodziła boso po trawie albo kładła się w cieniu brzoź i obserwowała chmury, wysyłając do nieba swoje rozgoryczenie. W ciepłe dni właśnie tam, na łące, uczyła się i odrabiała lekcje. Tam mogła się skupić i nikt nie wyszukiwał jej roboty w gospodarstwie ani nie tłukł demonstracyjnie garnkami, gdy Marianna kategorięcznym tonem oznajmiała synowej, że nauka jest dla Klaudii najważniejsza i nie będzie się zajmować niczym innym poza nią. Łąka przyjmowała wszystko, z czym Klaudia przybiegała. Odpowiadała cichym brzęczeniem owadzich skrzydełek i śpiewem ptaków zamieszkujących pobliski las. Latem na tej łące Klaudia spotykała bociany. Patrzyła zachwycona jak kroczyły dostojnie na swoich wysokich czerwonych nogach, wyłapując polne myszki. Pomimo pospolitości miały w sobie szlachetną majestatyczność, bez dumy i napuszenia pawia. Łąka i zamieszkujące lub odwiedzające ją stworzenia były tą częścią życia Klaudii, za którą najbardziej tęskniła.

Dlatego rozumiała Emilię i jej potrzebę obcowania z naturą. Tylko... zazdrościła ciotce tej umiejętności lekceważenia tych, dla których jej zachowanie było dziwaczne. Klaudia pomyślała, że do tego trzeba mieć odwagę i silną osobowość.

Deszcz, pomimo swojej intensywności, był ciepły, a rozgrzane latem powietrze nabierało świeżości. Klaudia wystawiła rękę, do której od razu przylgnęły mokre krople, gładząc skórę dziewczyny lekkimi strugami. To uczucie było tak przyjemne, że wyszła spod ochronnego daszka klatki schodowej i pozwoliła, aby ten dotyk deszczu objął ją całą. A potem podbiegła do Emilii i chwytając ciotkę za rękę, zakręciła się z nią w kółku zupełnie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i bawiła się w ten sposób z mamą lub tatą. Świat wokół nich zawirował, a drzewa pomachały im przyjaźnie gałęzi. Klaudia otworzyła oczy i spojrzała w górę, na niebo, które zsyłało deszcz wysuszonej i stęsknionej wilgoci ziemi. Wyobraziła sobie, że za tymi gęstymi chmurami jest mama, i uśmiechnęła się do niej, pozwalając, aby spływający po twarzy deszcz zabrał ze sobą łzy i obmył ją z nieutulonego żalu, z którym sama nie umiała sobie poradzić.



— Widziała pani wczoraj, jak ta wariatka tańczyła w deszczu? — Zuzanna Barczykowa najwyraźniej była w nastroju do plotkowania, bo zupełnie nie spieszyła się z pakowaniem zakupów, które rozłożyły się jak paniska na ladzie, a Melanii wydawało się nawet, że patrzą na nią z drwiącym uśmiechem.

— Wcale nie uważam tańca w deszczu za wariactwo — odpowiedziała chłodno, chcąc dać klientce do zrozumienia, że nie da się wciągnąć w obgadywanie Emilii ani lokalnej społeczności. — Sama najchętniej bym się do pani Emilii przyłączyła, tak duszno było w sklepie. Niestety nie mogłam zostawić klientów.

Zuzanna Barczyk spojrzała na Melanię nieufnie.

— A pani Renatka to kiedy wraca? — spytała, sięgając powoli po rozłożone na ladzie produkty.

— We wrześniu — odpowiedziała Mela służbowo. — Sześćdziesiąt siedem złotych, osiemnaście groszy.

Barczykowa bez słowa położyła przed sobą banknot stużłotowy, wzdychając przy tym ostentacyjnie. Melania nie wiedziała, czy to westchnienie miało oznaczać: „Jak nie ma pani Renaty, to nawet człowiek z nikim porozmawiać nie może” czy też raczej „Nic konkretnego człowiek nie kupił, a tyle pieniędzy musi wydać”. Nie wnikała, nie chcąc prowokować klientki do dalszej rozmowy.

Barczykowa chwyciła wypchaną siatkę i wyszła ze sklepu, mrużąc pod nosem, że jedna wariatka po osiedlu chodzi, a druga w sklepie pracuje, i ciekawe, czy ten biedny pan Grzesio wie, kogo zatrudnił.

Melania zapatrzyła się w okno, za którym chmury goniły się po niebie poganiane wiatrem zapowiadającym zmianę pogody. Jeszcze tydzień i zacnie się

kolejny rok szkolny. Życie wróci do utartych schematów i znów rozpędzi się tak, że trudno będzie za nim nadążyć. Ludzie znowu nie będą mieli na nic czasu, a letnia pogoda ducha, którą każdy nosił w sobie podczas wakacyjnych miesięcy, ustąpi miejsca jesiennej melancholii i zimowemu przygnębieniu. Nieuchronna kolej rzeczy, na którą człowiek nie miał wpływu. Jedyne, co mógł zrobić, to przyjąć to i starać się w każdym dniu, bez względu na to, co przynosi, znaleźć coś cennego i wartego zachwyty.

Kolejny klient wraz z koszykiem przyniósł Melanii uśmiech, który odwzajemniła. Jeszcze inny rzucił mimochodem uwagę, że już nie pamięta, jak to było przed Melanią, bo teraz to taka sprawna i miła obsługa, nawet jak pani Renatki nie ma. Melania chwytając te uśmiechy i słowa, nawlekała je na sznurek i zawieszała na szyi, dotykając miejsca, w którym czuła je w chwilach zwątpienia. To pomagało unieść nowy dzień z tym wszystkim, czym zaskakiwał.

Wraz z wybiciem czternastej w sklepie powoli zaczął narastać ruch. Wyraźnie można było odczuć, że zaczyna się godzina obiadowych zakupów i tak będzie aż do siedemnastej.

Melania obserwowała wchodzących ludzi, zerkając na nich ciekawie między jednym a drugim „pip” przy kasie. Jej uwagę zwróciła młoda, elegancko ubrana kobieta, która weszła do sklepu, trzymając za rączkę małą, może czteroletnią dziewczynkę z przekrzywionymi kitkami dyndającymi tuż za uszami. W drugiej rączce dziewczynka trzymała kolorowy rysunek, prawdopodobnie namalowany w przedszkolu.

Melania uśmiechnęła się mimowolnie. W podobnym wieku była Ania, jej wnuczka. Ania od września szła do przedszkola i zarówno Ilonka, jak i Melania trochę się obawiały tego etapu w życiu dziewczynki. Mała blondyneczka z kitkami tę początkową traumę miała już najwyraźniej za sobą, bo buzia jej się nie zamykała i próbowała opowiedzieć mamie w szczegółach cały miniony dzień w przedszkolu. Rysunek musiał odgrywać w tym dużą rolę, bo co jakiś czas unosiła go do góry, próbując zwrócić na niego uwagę swojej mamy. Kobieta była jednak zbyt pochłonięta swoimi myślami, aby słuchać dziewczynki. Jej napięta twarz świadczyła o przeżywanym stresie, z którym próbowała radzić sobie tak, jak umiała. Ignorując go i chwytając kolejny dzień, zadaniowo wykonując obowiązki, jakie przynosił.

Melania zwróciła uwagę na to, że kobieta kompletnie nie słucha swojej córeczki. Odruchowo przytakiwała, szybko i sprawnie przeszukując wzrokiem półki i wkładając wypatrzone produkty do żółtego koszyka. Straciła ją z zasięgu wzroku, gdy kobieta weszła głębiej między regały. Zajęta tworzącą się kolejką, przypomniała sobie o klientce dopiero wtedy, gdy zobaczyła ją w ogonku czekających do kasy ludzi. Niecierpliwie zerknęła na zegarek, a w pewnym momencie ofuknęła dziewczynkę, która starała się zwrócić uwagę matki na trzymany w rączce rysunek.

Melania poczuła, jak z żalu ściska się jej serce. Współczesne rodzicielstwo, świadome i rzekomo dojrzałe, miało jeszcze wiele do nadrobienia. W dzisiejszych czasach dzieci mają wszystko z wyjątkiem uwagi rodziców. Dorośli i dzieci nie potrafią ze sobą rozmawiać, a jeśli już zdarzy się, że znajdą się razem w jednym miejscu, na przykład przy rodzinnym stole, każde z nich zajęte jest sobą i swoimi sprawami, a w rękach dzieci natychmiast pojawiają się komórki lub tablety. Rodzina nie potrafi być rodziną, a współczesny styl życia jeszcze bardziej te ludzkie więzi komplikuje.

Gdy młoda kobieta podeszła do kasy, a smutna buzia dziewczynki przypominała podkówkę, Melania nie wytrzymała i przesuwając jogurt naturalny po czytelniku, spojrzała na kobietę i powiedziała cicho:

— Wie pani co, ona jest jeszcze w takim wieku, że chce z panią rozmawiać, ale już niedługo. Szybciej, niż się to pani wydaje, przyjdzie taki wiek, że to pani będzie chciała z nią porozmawiać, a ona powie, że nie macie o czym. Proszę nie marnować czasu, który został wam подарowany, bo nie dostała jej pani na własność, mimo że jest pani córką.

Kobieta była zbyt zaskoczona, aby zareagować natychmiast, a Melania wykorzystała ten moment i zwróciła się do dziewczynki:

— Pokażesz mi, co tam narysowałaś?

Dziewczynka pojaśniała i wyciągnęła w stronę Melanii rączkę, w której trzymała pognieciony już trochę, kolorowy obrazek. Słoneczko na tym obrazku uśmiechało się radośnie, a jego długie promyczki dotykały trzech postaci trzymających się za ręce. Dwie z nich były wyższe niż trzecia, znajdująca się w środku. Po złotych włosach dwóch ludzików Melania domyśliła się, że rysunek przedstawia rodzinę dziewczynki, prawdopodobnie nad morzem, bo sporą część obrazka zajmowała niebieska plama, fantazyjnie skrzycona jak morska fala.

— Piękne morze. Byłaś tam na wakacjach z mamą i tatą?

Dziewczynka pokiwała główką i trochę nieśmiało uśmiechnęła się do Melanii.

— Byłam nad morzem, w Salbinowie. I widziałam mewy!

Mały paluszek wskazał Melanii dwie szare plamki tuż obok słońka.

— Śliczny ten rysunek. — Melania zacmokała. — Myślę, że mamie też się bardzo podoba.

Melania dostrzegła napiętą twarz kobiety i wściekłość w jej oczach, którą jednak zdusiła w sobie.

— Podoba ci się, mamusi? — Dziewczynka spojrzała pytająco na matkę, a w jej dużych niebieskich oczach Melania dostrzegła nadzieję.

— Podoba mi się, kochanie — odpowiedziała sztywno, podając kartę płatniczą. Unikała spojrzenia Melanii, koncentrując całą swoją uwagę na wbiciu PIN-u i starannym pakowaniu zakupów do jednorazowej plastikowej siatki.

— Proszę jej posłuchać, ona naprawdę chce pani o tym opowiedzieć. — Głos Melanii złagodniał, podobnie jak spojrzenie kobiety.

— Chodź, Marysiu. Opowiesz mi o wszystkim w drodze do domu.

Kobieta odebrała kartę i paragon, odwróciła się i podała rękę córeczce.

— Do widzenia! — Niebieskie oczy dziewczynki objęły Melanię, zupełnie jak lepkie rączki Ani, które Mela uwielbiała.

— Do widzenia! — Uśmiechnęła się i pomachała dziecku, które w radosnych podskokach wyszło ze sklepu, trzymając kurczowo rękę mamy, będącej dla małej dziewczynki jeszcze najważniejszą osobą na świecie.



Kasia szukała kolczyków. Pamiętała, że kładła je dwa dni temu na regale, na tyle wysoko, żeby Marlenka nie mogła do nich sięgnąć. Przeszukała całą półkę, zajrzała nawet pod gazety, sprawdzając, czy gdzieś tam nie spadły i nie zawieruszyły się. Nigdzie ich nie było.

I wtedy coś ją tknęło. Otworzyła wersalkę i ze schowka na pościel pod łóżkiem wyciągnęła śpiwór, zwinięty w kłębek i wciśnięty w ką. Rozłożyła go powoli, choć serce już biło jak oszalałe, jakby przeczuwając, że mogło się zdarzyć coś, czego Kasia od zawsze się obawiała. Wyjęła ze śpiwora ukryte tam pudełeczko i otworzyła je drżącymi rękami. Jeden rzut oka wystarczył, aby dostrzegła brak złotego łańcuszka, który Marlenka dostała od babci Darka na chrzciny, oraz złotych kolczyków, które kiedyś, dawno temu, Kasia dostała od Darka. Rzadko je nosiła, bo lepiej czuła się w delikatnych srebrnych. Złote ją uwierały, ale trzymała je dla Marlenki. A teraz ich nie było. Zniknęły. Rozpłynęły się, sprzedane lub zastawione za bezcen, przeznaczone na alkohol, który był nienasyceniem, silniejszym niż rodzinne więzi.

Kasia z ulgą pomyślała, jak to dobrze, że Marlenka jest w tej chwili w przedszkolu i nie będzie świadkiem rozmowy, która — wiedziała to — nie będzie miła.

Matka siedziała w swoim pokoju, przeskakując pilotem po kanałach. Na żadnym z nich nie potrafiła jednak skupić uwagi rozbieganych oczu, podobnie jak nie mogła skupić się na leżącej na jej kolanach gazecie, pełnej plotkarskich skandali i doniesień.

Kasia stanęła przed kobietą, do której nie potrafiła już zwracać się „mamo”. To słowo zbyt wiele znaczyło i miało w sobie miękkość uczucia, którego jej matce dawno zabrakło. Alkohol tak szczelnie wypełnił cały krwiobieg Jadwigi, że nie potrafiła już poświęcić nałogu, który był zbyt silnym uzależnieniem, nawet dla tych, którzy byli jej najbliżsi.

— Gdzie jest łańcuszek Marlenki i moje kolczyki? Zastawiłaś czy sprzedałaś? — Żyjąc pod jednym dachem z alkoholikiem, Kasia nauczyła się, że komunikaty do matki muszą być krótkie i konkretne. Zbyt wiele słów dawało Jadwidze

przestrzeń, za którą mogła się ukryć, owijając się zbędnymi zdaniem i grając nimi, jednocześnie badawczo obserwując rozmówcę, który niejednokrotnie potrafił się na te słowa nabrać.

Kasia była twarda. Poznała już reguły tej gry i potrafiła być stanowcza i nieugięta.

— O czym ty mówisz? — Jadwiga uciekła wzrokiem przed córką, całą sobą udając oburzenie.

— Mówię o tym, że okradasz własną wnuczkę, aby tylko się napić! — Kasia czuła, jak jej serce pędzi przed siebie, łomocząc tak, jakby chciało wyskoczyć i uciec jak najdalej od tego domu, który nie był domem, bez względu na to, jak bardzo Kasia się starała.

— Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? — Jadwiga odrzuciła trzymaną w rękach gazetę i wstała, patrząc na córkę z wściekłością. — Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam...

— A co takiego dla mnie zrobiłaś? — Kasia nie mogła zapanować nad głosem, który mimowolnie podniosła. Nie umiała też powstrzymać drżenia rąk, które trzęsły się zupełnie jak na mrozie, gdy człowiek przemarzł do szpiku kości.

— Utrzymuję ciebie i twoje dziecko, to mało? — Jadwiga była już w bojowym nastroju i Kasia wiedziała, że ta rozmowa nie skończy się dobrze.

— Ty mnie utrzymujesz?! Gdyby nie moja pensja, nie miałabyś co do garnka włożyć! Wszystko przepijasz, całą swoją rentę, której zresztą masz tyle co kot napłakał. Robię zakupy, płacę rachunki i jeszcze twoje długi spłacam.

— Mieszkaś u mnie, więc płacisz. Nikt cię nie będzie za darmo utrzymywał.

Kasia czuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie. Eksploduje, pękając na kawałeczki, z których później na nowo będzie musiała sklejać swoje życie. Nie chciała tego. Zbyt wiele miała już tych blizn i zranień w sobie. Nie chciała kolejnych, ale ciężko było powstrzymać furję, która już wyruszyła.

— Zastawiłaś czy sprzedałaś? — spytała przez zaciśnięte zęby.

— A gównu cię to, kurwa, obchodzi! Długi miałam. Musiałam oddać, a ty mi pożyczyć nie chciałaś. I tak nie masz się dla kogo stroić w te kolczyki.

Zabolało. Każde jej słowo bolało, tak jak bolał brak matki, która już dawno zapomniała, czym jest rodzina. Kasia z zazdrością patrzyła na te wszystkie babcie, które odbierały swoje wnuczeta z przedszkola, kiedy ona przychodziła po Marlenkę. Były takie ciepłe i wpatrzone w te wszystkie dziewczynki i chłopców, po których przychodziły, że Kasia musiała odwracać głowę, aby ukryć łzy. Jej matka nie dorosła do tego, aby być babcią. Ona nie umiała być nawet matką.

W jednej grupie z Marlenką był Oktawian. Bardzo często odbierała go właśnie babcia, z którą Kasia wymieniała grzecznościowe parę słów. Czasami wracały razem, zatrzymując się jeszcze na placu zabaw, aby maluchy mogły się wyszaleć

przed powrotem do domu. Pani Jola zapatrzona była w Oktawiana jak w najdroższy klejnot, a o swoich córkach opowiadała z prawdziwą dumą. Kasia lubiła jej słuchać i mimo że czuła bolesne ukłucie w sercu, bo jej matka nigdy tak o niej nie mówiła, chłonęła słowa pani Joli z ogromną przyjemnością, grzejąc się ich ciepłem i czasami wyobrażając sobie, że ktoś opowiada z taką dumą i miłością o niej i o Marlenie.

Teraz patrzyła zimno na kobietę, która kurczyła się pod wpływem tego spojrzenia, odwracając głowę, aby nie widzieć ukrytego w nim wyrzutu i żalu. Nie wiele czuła oprócz złości i tego smutku gdzieś głęboko w sobie.

— Wyprowadzę się. Zobaczysz, że zabiorę Marlenkę i wyprowadzę się. I nigdy więcej już jej nie zobaczysz — powiedziała cicho Kasia, odwracając się.

— A gdzie ty się wyprowadzisz, co? Kto cię zechce z czymś bachorem? Myślisz, że jesteś lepsza ode mnie, bo wielką damę udajesz? Gównu jesteś lepsza, słyszysz? Gównu lepsza! I skończysz tak samo jak ja. Zobaczysz...

Wyszła szybkim krokiem z pokoju, aby ukryć zbierające się w oczach łzy. Wypłynęły, oczyszczając Kasię z emocji i zabierając żal, który przez te wszystkie lata wspólnego życia przy matce już przepracowała. Wiedziała, że jej nie zmieni, zresztą ona wcale nie chciała się zmienić. Uzależniła się nie tylko od alkoholu, ale i trybu życia, jaki prowadziła. Depresja, przygnębienie i brak jakiegokolwiek celu były czymś, z czym Jadwiga czuła się bezpiecznie. Miała wymówkę i usprawiedliwienie. Nieustanne doły wymagały pocieszenia, a takie dawał jedynie pełny kieliszek, po którym było jeszcze gorzej. Jeszcze bardziej przygnębiająco. I jeszcze ciemniej w życiu, w którym nie było już żadnej nadziei. Wiara odeszła dużo wcześniej, a miłość po prostu się usunęła. Nie czuła się tam potrzebna, a nie chciała przeszkadzać, wiedząc, że to człowiek dokonuje wyborów i musi wziąć za nie odpowiedzialność. Jakikolwiek by one były.



Miasto zasypiało, wyciszając całodniowy zgiełk, zatrzymując pośpiech i gubiąc rozkrzyczane emocje minionego dnia. Przez uchylone okno, wraz z powiewem świeżego powietrza, wpadały fragmenty koncertu lubelskich świerszczy, całym sercem oddanych wygrywanej muzyce. Od czasu do czasu spokojną o tej porze dwupasmówką przejechał samochód, gdzieś tam zaszczekał pies, gdzie indziej ktoś krzyknął czyjeś imię. Noc przejmowała wszystkie sprawy od strudzonego, zabieganego dnia, podarowując ludziom odpoczynek i czas na sen, którego oni i tak nie umieli wykorzystać.

Renata siedziała na kanapie, wsparta plecami o ramię Staszka. Przez ostatnie dwa tygodnie starała się być jak najbliżej męża, chcąc nasycić się jego bliskością i zapamiętać Staszkowe ciepło i zapach, aby sięgać do tych wspomnień w chłodne jesienne wieczory. Oboje zdawali sobie sprawę, że przed nimi ciężka próba rozsta-

nia i samotności — całe trzy i pół miesiąca. Stanisław miał przylecieć do Polski dopiero na święta, które dziś dla Renaty były tak odległe jak przysze wakacje. Nie nauczyła się jeszcze tak żyć, od spotkania do spotkania. Nie potrafiła pod koniec sierpnia myśleć o grudniu, który miał połączyć ich rozerwaną rodzinę w całość. To było zbyt trudne i nawet kieliszek nalewki pigwowej, którą dostała od Moniki, nie był w stanie poprawić jej melancholijnego nastroju.

— Damy radę, Rena — silna, męska dłoń Staszka poklepała ciepłe udo Renaty.

Westchnęła i zamoczyła usta w bladożółtym, słodko-kwaśnym płynie, myśląc, że nawet nalewka smakuje jak życie — słodczy zaprawiona kwasem.

— Oszaleję tyle miesięcy bez ciebie — jęknęła, czując, jak dłoń męża zniechęcała na jej odsłoniętym udzie, a jego palce zaczynają delikatnie pieścić gładką skórę.

— Będę dzwonił codziennie, a ty opowiesz mi o tym wszystkim, co się tutaj u was wydarzy.

— To nie to samo — odpowiedziała, pragnąc, aby ta czuła dłoń Staszka na zawsze pozostała w tym wrażliwym na dotyk miejscu.

— Rena, to tylko kilka miesięcy, szybko zleci. Jesteś dzielna, poradzisz sobie, zresztą dziewczynki ci pomogą. Pomyśl, jak tylko zdasz egzamin na prawo jazdy, będziesz jeździć do pracy samochodem. Zobaczysz, ile czasu zaoszczędzisz i ile spraw będziesz mogła po drodze załatwić. Umawiałaś się już na termin egzaminu?

— Wewnętrzny mam za dwa tygodnie, ale boję się totalnej kompromitacji. — Renata pociągnęła nosem i upiła spory łyk pigwówki. Przyjemne ciepło rozlało się po jej przełyku. Podobne rozchodziło się po jej ciele od dłoni Staszka, która mimowolnie wędrowała znanymi sobie ścieżkami, doprowadzając Renatę do tego, że nie mogła usiedzieć spokojnie. Kręciła się i wierciła, spragniona bliskości męża, której brak już niedługo tak dotkliwie zaboli.

— Zdasz bezbłędnie, znam cię. Zawsze byłaś ambitna i pracowita.

— Ale nigdy nie wierzyłam w siebie — odpowiedziała, odwracając się w stronę Staszka i patrząc na niego wilgotnymi oczami. — Obiecuj mi, że jak będzie nam źle i ciężko, wrócisz za rok. Nie przymieramy głodem i nie musimy emigrować za pracą, bo w swoim zawodzie zawsze znajdziesz ją nawet w Lublinie.

— Ale za jakie pieniądze, Rena?

Pokręciła głową niezadowolona. Nie rozumiał jej.

— Staszek, pieniądze nie są w życiu najważniejsze. Nie kupisz za nie rodziny ani miłości dziewczynek.

— Wiem. — Pokiwał głową. W jego wzroku Renata dostrzegła pożądanie. To było miłe. Po tylu latach wciąż podobać się swojemu mężowi, który dostrzegał w niej kobietę. — Ja nie chcę was kupować, ale chcę, żeby było nam choć trochę

lepiej. Iga za rok pójdzie na studia. Jeśli zechce studiować poza Lublinem, nie mamy rady jej utrzymać, żyjąc z dwóch polskich pensji. Rena, przecież my nawet średniej krajowej nie zarabiamy, jak więc mamy pomóc naszym dzieciom w lepszym życiu, gdy już wejdą w dorosłość?

— My musieliśmy radzić sobie sami i wcale nam to na złe nie wyszło — powiedziała cicho Renata.

— Ale my żyliśmy w innych czasach, Rena. One nie muszą zmagać się z tym wszystkim już na starcie, bo życie i tak jest trudne, a dziewczyny nie raz po tyłku oberwą. Nie musimy im dokładać, skoro mamy taką możliwość.

Wiedziała, że nie wygra z nim na argumenty. Staszek, jak każdy mężczyzna, był zadaniowy. On już miał plan do wykonania i Renata wiedziała, że póki co go nie przekona. Chciała tylko wierzyć, że nie stracą tej bliskości, która ich łączyła, i że przetrwają to rozstanie najmniej boleśnie, jak tylko będzie można.

— Pocałuj mnie — szepnęła, chcąc choć na chwilę zapomnieć o tym, że już za dwa dni Staszek wyjedzie, a ona znów zostanie z pustką po drugiej stronie łóżka i samotnością w sercu, której ani dziewczynki, ani Teodor, ani nikt inny nie będzie w stanie zapełnić.

— Podobasz mi się taka, wiesz? — uśmiechnął się, a Renata dopiero teraz zauważyła, że wokół oczu przybyło mu zmarszczek, dodających jednak Staszce męskości, której i tak mu nie brakowało.

— Jaka? — spytała przekornie, oblizując usta słodkie po nalewce.

— Stęskniona — odpowiedział i przygarnął ją w mocnym, niedźwiedzim uścisku. Renata przymknęła oczy. Te ramiona to był cały jej świat. Znajomy. Bezpieczny. Jedyne, jaki знаła. Nie pragnęła innego.

Poczuła na ustach zachłanne wargi Staszka. Jego pocałunki smakowały sierpniową słodką dojrzałych owoców. Renata odstawiła pusty kieliszek i zatrafiła się w tej chwili czułości i niepamięci, pragnąc, aby czas się zatrzymał właśnie tu i teraz i aby nie było żadnego jutra, które znów przyniesie tęsknotę.

Rozdział dziewiąty

BIEDRONKA

Renata nie poznała swojego sklepu po powrocie z urlopu. Całe osiedle było rozkopane w związku z wymianą rur kanalizacyjnych, przez co droga do sklepu mocno się skomplikowała, gdyż równocześnie z wymianą rur układano kostkę brukową na osiedlowych chodnikach. Kilka deszczowych dni spowodowało, że parking przy sklepie był ubłocony, a brunatna maź, która przyklejała się do butów, roznosiła się po sklepie. Mela, na zmianę z panią Halinką, biegały z mopem i starały się zachować czystość na podłodze, ale było to niemożliwe, bo klienci wciąż wchodzili i wychodzili, nanosząc nowe pokłady błota i zostawiając brązowe ślady na jasnej terakocie.

— Opalona, wypoczęta i pełna sił do pracy, mam nadzieję — powitała Renatę pani Halinka, uśmiechając się radośnie i przytulając koleżankę z serdecznością.

— Widzę, że ręce do pracy potrzebne od zaraz. — Renata podsumowała bałagan panujący dookoła sklepu i w środku.

— No widzisz, Renatko, co się dzieje. Mam nadzieję, że skończą to, zanim jesień na dobre nadejdzie, bo przecież utoniemy w tym błocie i żaden klient się do nas nie przebije. Już i tak ci z głębi osiedla biegają do Stokrotki, bo drogę do sklepu nam rozkopali.

— Ale pewnie alkohol, jak to przy budowie, schodzi podwójnie? — Renata odszukała w szafce swój fartuszek i włożyła go, zastanawiając się przy tym, czy się za nim stęskniła.

— Ależ skąd! — Pani Halinka machnęła ręką i pokręciła głową. — Powiem ci, Reniu, że jacyś porządni ci pracownicy, bo jak było cieplej, to tylko po zimnym piwku, a i z tym różnie bywało. Dostawcy psioczą, bo na parking wjechać nie mogą, klienci narzekają, jakby to była nasza wina, a administracja osiedla tylko wzrusza ramionami i umywa ręce. Grzegorz wściekły, wrzesień i tak spisał na straty, tak więc na żadną premię w tym miesiącu nie ma co liczyć.

Renata słuchała kierowniczkę, wchodząc powoli w sklepowy rytm, od którego w czasie urlopu się odzwyczaiła. Trudno było się przestawić i wrócić do świata, w którym na nowo sama musiała podejmować decyzje i być odpowiedzialna za dziewczynki i za dom. Ciężko było poradzić sobie z pustką, którą poczuła wraz z wyjazdem Staszka. Praca była tym miejscem, które narzucało codzienności normalny rytm, do jakiego Renata od lat była przyzwyczajona i w którym czuła się pewnie i bezpiecznie.

Kasia wpadła do sklepu chwilę spóźniona. Jej mocny uścisk wprowadził Renatę w zakłopotanie. Kasia przyłgnęła do niej jak mała dziewczynka, która przybiega do

mamy, gdy w jej małym świecie stanie się coś strasznego.

— Tak dobrze, że już jesteś, Renia — usłyszała cichy głos koleżanki tuż przy swoim uchu, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo zanim w jakikolwiek sposób zareagowała, Kasia już pobiegła się przebierać.

— Wszyscy się za tobą stęskniliśmy. — Pani Halinka uśmiechnęła się serdecznie, sprawiając, że powrót do pracy nie był pourlopową traumą, ale delikatnym przejściem z jednego stanu błędnego lenistwa w drugi — znajomy i oswojony przez lata.

To był dobry dzień. Klienci rozjaśniali się na widok Renaty i zatrzymywali na krótką rozmowę. Pytali o urlop i opowiadali o tym, jak im minęły te dwa długie tygodnie. Każda rozmowa kończyła się jednak narzekaniem na wszechobecne błoto i brud, który przyklejał się do butów i wnosił się do domów, i na uciążliwość związaną z hałasem i utrudnionym poruszaniem się po osiedlu.

— Ja wiem, że będzie ładnie i kostkę nam przed blokiem ułożą, trawniki odnowią i w ogóle zadbają bardziej, ale ten hałas, pani Renatko, ciężko go znieść, szczególnie w ciepłe dni, gdy okna otwarte. — Pani Aniela pakowała do torby na kółeczkach zakupy. Renata zwróciła uwagę na jej powolniejsze niż dotychczas ruchy, coraz większą niezdarność i pomyślała ze smutkiem, że czas jest okrutny i pędzi przed siebie nieubłagane, nie dając człowiekowi szansy na krok w tył, gdy już nie nadąza.

— Miejmy nadzieję, pani Anielu, że to już niedługo się skończy.

— Nie byłbym takim optymistą. — Klient stojący tuż za panią Anielą pokręcił głową, jakby w geście niedowierzania. — Wodociągi te nowe bloki naprzeciwno podłączają i rury na nowo prowadzą. Osiedle nam zaorali, kurzy się w domu niemiłosiernie, a końca, proszę pani, nie widać.

Pani Aniela uśmiechnęła się do Renaty, pokiwała głową, przytakując nieznanemu, a potem powolutku wyszła ze sklepu, ciągnąc za sobą torbę z zakupami i zostawiając w sklepie dobre życzenia człowiekowi, który jednym sercem potrafił objąć wielu.

Mimo że pierwszy dzień pracy po urlopie upływał spokojnie, Kasia przysiadła przy Renacie z kubkiem czarnej, aromatycznej herbaty dopiero późnym popołudniem, kiedy sklep na dobre się wyciszył, wracający z pracy zajęli się obiadami, a dzieci wykorzystywały jeszcze ostatnie pogodne i luźniejsze w szkole dni na gonienie wspomnień lata, które za szybko minęło.

— Odpoczęłaś?

Renata skinęła głową.

— Bardzo. Dawno już nie miałam takiego urlopu. Natomiast ty wyglądasz na zmęczoną.

Kasia spuściła głowę i zapatrzyła się na wirujące w kubku liście herbaty, z rozłożonymi jak baletnica falbanami herbacianego płątka.

— Muszę wyjechać gdzieś na tydzień z Marlenką i nabrać dystansu do życia. Czuję, że wszystko wymyka mi się spod kontroli, Renia, i mam coraz mniej sił, aby sobie z tym radzić. Chyba przechodzę jakiś kryzys.

Renata nieśmiało dotknęła drobnej dłoni koleżanki i przestraszyła się smutnego spojrzenia zielonych oczu, które szukały w jej twarzy jakiejś odpowiedzi.

— Masz prawo do słabości, Kasiu, bo jesteś tylko człowiekiem i dźwigasz to wszystko sama. Nie masz lekko, dziewczyno — westchnęła bezradnie, powstrzymując wzruszenie, które spowodowało, że jej oczy zwilgotniały. — Wiesz, wezmę od mojej przyjaciółki numer telefonu do tego domu wypoczynkowego w Dąbkach, o którym Iga opowiadała z takim zachwytem, że sama chętnie bym się tam wybrała. Zabierzesz Marlenkę nad morze, odpoczniesz, wyciszysz się i nacieszysz małą. Z przewietrzoną głową wszystko może wyglądać zupełnie inaczej.

— Wiem. — Kasia uśmiechnęła się do koleżanki. — Cieszę się, że cię mam, Renia.

— I wzajemnie. — Renata upiła łyk herbaty i zamruczała. — Mmm, świetnie smakuje. Co to?

— „Serce matki”. Czarna z cytrusowymi dodatkami. Ostatnio odkryłam, że jestem herbaciarą. — Kasia podniosła swój kubek do ust i chwilę delektowała się smakiem świeżo zaparzonego napoju.

— Ja dotąd nie byłam zbyt wymagająca, ale przy tobie chyba się rozpuszczę. — Renata puściła oko do koleżanki. — Rozmawiałaś już z Grzegorzem o urlopie?

— Wstępnie tak, ale nie miałam pojęcia, gdzie pojechać. Ale teraz, gdy podrzuciłaś mi ten pomysł... — Kasia przez chwilę się zamyśliła. — Marlenka nigdy nie widziała morza, a we wrześniu ceny są tam dużo niższe niż w sezonie, więc chyba zaszalejemy. Dowiesz się o ten numer?

— Zaraz zadzwonię do Moniki. Nie ma na co czekać, bo twoja praca, moja droga, staje się nieefektywna, a ja potrzebuję dawnej żywiołowej i pełnej energii Kasi, a nie słaniającej się na nogach sprzedawczyni.

Uśmiech, który dostała, był najpiękniejszym „dziękuję!”, jakie mogła wypowiedzieć rodząca się między kobietami przyjaźń.



Renata czuła się paskudnie. Miała okres, bolał ją dół brzucha i wrażliwe na dotyk piersi, do tego hormony szalały w niej jak furie, sprawiając, że cała czuła się jak kupka nieszczęścia. Jedynym ratunkiem była Monika. Jej energetyzujący głos w słuchawce telefonu sprawił, że Renata dojrzała małe światełko w tunelu.

— Błagam, przyjeźdź, bo zagryzę własne dzieci — jęknęła, zaciskając kurczowo rękę na komórce tak mocno, jak tonący chwytający burty.

— Stało się coś? — zaniepokoiła się przyjaciółka.

— Mam okres i żyć mi się nie chce.

— No tak, pourlopowa depresja. Będę za dwadzieścia minut. Niczego nie dotykaj, do nikogo się nie odzywaj i zostań tam, gdzie teraz siedzisz. W kuchni czy na kanapie w pokoju? — Monika przejęła kontrolę, a Renata odetchnęła. Przyjaciółka nigdy jej nie zawiodła i nie zostawiła w potrzebie. Była zawsze na wyciągnięcie ręki, gotowa zostawić swoje sprawy na rozpaczliwy sygnał SOS, z którego Renata korzystała jedynie w sytuacjach podbramkowych.

— W pokoju na kanapie, z Teodorem grzejącym mi stopy — odpowiedziała słabo. — Do kuchni wciąż ktoś zagląda i wiecznie czegoś ode mnie chce, a ja czuję, że zaraz eksploduję.

— Wytrzymaj jeszcze chwilę, już do ciebie jadę. Może zabarykaduj się w tym pokoju, co? — Renata nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo Monika się rozłączyła.

Czekała, zwinięta w kłębek, przepelniona żalem do całego świata o to, że życie wciąż stawia człowieka na rozdrożu i każe mu wybierać. Rodzina czy praca? Emigracja czy wiązanie końca z końcem? Godziwe wynagrodzenie czy tęsknota? Mnóstwo pytań, jeszcze więcej wątpliwości i decyzje, od których tak wiele zależy. Nie mogła sobie z tym poradzić. Nie umiała poradzić sobie z brakiem Staszka w ich wspólnej codzienności. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd wyjechał, a ją bolało wszystko na samą myśl, że zobaczy go dopiero za trzy długie miesiące. Łatwiej było udawać dzielną i silną, gdy był tuż obok. Trudniej było poradzić sobie z rzeczywistością, w której została sama i spadła na nią odpowiedzialność za dziewczynki i za wszystko, co pojawiała się znienacka, zaskakując Renatę zupełnie i paraliżując z lęku, że sobie nie poradzi. Potrzebowała dziś obecności przyjaciółki, bo czuła, że sama nie podniesie się z tego stanu zupełnego rozbicia, przygnębienia i braku jakiegokolwiek sensu nadchodzących dni.

Monika, jak zawsze, wniosła do domu Renaty dobrą energię i całą torbę optymizmu. Otuliła ją swoim ciepłem i podniosła na duchu dobrym słowem. Za to wszystko tak bardzo Renata ją kochała.

— Zaparzyłam ci herbatkę z melisy. — Monika postawiła na stoliku obok kanapy parujący napar ziołowy. — Wyciszy cię i pomoże na kobiece dolegliwości. Pomyślałam też, że ptasie mleczko dobrze ci zrobi.

— Przytyję i Staszek nie będzie chciał do mnie wrócić. — Renata popatrzyła smutno na przyjaciółkę, która podsunęła jej otwarte pudełko wedlowskiego ptasiego mleczka. Przepadała za nim i Monika dobrze o tym wiedziała. Dwa piętra rozpływającej się w ustach słodczy i chwile przyjemności, które należały tylko do niej. Renata pamiętała z czasów nastoletnich ten przyjemny dreszczyk oczekiwania, towarzyszący ściąganiu z papierowego opakowania chroniącej go folii. Podobnie smakowały pocałunki Staszka, które zupełnie niedawno na nowo zaczęła odkrywać.

— Staszek w ogóle do ciebie nie wróci, jak będziesz tak marudziła. —

Monika usiadła obok przyjaciółki i popatrzyła na nią z troską. — Masz chandrę, ale to minie. Pamiętaj, co ci mówiłam? Musisz zająć się własnym życiem i własnymi sprawami. Nie możesz wiecznie opierać się na Staszku, bo w takich chwilach rozstania będzie ci podwójnie ciężko. Tęsknisz, i to zupełnie naturalne, ale nie pozwól, aby ta tęsknota podporządkowała sobie ciebie.

Zielone spojrzenie Renaty wczepiło się w Monikę jak palce tonącego w koło ratunkowe.

— Monika, ja nie umiem bez niego żyć — wyszeptała. — Nie umiem podjąć bez niego jakiegokolwiek decyzji, nie potrafię się cieszyć niedzielą, nawet gotować mi się nie chce i robię to wyłącznie z obowiązku. Dla dziewczynek. Nie potrzebuję remontu, nowych ciuchów ani prawa jazdy, tylko Staszka. Dlaczego to tak boli?

— Bo go kochasz i jest dla ciebie ważny. — Ciepła dłoń Moniki dotknęła związanych w kucyk, ciemnych włosów Renaty. Ten dotyk koił. Był czuły i delikatny, a jednocześnie miał w sobie siłę przyjaźni, która podnosiła i umacniała.

— Bardzo marudzę?

Monika uśmiechnęła się i kciukiem otarła łzy, które wypłynęły z kącików oczu Renaty.

— Bardzo. Ale zdążyłam się już do tego przyzwyczać.

Renata przytuliła się do przyjaciółki. Poczowała, jak ramiona Moniki zamykają się, przygarniając te wszystkie trudne sprawy, z którymi Renata nie mogła sobie poradzić. Każdy kolejny rok ich znajomości był cegielką umacniającą budowlę, którą razem wzniosły. Spotykały się tam, gdy chciały się podzielić radością i pięknymi momentami, jakimi obdarowywało je życie. Wspólnie przeżywały chwile zwątpienia i pomagały sobie, jak potrafiły. Trwały jedna przy drugiej, ceniąc przyjaźń, którą dawno temu odnalazły.

— Nie jesteś z tym sama, Renia — wyszeptała Monika w zmierzwione włosy przyjaciółki.

— Wiem. I bardzo ci za to dziękuję.

— Nie ma za co. — Monika pocałowała czubek głowy Renaty i odsunęła się od niej. W jej oczach na nowo roztańczyły się wesole ogniki, którymi chciała zarażać przyjaciółkę. — Tylko proszę cię o jedno. Zanim następnym razem będziesz chciała zostawić ze mną tego potwora — wskazała na Teodora — wychowaj go trochę, proszę.

— Tak bardzo ci dopiekl? — Renata wierzchem dłoni otarła wilgoć z policzków.

— Rozkopał mi pół ogródka, napadł na listonosza, poprzegryzał paski w moich ulubionych sandałach i spał w naszym łóżku, nie zważając na protesty moje i Pawła. No i częstował się tym, co było na stole, zupełnie nie pytając, czy to dla niego. Nie wiem, co wy robicie na tych szkoleniach, ale obawiam się, że Teodor będzie musiał powtórzyć klasę, bo za wiele to on się nie nauczył.

— Tak? No popatrz, a w domu jest taki grzeczny i posłuszny. — Renata poczuła się w obowiązku stanąć w obronie pupila.

— Najwidoczniej rozstania mu nie służą — rzuciła niedbale Monika, za późno gryząc się w język, bo Renata na nowo podjęła temat.

— To zupełnie tak jak mnie. To chyba u nas rodzinne. Moniś, uschnę z tęsknoty za Staszkiem — jęknęła.

— Nie uschniesz. Będę cię podlewać na zmianę z dziewczynkami.

— A jak mi to zostanie?

— Niby co? — Monika zamruwała oczami, nie nadążając za tokiem rozumowania rozbitej emocjonalnie przyjaciółki.

— Ta niechęć do życia bez Staszka. Co będzie, jak obudzę się jutro rano i nie będę miała ochoty, aby w ogóle wyjść spod kołdry, pójść do pracy, zająć się dziećmi, wyjść z psem, posprzątać, pozmywać i nawet oddychać?

— Co będzie? — Monika spojrzała uważnie na najbliższą jej kobietę na świecie. — Teodor nasika ci na środku pokoju, dziewczynki zaczną żywić się fast foodami, Grzegorz wyleje cię z pracy i zostaniesz bez środków do życia, ale ze swoją depresją, a twoja mama tutaj zamieszka, aby cię pilnować. Podoba ci się taki scenariusz?

— Musiałaś przedstawić aż tak czarny?

— Nie czarny, tylko prawdziwy. Pamiętaj, co powiedziała Megan w *P.S. Kocham cię?* Tylko bogacze mogą sobie pozwolić na depresję. Klasa średnia musi wziąć się do roboty, czy ci się to podoba, czy nie.

Renata skinęła głową i sięgnęła po kolejne ptasie mleczko. W pudełku zostało już tylko jedno piętro czekoladek, ale samopoczucie Renaty nieco się poprawiło.

Lekarstwo przyjaźni jak zwykle zadziałało. Skrzydła anioła, jakim była dla niej Monika, otuliły ją z troską, a obecność przyjaciółki wlała nadzieję, że tak jak dotąd radziła sobie ze wszystkim, tak i teraz uniesie te trudne sprawy, które życie nałożyło jej na ramiona. Pewne decyzje są nieodwracalne, a wybory, których dokonujemy, zawsze mają swoje konsekwencje. Podejmując decyzję o wyjeździe Staszka, oboje dokonali wyboru, a teraz musieli poradzić sobie ze światem podzielonym na pół i sercem, które tak bardzo bolało.



Wrześniowe morze zachwycało. Kasia wpatrywała się w pomarszczoną taflę i nie mogła powstrzymać uśmiechu, patrząc na spontaniczną radość Marlenki. Dziewczynka podbiegała do morza, a potem z piskiem uciekała przed spienionymi falami, które chłodnym dotykiem moczyły bosa stópki dziecka. Marlenka nigdy wcześniej nie widziała morza. Przyjazd tutaj był dla niej wspaniałą przygodą, w którą wciąż nie mogła uwierzyć. Pomimo długiej i męczącej podróży nie maru-

działa i nie dopytywała, kiedy już będą na miejscu, tylko z zafascynowaniem odkrywała pociąg i zadawała mamie tysiące pytań, na które Kasia cierpliwie odpowiadała. Cieszył ją ten czas z córeczką. W takich chwilach rodziła się między nimi bliskość, którą Kasia pragnęła pielęgnować, dając Marlenie poczucie bezpieczeństwa i ucząc ją zaufania. Ona nie dostała tego od własnej matki, którą pokonał nałóg.

Śmiech dziecka wibrował w uszach Kasi kojącym dźwiękiem. Podeszła do córeczki i przykucnęła przy niej zdziwiona, jak ciepły może być jeszcze piasek we wrześnie.

— Popatrz, mamusiu, ta woda mnie goni. — W roziskrzonych oczach Marlenki Kasia odnalazła czyste szczęście. Gdyby tak można było zaczerpnąć z niego i pochować w kieszenie na gorsze dni, kiedy braknie nadziei i jest tylko zwątpienie, silniejsze niż wszystko inne.

— To jest fala, Marlenko. Ona bawi się z tobą w berka, wiesz? — Starła się ukryć wzruszenie, które mogłoby przestraszyć dziecko. Świat Marlenki na szczęście był jeszcze pełen niezrozumienia i bajkowych kolorów tęczy, o których Kasia już dawno zapomniała.

— Pobawimy się z nią, mamusiu?

Kasia uśmiechnęła się i pokiwała głową, a potem ujęła ciepłą dłoń dziewczynki i dała się porwać dziecięcej radości, której tak naprawdę uczyła się od własnej córki.

Biegły brzegiem morza jak młode źrebięta, rozpryskując fale, które opadały na ich nogi małymi kropelkami. Każda z nich iskrzyła się w słońcu jak mały diament, odbijając refleksiem tęczę schwytaną przez morze. Każdy krok w przód umacniał Kasię, a mała rączka córeczki, zamknięta w jej dłoni, była jak koło ratunkowe na burzliwym oceanie życia, po którym Kasia dotąd dryfowała. Czuła, jak wraz z szumem morza się uspokaja. Opadały emocje, a złość i żal chowały się, bo nie było tutaj dla nich miejsca. Serce Kasi tajało, a morze przyglądało się temu z zaciekawioną koleją historią, której było świadkiem. W tym miejscu słońce łączyły się ze słonymi kroplami, które zmywały strzępki życiowych tragedii i zabierały je ze sobą w głębiny morza, poddającego się odwiecznemu rytmowi przemijania i odrodzenia, przypływów i odpływów, nocy i dnia. Morze. Tajemnicze, nieujarzmione, zmienne. Potężne. Jak ludzkie życie — każdego dnia inne i nieprzewidywalne.

Małe ziarenka piasku przylgnęły do mokrych stóp kobiety i dziecka. Szybujące ponad nimi mewy krzykaczki szeroko rozłożyły swoje skrzydła, zatrzymując się w bezruchu. Z perspektywy ptasiego lotu świat nie miał dla nich granic. Wznosiły się dumnie wysoko, obserwując i zapamiętując. Żyły w oczekiwaniu, witając każdy kolejny dzień o brzasku swoim krzykiem, będącym ich osobistą modlitwą o poranku. Te ptaki pokochały morze tak bardzo, że nawet ostra i mroźna zima nie zniechęcała ich do spacerów nad brzegiem lodowatej wody. Silny porywi-

sty wiatr stawiał im wyzwanie, które przyjmowały i z którym się zmagaly.

„Jak człowiek ze swoim życiem”, pomyślała Kasia, obserwując z podziwem mądre ptaki. „Każdego poranka od nowa, z niewiadomą liczbą godzin przynoszących różnorodność zdarzeń”. Mozaika układana codziennie po trochu. Wielobarwna, utkana z dni dobrych, pełnych blasku podobnego do iskierek skrzących się w słońcu na pomarszczonej tafli morza; i z tych gorszych, pełnych przygnębienia i niepewności jutra, pozbawionych kolorów nadziei dni, które wypełniały codzienność Kasi. Podobnie jednak jak mewa, lecąca pod wiatr z szeroko rozłożonymi skrzydłami, na przekór wszystkiemu, tak i człowiek przyjmował te wszystkie darowane dni i zmagał się z nimi po swojemu. Tylko dlaczego w tej mozaice codzienności brakowało wciąż jednego elementu?

Chłodna pieśczoła wody miała w sobie delikatność i zrozumienie dla rozterek poukrywanych w zakamarkach serca Kasi. Woda obmywała, oczyszczała i zabierała to, co ciąży. Poprzyklejane do stóp ziarenka piasku pogubiły się w morzu, zupełnie jak nadmierny bagaż życiowych spraw. I choć to wcale nie było łatwe, w tej małej nadmorskiej miejscowości na drugim końcu Polski Kasia zaczęła wierzyć, że jej życie naprawdę miało sens i że dni, z którymi dotąd walczyła, mogą ją dokądś doprowadzić. Upadki bołą, ale dają siłę.

— Zmęczyłaś się? — Kasia spojrzała na córeczkę z czułością.

Dziewczynka pokręciła głową, a dwa małe kucyki zebrane spinkami z biodronką zabawnie podskoczyły, jakby chciały dać Kasi do zrozumienia, aby nie psuła im zabawy.

— To może chociaż trochę odpoczniemy, co? — uśmiechnięta patrzyła na Marlenkę, która swoją energią mogła obdzielić cały dom sanatoryjny, których w Dąbkach było tak wiele.

— A co będziemy robić, odpoczywając? — dociekliwość i inteligencja córki niejednokrotnie Kasię zadziwiała.

— Zbudujemy zamek z piasku.

— I zamieszkamy w nim?

Kasia pokiwała głową, śmiejąc się do córeczki.

— Ale babcia nie będzie tu z nami mieszkała?

Kasia poczuła, jak jej uśmiech zamiera, stając się sztuczną maską przyklejoną do twarzy tanim klejem. Nie zdawała sobie sprawy, że małe serduszko dziecka tak bardzo przeżywa ich poplątaną codzienność, w której nieodmiennie nałóg dyktował warunki. Świat, który starała się zbudować wokół córeczki, nie był w stanie zatrzymać tego, co złe, na zewnątrz. Marlenka była uważnym obserwatorem i rozumiała więcej, niż się mogło wydawać. Tylko... pewne rzeczy trudno było wytłumaczyć czteroletniej dziewczynce, która chowała się za łóżkiem przed babcią i jej nieprzewidywalnymi nastrojami.

— Nie, kochanie. Zamieszkamy tu tylko we dwie, ty i ja, jak w tym pokoiku,

który dostałyśmy. — Kasia starała się, aby jej głos brzmiał normalnie, ale ściśnięte gardło tego nie ułatwiało.

— A tata? Czy tata zamieszka z nami? — duże, niebieskie oczy dziewczynki patrzyły ufnie na matkę.

Kasia powoli pokręciła głową.

— Nie, słoneczko. Tata też z nami nie zamieszka.

Nie padło pytanie „Dlaczego?” i Kasia była wdzięczna, że na tym etapie życia Marlenka nie oczekiwała wyczerpujących wyjaśnień trudnych pytań, na które nie można było jednoznacznie odpowiedzieć. Wiedziała, że przyjdzie taki dzień, gdy będą musiały odbyć tę rozmowę, ale być może obie będą wtedy w takim momencie życia, że ta rozmowa nie zrani żadnej z nich i że Marlenka będzie na tyle dojrzała, aby to wszystko zrozumieć.

— To nasz zamek może być zupełnie malutki, prawda, mamo? — Marlenka sprytnie łączyła ze sobą wszystkie fakty. — Zbudujemy go i szybciotko odpoczniemy, a potem znowu poganiamy się z falami, dobrze?

Tym razem uśmiech, który pojawił się na twarzy Kasi, był szczery i niewymuszony.

— Dobrze, mała figlarko. Obawiam się tylko, że ja przy tobie na tym urlopie nie odpocznę. — Palcem wskazującym dotknęła małego noska dziewczynki, który zmarszczył się zabawnie.

— Bo przy dzieciach nie można odpocząć, babcia tak mówi — odpowiedziała poważnie Marlenka. — Ale ja za to wybuduję dla ciebie najpiękniejszy zamek na świecie, mamusiu.

Jeśli w tej chwili Kasia miałyby nazwać szczęście i powiedzieć, jak ono wygląda, odpowiedziałyby, że ma niebieski kolor oczu dziecka, które przyjmuje świat takim, jaki jest, i zatrzymuje się przy drobiazgach, które dorosłym tak często umykają.



— Bardzo ładna i grzeczna dziewczynka. Widać, że dobrze się tutaj czuje.

Kasia siedziała na ukwieconym tarasie i popijała popołudniową kawę. Czas tutaj płynął zupełnie inaczej niż w Lublinie. Kasia poddawała się leniwemu ryt-mowi, z przyjemnością chłonąc spokój tego miejsca i atmosferę, która ogrzewała nawet jej zziębnięte serce.

— Oj tak, powiedziałałabym nawet, że córka czuje się tutaj za dobrze i za pewnie — odpowiedziała właścicielce pensjonatu, która zatrzymała się przy stoliku zajmowanym przez Kasię.

Pani Maria Sawicka była bardzo elegancką i zadbaną kobietą, mającą w sobie niesamowite ciepło i spokój, który koił. Kasia poczuła to już pierwszego dnia, jak tylko weszły z Marlenką do pensjonatu, który z zewnątrz wyglądał zupeł-

nie zwyczajnie, za to jego wnętrze przesycone było życzliwością i ogromną serdecznością, z jaką obie zostały powitane. W Marii Sawickiej było coś takiego, co wzbudzało zaufanie i sprawiało, że ludzie dobrze się czuli w jej towarzystwie. Kasia też to poczuła i dlatego uśmiechnęła się z wdzięcznością za okazaną jej uwagę.

— Może pani usiądzie na chwilkę? — nieśmiało zaproponowała wolne krzesło przy swoim stoliku.

— Dzisiaj nie, przepraszam, mam jeszcze dużo pracy i nie chcę tego odkładać. Ale jutro będzie ognisko, na które serdecznie obie panie zapraszam. — Maria Sawicka objęła gestem ręki Kasię i Marlenkę. — Wtedy z przyjemnością przy pani przysiadę, jeśli nie będzie pani miała ciekawszego towarzystwa.

To miejsce z każdą godziną zachwycało Kasię coraz bardziej. Nie miało w sobie nic z krzykliwości popularnych nadmorskich kurortów ani nic z pyszności tych najslawniejszych. Ciche i skromne witało każdy nadchodzący dzień i wypoczywających tu gości szumem lasu i morza oraz rozmowami mew, wróbli, kaczek i łabędzi, które w tym miejscu odnalazły swój dom.

Kasia pomyślała, że to takie miejsce na ziemi, gdzie człowiek czuje się po prostu szczęśliwy.

Marlenka pomachała jej ze zjeżdżalni, na którą wspinała się tak zwinnie jak mała małpka. Kasia przesłała córeczce całusa, a potem spontanicznie sięgnęła po telefon i zadzwoniła do jedynej osoby, z którą mogła się tą radością podzielić.

— Renia, mogę się trochę pozachwycać tym, co widzę? — spytała z uśmiechem, sięgając po swoją kawę.

— A mogłam cię tam nie wysłać — usłyszała w słuchawce tak dobrze znajomy głos bliskiej koleżanki.

— Przywiozę ci za to garść kamyków i muszelkę znad morza.

— Dzięki, ogromnie mi to poprawi samopoczucie, biorąc pod uwagę, że w Lublinie leje. A jak tam u ciebie?

— U mnie jest pogodnie i na tyle ciepło, że siedzę na nagrzanym słońcem tarasie, piję kawę z pianką w szklance na wysokiej nóżce, pilnuję, żeby Marlenka nie rozniosła placu zabaw, i czuję się wyjątkowo!

Słyszając tak wielki entuzjazm w głosie przygnębionej jeszcze kilka dni temu Kasi, Renata uśmiechnęła się.

— Ze słońcem ci do twarzy, więc wykorzystaj to i złap jeszcze trochę opalenizny. Opowiedz mi, co widzisz oprócz Marlenki i placu zabaw, może choć przez chwilę poczuję zapach morza i wyobrażę sobie, że wcale mnie tu nie ma i nie oglądam tego błotnistego bajora, które pojawiło się przed naszym sklepem.

— Widzę biedronkę, która przysiadła na oparciu mojego krzesła — zaczęła Kasia, próbując słowami namalować obraz rzeczywistości, w jakiej się znalazła. — Ma czerwone skrzydełka, a na nich pięć czarnych kropeczek. Dookoła mnie na

całym tarasie są drobne czerwone pelargonie, które jeszcze nawet nie przekwitają, a w oddali za ogrodzeniem ośrodka widzę drzewa łagodnie kołyszące się na wietrze. Ich zieleń mnie uspokaja, dlatego siedzę właśnie w tym miejscu. Gdy wstanę, widzę jezioro. Jest na nim mnóstwo kaczek i łabędzia rodzina z siedmioma brzydkimi kaczątkami. Dzisiaj Marlenka je karmiła. Są dostojne i nie rzucają się na jedzenie tak łapczywie jak kaczki i mewy. Opowiadać dalej?

— Rozmarzyłam się. — Głos Renaty zabrzmiał przytłumionym dźwiękiem.
— Wrócisz stamtąd czy zostajesz na stałe?

Kasia westchnęła.

— Gdybym miała wybór, do Lublina przyjechałabym tylko po rzeczy. Ale powiedz, Renia, czy można żyć w bajce?

— A dlaczego nie? — odpowiedziała Renata, zamyślając się nad pytaniem Kasi.

— Co tam w sklepie? Tęsknicie za mną? — przez moment Kasi przyszła taka myśl, że to nie może dziać się naprawdę i że tę bajkę sobie wymyśliła.

— Pewnie, że tęsknimy! I nie ukrywam, że bardzo nam ciebie brakuje, ale staramy się z Melą i Halinką sobie radzić. Mecenas pytał o ciebie.

Kasia parsknęła, krztusząc się swoją kawą.

— Chyba żartujesz?

— Mówię zupełnie poważnie. Wyraził nawet zaniepokojenie, że zmieniłaś pracę.

— No proszę, proszę. — Kasia rozparła się wygodnie na krześle, a jej mile połączane ego rozłożyło się na miejscu obok.

— Ja ci radzę, Kasia, uważaj na mecenasową, bo i tak masz już z nią na pieńku.

— Przepraszam bardzo, ja nic w kwestii mecenasa nie robię. Szkoda mi faceta i tyle. A miła i uprzejma staram się być dla każdego.

— Ja ci tylko udzielam dobrej rady. — W głosie Renaty Kasia usłyszała rozbawienie. — Ach, zapomniałabym! Mamy nowego pracownika. Stażysta. Młody, przestraszony, ale pomocny. Borys.

— Jak młody? — zainteresowała się Kasia.

— No wiesz... Niewiele starszy od mojej Igi. Młoda dwudziestka.

— Zmiany, zmiany... — westchnęła Kasia, dopijając swoją kawę. — Nie wiem, czy serce mi nie pęknie, gdy będę musiała stąd wyjechać.

— Ciesz się każdym dniem i wróc odmieniona. Muszę kończyć, bo ruch się zrobił w sklepie. Uściskaj Marlenkę!

— Dziękuję, uściskam. Pa, Renia!

— Pa!

Kasia odłożyła telefon i spojrzała na wymalowane odcieniami błękitu i szarości niebo. Skręcone jak owcze futro chmury przesunęły się łagodnie, zupełnie

jakby dryfowały na swoim podniebnym oceanie. Na tle tego złożonego wzoru chmur pojawiła się samotna mewa, nawołując głośnym krzykiem swoje towarzyski.

— Mamusiu, popatrz, huśtam się bez trzymania! — Marlenka pomachała do mamy, kołysząc się na sznurkowej huśtawce.

— Uważaj, żebyś nie spadła!

— Nie spadnę. — Dziewczynka pokręciła głową, a Kasia poczuła, jak wzruszenie wypełnia jej gardło i szczypie w oczy. Gdyby mogła zatrzymać chwilę, tę zachowałyby na zawsze. Nie potrzebowała niczego więcej oprócz bliskości córeczki i spokoju, który mogła jej podarować. Nie pragnęła podróży dookoła świata ani księcia z bajki. Chciała tylko, aby każdy ich dzień zaczynał się radosnym szczebiotaniem dziewczynki i kończył spokojnym zasypianiem, bez wyrzutów, pretensji i słów, które raniły głęboko. I bez tej beznadziei, która podcinała skrzydła i nie pozwalała wierzyć, że może być inaczej.



Od początku września każdy powrót Julki ze szkoły zaczynał się od słów: „Mama, a wiesz, że Wiktoria...”.

Wiktoria powiedziała, Wiktoria zrobiła, Wiktoria lubi, Wiktoria uważa, że... Nowa koleżanka, która dołączyła do klasy Julki od nowego roku szkolnego, była jak egzotyczny ptak, którym koledzy i koleżanki się zachwycili. Nie pasowała do ram, do jakich młodzież IIIb była przyzwyczajona, i miała na tyle silną osobowość, aby narzucić swój sposób bycia innym. Prawie natychmiast utworzyły się dwa przeciwne obozy — zwolenników i antagonistów Wiktorii, dzieląc dość zgraną dotąd klasę na pół. Julka znalazła się w obozie tych, którzy pozostawali pod urokiem nowej koleżanki i została wyróżniona tak bardzo, że Wiktoria zaprosiła ją do wspólnej ławki i wspólnych tajemnic.

Renata patrzyła na tę fascynację Wiktorią z lekkim pobłażaniem. Pamiętała ten wiek, gdy piętnastolatka definiuje siebie poprzez pryzmat przyjaciółek i określa swoją wartość, patrząc na siebie ich oczami. Julka, zupełnie inna od Igi, miała w sobie dużo pewności siebie i od przedszkola otoczona była grupką koleżanek, którym przewodziła. Dlatego też nowa sytuacja z tajemniczą Wiktorią nie była niczym nadzwyczajnym i Renata z cierpliwością wysłuchiwała wszystkich relacji, ciesząc się, że córka nadal ma do niej zaufanie i traktuje ją jak mamę-przyjaciółkę.

— Uwzięli się na nas od samego początku roku. — Julka jadła obiad, próbując jednocześnie poskarżyć się na ciężki los gimnazjalisty. — Trzy sprawdziany powtórkowe to chyba lekka przesada, nie uważasz?

— Nie zapominaj, że w tym roku piszesz test gimnazjalny. Wasi nauczyciele chcą was do niego jak najlepiej przygotować. — Renata próbowała uprzątnąć kuchnię, jednocześnie zerkając na kodeks drogowy i starając się zapamiętać znaki,

z których połowa według niej niczym się od siebie nie różniła.

— Mamo, proszę cię! Nie mów jak nasza wychowawczyni! Przecież ja przeżyvam teraz najpiękniejsze lata swojej młodości i nie powinnam ich marnować, siedząc w książkach!

— Najpiękniejsze lata młodości to przeżyvam ja, smarkulo — dobiegł ich zirytowany głos Igi, która wróciła właśnie z dość krótkiego spaceru z Teodorem i usłyszała ostatnie słowa siostry. — A o siedzeniu w książkach to ty nie masz pojęcia. Na jutro mam zrobić sto pięćdziesiąt zadań z matematyki i pytam się, po co? — jęknęła Iga, siadając przy stole i podpierając głowę rękami. — Mamo, wytłumacz mi, po co humaniście matematyka? Przecież ja doskonale dam sobie w życiu radę bez tych skomplikowanych obliczeń i zadań, które mają mnie niby nauczyć logicznego myślenia. Uważam, że to niesprawiedliwe! Jeżeli już wymaga się od nas wszystkich obowiązkowej wiedzy z matematyki na maturze, powinniśmy również obowiązkowo zdawać egzamin z historii Polski. Wtedy i humaniści, i umysły ściśle byłyby potraktowane jednakowo.

Renata podeszła do córki i pogładziła ją po włosach.

— Całkowicie się z tobą zgadzam, ale obawiam się, że nasze zdanie niewiele tu znaczy.

Iga podniosła głowę i popatrzyła na matkę bezradnie.

— Nie znoszę matematyki. Nie przeżyję tego roku, mamo.

— Przeżyjesz. — Renata lekko poklepała Igę po ramieniu. — Zdasz maturę, a potem zapomnisz o matematyce na zawsze.

— A kto będzie za ciebie pieniądze liczył, jak już się dorobisz i będziesz obrzydliwie bogata? — spytała Julka, przetykając ostatni kęs obiadu.

— Księgowy — odpowiedziała Iga ponuro.

— Ja tam nawet lubię matkę. — Julka wstała od stołu i wstawiła pusty talerz do zlewu. — Chociaż Wiktoria mówi, że obecny program nauczania...

— Błagam cię, przestań z tą Wiktoria! — warknęła Iga. — Od trzech tygodni używasz tego imienia kilkadziesiąt razy dziennie.

— Ależ jesteś skrupulatna w obliczeniach. A mówiłaś, że nie znosisz matematyki. — Julka nie pozostała siostrze dłużna.

— Czy możesz przymknąć ten pyskaty dziób, smarkulo?!

— Mamo, ona mnie obraża!

— Dziewczyny, nie wiem, czy któraś z was zauważyła, że próbuję się uczyć! — odpowiedziała Renata, głośno zamykając kodeks i jego skomplikowane przepisy. — W przyszłym tygodniu mam egzamin i jak nie zdam, to będzie kompromitacja.

— Nie martw się, mamo, nikt nie zdaje za pierwszym razem — odpowiedziała natychmiast Iga, chcąc pocieszyć matkę. — Bartek ostatnio dziewiąty raz zdawał i go oblali. Do tego można przywyknąć, tylko pieniędzy szkoda.

— Przestań mnie demotywować! — powiedziała Renata, stawiając przed córką talerz z obiadem. — Idę się uczyć i proszę mi nie przeszkadzać.

Zabrała pod pachę kodeks i ABC kierowcy, sięgnęła do szafki po paluszki i cmoknęła na Teodora, który sprawdzał się w tym jesiennym okresie jeszcze przed sezonem grzewczym jako naturalne źródło ciepła, szczególnie gdy kładł się na zmarzniętych stopach Renaty, dzielnie znoszącej ciężar dość potężnego psiego ciała.



Taras Domu Wypoczynkowego „Maria” był magicznym miejscem, w którym rzeczywiście, tak jak wspominała Renata, można się było poczuć jak w zaczerpniętym ogrodzie. Kasia zdecydowała się właśnie tutaj wypić swoją poranną kawę, korzystając z chwili, gdy Marlenka zajęła się origami, które składała pod czujnym okiem pani Eli, animatora czasu wolnego z niezwykłym podejściem do dzieci. Kasia ogromnie ceniła ludzi, którzy swoją pracę wykonywali z pasją, a pani Ela Krukowska właśnie taka była. Oddana dzieciom i chętna do współpracy, otwarta na nowe pomysły i nieograniczająca się jedynie do swoich obowiązków.

Marlenka zakochała się w niej już pierwszego dnia i wpatrywała jak w obrazek, zwłaszcza że z jej rąk wychodziły rzeczy, którymi dziewczynka była oczarowana.

Kasia patrzyła jak urzeczona na kwiaty, jakimi obsadzony był taras od strony wejściowej. Wpleciona między nie cisza koła i uspokajała. Dawała siłę, której Kasia potrzebowała.

Przysiadłe na zielonych liściach i jeszcze kolorowych kwiatkach motyle wachlowały swoimi koronkowymi skrzydełkami, a mała biedronka rozpoczęła wędrówkę po łądzy, kołysząc się wraz z nią w podmuchach ciepłego wiatru. Zadomowiona jaskółka przeleciała nisko, łapiąc w locie natrętną muchę, a mały puchaty wróbel przysiadł na sąsiednim stoliku, poszukując okruszków pozostawionych przez wypoczywających.

Łaskawy wrzesień rozsyłał słoneczne uśmiechy, a taras Marii wabił zapachem kawy i subtelnością pięknie skomponowanych ze sobą kwiatów.

— Widzę, że siedzi tu pani tak samotnie, zapraszamy z tą kawą do nas. — Kasia drgnęła, słysząc tuż obok siebie głos właścicielki.

— Nie, nie będę państwu przeszkadzać — odpowiedziała zawstydzona.

— Ależ koniecznie musi nam pani poprzekadzać, bo sami ze sobą potrafimy jedynie milczeć albo rozmawiać o sprawach biznesowych, ewentualnie prowadzić dyskusje polityczne, a taki piękny poranek nie jest raczej dobrym momentem na takie rozmowy. — Tuż za panią Marią stanął sympatyczny starszy pan ze spojrzeniem łobuza i uśmiechem, którym od pierwszej chwili ujął Kasię.

— Mój mąż, Franciszek Sawicki — przedstawiła go pani Maria, patrząc na

Kasię z zapraszającym uśmiechem.

Dziewczyna podniosła się nieśmiało i przeszła do stolika zajmowanego przez państwa Sawickich i panią Alicję, z którą się rozliczała zaraz po przyjeździe.

— Mamy szczęście do gości z Lublina. — Pan Franciszek, jak prawdziwy gospodarz, czuł się w obowiązku prowadzić rozmowę. — Zawsze jak przyjeżdżają, pogodę mamy gwarantowaną, prawda, Moniczko?

Siedząca obok Alicji młoda kobieta uśmiechnęła się do państwa Sawickich z miłością, którą Kasia dostrzegła w jej orzechowych oczach.

— Niekiedy mamy też w zwyczaju tę pogodę zabierać ze sobą — odpowiedziała, przesuwając się i robiąc miejsce dla Kasi.

— Panią Alicję pani już poznała, a to Monika Anna Oleksa, pisarka z Lublina, która co roku przyjeżdża do nas, czerpiąc stąd inspirację do swoich książek — dokonał prezentacji pan Franciszek, zadowolony z powiększonego grona słuchaczy.

Kasia ukloniła się skinieniem głowy i usiadła niepewnie w towarzystwie, które doskonale się ze sobą czuło.

— Pani pierwszy raz u nas, prawda? — spytała zaciekawiona Alicja, obrywając suche kwiaty pelargonii zwisające tuż nad fotelem.

— Tak. Poleciała mi państwa koleżanka z pracy. Jej córka była tutaj w lecie.

— I jak się pani odpoczywa? — Maria Sawicka patrzyła na Kasię z taką życzliwością, że dziewczyna poczuła się kimś naprawdę wyjątkowym, mogąc być w takim miejscu i rozmawiać z tymi ludźmi.

— Fantastycznie. Mam wrażenie, że trafiłam do przedsionka raju. — Mówiąc te słowa, Kasia uświadomiła sobie, że nawet kawa smakowała tu inaczej, może dlatego, że została zaparzona ze szczyptą dobroci serca?

— Kocham to miejsce — odezwała się pisarka. — Jest jak dom, do którego wracam za każdym razem z taką samą radością. Tęsknię za nim przez cały rok i wracam tu myślami zawsze wtedy, gdy jest mi źle. Zamykam oczy i widzę te wszystkie alejki i wydeptane dróżki, domek ze słomianą strzechą, pomost wbiegający do jeziora, betonową drogę prowadzącą przez las aż do przekopu i wyglądające zza wydm morze. Tutaj jestem tak po prostu szczęśliwa.

— Wiem, o czym pani mówi — powiedziała Kasia, wsłuchując się z rozmarzeniem w głos kobiety. — Też doświadczam tutaj tego uczucia, choć wydawało mi się, że już zapomniałam, co to znaczy.

— Taka pani młoda, jeszcze całe życie tego szczęścia przed panią. — Pan Franciszek spojrzał na Kasię tak ciepło, że prawie mu uwierzyła. A przynajmniej chciała uwierzyć. To miejsce i jego atmosfera temu sprzyjały. Serdeczność ludzi, przy których przysiadła, również. Magia Dąbek działała, opatrując pokaleczone serce Kasi tym, czego w tej chwili najbardziej potrzebowała — ukojeniem, spokojem i wiarą, że poza jej światem, od którego wciąż próbowała uciec, jest jeszcze

inne życie, pełne nadziei przeznaczonej także dla niej.



Już trzeci dzień lało, a początek jesieni nie nastrajał zbyt optymistycznie. Pochmurność wdzierała się do mieszkań, a wilgoć przenikała nawet pomimo zamkniętych szczelnie okien i wносиła ze sobą chłód, podążający za ludźmi krok w krok.

Emilia otuliła się chustą, którą zrobiła dla siebie latem na szydełku, i wyjrzała przez zapłakane okno galerii. Nieliczni przechodnie przemykali przez Rynek, zajęci swoimi sprawami. Stare Miasto płakało razem z jesienią, która niechętnie rozstawała się z latem, umykającym ze swoją beztroską. Wiekowe kamienice spoglądały na deszczowy Lublin z zadumą, zapamiętując chwile wyryte w pamięci murów, będących świadkami niejednej jesieni i jej łez.

Takie dni jak dzisiejszy nie sprzyjały galerii. Ludzie pędzili przed siebie, kuląc się przed zacinającym deszczem, a ci, którzy nie musieli, w ogóle nie wychodzili z domu. Nieliczni turyści chowali się po kawiarniach i restauracjach, spragnieni kawy lub rozgrzewającej herbaty. Sztuka mało interesowała dzisiejszych ludzi, a do galerii najczęściej wstępowali z czystej ciekawości lub dla zabicia czasu.

Emilia westchnęła i odwróciła się od okna. Postanowiła napić się herbaty, którą w niedzielę kupiły z Klaudią w Kazimierzu. Zabrała dziewczynę do Herbaciarni i Galerii u Dziwisza, wiedząc, że Klaudia, podobnie jak ona kiedyś, zachwyci się tym miejscem tak, jak zachwyciła się nałęczowską Eweliną, i że będzie tu wracać po dobre wspomnienia. Emilia starała się odbudować świat siostrzenicy, wpisując w niego dobre chwile, do których Klaudynka będzie sięgać, gdy smutek stanie się nie do zniesienia. Emilia wiedziała, że przychodziły takie dni. Słyszała nocą szlochanie dziewczyny i serce jej pękało, bo nic nie mogła zrobić. Wiedziała, że żal trzeba przeżyć i nie da się go odsunąć ani o nim zapomnieć. On był, tak jak i pustka wokół Klaudii, której Emilia nie potrafiła wypełnić. Dlatego wyszukiwała miejsca z niepowtarzalnym klimatem i atmosferą taką jak w Herbaciarni u Dziwisza. Uśmiech, który w chwili przekroczenia progu tego miejsca pojawił się na twarzy siostrzenicy, był dla Emilii bezcenny. Dziewczyna rozświetliła się cała od wewnątrz, a Emilia wiedziała, że to oznaczało, iż Klaudia poczuła ciepło stworzone przez ludzi, którzy zainwestowali w ten lokal nie tylko pieniądze, ale i swoje serce.

Cichutka muzyka francuska, międzywojenna, soulowa i swingująca wypełniała subtelnymi dźwiękami pomieszczenie zastawione różniącymi się od siebie stolikami i krzesłami jak z dobrego targu staroci. Miękkie kanapy udekorowane ozdobnymi poduszkami zapraszały, aby na nich przysiąść i spróbować aromatycznej herbaty, której smak długo pozostawał w pamięci. Tort bezowy, szarlotka, ser-

nik czy wafel z kajmakiem dodatkowo rozpieszcząły podniebienie rozkoszą, której nie można było się oprzeć.

Emilia widziała, jak Klaudia chłonie to miejsce i jego atmosferę, jak okrągłymi z zachwytu oczami wpatruje się w zawieszone na ścianie obrazy i dekoracje na stolikach — na każdym inną. Naręcza jesiennych astrów, dwukolorowe róże, ciężkie kule chryzantem i owoce z jesiennego sadu — to wszystko komponowało się jak pociągnięcia pędzlem na obrazie mistrza, utrwalającego piękno w najprostszej postaci. A gdy dostrzegła obszerną biblioteczkę wyłożoną książkami, z których można było korzystać, Emilia wiedziała już, że nie wyjdą stąd prędko i że nie będzie Klaudii pospieszać, tylko da się jej nacieszyć odnalezionym okruszkiem szczęścia, które dziewczyna tutaj dostrzegła.

To popołudnie było magiczne i obie to poczuły. Wracały pozytywnie naładowane ulotnym szczęściem, pochowanym w zakamarkach serca i pamięci, dotlezione jesiennym powietrzem pachnącym śliwkami, z uliczkami Kazimierza pod powiekami. Obie wywoziły w sobie spokój, którego potrzebowały, i nadzieję, że nawet pośród deszczowych i pochmurnych dni słoneczne promyki życia odnajdą szczelinę, przez którą będą mogły się przedrzeć, aby ocieplić chłód i mrok.

Czarna herbata z płatkami bławatka i kawałkami owoców rozgrzała zziębnięte wnętrza Emilii. Jej zimne dłonie ogrzały się gorącym kubka. Emilia czuła podskórne mrówki szczypiące delikatnie czubki jej palców i pomyślała, że taki kłujący żal i tęsknota, którą nosiła w swoim sercu Klaudia, są o wiele lepsze od obojętności i zamrożenia żywych uczuć, których wrażliwy człowiek doświadcza, a słaby człowiek odrzuca.

Z zamyślenia wyrwał Emilię cichy kryształowy dźwięk dzwonka, zapowiadającego gościa w galerii. Spojrzała z zainteresowaniem na wchodzącego, napotykać zaciekawiony wzrok, który przewędrował po zawieszonych ścianach galerii i zatrzymał się na Emilii. Zauważyła, że mężczyzna był bardzo elegancki i pomimo słoty za oknem jego buty, starannie wypastowane, były czyste i dopasowane do grafitowego płaszcza i parasola.

— Dzień dobry — ukłonił się uprzejmie. Emilia odwzajemniła pozdrowienie, uśmiechając się serdecznie i wychwytyjąc przyjemną dla ucha barwę głosu nieznanego.

— Czy mógłbym się trochę rozejrzeć? — spytał mężczyzna, wskazując na otaczające go ściany galerii.

— Proszę bardzo. — Emilia wykonała zapraszający gest.

Zaintrygował ją. Wyglądał na człowieka ceniącego piękno i dostrzegającego je w zatrzymanych przez Emilię szczegółach. Przyglądał się jej pracom dokładnie, przystając przez dłuższą chwilę przy każdej z nich. Nie chciała mu przeszkadzać swoją natarczywością ani zakłócać ciszy, w tle której pobrzmiwały spokojne dźwięki utworów Andrei Bocellego. Milczała, dyskretnie obserwując mężczyznę,

który sam zaskoczony tym, co odkrył w przypadkowo napotkanej galerii, nie mógł się oderwać od świata widzianego oczami Emilii. Odezwała się dopiero wtedy, gdy obejrzał się w jej stronę z niewypowiedzianym pytaniem w oczach.

— Czy mogę w czymś panu pomóc? — spytała wciąż z tym rozjaśniającym ją uśmiechem.

— W zasadzie tak — odpowiedział z pewnym wahaniem w głosie. — Szukam prezentu na pięćdziesiątą rocznicę ślubu moich przyjaciół. Pomyślałem, że obraz bardzo by się na taką okazję nadawał, tylko... mam dylemat, bo nie wiem, który wybrać.

— A który się panu najbardziej podoba? — spytała Emilia, podchodząc do mężczyzny i stając tuż przy jego ramieniu. Był od niej sporo wyższy i pomyślała, że przy takim mężczyźnie czułaby się bezpiecznie.

Uniesiona ręka zatoczyła koło i zatrzymała się na opustoszałej szopie, stojącej na skraju lasu.

— Ten — odpowiedział zdecydowanie.

Emilia poczuła, jak po jej ciele przebiega dreszcz.

— Przykro mi, ale ten nie jest na sprzedaż — odpowiedziała cicho. W jej głosie było coś takiego, że spojrzenie mężczyzny złagodniało.

— Szkoda — westchnął. — Ma w sobie coś takiego, że przyciąga i rozbudza dobre myśli. Czy pani to namalowała?

Emilia skinęła głową, trochę skrępowana bliskością mężczyzny.

— Większość prac tutaj jest mojego autorstwa, ale moja galeria wspiera też młodych i nieznaną twórców, którzy niewątpliwie mają talent.

— Przyznaję, że jestem pod wrażeniem.

Emilia poczuła, że się rumieni. Coś elektryzowało pomiędzy nią a nieznanym i oboje to czuli, żadne jednak nie zrobiło kroku, aby zwiększyć dystans.

— Jeśli pana przyjaciele są choć trochę do pana podobni, myślę, że spodobałyby im się ten obraz. — Emilia wskazała na postarzony specjalną techniką obraz, przedstawiający stare, przedwojenne pianino z klawiszami o barwie kości słoniowej i stojącym na nim wazonem z jesiennymi astrami. W tle widać było salonik, a na jedynym widocznym fotelu przewieszony był biały szal, którego drobne sploty zostały oddane tak wyraźnie, że miało się wrażenie delikatności materiału i trudno było powstrzymać wyciągnięcie ręki, aby się o tym przekonać.

— Piękne. — W głosie mężczyzny Emilia usłyszała uznanie. — Czy to również pani dzieło?

Skinęła głową, odgarniając z policzka rudy kosmyk, który zaciekawiony wysunął się spośród innych i powędrował po gładkiej skórze, zafascynowany spotkaniem.

— Ma pani rację, spodoba się na pewno. Poproszę go.

Emilia ostrożnie zdjęła ze ściany zawieszony tam obraz i zaniósła do dęb-

wego biurka, w którym trzymała szary papier do pakowania i inne niezbędne drobiazgi. Z wprawą i delikatnością owijała obraz, mając świadomość, że wzrok mężczyzny podąża za ruchami jej dłoni. Obserwował ją. Czuła jego spojrzenie, które jej jednak nie krępowało. Wręcz przeciwnie, chciała, aby patrzył jak najdłużej, i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że już dawno żaden mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób i że pragnie tego spojrzenia i zainteresowania, bo znowu czuje się po prostu kobietą.

— Jest wart osiemset złotych, ale z okazji tak pięknej rocznicy opuszczę panu do siedmiuset.

Bez wahania wyjął portfel i odliczył banknoty, kładąc je na biurku. Kiedy sięgnęła po nie, końce ich palców przez chwilę się spotkały. To była iskra, która przebiegła przez spragnione ciepła ciało Emilii, dając jej sygnał, że upływ lat nie uspił kobiecości.

Cofnęła rękę niechętnie, chowając pieniądze do szuflady biurka.

— Mam na imię Emilia. Wierzę, że prezent wniesie wraz z sobą dużo dobra do domu pana przyjaciół.

— Miło mi panią poznać, pani Emilio. Pani pozwoli, że się przedstawię. Notariusz January Strzębosz. Od dwunastu lat wdowiec, czynny zawodowo, z jedną córką w dorobku. Dlaczego ja to wszystko pani mówię?

Emilia roześmiała się śmiechem tak wdzięcznym, jakby znów miała dwadzieścia lat.

— Bo jeszcze pan tu wróci. Dlatego.

January uklonił się uprzejmie, zabrał starannie zapakowany obraz i wyszedł, oglądając się jeszcze za siebie. A Emilia usiadła i zapatrzyła się w okno, za którym deszcz wygrywał swoją jesienną melodię, dzisiaj miłą jej uchu.



Świat za oknem pociągu poszarzał, a ciężkie krople deszczu osuwały się po przykurzonej szybie, spływając smutno jak łzy po gładkiej powierzchni. Stukot żelaznych kół sunących po szynach usypiał i rozleniwiał, a wrześniey chłód wpadający do środka na każdej stacji wnosił ze sobą nostalgię i nieuchronność przemijania. Coś się kończyło, aby coś innego mogło się zacząć. Czas beztroskiej radości na nowo miał być upchnięty w ramy, które wyznaczały rytm codzienności. Ze splątanych dni powszednich składało się w końcu życie człowieka.

Kasia patrzyła na zmoknięty świat zamyślona. Marlenka spała z główką opartą o jej kolana i wyciągniętymi na siedzeniu nóżkami. Oddychała spokojnie, lekko pochrupując. W małej główce, jeszcze nie do końca świadomej zmiany i wypełnionej wrażeniami, układały się dobre sny, w których nie było lęku. Patrząc na nią, Kasia z bólem w sercu pomyślała, że oddałaby wszystko, aby jej córeczka mogła zasypiać z takim spokojem, jakiego obie doświadczyły przez miniony

tydzień.

Ten подарowany jej tak spontanicznie czas umocnił, ale powrót do domu przygnębiał. Dom. Słowo, w którym było ciepło i bezpieczeństwo. Słowo, w którym zamykało się wszystko. Miłość, akceptacja, bliskość. Wspomnienia, które się dzieliło, i smutek, który nie ciążył, bo dzielony był po równo. Radość pomnażana przez tych, którzy ten dom wypełniali. Taki powinien być dom, o którym Kasia marzyła. Jedność, pomimo różnorodności charakterów i osobowości. Miejsce, do którego chciało się wracać i które było twierdzą odgradzającą od zła tego świata, przed którym można było uciec. Ognisko, które nigdy nie wygasło.

Nie miała takiego domu. Pragnęła go i wyobrażała go sobie w czasie bezsen-nych nocy. Opowiadała Marlence o tym, jaki będzie ich świat, który dla siebie wyczarują. Tęskniła za nim i coraz częściej poddawała się przygnębieniu, że to się nie uda. Bo przecież z pensji sklepowej do końca życia nie da rady odłożyć na własne mieszkanie, a raty kredytu Kasia w pojedynkę nie udźwignie. Taka była prawda i Kasia coraz dotkliwiej zaczynała zdawać sobie z tego sprawę.

Pociąg szarpnął, wysypując z Kasi żal, który przyczaił się w zakamarkach serca. Nie chciała go przywozić ze sobą. Nie chciała zmarnować tego tygodnia, który dostała na zacerowanie swojego życia i umocnienie szwów tam, gdzie pope-kały. Pod powiekami wywoziła fragmenty maleńkiego miasteczka, które ją urzekło i zaczarowało. Malownicza plaża z białym piaskiem przesypującym się między pal-cami. Zupełnie jak powszednie dni, które przeciekały jeden za drugim, poganiające czas, który już nie powróci. Rybackie kutry wyruszające co wieczór na połów i roz-krzyczane mewy towarzyszące ich powrotom, krążące nad kutrami i obserwujące każdy ruch rybaków z nadzieją na smaczny kąsek, o który toczyły kłótniwe boje. Wyciszony las otulał Kasię swoją równowagą, odurzał żywicznym zapachem i przemawiał do niej skrzypieniem rozkołysanych sosen, smukłych jak młode panny wypatrujące kawalera. Rozległe jezioro Bukowo, skromnie ukryte za lasem, oddzielone od dostojnego morza i niepróbujące mu dorównać, zaglądało niekiedy ciekawie, podbiegając ku wielkiej wodzie czasami tak daleko, że słona toń łączyła się z tą słodką, zamykając przekop i odgradzając plażę w Dąbkach od tej w Dąbko-wicach. Na tej dzikiej plaży za przekopem po sztormie można było odnaleźć kawałki bursztynu wielkości sporego kamienia. Bursztynowe grudki iskrzyły w słońcu takim samym blaskiem, jakim emanuje kochana kobieta, rozsyłając dookoła sygnały, że warto żyć dla chwili, która może się nie powtórzyć i którą tak łatwo przegapić.

Stojący przy jedynej głównej ulicy kościół pod wezwaniem Matki Bożej z Góry Karmel zauroczył Kasię. Weszła tam przyciągnięta jego szarą prostotą i z potrzeby chwili. Duchowe życie Kasi, podobnie jak to ziemskie, prozaiczne, było bardzo skomplikowane. Pogubiła się w ciemnych korytarzach, w których sama przed sobą pozamykała drzwi. Błądziła, cofała się i szukała drogi do światła,

które migotało gdzieś w oddali. Wiele lat temu pokłóciła się z Panem Bogiem i doszła do wniosku, że sama musi wziąć odpowiedzialność za siebie i Marlenkę, bez oglądania się na kogokolwiek. Pozamykała wszystkie drzwi dostępu do siebie, gromadząc w sobie żal, który ciążył. Nie potrzebowała Pana Boga, który nie spieszył się z pomocą, ani tym bardziej kościoła, który ją irytował. Gardziła pobożnością na pokaz i wytykała dwulicowość ludziom, którzy w swojej zamkniętej religijności obrzucali kamieniami tych, co myśleli inaczej. Stworzyła sobie własną filozofię uczciwego życia i nie potrzebowała przewodników mówiących jej, jak ma żyć.

Przechodząc przez miasteczko tą samą codziennie ścieżką, na której mijała szaro-zielony budynek, zaczęła odczuwać siłę przyciągania tego miejsca, przed którym jeszcze usiłowała się bronić. Uległa, zaciękawiona tym nieznanym jej dotąd uczuciem, i wykorzystując czas, kiedy Marlenka została z dziećmi pod opieką pani Eli, zajrzała za przymknięte drewniane drzwi, które otworzyły się przed nią z lekkim skrzypnięciem.

Nie tego się spodziewała. Weszła tam najeżona, oczekując kiczowatego przepychu, który był obecny w wielu współczesnych kościołach. Odnalazła prostotę i surowość, rybacką sieć zawieszoną na prezbiterium i wyrzeźbioną przez znakomitego artystę ogromną figurę Jezusa zawieszzonego na krzyżu, z ramionami tak wymownie rozłożonymi, że miała ochotę podbiec i wtulić się w nie, a potem wypłakać całe swoje życie, oczyszczając się razem ze łzami, które zaczęły spływać po jej policzkach.

Stała nieporuszona, nie mogąc oderwać wzroku od wpatrzonych w nią oczu Chrystusa. Nie potrafiła się modlić, zresztą wcale tego nie chciała. Po prostu stała w milczeniu, pozwalając, aby słone krople wypowiedziały to, czego Kasia powiedzieć nie potrafiła.

— Nie wiem, czy pani zauważyła, ale u nas w Dąbkach Pan Jezus nie ma korony cierniowej.

Drgnęła, usłyszawszy za sobą głos, który łagodnie wkomponował się w ciszę kościoła. Uniosła głowę wyżej, aby sprawdzić wiarygodność słów, które usłyszała, a potem spojrzała na stojącego tuż za nią mężczyznę. Był jej wzrostu, szczupły, co podkreślał dodatkowo czarny podkoszulek i ciemne spodnie. Na bosych stopach miał sandały, a ukryte za okularami spojrzenie prześwietlało Kasię tak, że miała wrażenie, iż ten człowiek wie o niej dużo więcej, niż sama chciałaby mu powiedzieć.

— A dlaczego? — spytała, ścierając dłonią mokre ślady z policzka. — Czyżby tutejsi ludzie byli szlachetniejsi niż reszta świata?

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Moi parafianie być może chcieliby tak myśleć, ale powód jest bardziej prozaiczny, a w zasadzie tragiczny. Artysta, który wyrzeźbił nam tę figurę, zmarł.

Nie chcieliśmy, aby ktoś inny ingerował w jego pracę, dlatego zostało tak, jak jest.

— W ten sposób jest bardziej ludzki. — Kasia znów zapatrzyła się na postać, od której biło coś takiego, że nie mogła tak po prostu odwrócić się i odejść.

— Zawsze był ludzki, ale człowiek skatalogował Go po swojemu, odsuwając od swojego codziennego życia, zamykając w murach kościoła i tylko tu wyznaczając Mu miejsce.

— A co On wie o naszej codzienności? — spytała zaczepnie.

— Więcej, niż nam się wydaje. On chce być we wszystkim, do czego ludzie Go dopuszczają, ale nie wpycha się sam, bo szanuje nasze wybory. To, jaką relację człowiek z Nim nawiąże, zależy indywidualnie od każdego z nas. O tym, że życie panią uwiera, też wie. I wie o niewypowiedzianym żalu, jaki pani nosi w sobie. Nie warto go gromadzić. Żalu, złości, pretensji, rozpamiętywań. To nakłada dodatkowy ciężar i zniekształca obraz rzeczywistości. Nosząc to w sobie, nie dostrzegamy rozwiązań, które niejednokrotnie są dużo prostsze, niż nam się wydaje. Przeoczymy coś, skoncentrowani na tym, co boli. Nosząc w sobie ciężar, pochylamy się coraz bardziej ku ziemi i patrzymy pod nogi, aby się nie potknąć o wystające korzenie kolejnych lęków. A nad nami dzieje się tyle pięknych rzeczy, których nie widzimy, bo sami sobie odmawiamy prawa do tego. Człowiek to bardzo skomplikowana istota.

Kasia domyśliła się, że rozmawia z księdzem. Dotąd ich unikała, a kiedy próbowali z nią rozmawiać, prowokowała słowami, atakując. Ten jednak człowiek, który przystanął przy niej bez nachalności, zaintrygował ją. Miał w sobie coś takiego, że Kasia gotowa była właśnie przed nim się otworzyć i opowiedzieć o wszystkim, czego nie oszczędziło jej życie.

— A co zrobić, kiedy ranią najbliżsi? — spytała, nie szukając gotowej recepty, ale nadziei, która wygasła.

— Wybaczyć i żyć swoim życiem, bez oglądania się wstecz i bez rozdrapywania ran. To trudne, ale to właśnie jest sztuka życia, która prowadzi do odnalezienia w sobie wewnętrznego spokoju, którego człowiek przez całe życie poszukuje. Nie zmienimy innych, ale ocalimy siebie.

Okazało się później, że ksiądz, z którym rozmawiała, to tutejszy proboszcz, Andrzej Pęcherzewski. Doskonały psycholog, głęboki duchowo kapłan, na którego mszach latem gromadziły się setki ludzi odpoczywających w Dąbkach. Jedyne na swojej parafii, bez żadnego wikariusza do pomocy, przewodnik garstki tutejszych, niełatwych mieszkańców, służący pomocą tym, którzy się pogubili.

— To bardzo dobry człowiek i ksiądz, którego kazania nie wszystkim pasują. Bo jest prawdziwy w tym, co mówi i robi. Cieszymy się, że mamy tutaj takiego właśnie proboszcza, bo przyjeżdżają do niego ludzie z całej Polski. Z wieloma jest zaprzyjaźniony, wielu wyprowadził na właściwą drogę, wskazując kierunek, w którym powinni pójść. Wielu też się bulwersuje, bo jest inny. Nieszablony. I lubi

wkładać kij w mrowisko.

Tego wszystkiego Kasia dowiedziała się od Franciszka Sawickiego. Pod wpływem impulsu wybrała się z Marlenką na mszę, w czasie której nie do końca potrafiła się jeszcze otworzyć, czując się obserwowana przez innych uczestników. Ona jeszcze nie umiała stać się jedną z nich. W zasadzie to nawet nie chciała. Jedyne, czego chciała, to posłuchać kazania księdza Andrzeja i zrobić małeńki krok ku sobie, nie próbując niczego zrozumieć, ale starając się choć spróbować nawiązać osobistą relację z Chrystusem, o którym opowiedział jej tutejszy proboszcz.

Te wszystkie zamknięte w Kasi wspomnienia jechały wraz z nią do Lublina. Nie miała jeszcze w sobie tej siły, aby nie oglądać się wstecz i zostawić wszystko, co bolało, wiedziała jednak, że dla dobra Marlenki i swojego musi odciąć to wszystko, co ciążyło, i z podniesioną głową zmierzać przed siebie tam, dokąd życie chciało ją zaprowadzić.



Cisza pustego mieszkania zaniepokoiła Kasię. Jeszcze większy niepokój wywołał w niej stęchły zapach niewietrzonego pomieszczenia, w którym czuć było unoszącą się w powietrzu woń alkoholu. Odstawiła walizkę i jeszcze w butach i kurtce zajrzała najpierw do kuchni, a potem do pokoju, który zajmowała matka. Jadwigi nigdzie nie było. Nie było jej również w łazience ani w małym pokoiku, w którym Marlenka z radością dziecka witała się ze swoimi zabawkami. Na stole w kuchni stała szklanka z niedopitą herbatą, na której powierzchni pływał ohydny brunatny kożuch, komunikujący Kasi, że Jadwiga już od paru dni z tej kuchni nie korzystała.

Bezradna szukała jakiegoś wyjaśnienia, kiedy ktoś cichutko zapukał do drzwi. Na progu stała pani Sława, sąsiadka, która odbierała Marlenkę z przedszkola, kiedy Kasia nie mogła liczyć na matkę. Weszła do środka i widząc przyczajony w oczach Kasi lęk, poklepała ją po dłoni i powiedziała:

— Cztery dni temu zabrali ją do szpitala. Miała silny ból w podbrzuszu, żadne leki nie pomagały. Nie mogła nic jeść, bałam się, że się zagłodzi. Przyjechało pogotowie, zabrali ją na Jaczewskiego. Trzustka. Będzie dobrze. — Łagodne oczy sąsiadki spojrzały na Kasię ze współczuciem. — Byłam u niej wczoraj, pozawoziłam wszystko, czego potrzebowała. Czeka na ciebie, ale nie pozwoliła mi do ciebie zadzwonić. Powiedziała, że macie odpocząć, więc nie dzwoniłam.

— Pojadę do niej zaraz, zostanie pani z Marlenką? — Kasia popatrzyła na panią Sławę błagalnie.

— Dziecko, już późno. Nic tam dzisiaj nie pomożesz. Jest pod dobrą opieką, zajmują się nią i leczą. Pojedziesz jutro rano, Marlenkę mi podrzucisz.

Kasia pokiwała głową i przysiadła na kuchennym krześle, zapatrzona w jeden punkt gdzieś w przestrzeni. Pani Sława pogłaskała dziewczynę troskliwie

po głowie i wyszła, zostawiając Kasię z tym uczuciem zawieszenia pomiędzy wczoraj a jutro. Czuła się tak, jakby uszło z niej całe powietrze i wyczerpała się energia, którą ze sobą przywiozła.

W pasemkach włosów na skroni coś ją załaskotało. Sięgnęła tam ręką i natrafiła na twardy pancerz, który zdjęła palcami. Biedronka. W jej włosach siedziała biedronka, przestraszona ingerencją Kasi. Skąd się wzięła? Czy przywiozła ją z Dąbek, czy wplątała się we włosy już tutaj, w Lublinie?

Kasia miała wrażenie, jakby w tych maleńkich skrzydełkach ukryte było jakieś przesłanie dla niej. Słowa zapisane w szumie wiatru, który lubił rozmawiać z morzem.

„Nie oglądaj się wstecz. Wybacz i żyj własnym życiem”, usłyszała i poczuła, że znowu może oddychać i działać. Wstała z krzesła i delikatnie przeniosła biedronkę na parapet. A potem otworzyła okno, dając jej wybór. Chłód wieczoru zajrzał do niewietrzzonej od kilku dni kuchni i wniósł ze sobą obietnicę, w którą uwierzyła biedronka, rozkładając swoje kropkowane skrzydełka i odlatując. Ku nowemu.

Rozdział dziesiąty

NIEBO W KRUSZONCE

W mieszkaniu rozchodził się zapach świeżo upieczonego ciasta drożdżowego ze śliwkami. Wraz z nim unosiły się wspomnienia dawnych jesieni, w czasie których obecność Stanisława w domu była tak oczywista, że Renata czasami nawet tego nie zauważała. Teraz piekłaby dla niego codziennie takie ciasto i doceniałaby każdą chwilę z mężem, gdyby tylko miała taką możliwość. Świadoma ulotności wspólnych chwil, cieszyłaby się każdym dzielonym ze Staszkiem i nie marudziłaby niezadowolona, że znów zostawił otwartą szafkę i że nie rozumie, jak można dwie godziny gapić się w telewizor, oglądając nudny mecz piłki nożnej. Tęskniła za nim i nie umiała przywyknąć do nieobecności, która stała się codziennością.

Upiekła dzisiaj ciasto, aby uczcić wielki sukces. Udało jej się zdać egzamin na prawo jazdy za pierwszym podejściem. I to nawet mimo że egzaminator siedzący tuż obok niej był bardzo oschły i mało sympatyczny, wytłumaczyła sobie, że nie robi tego dla niego, tylko dla samej siebie, i starała się przez cały egzamin wyobrażać sobie, że to Staszek siedzi obok niej i szepcze jej nieustannie, że w nią wierzy. Renata więc też uwierzyła i zdała, udowadniając, że nigdy nie jest za późno na naukę czegokolwiek.

Kręcąc się po kuchni, dostrzegła nagle ożywienie Teodora, który głośnym szczeknięciem i merdającym ogonem zakomunikował Renacie, że wraca któraś z dziewczynek, a potem pognał na swoje miejsce czuwania w przedpokoju, czekając na pojawienie się panienki.

Trzykrotny dzwonek do drzwi zirytował Renatę. Wybiegła z kuchni, wycierając mokre ręce o fartuszek i fukając pod nosem, że znowu któraś zapomniała kluczy. Otworzyła drzwi i widząc na progu młodszą córkę, którą z radością obskakiwał Teodor, zapytała:

— Mogę wiedzieć, gdzie są twoje klucze?

— W plecaku — odpowiedziała Julka, która wydała się Renacie zupełnie jak nie Julka. Coś w tonie jej głosu zaniepokoiło, a słowa, które dotarły do Renaty, zdenerwowały ją. — Nie chciało mi się ich wyciągać, a ty i tak przecież jesteś w domu.

— A gdyby mnie nie było? — spytała automatycznie.

— A gdzie niby miałabyś być? — odpowiedziała Julka, mijając Renatę, która nie zdążyła zareagować na bezczelne zdanie córki, bo tuż za Julią wśliznęła się dziewczyna, której Renata nigdy wcześniej nie widziała i której wygląd trochę ją zaniepokoił. Różowa grzywka i dwa różowe pasemka mocno zeszpeciły przepiękny, naturalny, prawie biały blond, który tylko nieliczni dostają od Pana Boga. Na wykolczykowane ucho można było przymknąć oko, ale kolczyk w brodzie

u piętnastolatki zaszokował. Dotychczas Julka przedstawiała jej wszystkie swoje koleżanki, z tą jednak od razu zniknęła w swoim pokoju, odganiając Teodora i nie zdejmując nawet butów.

Renata domyśliła się, że miała właśnie przyjemność poznać Wiktorię, która przesłoniła Julce cały świat i wyłączyła myślenie, a przynajmniej wykasowała w mózgu córki wszelkie zasady dobrego wychowania.

Zraniona zachowaniem Julki postanowiła poczekać, aż głód przywiedzie dziewczynę do kuchni. Nie musiała czekać długo, zapach ciasta wabił i sprawiał, że ślinianki pracowały intensywniej, Julia pojawiła się więc w kuchni po dziesięciu minutach.

— Co tak ładnie pachnie? — spytała przymilnym tonem, zupełnie jakby nie było między nimi tej wymiany zdań przy drzwiach.

— Ciasto z kruszonką — odpowiedziała Renata, patrząc na córkę uważnie.

— Ukrój mi dwa kawałki. I zrób dwie herbaty z imbirem.

Renata założyła ręce na piersiach i obserwując córkę z niedowierzaniem, powiedziała:

— Czy wiesz, że w języku polskim istnieje takie słowo jak „proszę”? I w naszym domu jest zazwyczaj używane.

— Ojej, czepiasz się! — fuknęła Julka, a Renata zamrugała, bo przez chwilę nie wiedziała, którą z córek ma przed sobą. Takie teksty dotychczas dostawały jej się od Igi.

— Nie czepiam się, tylko próbuję ci przypomnieć o elementarnych zasadach dobrego wychowania. Poza tym w naszym domu zdejmuje się buty, zwłaszcza jesienią. Chciałam zauważyć, że głównie ja tu sprzątam, i życzyłabym sobie, żebyś szanowała moją pracę.

— Zdejmowanie butów jest nieeleganckie, u Wiktorii w domu nikt tego nie robi.

— Nieleganckie jest to, jak się do mnie odzywasz, a Wiktorii być może ma panią do sprzątanego, której nie przeszkadza, że roznosi się po mieszkaniu błoto. Mnie przeszkadza, więc bardzo cię proszę, zdejmij buty i umyj ręce. Najpierw zjedzcie obiad, koleżankę też poczęstujesz, a ciasto będzie na deser.

Julia wywróciła oczami, ale nastoletni głód był silniejszy niż humory, spytała więc tylko, co na obiad.

— Kurczak w ziołach, pieczone ziemniaczki i szpinak.

Słyszając słowo „szpinak”, Julka skrzywiła się, a potem wyszła z kuchni, informując Renatę, że obiad zjedzą u niej w pokoju, i prosząc, aby ją zawołała, jak będzie gotowy.

Renata westchnęła głośno i pomyślała, że oto zaczyna się nowa era w ich rodzinie i te zmiany niekoniecznie jej się podobają. Cała radość ze zdanego egzaminu uleciała gdzieś przez niedokładnie domknięte drzwi.



— Mówię ci, czuję się tak, jakby ktoś mi dziecko podmienił. — Renata siedziała na swoim ulubionym miejscu na kanapie z nogami podwiniętymi pod siebie i wyżalała się przyjaciółce do słuchawki telefonu. Na stoliku tuż przed nią stała lampka czerwonego wina, a na talerzyku leżały okruszki kruszonki, resztki po cieście, które pozostawiło fioletowy ślad na białej ceramice. — Zupełnie nie poznaję Julki. Sama wiesz, że ona zawsze była takim plasterkiem na każdą ranę i zadrapanie, a teraz kąsa i warczy jak obca istota.

— Renia, Julia staje się już panienką. Jej dojrzewające hormony w końcu musiały dać o sobie znać. Z doświadczenia wiesz, że to przechodzi. — Monika próbowała pocieszyć przyjaciółkę.

— Tu nie chodzi nawet o hormony. — Renata zapatrzyła się na burgundowy płyn w kieliszku. — Mam wrażenie, że Julkę odmieniła ta nowa przyjaciółka, Wiktoria. To nie jest dziewczyna, z jakimi Julia do tej pory się przyjaźniła. Mówię ci, Moniś, jest w niej coś takiego... — Renata próbowała znaleźć odpowiednie słowo — ...mrocznego. Nie jestem zadowolona z tej znajomości.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Renata wiedziała, że Monika słucha jej z uwagą i że analizuje to wszystko, co przed chwilą usłyszała.

— Wiesz, że każda twoja ingerencja w tę znajomość będzie potraktowana przez Julkę jako wtargnięcie w jej prywatność, na której punkcie nastolatki są bardzo uczulone. Cokolwiek powiesz, zostanie ci odkrzyczane potrójnie, a zakazami nic nie zyskasz, możesz jedynie zupełnie stracić jej zaufanie.

— Więc co mam robić? Patrzeć bezradnie, jak Julka farbuje włosy na różowo i funduje sobie kolczyk w brodzie? — Renata poczuła, że jej mała dziewczynka, za jaką wciąż uważała Julię, zdziczała z dnia na dzień jak kot, który wybiera już własne drogi i nie przychodzi nawet po pieszczoty. Zrobiło jej się żal tych lat, które już nie powrócą i które odeszły wraz z dojrzewaniem dziewczynek.

— Porozmawiaj z nią, ale nie wpychaj się z butami tam, gdzie nie będzie chciała cię wpuścić. Obserwuj i reaguj, ale nie strać jej zaufania, bo to twoja jedyna broń, jaką w tej chwili masz. Mówiłaś o tym Staszku?

— Tak, ale sama wiesz, jak reaguje facet. Stawiałby jedynie dziewczyny do pionu, a tak na odległość się nie da. Muszę sobie z tym sama poradzić.

— Poradzisz sobie. Teodora ujarzmiłaś, to i z Julką ci się uda.

Słyszając słowa przyjaciółki, Renata pomyślała, że najbardziej lubi właśnie za ten optymizm i brak czarnowidztwa, które Monice było zupełnie obce.

— Gadamy o Julce, a dzisiaj przecież twój wielki dzień, Renia! — Monika równocześnie ze Staszkiem dostała esemesa informującego o zdany egzaminie przyjaciółki. — Kiedy pierwsza wyprawa do Nałęczowa twoim samochodem?

— Jak tylko odbiorę prawo jazdy. — Renata sięgnęła po lampkę z winem

i upiła łyk. Lekko cierpki smak rozszedł się po języku i podniebieniu, pozostawiając po sobie posmak niecodzienności. — Mówię ci, denerwowałam się bardziej niż na maturze. Do tego ten mało ludzki egzaminator, z którym słowa nie można było zamienić. Koszmar jakiś!

— On nie jest od uprzejmej konwersacji, ale od tego, aby ocenić, czy nie będziesz zagrażać innym kierowcom. Widocznie uznał, że nie jesteś niebezpieczna, więc cię przepuścił. Zobaczysz, Renia, samochód zupełnie odmieni jakość twojego życia.

— Wolałabym, aby nie odmieniał, tylko żeby Staszek był na miejscu — westchnęła ciężko Renata, popijając kolejny łyk wina.

— O tym nie będziemy w tej chwili rozmawiać, bo nie mam ochoty wyciągać cię z kolejnego dołu, do którego wpadasz, wypowiadając imię „Staszek”. Kiedy świętujemy twój zdany egzamin?

— W sobotę? Akurat mam poranną zmianę i wolną niedzielę. — Renata też nie miała ochoty wpadać do kolejnego dołu, który całkiem niedawno zaliczyła, odsunęła więc uzalanie się nad sobą i skupiła na swoim małym sukcesie.

— Okej. Wiesz co, Paweł z chłopakami wybierają się na męski wypad, przyjedź na noc. Zrobimy sobie piżama party i będziemy się zachowywać tak, jak już nie przystoi statecznym matkom i żonom. — W głosie Moniki Renata usłyszała entuzjazm, co oznaczało, że przyjaciółka już się zapaliła do tego pomysłu.

— To znaczy jak? Będziemy tańczyły na rurze? — zapytała z lekkim zaniepokojeniem.

— Na rurze nie, bo nie mam odpowiedniej w domu, ale w ogródku ze strachem na wrony czemu nie?

Renata roześmiała się i po raz nie wiadomo który pomyślała, że zginęłaby bez Moniki i jej przyjaźni. To właśnie ona, ta przyjaźń, która narodziła się jeszcze między młodymi dziewczętami, dawała jej pewność, że cokolwiek by się działo w jej życiu, nie jest z tym sama. I choć miała świadomość tego, że Monika nie przejmie od niej bólu i tęsknoty ani nie naprawi popsutej rzeczywistości, wystarczała jej pewność, że przyjaciółka zawsze wysłucha, wesprze, podpowie albo po prostu przytuli i pomilczy razem z nią, współodczuwając to wszystko, co Renata czuła i czym chciała się podzielić. Wiedziała też, że przyjaźń odlicza się w latach, bo tylko czas weryfikuje to, co najszczerze i wartościowe. To była bliskość, która nie pokrywała się pajęczynowym kurzem, ale z upływem lat smakowała jak najlepsze wino — z pełnym bukietem, niepowtarzalnym aromatem i dojrzałością, której nic nie zastąpi. I choć ona i Monika różniły się, to jednocześnie tą różnorodnością się uzupełniały. Uczestniczyły w swoim życiu bez nieustannego wpychania się poza wyznaczone granice i nie potrzebowały zbędnych słów, aby się zrozumieć. Renata czuła, że przyjaźń to zaufanie i brak lęku oddania siebie drugiemu człowiekowi. Miała również świadomość, że na ruchomych piaskach życia będzie w stanie

oprzeć się o pewny grunt i że nie zatonie, bo pomocna dłoń Moniki będzie wyciągnięta w jej stronę w każdym momencie upadku czy zagrożenia. Dzięki przyjaciółce odkrywała w sobie odłamki tęczy, patrząc na siebie jej oczami. Przyjaciel to anioł, który wchodzi w nasze życie bez szumu i zostaje w nim na długo, rozprostowując przykurczone skrzydła. Takim aniołem była dla niej Monika.



Patrzyły na siebie bez słowa. Błada twarz matki zlewała się z bielą szpitalnej pościeli, wśród której szczupła postać kobiety ginęła. Jej wymęczone oblicze było wygładzone spokojem. Kasia pomyślała, że dawno już jej takiej nie widziała, bez tego uciekającego nerwowo w bok wzroku, bez napięcia, wiecznie obecnego w rysach, które rozmywały się z biegiem lat, zupełnie jak świat oglądany po alkoholu. Kilka dni abstynencji i podawanych leków, które sączyły się do żył Jadwigi przez wenflon kroplówki, sprawiły, że w tej wymęczonej życiem i nałogiem kobiecie Kasia odnalazła ślad swojej mamy, za którą nigdy nie przestała tęsknić.

— Wróciłyście. — Jadwiga podciągnęła się na poduszce, aby lepiej widzieć córkę. — Jak Marlenka? Podobało jej się morze?

— Bardzo. — Kasia próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej tylko grymas przypominający skrzywienie.

— A ty? Odpoczęłaś?

Skinęła głową.

— Odpoczęłam.

Nie umiały ze sobą rozmawiać. Zagubiły gdzieś tę lekkość bycia razem i naturalność rozmowy matki z córką, którą daje więź niebędącą jedynie pokrewieństwem. Tę więź buduje się latami, o czym Kasia, sama będąc matką, doskonale wiedziała. Jej własna matka pogubiła się w ludzkiej słabości i poddała się tak bardzo, że zabrakło tam miejsca na Kasię i jej problemy, których nie chciała rozwiązywać alkoholem. A Jadwiga inaczej nie umiała.

— Kupiłam ci wodę i kilka kolorowych magazynów. — Na białej szpitalnej szafce, na której stał kubek, a obok niego leżała paczka herbatników, Kasia postawiła butelkę niegazowanej wody, a na kołdrze przykrywającej Jadwigę rozłożyła gazety zakupione w osiedlowym kiosku. — Zrobiłam ci też kanapkę z szynką. Nie przynosiłam nic więcej, bo nie wiem, co wolno ci jeść.

— Jestem na diecie cukrzycowej. Kanapkę zjem z chęcią, bo na razie to głównie bezsmakowe papki dostaję.

— Porozmawiam z lekarzem i jutro przed pracą przywiozę ci coś do jedzenia.

Jadwiga skinęła głową i przerzuciła gazety, chcąc zająć czymś drżące ręce i skupić wzrok, który uciekał przed Kasią.

— Jak sobie poradzisz z Marlenką? — w cichym głosie Jadwigi zabrzmiały

nuty autentycznej troski.

„Tak jak zawsze”, chciała odpowiedzieć Kasia, ale powstrzymała się od złości. To nie był właściwy czas na takie rozmowy.

— Pani Sława będzie ją zaprowadzała, kiedy będę szła na pierwszą zmianę, a jak będę miała popołudnia, Marlenka będzie trochę z nią, a trochę z Darkiem.

Jadwiga pokiwała głową uspokojona.

— Jak przyjdiesz jutro, przynieś ze sobą szampon. Umyjesz mi głowę.

— Dobrze.

Lakoniczne zdania, lakoniczne odpowiedzi. Dawno temu naderwana więź, której nie dało się tak łatwo pozszywać, bo zbyt wiele nitek zostało wplecionych i pogubionych.

— Porozmawiam z jakimś lekarzem. — Kasia podniosła się, chcąc przerwać niezręczną ciszę, jaka między nimi zapadła.

— Opiekunem sali jest doktor Jędrzejczak. Młody lekarz, bardzo miły.

Kasia skinęła głową i wyszła. Napotkaną pielęgniarkę zapytała o pokój lekarski. Kobieta wskazała jej drzwi na końcu korytarza i pobiegła do swoich obowiązków, do których przydałaby jej się co najmniej jeszcze jedna para rąk. Kasia podeszła pod wskazane drzwi, zapukała nieśmiało, a potem, nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

— Dzień dobry, szukam doktora Jędrzejczaka.

Pokój, do którego weszła, był pusty, przy jednym tylko biurku siedział lekarz i wpisywał coś w papiery, których dość pokaźny stos leżał przed nim. Na słowa Kasi podniósł głowę i patrzył na nią przed dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

— Słucham panią, w czym mogę pani pomóc?

Jego surowy wyraz twarzy krępował, ale zdecydowany głos budził zaufanie.

— Nazywam się Katarzyna Maciejewska. Jestem córką Jadwigi Maciejewskiej. Wiem, że jest pana pacjentką. Chciałabym się dowiedzieć, jaki jest jej stan.

Przenikliwy wzrok mężczyzny irytował Kasię. Czowała się oceniana przez człowieka, który zupełnie nic o niej nie wiedział. Szare oczy zadawały jej pytania, na które Kasia nie chciała odpowiadać.

— Pacjentka trafiła do nas z ostrym zapaleniem trzustki. W tej chwili robimy wszystko, aby złagodzić ból i zaleczyć stan zapalny, co dodatkowo utrudnia nam cukrzyca. Nie bardzo mogę w tej chwili odpowiedzieć na pani pytanie dotyczące stanu pacjentki, musimy jeszcze wykonać komplet badań, ale musi pani być świadoma tego, że to nie jest grypa ani przeziębienie, z którego można się wyleczyć i po którym po jakimś czasie nie zostaje żaden ślad.

Denerwowała ją jego protekcyjność i ton, jakim przemawia się do idioty, za jakich większość lekarzy miała zaniepokojone i często rozhisteryzowane rodziny pacjentów.

— Po grypie zostają powikłania, a niedoleczone przeziębienie może dopro-

wadzić do zapalenia płuc — odpowiedziała ostro, mając dość tej rozmowy i lekarza, który nawet nie wstał, rozmawiając z nią.

— A nadużywany alkohol prowadzi do nieodwracalnych zmian, z których pacjent już nigdy nie będzie mógł się wyleczyć. — Lekarz odbił piłeczkę, trafiając w czuły punkt Kasi.

— Wydawało mi się, że obowiązuje pana tajemnica lekarska, doktorze. — Chciała już jak najszybciej wyjść z tego gabinetu i znaleźć się jak najdalej od lekarza i jego wzroku, z którym nie umiała sobie poradzić.

— A mnie się wydaje, że to, o czym mówię, nie jest dla pani tajemnicą.

Wyszła, może trochę za głośno zamykając drzwi, których trzask zupełnie nie zdziwił doktora Jędrzejczaka.



Jesienny rytm sklepu wprowadzał pewną powtarzalność, która była stałym odniesieniem po okresach urlopowego rozluźnienia. Stali klienci przychodzili zawsze o tych samych porach, przynosząc ze sobą codzienne problemy i rozterki, których część gubili przy sklepowej ladzie, wracając do domu w nieco lepszych humorach i z nadzieją, którą dostawali wraz z wydawaną resztą. Renata lubiła te rozmowy przy kasie, kiedy zaprzyjaźnieni klienci i zupełnie obcy ludzie przynosili jej skrawki swojego życia, do którego zaglądała przez uchylone przez nich drzwi. Kiedyś przyszła jej nawet do głowy taka myśl, że gdyby potrafiła, napisałaby książkę o tych zwyczajnych ludziach, których niejednokrotnie życie nadzwyczajnie zaskakiwało, przynosząc zdarzenia, z którymi po swojemu musieli sobie radzić, choć nie zawsze byli na to przygotowani. Po porannej rozmowie z panem Antonim uświadomiła sobie również, że człowiek doskonale potrafi dostosować się do każdych warunków, jakie narzuca mu ekonomia, choć czasami rozwiązania są niekonwencjonalne.

Pan Antoni czekał przed drzwiami sklepu jeszcze przed jego otwarciem. Zdumiona Renata zaniepokoiła się nawet, że starszy pan zaczyna tracić pamięć lub źle spojrzął na zegarek, ale jej niepokój natychmiast został rozwiany słowami pana Antoniego.

— Przepraszam, że tak panią poganiam, ale do pracy się spieszę i bułeczkę z jogurtem chciałem kupić. Widziałem przez okno, że dostawczak z piekarni już przyjechał.

W miejsce niepokoju pojawiło się zaskoczenie. Pan Antoni przekroczył już osiemdziesiątkę. Co prawda był dość sprawny fizycznie i jak na swój wiek trzymał się naprawdę nieźle, co zwykle cechowało przedwojenne roczniki, ale żaden pracodawca raczej nie odważyłby się zatrudnić kogoś w jego wieku, chyba że pan Antoni założył własną działalność, co raczej by Renaty nie zdziwiło.

— Do pracy, panie Antoni? Nie dość się już pan w swoim życiu napracował?

— spytała uprzejmie, wpuszczając mężczyznę do sklepu.

— A co tam będę darmo na emeryturze siedział, jak dorobić można — odpowiedział mężczyzna, biorąc koszyk. — Widzi pani, pani Renatko, w kolejki do lekarzy idę. Mam tu nazwiska, o... — z kieszeni marynarki wyjął plik karteczek z zapisanymi nazwiskami, adresem i PESEL-em. — Zgubić tego nie mogę, bo to przecież dokument i ochrona danych osobowych, ale w kartotekach trzymam, bo klientów mam stałych.

Renata nic nie rozumiała z przemowy starszego pana. Pan Antoni widocznie dostrzegł wyraz konsternacji na jej twarzy, bo kontynuował:

— Widzi pani, ja w nocy spać nie mogę i wstaję przed świtem. Dlatego postanowiłem to wykorzystać. Wie pani, jak teraz trudno się do lekarzy dostać? Nawet do rodzinnego o ósmej to już numerków nie ma. Zbieram więc zamówienia na wizytę od wszystkich sąsiadów z osiedla i jadę w kolejkę. Za bilety płacić już nie muszę, na coś mi się te lata przydały, autobusy o tej porze zawsze puste, więc o miejsce z żadnym młodym walczyć nie muszę, i korzyść obopólna — bo ja zarobię i sąsiadom pomogę.

— A opłaca się taki biznes? — spytała zaintrygowana Renata.

— Jeszcze jak, pani Reniu! Jeszcze jak! Pięć złotych od rodzinnego biorę, a siedem od specjalisty. A jak do przychodni przyszpitalnej muszę pojechać, to aż dziesięć złotych się należy. Rozumie pani, ryzyko zawodowe. To w końcu szpital, więc nie wiadomo, jakie cholerstwo można przywlec z powrotem. Nie powiem, stać mnie teraz i na leki, i na codzienny obiad w garmażerze, tej po drugiej stronie, na Wigilijnej. Smacznie tam gotują, choć trochę drogo, ale teraz już nie muszę się tak z każdym groszem liczyć.

„Potrzeba matką wynalazków”, pomyślała Renata. Czasy się zmieniły, potrzeby też, ale kolejkowi zostali, a szara rzeczywistość nie dawała ludziom wyboru.

Powrót Kasi z urlopowego wypoczynku wzbogacił dzień pracy obecnością dziewczyny. Przez ostatnie kilka miesięcy Renata bardzo się z Kasią zżyła. Nie była to jeszcze taka przyjaźń, jaka łączyła Renatę z Moniką, ale relacja między kobietami stawała się coraz głębsza i obie wiedziały, że mogą sobie ufać. Wraz z pojawieniem się Kasi sklep pojaśniał młodością i energią, której dziewczynie nie brakowało, a nowy stażysta często się zamyślał, wpatrzony w Kasię jak w obrazek, i Mela delikatnie musiała mu przypominać o obowiązkach, o których najzwyczajniej w świecie zapominał.

— Wiedziałam, że nie będzie mógł się skupić na pracy, jak zobaczy naszą Kasię. — Mela podeszła do Renaty, stawiając przed nią kubek z zaparzoną kawą.

— Trudno mu się dziwić, brakuje nam młodej kadry. Wszystkie z wyjątkiem Kasi mogłybyśmy być jego matkami, więc nic dziwnego, że rozum mu odjęło, jak ją zobaczył. A jeszcze po urlopie wygląda tak ładnie i zaokrągliła się tu i ówdzie.

Melania westchnęła.

— Kasi z tymi okrągłościami jest bardzo do twarzy, w moim wieku natomiast muszę swoje zaakceptować, bo nic już nie da się z nimi zrobić. Uparcie tkwią na swoim miejscu i nic sobie nie robią z tego, że mi się nie podobają.

— Moja przyjaciółka ma taką filozofię, że trzeba dbać o to, aby w brzuch nie szło, tylko w tyłek. Bo brzuch widać, a tyłka swojego nie, więc nawet jak tam przybędzie, to samopoczucie kobiety na tym nie ucierpi.

Melania obejrzała się za siebie i poklepała po pośladkach.

— Pod tym kątem to nawet mi się podobają.

Renata roześmiała się. Lubiła Melanię i dobrze im się razem pracowało. Razem z Kasią i panią Halinką stworzyły zgrany zespół i czasami Renacie aż trudno było uwierzyć w to, że Mela pracuje tu zaledwie od czterech miesięcy. Uzupełniały się wzajemnie i rozumiały bez słów, pomagając sobie i tak organizując pracę, aby wszystko działało jak w sprawnym mechanizmie. Nie było między nimi żadnych starć czy nieporozumień, a napięcia z klientami starały się rozładowywać żartem, wspierając jedna drugą i motywując dobrym słowem.

— A mnie się wydaje, Reniu, że najważniejsze to polubić siebie taką, jaką jesteś. Nie ma sensu dążyć do ideału, bo po drodze tylko sam siebie człowiek rozczarowuje. Nie warto też stawiać sobie zbyt wysoko poprzeczek, bo zamartwiając się, jak je przeskoczyć, traci się to, co w życiu naprawdę cenne. Przecież w rzeczywistości liczy się to, co nosimy w sobie, a nie powłoka, która jest tylko dodatkiem.

— Ale co zrobić, skoro my, kobiety, jesteśmy estetikami i ta powłoka też ma dla nas znaczenie? — Renata z przyjemnością upiła łyk kawy, która na jakiś czas dodawała energii i umilała monotonię pracy.

— Ależ nie mówię wcale, że mamy się zaniedbać, ale zachować równowagę w dbaniu zarówno o ciało, jak i o ducha. Praca nad sobą to nie tylko siłownia i zdrowa dieta, ale coś dużo głębszego. Zresztą prawdziwe piękno kobiety znajduje się w niej, a nie w tym, co widzi w lustrze.

— Muszę to częściej powtarzać moim dziewczynom, bo póki co lustro jest dla nich najważniejszym odniesieniem.

— Jeśli jest również przyjacielem, to dobrze. Problem pojawia się wtedy, gdy lustro i nasze odbicie w nim staje się wrogiem. Wówczas trzeba wkroczyć z pomocą, bo to tylko krok od anoreksji, bulimii czy innego paskudztwa, które doprowadza do totalnego wyniszczenia własnego „ja” i poczucia własnej wartości. Trzeba trzymać rękę na pulsie, Reniu, i w porę dostrzegać zagrożenie, które wielu rodziców początkowo lekceważy.

Renata pokiwała głową, dopijając kawę.

— Kiedyś czasy były cięższe, ale żyło się prościej — dodała jeszcze Mela i przepuściła klientkę, która podeszła do kasy z wyładowanym koszykiem.

Przesuwając produkty przez czytnik, Renata myślała o Julii. Niepokoiła się

o córkę i nie potrafiła pozbyć się tego dręczącego uczucia, które uwierało i pisało jej w głowie czarne scenariusze. Julia miała piętnaście lat, a w życiu dziewczynki to taki wiek, kiedy definiuje się siebie poprzez akceptację rówieśników. Dotychczas to Julka, która łatwo nawiązywała kontakty, była tą koleżanką w klasie, o której uwagę zabiegały inne dziewczynki. Julka miała charakter swojej babci, mamy Renaty. Była w niej ogromna pogoda i radość życia, chęć pomocy innym i umiejętność łagodzenia konfliktów, co szczególnie sprawdzało się w domowych kłótniach z Igą, która z nastoletniej drażliwości nie wyrosła nawet w wieku osiemnastu lat. Pojawienie się w klasie Wiktorii przewróciło panujący tam porządek do góry nogami, a najgorsze w tym wszystkim było to, że Julia nagle zapragnęła zdobyć sympatię tej dziewczyny za wszelką cenę. Ta cena, według Renaty, była jednak zbyt wysoka, bo Julka gubiła samą siebie i powoli stawała się taka, jaką chciała ją widzieć Wiktoria, o której tak naprawdę niewiele było wiadomo.

— Zaproś tę Wiktorię do was, kiedy będziesz miała wolne popołudnie. Porozmawiaj z nią, tak przy herbatce, popytaj — ale nie prowadź przesłuchania. Pokaż Julce, że szanujesz jej wybory, ale ucz ją czytania między słowami. — Renata przypomniała sobie rozmowę z przyjaciółką w czasie ich wspólnego wieczoru. Monika zawsze miała w pogotowiu koszyczek dobrych rad. Sięgała do niego za każdym razem, gdy ktoś z jej bliskich wpadał w życiowe tarapaty. Analizowała i podpowiadała, nie narzucając swojego zdania. Jako mama dwóch synów z szalonymi pomysłami oraz właścicielka agencji reklamowej stale współpracująca z ludźmi, nauczyła się z nimi rozmawiać, prowadząc dialog i opanowując sztukę kompromisu do perfekcji. Swoim doświadczeniem chętnie dzieliła się z Renatą, nieumiejącą radzić sobie z życiowymi przeszkodami, które dotąd pomagał jej przeskakiwać Staszek. Dzięki Monice stawała się silniejsza nawet w pojedynkę, wiedząc, że z żadnym problemem nie zostanie sama.

Obsługując młodą studentkę, która patrzyła na nią bez wyrazu, Renata postanowiła, że w najbliższą wolną sobotę zaprosi Wiktorię na ciasto drożdżowe, któremu nikt jeszcze się nie oparł i które miało w sobie magiczną moc ukrytą w kruzonce.



Dochodziła dwudziesta pierwsza. Marlenka spała już od dobrych dwudziestu minut, zmęczona pełnym wrażeń dniem w przedszkolu i jesienną pluchą. Melancholia deszczowych miesięcy powoli zaczynała dawać się wszystkim we znaki. Coraz krótsze i zapłakane deszczem dni odbierały optymizm i chociaż na nosie pozostały jeszcze letnie piegi, a na twarzy ślady opalenizny, ludzie nosili gdzieś pod skórą jesienną nostalgię i byli bardziej skłonni do narzekań.

Kasia siedziała w wysprzątanej kuchni i czytała książkę. Nic chciała budzić Marlenki światłem nocnej lampki, dlatego ubrana w ciepły szlafrok frotté, z podku-

lonymi nogami siedziała na kuchennym krześle, sycąc się ciszą uśpionego domu i jego spokojem.

Niecierpliwy dzwonek do drzwi zakłócił ten magiczny czas, sprowadził niepokój i trzepotanie przestraszonego serca.

Kasia podbiegła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Na oświetlonej klatce schodowej stał Darek, dobijając się niecierpliwie.

Westchnęła i bojąc się, aby hałas nie obudził córki, wpuściła chłopaka do środka.

— Musimy porozmawiać — wyrzucił z siebie, ociekając deszczem, którego strużki spływały z wilgotnych włosów i z kurtki chłopaka.

— Akurat teraz chcesz rozmawiać? Marlenka dopiero zasnęła. — Kasia wyczuła zapach alkoholu, który doleciał do niej wraz z wilgocią nocy, którą Darek przyniósł ze sobą.

— Nigdy nie będzie właściwego momentu i będziesz mnie zbywać w nieskończoność. Zrób mi herbaty.

Zrzucił mokrą kurtkę i niedbale powiesił ją na wieszaku, a potem, nie zdejmując nawet zabłoconych butów, wszedł do kuchni i usiadł przy stole. Kasia poczuła, jak po jej ciele przebiegł dreszcz strachu. Pamiętała takie obrazy, jego pijaństwo i rozkazujący ton, któremu się poddawała, chcąc chronić najpierw siebie, a potem córeczkę. Pamiętała te chwile, gdy obchodziła się z nim jak z jajkiem, aby tylko niczym go nie sprowokować. Jej usłużna pamięć podsuwała jej fragmenty, o których uczyła się zapominać, a które jednak, jak niewidoczny kolec kaktusa, tkwiły w niej, wracając piekącym wspomnieniem, kiedy tylko o nie zahaczyła. Bliskość Darka i ich sam na sam w pustym mieszkaniu, jedynie ze śpiącą Marlenką za ścianą, przerażały.

Drżące ręce zajęła przygotowaniem herbaty, czarnej i mocnej. Taką zawsze pijał Darek bez względu na porę dnia.

— Mała musi mieć dom i swoje miejsce — zaczął. Kasia nie przerywała mu. Zalewając herbatę, milczała, czekając na dalsze słowa. — Niedługo pójdzie do szkoły, powinna mieć swój pokój, a nie tak z tobą na kupie.

— Zamierzasz nam kupić mieszkanie? — nie wytrzymała. Zadała to pytanie, stawiając przed chłopakiem herbatę i podsuwając mu cukiernicę.

— Nie, nie kupić, ale wynająć. Oboje pracujemy, stać nas będzie na to, aby je utrzymać. To jest bez sensu, Kaśka. Mała ma matkę i ojca, przejrzyj w końcu na oczy, że nie znajdziesz królewicza z bajki i nigdy nie wyrwiesz się z tego osiedla. Należysz do mnie, jesteś matką mojego dziecka i mamy być rodziną, kapryśna panienko. Nie jesteś nikim lepszym ode mnie.

Zabolało. Zraniły zarówno słowa, jak i ton głosu Darka, który znała bardzo dobrze. Piekło, które przeżyła z tym człowiekiem, wracało, a ona kurczyła się w sobie, bojąc się zrobić cokolwiek, aby to przerwać.

— Wsadziłaś mnie do pierdła na osiemnaście miesięcy, a teraz księżniczkę udajesz? Zabiję każdego twojego gacha, który zbliży się do mojej córki! — stół, w który chłopak uderzył pięścią, jęknął przestraszony.

Kasia skuliła się.

— Obudzisz Marlenkę. Po coś tu przyszedł?

Darek spojrział na nią przekrwionymi oczami.

— Po ciebie. Daj mi się przelecieć, to sobie pójdę.

— Wiesz co, ta rozmowa nie ma sensu. Wrócisz, jak będziesz trzeźwy.

Nie wyczuła zagrożenia i dała się zmylić jego chwiejnemu krokowi, z jakim wstał od stołu. Złapał ją i przycisnął do zlewozmywaka, więżąc pomiędzy rozłożonymi i opartymi o blat rękami. Kasia poczuła jego gorący, śmierdzący alkoholem oddech i spanikowała, poddając się dotykowi, który parzył.

— Co, gorszy jestem od tego w skórze? — wysyczał jej do ucha, jedną ręką próbując pozbyć się grubego szlafroka. — Jemu dawałaś, a mnie nie dasz? — Ręce Darka były coraz nachalniejsze. Kasia poczuła, że zaczyna ją mdlić, kiedy dłoń chłopaka dotknęła jej piersi. Odepchnęła go i próbowała wybiec z kuchni, ale złapał ją za włosy, strącając przy okazji wszystko, co stało na stole. Gorąca herbata rozlała się po podłodze, parząc rękę Darka. Pusty kubek stoczył się ze stołu i roztrzaskał z hukiem, rozpryskując na wiele drobnych kawałków. Stół pod naporem ciała chłopaka przesunął się z jękiem, jakby komentując to, czego był świadkiem.

Kasia czuła, jak jej przerażone serce przyspiesza. Biło tak szybko, jakby chciało wyrwać się i uciec jak najdalej od Darka i całego brudu, jaki wniósł ze sobą. Walczyła z furją, której rozum przesłonił alkohol — bitny wojownik, który dzień później powodował, że resztki człowieczeństwa kuliły się ze wstydu i szukały dla siebie usprawiedliwienia w kolejnej kojącej wysokoprocentowej dawce. Spowolniony film, w którym wbrew sobie znów zagrała główną rolę, przesunął się przed jej oczami, a ona — nie znając scenariusza, chciała przerwać ten spektakl i zbiec ze sceny. Pozorny spokój domu, w którym nigdy nie czuła się bezpiecznie, znów został naruszony i Kasia uświadomiła sobie, że Darek miał rację. Nigdy się stąd nie wyrwie i utknie w tym życiu tak jak jej matka, która nie próbowała się nawet bronić, poddając się biernie, pograżając w depresji i nałogu coraz głębiej.

— Mamusiu, nie mogę spać. — Cichutki głos rozbudzonej dziewczynki i cztery wypowiedziane przez nią słowa stały się kołem ratunkowym, pozwalającym Kasi wypłynąć na powierzchnię. Wyrwała się z żelaznego uścisku, który ranił, i dobiegła do córeczki, szczelnie otulając się szlafrokiem. Kiedy dotknęła ciepłego ciała Marlenki, chwytając córeczkę na ręce, poczuła, że jest uratowana.

Dwie pary oczu patrzyły na Darka, dając mu do zrozumienia, że jest tu intruzem. Szczere niebieskie spojrzenie Marlenki wyrażało zdziwienie jego obecnością, ale też strach spowodowany niezrozumieniem sytuacji i przecuciem zagrożenia. W zielonych oczach Kasi odnalazł pogardę i hardość, której wcześniej w niej nie

było.

Przytomniał powoli, ale jego świadomość podszeptęła mu, że w tym momencie stracił Kaśkę na zawsze, bo nie łączył ich już nawet jej strach.

— Tatuś chciał tylko porozmawiać z mamusią — wychrypiał, a potem chwycił swoją kurtkę leżącą na podłodze i wyszedł, odwracając się jeszcze za siebie i napotykając zimny wzrok kobiety, o której nie potrafił zapomnieć.



Tej nocy Kasia nie mogła spać. Leżała wtulona w ciepłe ciało zwiniętej w kłębek Marlenki i nasłuchiwała niespokojnie kroków na klatce schodowej. Długo usypiała wybudzoną córeczkę, a potem jeszcze, najciszej jak mogła, uprzątnęła kuchenny bałagan, nie chcąc, aby Marlenka dopytywała, co się tam stało. Miała nadzieję, że ze snem pod powiekami nie będzie pamiętała zbyt wyraźnie wydarzeń i obrazów, których stała się świadkiem. I tak wiedziała, że będzie musiała wytłumaczyć się dziecku z rozciętej wargi i sińca na policzku, którego nie ominęła rozwścieczona pięść Darka.

Cała przeszłość Kasi wróciła wraz z tą jedną niezapowiedzianą wizytą. Wyrzucała sobie, że wpuściła go do mieszkania, ale знаła go — wiedząc, że są w domu, nie odpuściłby i zrobił wszystko, aby się dostać do środka. Zmylił ją swoim zachowaniem. Straciła czujność, wierząc, że się zmienił i że dostał od życia lekcję, którą zapamięta. Kochał Marlenkę i starał się być dobrym ojcem, ale nie zmienił tej cechy w swoim charakterze, która kiedyś już go zgubiła — skłonności do alkoholu i przekonania, że zawsze musi mieć to, czego chce. Miesiące odosobnienia nie nauczyły go pokory, wręcz przeciwnie — pielęgnował w sobie zranione męskie ego z obietnicą, że kiedyś upomni się o swoją krzywdę i pokaże Kaśce, gdzie jest jej miejsce.

To była chora miłość, pełna paradoksów. W ich krótkim, ale traumatycznym dla Kasi związku poczucie przynależności było silniejsze niż poszanowanie wolności i odrębności partnera. Darek kochał, raniąc. Utwierdzając się w poczuciu panowania, traktował dziewczynę jak swoją własność. Nie uznawał kompromisów i nie rozumiał, że związek między dwojgiem ludzi to dzielenie wszystkiego na pół, a nie egoistyczne trwanie na stworzonym przez siebie piedestale i czerpanie bez dawania. Brak dojrzałości do odpowiedzialności za rodzinę sprawiał, że życie miało być jedną wielką zabawą i przyjemnością, i tego oczekiwał od Kasi.

Wszystkie miesiące ucieczki przed tamtą sobą — zastraszoną, bierną, z poczuciem krzywdy i żalem do świata — wróciły tej bezsennej nocy, która stała się dla Kasi koszmarem. Całe budowane krok po kroczku poczucie własnej wartości rozsypało się przy Darku jak zamek z suchego piasku. W tym wszystkim jedy-
nym jasnym światłem nadziei była Marlenka, w której tkwiła siła Kasi do walki z demonami przeszłości.



— Darek? — Właściwie Jadwiga nie musiała pytać. Wystarczyło jedno spojrzenie na córkę, aby wiedziała, że przeszłości nie da się tak łatwo zostawić za sobą.

— Nie chcę o tym rozmawiać. — Kasia schowała okulary przeciwsłoneczne do torebki. W szpitalnym pomieszczeniu zniekształcały obraz rzeczywistości, zresztą w nich wzbudzała większe zainteresowanie niż bez nich i od razu przyciągała zaciekawione spojrzenia. W miarę staranny makijaż zamaskował nieco ślady ubiegłej nocy, czujne spojrzenie matki jednak wszystko wychwyciło, a resztę Jadwiga sobie dopowiedziała.

— Co z Marlenką?

Kasia spojrzała na matkę uspokajająco.

— Nic jej nie jest. Odprowadziłam ją do przedszkola, a później zajmie się nią pani Sława. Jak się dzisiaj czujesz?

Jadwiga skrzywiła się.

— Dają mi te kroplówki, więc już tak nie boli. Ale szału dostaję od tego leżenia.

„I od odstawienia”, pomyślała Kasia. Znała to rozdrażnienie matki, kiedy przez parę dni nie mogła się napić, bo za bardzo bolało albo brakowało pieniędzy i chętnych do postawienia choć butelki musującego wina. Nałóg był nieprzewidywalny i dużo silniejszy od człowieka, który choć raz mu się poddał.

— Pytałam, kiedy mnie wypuszczą, ale doktor chce najpierw porozmawiać z tobą. — Jadwiga rzuciła córce szybkie spojrzenie, a potem uciekła wzrokiem gdzieś ponad nią. — Dobrą mam tutaj opiekę — ciągnęła — ale wolałabym już być w domu. Marlenki bym ci przypilnowała, obiad ugotowała. I w domu to jakoś tak inaczej... — westchnęła, opadając z rezygnacją na poduszkę.

— Wyjdiesz już niedługo, najpierw niech cię podleczą, bo na razie jesteś za słaba na cokolwiek. — Kasia podniosła się. — Idę porozmawiać z tym twoim lekarzem, chociaż nie bardzo mam na to ochotę.

— Jest bardzo miły — usłyszała jeszcze za sobą głos Jadwigi i idąc w stronę drzwi, pokręciła z niedowierzaniem głową, bo ona ostatnio odniosła wręcz przeciwnie wrażenie.

Doktor Jędrzejczak, jak poprzednio, siedział przy biurku pochylony nad papierami. Przez chwilę, zanim podniósł wzrok, Kasia mogła mu się dokładniej przyjrzeć. Wyglądał na zmęczonego, o czym świadczyły cienie pod oczami i bladeść widoczna nawet na opalonej twarzy. Był dość młody, gdzieś około trzydziestki, z trochę za długimi, falowanymi włosami w kolorze ciemnego blondu i szarymi oczami, które zwróciły się w stronę Kasi i przez chwilę przyglądały się jej w milczeniu. Kilkudniowy zarost na twarzy mężczyzny utwierdził ją w przekonaniu, że młody lekarz spędza w szpitalu większość swojego czasu, łapiąc dyżury

prawdopodobnie po to, aby mieć z czego spłacać kredyt za mieszkanie.

— A, to pani — odezwał się, kiedy rozpoznał stojącą przy drzwiach kobietę. — Chciałem z panią porozmawiać. Proszę usiąść. — Wskazał dłonią krzesło znajdujące się po drugiej stronie biurka.

Kasia z ulgą zapadła się w miękkość skóropodobnego obicia, odgradzając się od lekarza przestrzenią biurka i monitorem, w cieniu którego próbowała się schować.

— Ostre zapalenie trzustki, tak zwane OZT, rozwija się, gdy dojdzie do zaburzenia równowagi mechanizmów hamujących lub stabilizujących aktywność enzymów w komórkach pęcherzykowych trzustki, co doprowadza do aktywacji enzymów już w obrębie tego narządu. Aktywne enzymy prowadzą do samotrąwienia trzustki i okolicznych tkanek. W wyniku tego procesu znaczna część trzustki może ulec nieodwracalnemu zniszczeniu. Samotrąwienie trzustki wyzwała bardzo silną reakcję zapalną, która może doprowadzić do niewydolności wielonarządowej, obrazem klinicznym przypominającej sepsę. W przebiegu ciężkiej postaci ostrego zapalenia trzustki może dojść do niewydolności układu oddechowego, niewydolności nerek, niewydolności układu krążenia i zaburzeń krzepnięcia krwi. W około dziesięciu procentach przypadków ciężka postać OZT kończy się śmiercią. W osiemdziesięciu procentach przypadków choroba jest następstwem kamicy żółciowej bądź spożycia nadmiernej ilości alkoholu.

— Czy może pan sobie darować te medyczne szczegóły? — odezwała się beznamytnym tonem Kasia, kiedy mężczyzna zamilkł dla podkreślenia istoty wypowiedzianych słów. — Nie jestem lekarzem i niewiele z tego rozumiem.

— Rodziny pacjentów zazwyczaj chcą znać szczegóły, nawet jeżeli niewiele z tego rozumieją.

— Ja jednak poprosiłabym do rzeczy. Moja matka nadużywa alkoholu i nie obiecuję panu, że to się zmieni, jak stąd wyjdzie, bo jest alkoholiczką. Nałóg jest silniejszy niż rozum i żadne pana słowa nie przestraszą jej na tyle, aby się go wyrzekła.

— Dlatego nie rozmawiam z nią, tylko z panią. — Szare spojrzenie zatrzymało się na Kasi dłużej, a ona pod tym palącym wzrokiem poczuła, że wszystko w środku niej zaczyna drżeć i że jeszcze chwila, a rozklei się przed tym impertynenckim lekarzem, robiąc z siebie pośmiewisko.

— Nie mam wpływu na moją matkę i jej wybory. Musiałabym przywiązać ją do kaloryfera albo ubezwłasnowolnić, aby nie sięgnęła po alkohol. Nie zamierzam jednak tego robić, bo to jej życie, za które ja nie ponoszę odpowiedzialności, panie doktorze — dwa ostatnie słowa wypowiedziała tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że ma dość tej rozmowy.

— Nie sądziłem, że jest pani aż tak cyniczna. Czy pani się to podoba, czy nie, to jest pani matka i to właśnie pani powinna wziąć za nią odpowiedzialność,

jeśli ona sama nie jest w stanie tego zrobić.

— Nic pan nie wie o moim życiu i nie ma pan prawa rozmawiać ze mną w ten sposób. — Kasia wstała gwałtownie, strącając przy tym torebkę, która spadła z krzesła i — niedomknięta — wysypała całą swą zawartość, odsłaniając przed doktorem Jędrzejczakiem tajemnice kobiecego świata.

Tego było już za wiele dla Kasi. W pierwszym odruchu schyliła się, chcąc jak najszybciej zebrać rozsypane drobiazgi, poczuła jednak, że jej ciało odmawia posłuszeństwa, a szloch, którego nie mogła już powstrzymać, wyrывa się, wstrząsając spazmatycznie dziewczyną, którą w ciągu jednej doby życie po prostu przerosło. Poddała się mu, przysiadając na podłodze i pozwalając powstrzymywanym dotąd łzom popłynąć, oczyszczając to, co w niej się od wczorajszej nocy nazbierało. Nie przejmowała się zupełnie, że jej staranny makijaż spłynie razem ze łzami, odkrywając to, co tak bardzo chciała ukryć przed wścibskimi spojrzeniami, ani tym, że siedzi na podłodze gabinetu lekarskiego zupełnie bezradna i zagubiona w emocjach, nad którymi nie potrafiła zapanować.

Najpierw poczuła na swoim policzku miękki dotyk papierowej chusteczki, ocierający czarne ślady zupełnie niewodoodpornego tuszu, a potem drgnęła, kiedy ciepłe i delikatne opuszki palców mężczyzny dotknęły sińca pod jej okiem.

— Kto pani to zrobił?

Nie miała siły kłamać, zresztą wcale już nie zależało jej na tym, aby chować się za wstydem wobec tego człowieka, który i tak stał się świadkiem jej upokorzenia.

— Człowiek, który już nigdy więcej się do mnie nie zbliży — odpowiedziała, przytomniejąc. W milczeniu powrzucała byle jak swoje rzeczy do torebki, świadoma tego, że młody lekarz przygląda się jej uważnie. Nie skorzystała z jego pomocnej dłoni, którą wyciągnął w jej stronę. Wstała, wycierając mokrą już chusteczką oczy i wyszła bez słowa, nie oglądając się za siebie.

Doktor Krzysztof Jędrzejczak stał jeszcze przez chwilę nieporuszony i zapałtrzony w miejsce, gdzie przed paroma minutami siedziała Kasia. Zanim usiadł przy swoim biurku, schylił się, aby podnieść złożoną na cztery kartkę z bloku rysunkowego. Kiedy ją rozprostował, zobaczył złożony z krzywych literek napis: Mamusia, a pod nim chudą jak patyk postać kobiety w żółtej sukience, z krótkimi włosami dokładnie w takim samym kolorze jak włosy dziewczyny, która właśnie wyszła z gabinetu. Uśmiechnął się, złożył obrazek i schował do swojej szuflady. Do końca dyżuru nie mógł już jednak skoncentrować się na pracy, widząc wciąż przed oczami rozszlochaną kupkę nieszczęścia, ze śladami pięści drania na policzku.



Październik odwołał wrzesień, przychodząc z kropelkami deszczu, w płaszczu utkany z porannych mgieł, babiego lata i pomarańczowych promieni słońca

przeglądającego się w jesiennych liściach. Na jego ramionach przysiadły ptaki — szary gołąb i wrona szara, czarno-biała sroka i lśniący atramentową czernią kruk. W ręku październik trzymał kosz wypełniony po brzegi dojrzałymi śliwkami, pachnącymi jabłkami, ociekającymi słodkim sokiem gruszkami i kiściami granatowych winogron. Z kieszeni płaszcz wysypywały mu się kasztany, mrugając białym oczkiem i zachęcając do tego, aby schylić się i zamknąć je w dłoni. Małe cuda natury — lśniące i brązowe — wydostawały się jak pisklęta z kolczastych skorupki i uśmiechały do ludzi i do jesieni.

Piękna Pani. Tak o jesieni myślała Emilia. Lubiła tę porę roku i zachwycała się nią. Potrafiła dostrzec piękno tam, gdzie inni widzieli tylko mrok i słotę. Emilia odnajdywała ślady jesieni dookoła siebie i zachwycała się nimi. Uwielbiała spacerować po parku z dywanem szeleszczących liści pod nogami, obserwując sprytne wiewiórki o futerku tak rudym jak włosy Emilii, ściskające laskowe orzechy w małych łapkach jak skarby. Kochała jesiennie astry, które ustawiała w wazonach w swoim mieszkaniu i w galerii, sycąc oczy ich pastelowymi barwami. Październikowe powietrze pachniało wilgotnymi liśćmi i dymem z ogniska, a jesiennie wieczory przynosiły zatrzymanie i refleksję nad życiem i dobrą książką, przy herbacie z malinowym sokiem, przywołującej letnie chwile z całą ich intensywnością, radością i optymizmem.

W pracach Emilii często pojawiał się motyw jesieni, która z jasnych promyków słońca splatała niezwykłą makramę, przeplecioną bielą, a czasem szarością puszystej, chmurzastej przędzy. Otulona płaszczem, z mokrymi śladami mgły na twarzy i koralikami czerwonej jarzębiny we włosach, Piękna Pani kroczyła przez Lublin, wplatając w ludzkie serca jasne, słoneczne światło, aby mieli się czym ogrzewać, gdy zabraknie ciepła na zewnątrz. Jesienią w galerii Emilii można było zobaczyć poustawiane na małym antycznym stoliku, zamknięte w słoikach jesiennie kolory: marynowaną dynię o radosnej, pomarańczowej barwie, zesmażone jabłka i konfitury śliwkowe, a nawet pigwę, która dodana do herbaty wzmacniała odporność i odbijała się złotym, jesiennym uśmiechem od dna szklanki. Zasuszone bukiety liści, z których formowała wielobarwne różyczki, przechowywały na długo wspomnienia złotych dni, a rozsypane po kątach kasztany snuły jesiennie opowieści, w które Emilia lubiła się zasluchiwać. W chłodne miesiące Emilia robiła wszystko, aby jej Galeria na Złotej była miejscem, które ogrzewa i do którego chce się często zaglądać.

Dziś też całe pomieszczenie pachniało drożdżowym ciastem z kruszonką, które stało na stoliku, tuż obok wabiących kolorami przetworów, i wypełniało słodkim zapachem całą galerię.

Jasne promienie październikowego słońca zaglądały ciekawie przez drzwi, skuszone kruszonką, której Emilia nie pożałowała, obsypując nią obficie śliwkowy wierzch. W takie dni jak dzisiaj czuła, że życie szykuje dla niej jakiś prezent, musi

się tylko dokładnie przyglądać, aby go nie przeoczyć. Nie była więc zaskoczona, gdy usłyszała delikatne dzwoneczki, sygnalizujące gościa. Odwróciła się, przyłapaną na układaniu w wazonie świeżych astrów, a jej wzrok napotkał zaciekawione spojrzenie eleganckiej kobiety, która weszła niepewnie do środka, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Emilia zwróciła uwagę na jasny, rozkloszowany tuż za kolanami płaszcz, beżowy kapelusz i rękawiczki w takim samym kolorze. Lubiła kobiety w kapeluszach i dziwiła się bardzo, że współczesne Polki zupełnie o nich zapomniały. Sama miała dość pokaźną kolekcję, do której każdej jesieni i lata dołączał nowy nabytek, bo Emilia nie potrafiła się oprzeć kapeluszom. Po prostu tak miała i już!

Starsza kobieta, stojąca naprzeciwko niej, też wyglądała na ich wielbicielek i Emilia bezwiednie uśmiechnęła się do niej promiennie, komunikując, że jest tu mile widziana.

— Dzień dobry, czy mogłabym w czymś pani pomóc? — spytała uprzejmie, nie spuszczać z kobiety swoich kocich oczu.

— Dzień dobry — odpowiedziała elegancka dama. Miała miły, przyjemny dla ucha głos i starannie dobierała wypowiedzane słowa. — Nazywam się Narcyza Rembiszewska, ale prawdopodobnie moje nazwisko niewiele pani powie. Jakiś czas temu mój przyjaciel kupił tu u pani obraz. Podarował go mnie i mojemu mężowi na naszą pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

Emilia pokiwała głową ze zrozumieniem.

— January Strzębosz, dobrze pamiętam? — wymawiając imię mężczyzny, poczuła przyjemne ciepło, jakie powoduje wypowiedziane na głos imię kogoś, kogo bardzo lubimy.

— Dokładnie tak — przytaknęła Narcyza. — Widzi pani, ten obraz tak mi się podoba, że przyszedłam, aby osobiście poznać tak utalentowaną artystkę, jaką jest pani, pani Emilio.

Nieprzywykła do komplementów Emilia lekko się zarumieniła.

— Bardzo się cieszę, że prezent się spodobał. W każdą swoją pracę staram się włożyć kawałek swojego serca, jest mi więc ogromnie miło, jeśli ktoś potrafi to docenić.

— Nie tylko docenić, ale i zachwycić się tym, pani Emilio. — Narcyza rozpięła guziki płaszcza, czując przyjemne uczucie ciepła bijącego od tego magicznego miejsca. — Ma pani ogromny talent. Jestem pod wrażeniem. Czy mogłabym się rozejrzeć? — Kobieta wskazała dłonią na podświetlone ledowymi lampkami obrazy na ścianach.

— Ależ oczywiście. Proszę się rozglądać do woli, mam tylko propozycję. Wezmę od pani ten płaszcz i zaparzę herbatę. Moje ciasto drożdżowe jest tutaj nieprzypadkowo — uśmiechnęła się, zjednując sobie całkowicie Narcyzę Rembiszewską, która bez wahania zrzuciła z siebie płaszcz, oddając go Emilii, i zajęła się

podziwianiem obrazów.

Emilia przyglądała się jej ukradkiem, przygotowując filiżanki i talerzyki. Kobieta przechodziła od jednego obrazu do drugiego, patrząc z zaciekawieniem. Przy niektórych zatrzymywała się na dłużej i wpatrywała w nie tak, jakby za chwilę chciała wejść do środka.

Emilia wyłożyła ciasto na małe, porcelanowe talerzyki, przy których ustawiła kruche filiżanki, każdą z innego kompletu. W dzbanku z podgrzewaczem zaparzyła zieloną herbatę, dając jej czas, aby nabrała odpowiedniej mocy.

— Szukam czegoś odpowiedniego do mojej sypialni. Pani obraz powiesiłam w salonie. Doskonale tam pasuje i przywołuje wspomnienia z młodości. Moja mama pięknie grała na pianinie. Muzyka była jej pasją. Pomimo trudnych czasów, w jakich przyszło jej żyć, zawsze była damą. Tego się od niej nauczyłam. — Narcyza uśmiechnęła się bardziej do swoich wspomnień niż do Emilii. — Niestety, do gry na pianinie zabrakło mi talentu i dobrego słuchu. Coś tam pogrywam i odtwarzam, ale grać nie potrafię.

— Ale ma pani inne talenty i bogactwo osobowości, które z wielką przyjemnością w pani odkrywam. Zapraszam na wzmacniającą herbatę i kawałek jesiennej słodkości, a potem wybierzemy dla pani coś odpowiedniego.

Narcyza zdjęła kapelusz i położyła go na biurku, a potem, poprawiając włosy zebrane w koczek, usiadła przy stoliku i popatrzyła na Emilię uważnie.

— Ma pani coś takiego w sobie, Emilio, że z człowieka wydobywa się to, co najlepsze.

Emilia machnęła ręką i roześmiała się dziewczęco. W tym śmiechu Narcyza wyłapała fragmenty czasów, które przeminęły, utrwalone jedynie w ludzkiej pamięci i na fotografiach.

— Mówię poważnie. Przyszłam tutaj, bo przez jakiś czas podejrzewałam, że jest pani czarownicą.

— A to ciekawe. — Emilia, czyniąc honory gospodyni, nalała słomkowy herbaciany płyn do filiżanek. — Mówią o mnie „wariatka”, ale „czarownica” jeszcze nie słyszałam.

— Ma pani w sobie dar odczarowywania złych uroków. Samą swoją osobą skłania pani do przebudzenia. Dotknęła pani skorupy Januarego, który pozwolił na to, aby popękała i zaczęła się kruszyć. Widzi pani, znamy Januarego ponad czterdzieści lat. Jest serdecznym przyjacielem moim i mojego męża. Jego żona, Terenia, zmarła dwanaście lat temu. January długo nie mógł się z tym pogodzić. Kilka lat temu, widząc, jak doskwiera mu samotność, zaczęliśmy delikatnie dotykać bólu, w jaki się zakopał. Nikomu jednak na to nie pozwolił, stawiając nam granice. Uszanowaliśmy je, nie chcąc stracić przyjaciela. Kiedy przyszedł do nas z pani obrazem i zaczął opowiadać o tej galerii i o pani, w jego oczach dostrzegłam coś, czego od dawna już tam nie było. Przebudzenie. — Narcyza patrzyła prosto w zielone oczy

Emilii, szukając w niej tego, co tak mocno dotknęło Januarego. — Obudziła go pani, Emilio. Obudziła go pani do życia, które toczyło się gdzieś obok niego. Nie wiem, w jaki sposób to się dokonało, ale dzięki wizycie tutaj dostrzegł, że jesień ma kolory, a świat nadal jest piękny, mimo że tylu bliskich osób już na nim nie ma. Przyszłam tutaj po to, aby panią poznać i powiedzieć, że dokonała pani małego cudu przemiany uśpionego serca.

Emilia milczała. Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Słowa Narcyzy zaskoczyły ją. Wiele razy słyszała, że ma w sobie coś, co uspokaja i koi, ale po raz pierwszy usłyszała o przebudzeniu. Co więcej, to przebudzenie dokonało się również w niej, ale o tym nie zamierzała mówić nikomu.

— A ja myślę, pani Narcyzo, że to nie ja, tylko to magiczne miejsce, którego część pan notariusz zabrał ze sobą razem z obrazem.

— Być może — Narcyza pokiwała głową, sięgając po talerzyk z ciastem. — Ale ja i tak swoje wiem.

Emilia uśmiechnęła się tajemniczo i wstała, zostawiając zajętą drożdżowym plackiem kobietę. Podeszła do jednego z obrazów, zdjęła go ze ściany i pokazała Narcyzie.

— Aleja Bukowa w parku Podworskim w Świerżach. Soczyste kolory wiosny, z energetyzującym słońcem wplecionym między konary.

Narcyza przyglądała się widokowi parku i wysadzonej bukami alei z przy-mrużonymi oczami. Emilia czekała.

— Dlaczego ten? — zapytała kobieta. W tonie jej głosu Emilia wyczuła zaciekawienie.

— Bo mnie zawołał. Myślę, że chce, aby pani zabrała go ze sobą.

— To niesamowite... — zaczęła Narcyza i urwała, jakby sama zaskoczona tym, co jej przyszło do głowy. — Ten obraz do mnie „mówił”, kiedy się rozglądałam. Ta aleja... Patrząc na nią, czuję, że idę w głąb tego parku, którego granice wytycza... rzeka?

Emilia pokiwała głową.

— Bug. A za nim przepiękna Ukraina. Poczula go pani. Naprawdę go pani poczuła.

Narcyza pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Jest pani czarownicą, Emilio. Prawdziwą czarownicą.

— Ja tylko czuję ludzi, nic więcej.

Narcyza dokończyła ciasto i łyżeczką zebrała okruszki kruszonki, które zostały na talerzyku.

— Niebo w kruszonce — zamruczała, czując w ustach smak dzieciństwa i uchwyconego w dłonie szczęścia, którym aż miała się ochotę dzielić. — Świerże, mówi pani? — wskazała na obraz.

— Mała nadbużańska wioska, niedaleko Dorohuska. Miejsce na ziemi, które

niewątpliwie warto zobaczyć i poznać jego historię.

— Myśli pani, że szum tych buków będzie mnie budził każdego dnia? — spytała przekornie Narcyza, a Emilia odpowiedziała bez cienia wątpliwości:

— Jestem tego pewna.

Narcyza przymknęła oczy i wszystkimi zmysłami przywołała smak kruszonki na języku. Ta galeria, Emilia i kawałek nieba, który jej podarowała w zwykłym kawałku ciasta, zadziałały jak wehikuł czasu przenoszący do przeszłości, która w pamięci Narcyzy pozostała nienaruszona, pomimo kolorów sepii, w jakich została utrwalona.

Przyszła tutaj z czystej ciekawości, wychodziła z czymś więcej niż tylko spotkanie i mile spędzone przedpołudnie. Wynosiła ze sobą mały fragment duszy Emilii zamknięty w jej pracy i obietnicę znajomości, która miała moc leczenia niezagojonych ran i przywracania przeszłości, za którą Narcyza tęskniła. Podarowane jej niebo w kruszonce zamknęła w pamięci serca, z zamiarem sięgania tam zawsze wtedy, gdy życie dokuczy zbyt mocno.

Rozdział jedenasty

OT, TAKIE ŻYCIE

Patrzyły na siebie jak dwie istoty z różnych planet. Renata, za namową Moniki, postarała się wyglądać i zachowywać na luzie. O ile z wyglądem nie był to problem, bo wystarczyło, że włożyła na siebie dzinsy i podkoszulek z popularnego młodzieżowego sklepu, o tyle z wyluzowaniem w ogóle miała sporo problemów. Obojętny wzrok Wiktorii, z którego niewiele mogła wyczytać, sprawiał, że Renata straciła całą pewność siebie i zwątpiła w sens tego spotkania rozpoznawczego. Postanowiła jednak stanąć na wysokości zadania i zrobić wszystko, aby nakłonić przyjaciółkę Julki do rozmowy, z której czegoś chciała się o tej dziewczynie dowiedzieć, bo tylko w taki sposób mogła chronić swoją córkę. Poznając i działając rozsądnie. Obserwując i reagując, bez wkraczania z zakazami w prywatność wiecznie rozdrażnionej nastolatki.

Dlatego zaprosiła młodą damę na domowy obiad, na który przygotowała gotowaną na parze pierś z kurczaka podaną z opieczonymi ziemniaczkami i surówkę z kapusty pekińskiej, którą Julia uwielbiała.

Wiktorija jadła w milczeniu, rozglądając się po dużym pokoju ich mieszkania w taki sposób, że Renata miała wrażenie, iż wzrok dziewczyny prześwietla nawet zawartość zamkniętych szafek. Nie było to miłe, ale postanowiła zignorować wszystkie złe myśli cisnące się do głowy i wychowawcze słowa na temat zachowania u kogoś w domu.

Dzisiejszy wygląd dziewczyny zupełnie zaskoczył Renatę. Spodziewała się młodzieżowego wampa, a miała przed sobą niemalże pensjonarkę, w białej koronkowej bluzce i szarej princesce, z warkoczykami, w które zostały wplecione różowe pasemka i praktycznie bez makijażu, z wyjątkiem czarnej kreski nad okiem pociągniętej eye-linerem. Nawet w uszach zostały tylko po trzy kolczyki, i gdyby nie różowa grzywka i ten nieszczęsny kolczyk w brodzie, Renata miałaby wątpliwości, czy nie za surowo ostatnim razem oceniła koleżankę Julii.

— Julia mówiła, że przeprowadziliście się tutaj z Warszawy. Ciężko chyba było zmienić szkołę rok przed końcem gimnazjum? — Renata niby mimochodem, między jednym kęsem a drugim, rzuciła nad stołem to zaczepne pytanie, łapiąc zirytowane spojrzenie córki z tych w stylu: „Mogłabyś sobie darować!”.

— Każde doświadczenie uczy czegoś nowego — filozoficznie odpowiedziała Wiktorija, dobierając każde słowo ze starannością. — Jestem jeszcze w takim wieku, że każda zmiana wychodzi na dobre. Dzięki temu poznaję nowych ludzi oraz nowe miejsca i mam możliwość rozwijać siebie, a to jest bezcenne.

Renata musiała przyznać, że ma przed sobą godnego przeciwnika.

— Często się tak przeprowadzacie? — ciekawość była silniejsza niż dobre

wychowanie, na które kobieta machnęła ręką.

— Mój tata ma firmę deweloperską. Warunki życia dyktuje nam rynek zbytu. Jedziemy tam, gdzie jest praca.

— A mama? Może tak zmieniać pracę bez problemu?

— Mama jest złotym dyrektorem w firmie kosmetycznej Home Selling. Nowe miejsce to dla niej nowi klienci i nowe wyzwania. Tak przy okazji, pani też przydałaby się zmiana kosmetyków, ma pani bardzo zmęczoną i zaniedbaną cerę. Koniecznie musi się pani umówić z moją mamą na niezobowiązujące spotkanie. Dowie się pani wszystkiego o pielęgnacji cery u kobiet dojrzałych.

Renata z trudem przełknęła kawałek kurczaka, który niemal utknął jej w gardle po skończonej wypowiedzi Wiktorii.

— Super! — wykrzyknęła siedząca dotąd cicho Julka. — Mama uwielbia nowinki kosmetyczne, a wiadomo, że cera po jakimś czasie przyzwyczaja się do kremów i przestaje z nich czerpać to, co najlepsze, więc będzie bardzo wdzięczna twojej mamie za taką prezentację.

Renata patrzyła na córkę z żądzą mordy w oczach.

— Julia, jeśli zjadłyście, proszę pozbierać talerze ze stołu, a ja przygotuję deser. — Podniosła się, zostawiając niedokończony obiad, do którego Teodor już machał przyjaźnie ogonem.

Potrzebowała chwili samotności, aby ochłonąć. Co prawda kosmetyczkę odwiedziła może dwa razy w życiu, ale nie uważała się za kobietę zaniedbaną, jaką się poczuła, patrząc na siebie oczami Wiktorii. Musiała przyznać, że to dziewczę miało tupet i pokonało ją już w pierwszej rundzie.

Siedziałyby tak pewnie w swojej kuchni, gdzie czuła się bezpiecznie, i zastanawiała, czy w ogóle powinna z niej wychodzić, gdyby nie dzwonek do drzwi, za którymi stała uśmiechnięta Monika z papierowymi torbami w obu rękach.

— Przybyłam z odsieczą, sądząc, że możesz potrzebować posiłków — szepnęła Renacie, całując ją w policzek, a głośno powiedziała: — Wracam właśnie z shoppingu i jak zawsze nie mogłam się powstrzymać i po prostu musiałam kupić dziewczynom kilka fajnych rzeczy.

Renata pokręciła głową, wyrażając spojrzeniem tyle wdzięczności, że przyjaciółka zrozumiała wszystko.

— Igi nie ma, umówiła się ze znajomymi, ale Julka oszaleje ze szczęścia. Tak sędzę — dodała, bo sama już nie była pewna, czy Julka jest jeszcze Julką, czy zupełnie nieznaną jej nastolatką, która nagle z nimi zamieszkała.

Monika poprawiła zmierzwiłone wiatrem włosy, powiesiła skórzaną kurtkę na wieszaku, pogłaskała Teodora, który wachlował swoim ogonem, dając do zrozumienia: „Pamiętam cię!”, i pewnym krokiem weszła do pokoju, w którym dwie piętnastolatki doskonale się czuły w swoim własnym towarzystwie.

Renata patrzyła na przyjaciółkę i jej łatwość nawiązywania kontaktów

z zazdrością. Ona sama nie potrafiła tak swobodnie rozmawiać z obcymi ludźmi, pomimo pracy, jaką wykonywała, i nieustannego kontaktu z klientem. Umiała być miła i potrafiła słuchać, ale nie miała takiego daru jak Monika, dla której podjęcie rozmowy z zupełnie obcym człowiekiem było jak bułka z masłem. Teraz też, nie wiadomo kiedy, wkręciła Wiktorię w dialog, z którego Renata dowiedziała się dużo więcej niż w czasie przesłuchania, które prowadziła przy obiedzie.

— Uwielbiam muzykę i kulturę japońską. Zaczęło się od pokemonów, które oglądałam po angielsku, a potem tak mnie wciągnęło, że zaczęłam się uczyć japońskiego i szukać znajomych po tamtej stronie świata. To jest zupełnie inne życie i inni ludzie, a ich zespoły nie mają sobie równych. Może i są niekiedy kontrowersyjni, ale na scenie robią taki show, że aż trudno w to uwierzyć.

Wiktorcia paplała jak najęta, podpuszczana zachęcającymi pytaniami Moniki, a Renata, która tymczasem podała deser, wyjątkowo zezwalając Julii na coca-colę, była zdumiona tym, jak wiele się dowiedziała, nie mając w tym zupełnie żadnego udziału.

— Wiktorcia, ciociu, ma wiele pasji — wtrąciła Julia, chcąc zwrócić uwagę ulubionej ciotki na to, że ona też znajduje się w tym pokoju. — Prowadzi bloga mody i zamierza w niedalekiej przyszłości stworzyć własną kolekcję ubrań młodzieżowych.

— O linii kosmetyków dla nastolatek też już myślałam — dodała nieskromnie Wiktorcia, dla której towarzystwo Moniki było o wiele ciekawsze niż spiętej Renaty.

— Chciałam tylko wtrącić, że pasje pasjami, ale w tym roku macie egzaminy gimnazjalne, które same się nie napiszą, bo z próżnego to nawet Salomon nie należy. — Renata nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości.

— Mamo! Jesteś potwornie nudna z tą nauką! — sarknęła Julka. — Inteligentni ludzie nie potrzebują siedzieć nad książkami, bo w życiu taka książkowa wiedza nie na wiele się przyda. Teraz liczy się kreatywność i pomysł na siebie.

— Jasne — odpowiedziała Renata tekstem i tonem Igi, rozdrażniając tym Julkę jeszcze bardziej.

Dobrze, że Monika czuwała tuż obok, kończąc dyskusję i prosząc o kawę, na którą obie kobiety przeniosły się do kuchni.

— Powiem ci, że jestem pod wrażeniem — powiedziała Monika, gdy Julka i Wiktorcia, zmęczone towarzystwem dorosłych, zabrały Teodora na spacer, uprzedzając, że nie wrócą prędko.

— Proszę cię, ciebie też zaczarowała? — jęknęła Renata, stawiając przed Moniką jej ulubioną filiżankę z parującą kawą i ciasto jogurtowe, które specjalnie upiekła z myślą o wiecznie odchudzających się nastolatkach.

— Nie w takim sensie jak myślisz, ale sama przyznaj, jest ciekawa. I sprytna. Obserwuje i analizuje. Wie, z kim i na co może sobie pozwolić, i potrafi to wyko-

rzystać. Ciężki przypadek, Renia. Julka jest pod jej ogromnym wpływem i w tej chwili niewiele da się zrobić.

— To co, mam czekać?

— Julka nie zgłupieje. — Monika włożyła do buzi łyżeczkę z ciastem i zamlaskała z rozkoszą. — Uwielbiam ten twój sernik bez sera. Mnie taki dobry nie wychodzi.

— Bo w tobie jest za dużo energii, a ciasto potrzebuje cierpliwości i szczypty miłości. Mam więc odpuścić z Julką?

Monika pokręciła głową, przełykając.

— Nie odpuścić, tylko czekać na odpowiedni moment. Wiktoria to egzotyczny ptak i w tej chwili Julię to fascynuje, ale na dłuższą metę zmęczy się, bo przy tej dziewczynie każdy musi pozostać w cieniu. Taki typ, narcystyczny i potrzebujący nieustannej adoracji. A Julka ma charakter przywódcy i długo tak nie wytrzyma, zaufaj mi.

— Obyś miała rację — westchnęła Renata, podpierając głowę rękami. Nie miała pojęcia, jak o to zapytać, ale wiedziała, że musi, bo nie da jej to spokoju, wierzyła też, że przyjaciółka będzie z nią szczerą.

— Słuchaj, Moni, czy ty uważasz, że jestem zaniedbana?

— Ale w jakim sensie? — Monika zamarła, z łyżeczką ciasta zawieszoną w powietrzu.

— No tak ogólnie — sprecyzowała Renata.

— Tak ogólnie to mąż cię zaniedbał, bo wyjechał, ale całkiem nieźle sobie radzisz, nawet prawo jazdy zrobiłaś i naprawdę cię za to podziwiam.

— A tak... no wiesz, kondycyjnie? — Renata zamachała rękami przed twarzą i wciągnęła brzuch, chcąc wypaść przed Moniką jak najlepiej.

— Tak kondycyjnie to całkiem nieźle się trzymasz jak na swoje czterdzieści trzy lata, i powiem, że nie wyglądasz na tyle.

— Wiktoria mi powiedziała, że mam zmęczoną i zaniedbaną cerę.

Monika nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

— No wiesz, kosmetyczkę to mogłabyś sobie zafundować, choćby dla relaksu, i może zmienić krem Bambino na nieco dojrzałszy, ale poza tym wszystko jest z tobą okej.

— Mówisz poważnie, czy mnie pocieszasz? — spytała smętnie, popijając kawę, która już nieco ostygła.

— Pocieszać to ja cię będę po kolejnym wyjeździe Staszka, teraz cię wspieram jako przyjaciółka, ale nie koloryzuję. Trzymasz się nieźle, a na zmęczoną masz prawo wyglądać zarówno ty, jak i twoja cera, bo za dużo ostatnio sama niesiesz na swoich barkach.

— Kocham cię, wiesz? — Renata posłała Monice najładniejszy uśmiech, jaki w stanie przygnębienia, w którym się znajdowała, mogła przywołać na twarz.

— Wiem. A ja kocham twoje ciasta, którym nie mogę się oprzeć. A Wiktoria tak bardzo się nie przejmuj. Będziemy obie walczyć o Julkę.

Przyjaźń Moniki była niezawodna i Renata pomyślała sobie, że obu swoim córkom życzyłaby, aby trafiły w życiu na swoją Monikę, która poda im dłoń zawsze wtedy, gdy los podstawia im złośliwie nogę.



Tegoroczna jesień postanowiła być nieco melancholijna i żałośnie zapłakana. Duże krople deszczu spadały na ziemię, tworząc na chodnikach i ulicach prywatne morza i oceany, niedocenione przez nikogo. Ludzie omijali je ostrożnie, przemykając w pośpiechu pod rozłożonymi parasolami, a przejeżdżające samochody rozpryskiwały zanieczyszczone błotem, kałużowe jeziora, zostawiając na przechodniach brunatne krople. Świat przywdział szarą szatę zwyczajności, a deszcz swoją miarową melodią usypiał i rozleniwił. Irytował, skłaniając do narzekań.

Melancholia przysiadła na parapecie, obok znudzonego i zmokniętego gołębia, i podparła lekko zasmuconą twarz na ramionach, którymi obejmowała podciągnięte kolana. Powietrze pachniało wilgocią liści, a w przejrzystych kroplach deszczu odbijało się melancholijne spojrzenie. Przemykający między kałużami ludzie zamyślali się nad życiem, które zwalniało. Deszczowe godziny płynęły leniwie jedna za drugą, wkomponowane w rytmiczną kaskadę spadającej mokrej zasłony, za którą ukryły się jasne niteczki złotej jesieni.

Emilia szła przez zalaną łzami jesieni, wybrukowaną ulicę Starego Miasta. Ukryta pod żółtym parasolem zmierzała do biblioteki, w której umówiła się na spotkanie przy kawie z Anną Rafalską, kierowniczką filii na Starym Mieście. Jesień to doskonały czas na wieczorki poetyckie, wernisaże i spotkania autorskie, którym patronowały biblioteki, stające się czymś więcej niż wypożyczalnią książek. Współczesna biblioteka to miejsce spotkania człowieka z człowiekiem, obdarowujące ciepłem, przyciągające tych, którzy pragnęli dotknąć sztuki oraz wyjść ze swojej samotności, aby dzielić się doświadczeniem i czerpać od tych, którzy mieli coś do zaoferowania.

Pani Anna zaproponowała Emilii wernisaż połączony z jesienną opowieścią autorki obrazów. Zaczarowany wieczór odczarowujący jesień. Pomysł, który Emilia od razu „kupiła”, ciesząc się na spotkanie z ludźmi ciekawymi życia.

Weszła do biblioteki, której urok poczuła od pierwszej tutaj wizyty, gdy przyszła w poszukiwaniu książki, której nigdzie nie mogła znaleźć. Od wejścia powitał ją ogrzewający uśmiech pani Agnieszki, zajętej katalogowaniem nowości.

— Dzień dobry, pani Emilio!

— Dzień dobry, pani Agnieszko. Przyszło coś ciekawego? — spojrzała dyskretnie na stos książek, które sprawnie przechodziły przez ręce młodej kobiety.

— Mamy najnowszą powieść Moniki Anny Oleksa! Odłożę dla pani, jak

tylko same przeczytamy. Jest też nowa Joanna Maria Chmielewska i w końcu dotarła do nas Hanna Kowalewska. Podobno jak zawsze rewelacyjna!

— Jesień sprzyja czytaniu, więc już się cieszę! Pani Ania u siebie?

Młoda kobieta skinęła głową.

— Pani kierownik czeka na panią. Specjalnie po ciasto do Mandragory biegła.

Emilia uśmiechnęła się i przeszła przez kolejne pomieszczenie, zmierzając do pokoju, który zajmowała Anna Rafalska.

W pomieszczeniu poczuła zapach parzonej kawy, którym otuliła się jak zwiewnym szalem. Lubiła tę bibliotekę w starej zabytkowej kamienicy, do której ściągali ludzie zmęczeni swoją samotnością. Wiedziała, że jej obrazy doskonale się tutaj wkomponują, dając każdemu, kto zechce się im przyjrzeć, chwilę refleksji i małą podróż w czasie i przestrzeni. Właśnie takiego uczucia sama doświadczyła, przychodząc tu w czerwcu na spotkanie poetyckie z Gabrielą Kotas, której tomikiem *Pogodna dojrzałość* Emilia się zachwyciła. Chłonoła te pogodne, nienapruszone i proste wiersze, które kołysły i w krótkich wersach zamykały mądrość, jakiej ludzie poszukiwali latami. Wracała do nich wieczorami, trzymając mały tomik przy łóżku i sięgając po niego wtedy, gdy chciała z kimś porozmawiać. *Pogodna dojrzałość* to był obraz duszy Emilii, który autorka wierszy uchwyciła i opisała prostymi słowami.

— Nie wiem, czy pani słyszała, pani Emilio, ale Gabrysia wydała nowy tomik. — Pani Ania, czyniąc honory gospodyni, naleła kawy do białych filiżanek i jedną z nich postawiła przed swoim gościem. — *Uśmiech codzienności*. Czyta się równie refleksyjnie jak poprzedni. Myślę, że na wiosnę zrobimy tu u nas kolejne spotkanie z panią Gabrysią.

— Te wasze spotkania... — Emilia spojrzała na Annę z rozmarzonym uśmiechem. — Dociera pani do tyłu ciekawych ludzi i przygotowuje te wieczory i popołudnia z takim smakiem, że potem długo nie mogę wrócić do szarej codzienności.

— To chyba dobrze, że chcemy podarować ludziom coś innego. Taki odłamek tęczy w świecie pozbawionym kolorów. Szkoda tylko, że tak mało mieszkańców to docenia. — Pani Ania westchnęła.

— Ludzie teraz zamykają się w swoich domach i stronią od drugiego człowieka. A jeśli się spotykają, to jedynie po to, aby się rozerwać, prosto i tak, aby nie trzeba było w to wkładać intelektualnego wysiłku. — W głosie Emilii pobrzmiwał smutek.

— Na szczęście nie wszyscy są tacy, a ci, którym się chce, wynoszą coś bezcennego — emocje, refleksję, ciepło i dobro, którym nasi artyści chętnie się dzielą.

Spędziły godzinę na wymianie myśli. Takie rozmowy bardzo ubogacały. Emilia wracała do galerii zbudowana spotkaniem i ciekawą rozmową. Tutaj, na

Starym Mieście, czuła się bardziej u siebie niż we własnym domu. Tutaj mogła być sobą i nikt nie nazywał jej „wariatką” — może jedynie „czarownicą”.

Uśmiechnęła się na wspomnienie Narcyzy Rembiszewskiej. Ten uśmiech, odbity w kropli deszczu, dotarł do mężczyzny czekającego na nią przed galerią. Jego spojrzenie spowodowało, że zawstydzona Emilia opuściła głowę, szukając w kieszeni płaszczka kluczy.

— Doszedłem do wniosku, że komunikat „Zaraz wracam” jest wiarygodny, i postanowiłem poczekać bez względu na to, jak długo to „zaraz” potrwa — usłyszała głos mężczyzny, który, wbrew sobie, zaczęła lubić.

— Czyżby szukał pan prezentu dla kolejnych przyjaciół? — zażartowała, chcąc ukryć swoje zakłopotanie.

— Nie tym razem — odpowiedział dość poważnie January, wchodząc za Emilią do galerii. — Dzisiaj szukam pretekstu, aby zaprosić panią na dobre ciastko do Nałęczowa.

— Do Nałęczowa? — Emilia popatrzyła na mężczyznę zdumiona.

— Nic nie poradzę na to, że tylko w nałęczowskiej Ewelinie ciasto naprawdę mi smakuje — powiedział, uważnie przyglądając się zarumienionej Emilii.

— A kiedy zamierza mnie pan tam zabrać? — spytała przekornie, przekrzywiając głowę jak mała dziewczynka.

— Kiedy tylko pani mi na to pozwoli.

— Czwartek przed południem? Powiedzmy o... dziesiątej?

— W czwartek o dziesiątej — przytaknął January. — A teraz nie miałbym nic przeciwko, gdyby poczęstowała mnie pani tą dobrą herbatą, o której opowiadała mi Narcyza.

Odmierzane kroplami deszczu godziny upływały spokojnie, niezakłócone przez żadnego ciekawskiego przechodnia. Czas przystanął, siadając w rogu galerii i przysłuchując się razem z Januarym, jak Emilia opowiada o pasji tworzenia i zamykania szczegółów na kawałku płótna czy papieru. Słowa, niepopędzane przez nikogo, płynęły spokojnie, wymieniane w serdecznej rozmowie, która była słuchaniem i dzieleniem się sobą, jak dialog, w którym obie strony są jednakowo ważne i mają swój czas i uwagę.

Rozmawiając z Januarym, Emilia uświadomiła sobie, że prawdziwe bogactwo dają człowiekowi nie gromadzone rzeczy i to, co posiada, ale właśnie ludzie, których spotyka na swojej drodze i przy których potrafi się zatrzymać. Każdy człowiek bowiem posiada tak ogromną różnorodność cech, zdolności, uczuć i emocji, że z łatwością — o ile chce — jest w stanie obdarować tym innych, czerpiąc jednocześnie z ich różnorodności i bogactwa. Emilia dawno już zaobserwowała, że im więcej z siebie daje, tym więcej do niej wraca, a dar z samego siebie składany drugiemu człowiekowi to największe bogactwo, jakie otrzymujemy. I choć nie miała wiele, zawsze było coś, czym mogła się podzielić, ofiarować, podać na wyciągnię-

tej dłoni lub przesłać wraz z ciepłem, które umiała w sobie odnaleźć. I nawet jeśli miała świadomość, że człowiek, przy którym się zatrzymywała, nic nie mógł jej w zamian ofiarować, bo sam posiadał niewiele, radość w jego oczach i wdzięczność za to, że ktoś potraktował go po ludzku — pomimo życia, jakie prowadził, czy sytuacji, w jakiej się znalazł ze swojej lub nie swojej winy — potrafiły ścisnąć za serce i sprawić, że świat nabierał choć trochę jaśniejszych barw, właśnie dzięki drobnym gestom i okrucich miłości, które można odnaleźć w ludzkim sercu.

W czasie rozmowy z Januarym w to październikowe wczesne popołudnie Emilia doszła do wniosku, że jesteśmy na tym świecie nie po to, aby zatrzymać wszystko dla siebie i na sobie tylko skupić uwagę, ale aby sprawić, by czyjeś życie wzbogaciło się właśnie dzięki nam. Dzięki temu, co jest w człowieku i co może pomnażać — dzieląc, zachować — oddając i dostrzec — słuchając serca, w którym jest dość miejsca, aby gromadzić te wszystkie skarby, jakie przynosił każdy dzień, wszyscy napotkani ludzie i zdarzenia, które nieustannie urozmaicają zwykłe-niezwykłe życie. Życie człowieka.



Od kilku dni Renata nie mogła sobie znaleźć miejsca. Słowa Wiktorii o wiele głębiej, niż przypuszczała, zakorzeniły się w jej świadomości, nie pozwalając o sobie zapomnieć, dlatego Renata, wstydząc się zapytać o to Kasię, wybrała dojrzałość Melanii i jej zdrowe podejście do życia.

— Melu — spytała zaczepnie w czasie przerwy, upewniając się, że w pobliżu nie ma żadnych niepożądanych świadków. — Czy mogłabyś mi się przyjrzeć i powiedzieć, czy ja potrzebuję wizyty u kosmetyczki?

— Każda z nas potrzebuje — odpowiedziała natychmiast Mela bez przyglądania się koleżance. — Moja Ilonka to co miesiąc lata do swojej kosmetyczki, tłumacząc mi, że to taka terapia odstresowująca. Jak tak kobiety sobie popapłają bez ładu i składu, zostawiając za drzwiami wszystkie troski i smutki, to od razu działa i na kurcze łapki, i na samopoczucie. Bez względu na to, co robi ta kosmetyczka, blask bijący od kobiety po takiej wizycie powoduje, że i tak wygląda młodziej i ma w sobie to „coś”, na czym mężczyźni zatrzymują oko. A pani jeszcze nie była u naszej Żanetki?

— To znaczy pani mecenasowej? — dopytała Renata, która była zbyt zdziwiona wypowiedzią Melanii, aby ją w jakikolwiek sposób skomentować.

— No tak, u mecenasowej Tarnowskiej-Przybysz. Wszystkie mamy u niej zniżkę, tak jest zadowolona z naszej obsługi i asortymentu. Ja byłam na nawilżaniu twarzy i peelingu kawitacyjnym. No i regularnie chodzę na pedicure, bo samej to jakoś trudno, oczy już nie te, a i kręgosłup mnie boli, jak się za długo pochylam.

Renata musiała mieć taką minę, że Melania już o nic nie pytała.

— Reniu, polecam! Każda kobieta tego potrzebuje, oczywiście w granicach

rozsądku i bez przesady. Poprawia humor i daje ogromny zastrzyk endorfin, hormonów szczęścia, znaczy.

Renata wróciła na swoje stanowisko oszołomiona i z kolejnym dylematem, który musiała rozwiązać. Przede wszystkim jednak musiała to przepracować w swojej głowie, która do tej pory wskazywała jej tylko jeden cel — dom i dziewczynki. Ona sama zawsze była na końcu i gdyby nie Monika, której od czasu do czasu udało się wyciągnąć przyjaciółkę na zakupy, pewnie nosiłaby te same ciuchy aż do zdarcia. To dziewczynki potrzebowały nieustannie nowych ubrań, kurtek, butów i kosmetyków, ona sama zadowalała się tym, co najpotrzebniejsze, nie umiając żyć tak jak Monika, która twierdziła, że zdrowy egoizm jeszcze żadnej kobiecie nie zaszkodził.

Klient przy kasie przerwał smutne rozmyślenia Renaty, zmuszając ją do działania i odsunięcia na bok wszystkich wniosków, do których dochodziła bardzo okrężną drogą. Skupiła się na dobrze znanych, powtarzalnych czynnościach, smutne refleksje odkładając na potem.

Jesień była okresem bardzo intensywnym w życiu sklepu. Szkolny rytm wyznaczał ramy nawet tym, którzy już dawno szkoły pokończyli. Lublin był miastem uniwersyteckim, co oznaczało, że zjeżdżający tu na lubelskie uczelnie studenci wynajmowali mieszkania praktycznie wszędzie. Osiedle Bolesława Prusa znajduje się niedaleko Politechniki Lubelskiej, dlatego też od października ruch w sklepie wzrastał, a Grzegorz zacierał ręce i robił wszystko, aby przyciągnąć jak najwięcej kupujących.

Renata lubiła swoją pracę tutaj. Miała ulubionych klientów i sprawdzone metody radzenia sobie z trudnymi przypadkami. Nie uważała swojego życia za stracone, a samej siebie za gorszą tylko dlatego, że stała za ladą. Tutaj się odnajdywała i robiła wszystko, aby jej praca miała sens i aby każdy, kto wychodził ze sklepu wtedy, kiedy ona była na zmianie, chciał tutaj wracać. To był jej czas, którego nie uważała za zmarnowany.

— Pani Renato, nie wie pani, dlaczego ta Kasia cały czas taka smutna? — Borys przystanął przy kasie, przynosząc Renacie z zaplecza skrzynkę z alkoholami.

— Mamę ma w szpitalu — odpowiedziała lakonicznie Renata, nie chcąc wprowadzać chłopaka w prywatne życie koleżanki.

— To ja może jakąś pomoc zaproponuję? — Borysa najwidoczniej bardzo intrygowała Kasia i chciał zrobić wszystko, aby się do niej w jakiś sposób zbliżyć.

— Najlepiej zrobisz, jak nie będziesz jej teraz zawracał głowy. — Renata zgasiła zapał chłopaka, ustawiając butelki na półce za kasą.

Borys westchnął, zabrał pustą skrzynkę i zniknął na zapleczu, gdzie pani Halinka obdzieliła go już kolejnymi obowiązkami.

Renata zapatrzyła się w okno, za którym październik nie mógł się zdecydować, czy bliżej mu do września, czy już do nostalgicznego listopada. Słońce bawiło

się w chowanego, co rusz ukrywając się za chmurami, a zimny wiatr sygnalizował, że ciepłe miesiące na dobre odeszły, ustępując miejsca tym chłodniejszym.

Wiedziała, co się dzieje w życiu Kasi. Pourlopowej energii starczyłoby pewnie na jakiś czas, nawet pomimo kłopotów z mamą, gdyby nie siniak, którego nie dało się ukryć przed dociekliwymi spojrzeniami koleżanek. Znały się na tyle, że Kasia nawet nie próbowała Renaty okłamywać bajeczkami o stromych schodach.

— Ślad po Darku. Jak widzisz, nie jest łatwo odciąć się od przeszłości, nawet jeżeli człowiek bardzo tego chce i się stara.

— Co z tym zrobisz? — Renacie włosy zjeżyły się na głowie na myśl o tym, że Staszek mógłby uderzyć ją lub którąś z dziewczynek.

— Nic, Renia. Będę żyła dalej, mądrzejsza o to, że bydlakowi nigdy nie można zaufać, choćby ci wmawiał, że jest owcą.

Podziwiała wewnętrzną siłę Kasi, której ona sama nie miała. Podziwiała tę dziewczynę za to, że na tych chudych ramionach potrafiła unieść tak wiele bez narzekania i obwiniania innych i że w tym wszystkim chciała stworzyć ciepły i bezpieczny dom dla swojej córki.

— Znicze jeszcze trzy dni temu były trzydzieści groszy tańsze. — Z zamyślenia wyrwał Renatę dobiegający zza półek głos oburzonej klientki.

— A bo to oni, pani, wiedzą, jak na człowieku zarobić — zawtórował jej sopran znanej w sklepie, osiedlowej „narzekającej”. — Listopadowe święto się zbliża, to i ceny wyższe. A zobaczy pani, przed pierwszym to dwa razy zdrożeje, bo wiadomo, że ludzie i tak kupią, bo obowiązek trzeba spełnić i światełko na cmentarzu zapalić.

— Moja sąsiadka to już we wrześniu znicze i wiązanek kupuje. Kwiaty sztuczne, to nie zwiędną, do szafy schowa i czekają do listopada.

— To pewnie i prezenty gwiazdkowe w lecie kupuje, bo wtedy w sklepach taniej i na wyprzedażach można coś ładnego trafić — w ożywioną dyskusję między klientkami wplótł się głos Melanii. Renata nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

— A wie pani, że nie pytałam — odpowiedział sopran, nieco zbity z tropu. — Ale na ludziach to tutaj nieźle zdzieracie i okazję potraficie wykorzystać. Ta pani twierdzi, że znicze tańsze były. I w ciągu dwóch dni podrożały! — Podniesiony ton wskazywał, że sopran odzyskał pewność siebie.

— Te znicze przywieziono akurat dzisiaj. Sama nowy towar przyjmowałam — odpowiedziała spokojnie Melania, a Renata po raz nie wiadomo już który zastanawiała się, skąd ona bierze te pokłady cierpliwości. — W hurtowniach podrożało, to i w sklepach automatycznie też. A panie to powinny się wstydzić, że na zmarłych chcecie zaoszczędzić i chińskie buble kupujecie zamiast porządnych polskich zniczy.

Obie kobiety umilkły, zbyt zdziwione wypowiedzią Melanii, aby cokolwiek

odpowiedzieć, wzięły sobie jednak jej słowa do serca, bo Renata przy kasie przesunęła przez czytnik dziesięć zniczy i zgrzewkę wkładów.

— Renatko, to jest wizytówka pani Żanety. — Pod koniec zmiany Melania podeszła do Renaty i położyła na ladzie mały różowy kartonik z nazwiskiem i numerem telefonu. — Zadzwoń i umów się z nią koniecznie.

Renata podziękowała Melanii i schowała wizytówkę do swojej torebki. Wyciągnęła ją późnym wieczorem, kiedy dom ucichł, a ona leżała już w łóżku z pochrapującym Teodorem na podłodze. Przekręcając ją w rękach, wpatrywała się w nazwisko mecenasowej, zastanawiając się, co jeszcze nowego wydarzy się w jej życiu i do czego popchnie ją przewrotny los, który na jakiś czas odebrał jej Staszka i postawił Renatę na prawdziwym życiowym rozdrożu.



Siniak pod okiem Kasi goił się długo, schodząc zgodnie z prawem ciężenia coraz niżej i przybierając całą gamę brunatno-żółtych kolorów. Odwiedzała matkę codziennie, dokarmiając ją i zdając relację z minionego dnia. Darek zniknął po tym, jak rzuciła za nim bukietem kwiatów, który przyniósł dwa dni po całym zdarzeniu. Dla dobra Marlenki, która mocno przestraszyła się ojca tamtej nocy, Kasia poinformowała go, aby na jakiś czas trzymał się od dziewczynki z daleka. Aż dojrzeje do roli ojca, do której nie do końca był jeszcze przygotowany. Upokorzony wycofał się, ale Kasia знаła go już na tyle, aby wiedzieć, że nie odpuści. Teraz jednak obiecała sobie, że następnym razem nie da się zaskoczyć i zachowa większą czujność, bez nadziei, że Darek stanie się lepszy. Natury nie da się zmienić i Kasia po wielu latach w końcu to zrozumiała. I zaakceptowała, wiedząc, że teraz musi chronić już nie tylko siebie, ale przede wszystkim Marlenkę.

Podleczona kroplówkami Jadwiga wyglądała z dnia na dzień coraz lepiej, i tego popołudnia, gdy Kasia przybiegła do niej tuż po pracy, w drodze do przedszkola, poinformowała córkę, że wychodzi jutro do domu.

— Mam drugą zmianę, więc przyjadę po ciebie przed jedenastą. Myślę, że będzie już po obchodzie i do dwunastej dostaniesz wypis.

— Sądzę, że tak — odpowiedziała cicho Jadwiga, patrząc tęsknie za okno, za którym toczyło się normalne życie, do którego tęskniła. — Wiesz, doktor Jędrzejczak wypytywał mnie o ciebie.

Kasia poczuła, jak wszystko w niej się jeży.

— Co mu powiedziałaś?

— Prawdę. — Wyblakłe oczy Jadwigi spojrzały na córkę łagodnie. — Powiedziałam, że masz córeczkę, którą sama wychowujesz, i że świetnie sobie radzisz w życiu. Wiesz... — Jadwiga przełknęła ślinę, jakby mówienie przychodziło jej z trudem. — Nigdy ci tego nie mówiłam, ale naprawdę jestem z ciebie dumna.

Kasia spuściła wzrok. Nie spodziewała się tego. Ona i matka nie umiały ze sobą rozmawiać. Szarpały się ze sobą, raniąc słowami, albo mijały w milczeniu, wymieniając informacjami. Nie łączyła ich bliskość, której dawno temu zabrakło i której nawet przestały szukać. Trudno było nazwać to uczucie, jakie było między nimi, ale jako dorosłe dziecko alkoholika Kasia dobrze poznała mechanizmy zachodzące w ich wzajemnej dziwnej relacji, nie wierząc już, że może być inaczej.

— Marlenka się ucieszy, jak jej powiem, że jutro będziesz w domu. Tęskni za tobą. — Kasia uciekła w wygodny dla nich obu temat, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na wyznanie matki.

— Ja też się za nią stęskniłam — powiedziała Jadwiga, nagle przygaszona. — Darek cię nie nachodzi?

Kasia pokręciła głową.

— Ułożysz sobie jeszcze życie. Młoda jesteś.

— Chyba nie nadaję się na życie w duecie — skrzywiła się Kasia.

— Nie mów tak. Samemu na świecie ciężko i byle jak.

— Ale przynajmniej nikt cię nie rozczaruje. I nie zrani — ostatnie słowa dodała ciszej, wspominając swój nieszczęsny związek z Mikołajem.

Jadwiga machnęła ręką.

— Uparta jesteś. Zupełnie jak twój ojciec. Ale to ci w życiu nie pomoże.

Kasia zacisnęła usta.

— Jeśli się sparzę, to na własnych błędach i do nikogo nie będę miała o to pretensji.

Jadwiga nic nie odpowiedziała. Kasia nie sądziła, że cokolwiek zrozumiała. Żyjąc pod jednym dachem z alkoholikiem, знаła typowe zachowania — wieczne usprawiedliwianie siebie i szukanie wytłumaczenia dla sięgania po kieliszek. Wszyscy dookoła byli winni porażek człowieka uzależnionego, a najdotkliwiej ranieni ci, którzy byli najbliżej. Miłość zabijana każdego dnia po kawałku, od lat, i dotkliwe drzazgi wkładane prosto w serce, dotykające najwrażliwszych punktów. Bolało. Bolało jak cholera, więc pomimo lat i przepracowywania problemu Kasia wciąż nie potrafiła odnaleźć w sobie poczucia własnej wartości, samą siebie oceniając najsurowiej i pozwalając Jadwidze na to, przed czym całe życie się broniła. Na jadowite uwagi, sączone Kasi w chwilach, gdy głód był silniejszy niż miłość, na pretensje, za które dziewczyna częściowo czuła się odpowiedzialna, i na ściągającą w depresyjny dół czarną wizję przyszłości, przed którą starała się ze wszystkich sił uciekać, a która prędzej czy później i tak ją dopadała.

— Pójdę już. Jutro po ciebie przyjadę. — Kasia podniosła się z niewygodnego szpitalnego stołka.

— Doktor Jędrzejczak jest chyba strasznie samotnym człowiekiem — usłyszała rzucone za sobą słowa Jadwigi. Zignorowała je, wychodząc ze szpitala do świata, który od razu wciągnął ją swoim nieuzasadnionym pośpiechem, narzucają-

cym rytm każdemu, kto choć raz mu się poddał.



Następnego dnia Kasia przyjechała do szpitala przed jedenastą. Miała nadzieję, że w ciągu godziny uda im się załatwić wszystkie niezbędne formalności i że dotrze do pracy na czas. Uprzedziła co prawda kierowniczkę, że może się spóźnić, a dziewczyny — zarówno Renia, jak i Melania — zapewniły, że dadzą sobie radę, ale Kasia wolała nie nadużywać tej pomocy, zdając sobie sprawę, że jako samotna matka jeszcze niejedną raz będzie zmuszona z niej korzystać.

Jadwiga była już spakowana. Siedziała na skraju łóżka, gotowa do ucieczki z miejsca, które traktowała jak więzienie. Tutaj musiała się przystosować do norm i reguł, do jakich nie była przyzwyczajona. Ograniczały ją i pomimo bardzo dobrej opieki miała poczucie osaczenia. Chciała wrócić do domu, do znajomych sprzętów i codzienności, która mijała równie bezowocnie jak w szpitalnej rzeczywistości, ale dawała Jadwidze poczucie wolności.

— Doktor miał przygotować wypis, ale prosił, żebyś to ty do niego zajrzała. — Kasia wyczuła w głosie matki zniecierpliwienie. Znała to. Chęć ucieczki, gdziekolwiek się znalazła. Jak zwierzę, które wciąż gna, choć w pewnym momencie samo już nie wie, przed kim ucieka.

— Pójdę do niego — odpowiedziała, choć spotkanie z lekarzem było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

Znała już drogę do gabinetu tak dobrze, że mogła tam dojść z zamkniętymi oczami. Sterylność szpitalnych ścian i korytarzy powodowała niepokojący ucisk w żołądku. To nie było miejsce, w którym chciało się przebywać, i Kasia zastanawiała się, po jakim czasie lekarze i pielęgniarki uodparniają się na zapach i specyficzną atmosferę tego budynku.

Zapukała i po krótkim „proszę” weszła do środka. Tym razem w gabinecie oprócz doktora Jędrzejczaka była jeszcze młoda lekarka, równie mocno pochłonięta ekranem szpitalnego komputera jak doktor, do którego podeszła Kasia.

— Dzień dobry, chciałam odebrać wypis i zabrać mamę do domu — powiedziała, nie patrząc mężczyźnie w oczy i starając się, aby ton jej głosu był jak najbardziej obojętny. Nie mogła jednak zapanować nad drżeniem górnej wargi, które nie umknęło uwadze doktora Jędrzejczaka.

— Proszę usiąść — zwrócił się do Kasi łagodnie, a dziewczyna pomyślała, że chyba taki ton ma opanowany do perfekcji i używa go w poważnych rozmowach z pacjentami. Ich wzajemna relacja była równie trudna jak przypadki na tym oddziale, więc nic dziwnego, że traktował dziś Kasię na równi ze swoimi pacjentami. — Nie będę wygłaszał pogadanki, bo wszystko, co powinienem, wyjaśniłem pani mamie. Myślę, że obie panie jesteście świadome tego, że pani Jadwiga już nigdy nie wyzdrowieje. Nie licząc cukrzycy, która jest fatalnie prowadzona, niestety

z winy pacjenta, pani mama ma nieodwracalne zmiany w wątrobie. W badaniach wyszła też anemia. Proszę mnie źle nie zrozumieć — mężczyzna dostrzegł skrzywienie na twarzy Kasi — nie zrzucam tego na panią, a jedynie szczerze o wszystkim informuję. Oboje wiemy, że prawdziwym problemem jest nadużywany alkohol, ale na to zarówno ja, jak i pani nie mamy wpływu. Rozmawiałem o tym z panią Jadwigą, ale wydaje mi się, że pewne decyzje ją przerastają. Wiem, że mieszkacie panie razem, i nie mogę zagwarantować, że problem, z jakim tu trafiła, się nie powtórzy.

— Ale ja wcale nie chcę od pana takich deklaracji. — Kasia podniosła głowę i zmierzyła mężczyznę gniewnym spojrzeniem.

Lekarka przy biurku obok podniosła się i pokręciła głową, mrucząc coś pod nosem. Doktor Jędrzejczak poczekał, aż wyjdzie z gabinetu. Kiedy drzwi za kobietą się zamknęły, popatrzył prosto w zielone, rozzłoszczone oczy Kasi i powiedział:

— Przepraszam. Chyba wciąż za dużo jeszcze we mnie doktora Judyma. Mam do pani jedną prośbę... wypije pani ze mną kawę?

Zaskoczył ją zupełnie tym pytaniem. Patrzyła na mężczyznę tak, jakby nie rozumiała sensu wypowiedzianych przed chwilą słów.

— Teraz? — spytała niepewnie, zupełnie zbita z tropu.

Uśmiechnął się. To był miły, szczery uśmiech, który przedarł się przez twardą skorupę Kasi, jaką się przed nim otoczyła, uprzedzona po pierwszym spotkaniu w tym gabinecie.

— Nie, nie teraz i nie w szpitalu. I może niekoniecznie w galerii, bo zazwyczaj lokale z kawą przypominają tam drogę szybkiego ruchu. Ale na przykład w Mandragorze na Starym Mieście, w sobotę o osiemnastej?

— Nie uważa pan, że to za późno na kawę? — Pierwsze zaskoczenie minęło i Kasia już na nowo była sobą, wygadana dziewczyną, która na każdy argument miała właściwą odpowiedź.

— Lekarze piją kawę o przeróżnych porach, a osiemnasta to właściwie początek wieczoru.

— Mam czteroletnią córeczkę i obawiam się... — zaczęła Kasia, ale doktor Jędrzejczak nie pozwolił jej dokończyć.

— Pani Jadwiga z pewnością się nią zaopiekuje. Wiem, że bardzo stęskniła się za wnuczką. Kto wie, może to jest dla niej to światełko w tunelu...

— Nie jest pan przyzwyczajony do porażek, prawda, doktorze?

— Może mi pani nie uwierzy, ale sam siebie zaskoczyłem tą propozycją, proszę mnie więc nie upokarzać i podarować ten jeden wieczór.

Kasia wstała z krzesła, na którym już nie mogła wysiedzieć, i wyciągnęła rękę po wypis i recepty.

— Dlaczego pan mi to zaproponował? — spytała, patrząc prosto w szare

oczy mężczyzny.

— Bo mi się pani podoba — odpowiedział natychmiast, również wstając. — I siedząc długo na dyżurach, doszedłem do wniosku, że życie jest zbyt krótkie i zbyt cenne, by tracić je na bezcelowym zabieganiu o coś, co nie jest tego warte. Mogę więc liczyć na tę wspólną kawę?

— Jestem zbyt zaskoczona, by panu odmówić. Sobota, osiemnasta, Mandragora, Stare Miasto. Czy mogę już zabrać mamę, doktorze?

— Już pani może. I... mam na imię Krzysztof.

Kasia uśmiechnęła się i wyszła, zostawiając za sobą niedopowiedzenie. A doktor Jędrzejczak otworzył szufladę swojego biurka i wyjął z niej rysunek, który stał się jego talizmanem. Liczył na to, że przyniesie mu szczęście.



Emilia stała przed szafą, nie mogąc się zdecydować. Co chwila wyciągała stamtąd jakąś sukienkę czy bluzkę, przykładając ją do siebie, po czym z niezadowoleniem odrzucała na wersalkę. Stos ubrań na łóżku rósł, a Emilia nadal miała problem, co włożyć na nałęczowską kawę z Januarem.

Klaudia przyglądała się ciotce od dobrych dziesięciu minut. Stała bez słowa, uśmiechając się do samej siebie. Opanowana zazwyczaj Emilia dziś zachowywała się jak sama Klaudia przed ważnym wyjściem. Jak nic chodziło o mężczyznę! Kiedy Emilia ze wstrętem odrzuciła kolejną garsonkę, Klaudia nie wytrzymała i wkroczyła do akcji.

— Rozumiem, że masz randkę, ciociu — powiedziała cicho, nie chcąc przstraszyć nieświadomej niemego świadka Emilii, która i tak drgnęła, nieprzygotowana na czyjąś obecność.

— Nie wiem, czy można to nazwać randką, ale tak czy inaczej niewątpliwie mam problem — jęknęła Emilia, siadając na wersalce, wśród sterty poniewierających się na niej ubrań.

— Jeśli pozwolisz, pomogę ci — zaoferowała dziewczyna. — Muszę tylko znać szczegóły spotkania, czyli porę dnia i miejsce.

— Przedpołudniowa kawa w Nałęczowie z mężczyzną, który mi się podoba — odpowiedziała jednym tchem Emilia.

— Wow! — Klaudia usiadła obok ciotki i popatrzyła na wybebeszoną szafę. — Tak wsiąklam w naukę i lubelskie życie kulturalne, że niczego nie zauważyłam.

— To dobrze! — Emilia odgarnęła ze spoconego czoła niesforne pasma włosów. — Jeszcze tego brakowało, żeby każdy, kto na mnie spojrzy, wiedział, że w wieku pięćdziesięciu dwóch lat straciłam głowę.

— A rzeczywiście straciłaś? — spytała Klaudia przekornie.

— Sama jeszcze nie wiem i dlatego jadę do Nałęczowa, aby to sprawdzić. Tylko zupełnie nie mam pojęcia, co na siebie włożyć.

— Chcesz wyglądać elegancko czy wolisz wygodę? — Klaudia konkretnie zabrała się do roboty.

— Ba! Też mi pytanie! Jakbyś mnie nie znała. Ma być wygodnie, żebym przez całe spotkanie nie musiała się stresować, jak mam usiąść, ale jednocześnie na tyle elegancko, abym mogła włożyć ukochany kapelusz.

— Okej. Sukienka i garsonka odpada, ale w tych czarnych, lejących spodniach będziesz wyglądać odpowiednio na spacer w dzień powszedni. O! A do tych spodni doskonale będzie pasował ten koronkowy, biały sweterek. Przymierz to, ciociu.

Emilia zrezygnowana pokręciła głową, podniosła się z wersalki i z ociąganiem włożyła proponowany zestaw. Najpierw przejrzała się w pełnym aprobata, przejrzystym spojrzeniu Klaudii, a potem sama siebie obejrzała w lustrze, okręcając się dookoła i wykręcając szyję, aby dostrzec również swój tył.

— No i jak? — spytała, dochodząc do wniosku, że chyba sama sobie się podoba.

— No i super! Do tego te twoje kozaczki, w których byłaś ostatnio w kościele, krótki płaszczyk i kapelusz. Ja bym się w tobie zakochała z marszu!

Emilia machnęła ręką, jakby chciała się odgonić od Klaudii.

— Nie wygaduj głupstw. Ja nie chcę go w sobie rozkochiwać, po prostu... — umilkła, jakby zawstydzona niewypowiedzianymi i poukrywanymi głęboko w sercu pragnieniami — dobrze mi się z nim rozmawia. Fascynuje mnie. I chyba potrzebuję przyjaciela, bo ze zwierzakami doskonale się rozmawia, monologując, a ja potrzebuję partnera do dyskusji. January ma w sobie coś takiego, że mogę z nim rozmawiać i rozmawiać, i wciąż mi mało.

— Dlaczego ty właściwie nigdy nie wyszłaś za mąż? Przecież fantastyczna z ciebie babka i musieli być w twoim życiu jacyś mężczyźni. — Tylko młodość mogła zadać tak bezpośrednie i szczere pytanie, w którym była jedynie ciekawość bez podtekstów, jakich nabiera dorosłość.

„Bo kochałam twojego ojca!”, chciała wykrzyknąć Emilia. „Bo ta jedna miłość, podzielona na pół, wypaliła wszystko wraz z utratą tych, których kochałam. Bo już nikt nigdy nie spojrzał na mnie tak, jak patrzył twój ojciec”.

Chciała to powiedzieć, ale wiedziała, że Klaudia jest zbyt młoda, aby to zrozumieć. Może kiedyś, gdy ból po stracie matki będzie mniej dotkliwy, gdy życie napisze dla Klaudii jej własny scenariusz, na który nie będzie miała wpływu, może wtedy obie dojrzeją do tego, aby wyznać, wysłuchać i zrozumieć. Dziś mogła tylko odpowiedzieć to, co czuła, bez wchodzenia w szczegóły.

— Czasami w życiu człowieka zdarza się taka miłość, której nie jesteś w stanie do końca wyrzucić ze swojego serca. Czasami jedno uczucie powoduje, że nigdy już nie potrafisz odnaleźć siebie przy boku kogoś innego. Nie umiesz ani zaufać, ani pokochać, szczególnie gdy ludzie stawiają ci warunki, których nie jesteś

w stanie przyjąć, i chcą cię zmienić, abys wpasowała się w model, jaki sobie założyli. Raz w życiu spotkałam człowieka, który niczego nie chciał we mnie zmienić i zaakceptował mnie taką, jaka jestem. To było bezcenne i nie mogłam tego zepsuć tylko dlatego, że czasami dokucza mi samotność.

— Co się z nim stało? — Klaudia słuchała słów Emilii z wypiekami na twarzy. Dokładnie w ten sam sposób Emilia czytała pierwsze romanse we wczesnej młodości.

— Umarł za wcześnie — odpowiedziała, odwracając wzrok, aby ukryć wzruszenie, które znowu ją dopadło. Pomyślała, że wraz z wiekiem robi się coraz bardziej sentymentalna.

— Jesteś bardzo dzielna, ciociu. — Chude ramiona Klaudii oplotły szyję Emilii w taki sam sposób, w jaki ręce małego dziecka zaplatają się na szyi matki. Najbardziej odważna z łez wymknęła się z oka, tworząc na policzku Emilii ścieżkę, po której przebiegły następne słone krople, niosące w sobie wspomnienie małej dziewczynki, która nie dostała od życia szansy na to, by dorosła. Zawstydzona swoją słabością Emilia otarła je wierzchem dłoni, a potem pogładziła ciepły policzek Klaudii.

— No i widzisz, co narobiłaś? Rozkleiłam się, a jutro przecież muszę ładnie wyglądać. — Żartem próbowała odwrócić myśli w kierunku przyszłości, zostawiając przeszłość w spokoju.

— Powiem ci tak, jeśli ten mężczyzna zaprosił cię do Nałęczowa, oznacza to, że już go oczarowałaś i jutro masz być po prostu sobą, bo zakładam, że to mu się w tobie najbardziej spodobało. Idź teraz, weź sobie gorącą kąpiel, a ja wyprowadzę psy na wieczorny spacer. A potem przejrzymy twoją garderobę. — Klaudia wskazała na ogromny stos ubrań na łóżku. — Nie obraż się, ciociu, ale część z tych rzeczy nadaje się jedynie do muzeum PRL-u, a nie do noszenia.

Emilia podniosła do góry ramiona w geście bezradności, a potem machnęła ręką.

— A rób, co chcesz. Zostaw mi tylko parę szmatek do noszenia — odpowiedziała siostrzenicy i uciekła do łazienki na długą, uspokajającą kąpiel.

Leżąc w wypełnionej ciepłą i pachnącą wodą wannie, Emilia uświadomiła sobie, jak bardzo jej życie zmieniło się dzięki Klaudii i młodości, którą wniosła do domu Emilii. I jeśli jeszcze trzy miesiące temu miała jakieś wątpliwości, dziś nie wyobrażała sobie, że Klaudii mogłoby tu nie być. Marianna zatroszczyła się o wszystko, powierzając Emilii Klaudię, i okazało się paradoksalnie, że Emilia bardziej potrzebowała dziewczyny niż Klaudia jej. Człowiek widocznie widzi o wiele więcej, dochodząc do granicznej kurtyny życia, i Marianna niewątpliwie wiedziała, co robi, prosząc właśnie Emilię o przyjęcie Klaudii jak swojej. Bo Emilia już ją kochała, a ta świadomość sprawiła, że znów się rozplakała.



Nałęczowski park Zdrojowy pachniał wilgocią liści, które ścieliły się na wyłożonych kostką alejkach niczym wielobarwny dywan. Październik ubrał się w kolory retro, powoli jednak przygotowując ludzi na wielomiesięczny chłód, który już czuć było w powietrzu, i na szarą monotonię. Co prawda łabędzia rodzina i wszędobylskie kaczki ciągle jeszcze zamieszkiwały parkowy staw, ale odwiedzający Nałęczów miłośnicy spokoju i dochodzący tu do zdrowia pensjonariusze domów sanatoryjnych coraz więcej czasu spędzali w okolicznych kawiarenkach, szukając tam ciepła i chwili przyjemności.

Na wspomnienie swojej chwili przyjemności w Ewelinie Emilia poczuła rozkoszne uczucie rozgrzewające ją od wewnątrz. January miał rację, nigdzie indziej na świecie ciastko nie smakowało tak jak tutaj. Emilia dała się skusić delicii nałęczowskiej, która budziła w niej sprzeczne uczucia — z jednej strony chciała ją zjeść jak najszybciej, tak jej smakowała, a z drugiej pragnęła delektować się tym smakiem, dzięki któremu czuła się prawie jak w niebie.

Lubiła nałęczowską Ewelinę i była wdzięczna Januaremu za to, że przywiózł ją właśnie tutaj. Ta kawiarnia miała w sobie przedwojenny czar, z którego z trudem wracało się do rzeczywistości. Stare pianino wyglądało tak, jakby dopiero co wstał od niego Mieczysław Fogg, a zawieszane na ścianach obrazy ocieplały to wnętrze, w którym Emilia czuła się tak dobrze jak w swojej galerii.

Dzisiejsze przedpołudnie miało dla Emilii dodatkowy i niepowtarzalny smak — dzieliła to wszystko z Januarem, który pasował do tego miejsca tak doskonale jak ona sama.

— Przyjeżdżaliśmy tutaj z Terenią często. To było nasze miejsce i nasz czas. Zatrzymany. Oderwany od codziennych trosk i spraw zawodowych. Nie do odtworzenia. — January snuł fragmenty swojej opowieści, a Emilia słuchała z zacięciem, chwytając je tak, jak cienkie pajęczki niteczki babiego lata. Nie raniły jej słowa Januarego o jego zmarłej żonie. Wiedziała, że to jest nierozzerwalna część jego przeszłości, o której chciała się dowiedzieć jak najwięcej. — Miała do mnie anielską cierpliwość. Dużo pracowałem i wiecznie nie było mnie w domu, a gdy się pojawiałem, często byłem zirytowany i zamykałem się w swoim gabinecie razem z papierami. Nigdy się nie skarżyła i dzielnie znosiła moje humory. Doceniłem to dopiero wtedy, gdy zachorowała. Widzisz, Emilio, człowiek ma taką przewrotną naturę, że docenia to, co bezcenne, dopiero wówczas, gdy to straci.

Skinęła głową, zasłuchana w jego opowieść, ze wspomnieniami własnego życia przed oczami. W tle prawie pustej o tej porze, kawiarnianej sali słyhać było walc z *Nocy i dni* Waldemara Kazaneckiego. Emilia przypomniała sobie słowa ułożone do tej melodii, wyśpiewane tak delikatnie przez Halinę Kunicką, i pomyślała, że całe życie składa się z takich nocy i dni, wypełnionych zabieganiem i szarpaniną o rzeczy zupełnie nieistotne, a przecież tak naprawdę ważne są w tych, zdawałoby

się, szarych i monotonnych dniach szczegóły i drobiazgi, dzięki którym ta cała wędrówka tutaj ma sens. Małe chwile szczęścia łapane w przelocie i zatrzymywane w pamięci. Jedną z nich pochwyciła właśnie dzisiaj. I delectowała się nią tak samo jak nałęczowską delicją.

Idąc przez park tuż przy boku Januarego, czując jego męski, zdecydowany zapach, poczuła, jak budzi się w niej uśpiona kobiecość. Podobał się jej ten wysoki, postawny mężczyzna, w którym była z jednej strony ogromna pewność siebie, a z drugiej chłopięca bezradność. Dawno już przy nikim nie czuła się tak bezpieczna jak przy nim i dawno już nie śmiała się tak serdecznie jak z nim. Czas z Januarem nie dłużył się. Mijał niepostrzeżenie, nie chcąc przystanąć.

Zniecierpliwiony spokojem południa wiatr wplątał się w konary drzew, niepokojąc wiewiórki, które zaradnie gromadziły zimowe zapasy. Na alejce tuż przed Emilią usiadł kolorowy motyl. W małych skrzydełkach dostrzegła całą radość życia, o której motyl chciał opowiedzieć. Potraktowała to spotkanie i cały dzień jak prezent i uświadomiła sobie, że tak naprawdę każdy dzień, który dostawała, był prezentem. Ślicznie opakowanym w słoneczny uśmiech o poranku albo w zwykły szary świt zasnuty chmurami. Dawno już zrozumiała, że nie opakowanie jest ważne, tylko to, co człowiek znajdzie w środku. Małe cuda dnia codziennego, które można dostrzec albo ominąć. Małe drobiazgi, zbierane jak kolorowe kamyki nad morzem i przechowywane w szkatułce pamięci.

— Ja pokazałem ci moje miejsce pełne dobrych wspomnień. A gdzie ty mnie zabierzesz, Emilio, abym poznał cię lepiej? — usłyszała głos Januarego, który wkomponował się w śpiewne odgłosy parku.

— Do Kazimierza nad Wisłą. Nigdzie nie ma tak dobrego tortu bezowego jak w Herbaciarni u Dziwisza.

Na oparciu ławki przysiadła sikorka z żółtym brzuszkiem. Zabawnie przekrzywiając mały łeppek, przyglądała się ludziom, którzy pomimo bagażu lat, jaki na sobie nieśli, potrafili docenić ulotną chwilę i zachwycić się nią z podobną radością jak ten mały ptaszek.



— Tak się cieszę, pani Renatko, że dała się pani przekonać do tego zabiegu. — Żaneta Tarnowska-Przybysz paplała nieustannie od dobrych dziesięciu minut, odkąd tylko Renata zjawiła się w jej gabinecie kosmetycznym. — Zawsze powtarzam moim klientkom, że piękna kobieta to zadbana kobieta. W ogóle uważam, że każda z nas powinna choć raz w miesiącu zrobić coś tylko dla siebie, no, rozumie pani, fryzjer, kosmetyczka, zakupy w galerii czy choćby kawa z przyjaciółką. Dzięki temu nie jesteśmy takimi żołzami, za jakie większość mężczyzn nas uważa.

Renata leżała na wygodnym fotelu, czując się dość nieswojo w dziwnej sukience, którą kazała jej włożyć Żaneta. Nie bardzo rozumiała, dlaczego miała się

rozebrać aż do pasa, skoro przyszła na zabieg odmładzający twarz, ale z racji tego, że była to jej pierwsza wizyta u kosmetyczki, założyła, że tak ma być, i poddała się poleceniom mecenasowej posłusznie.

— Mikrodermabrazja twarzy oczyści pani skórę, złuszczy zrogowaciały naskórek i rozświetli panią. Zmarszczki staną się mniej widoczne, a cera będzie wyglądała na młodszą i wypoczętą. Przy okazji zrobię pani masaż dekoltu i rozmasuję napięte mięśnie karku. Proszę się teraz wygodnie położyć, zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że ta lampa to słońce na Karaibach albo na jakiejś bezludnej wyspie, na której chciałaby się pani znaleźć.

— Sama? — spytała nieśmiało Renata, nie mogąc się jeszcze odnaleźć w tym miejscu.

— No, sama to raczej nie — odpowiedziała Żaneta, zmywając zmęczenie z twarzy Renaty jakimś kosmetykiem. — Z jakimś bardzo przystojnym mężczyzną, z którym chciałaby pani spędzić czas sam na sam.

Przystojnym mężczyzną, z którym Renata chciałaby spędzić sam na sam na bezludnej wyspie, był Staszek. Tęskniła za nim, a każdy upływający bez niego dzień jeszcze potęgował tę tęsknotę. Minęły już dwa miesiące, odkąd wyjechał, a ona w żaden sposób nie mogła się przyzwycząić do jego nieobecności. Była dzielna, a przynajmniej starała się być. Coraz pewniej czuła się za kierownicą, błogosławiąc zaoszczędzany czas, szczególnie gdy kończyła nocną zmianę i nie musiała już biec na ostatni autobus. Z pomocą Moniki udało jej się znaleźć dobrych korepetytorów dla Igi i jeszcze radziła sobie z hormonami Julki, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem. Zupełnie jednak nie radziła sobie z tym, że będąc małżeństwem, musieli żyć osobno. Nie z wyboru, a z konieczności, do której zmusiła ich smutna polska rzeczywistość.

— Teraz zacznę mikrodermabrazję. Proszę się niczym nie martwić, wszystko mam pod kontrolą. Może trochę szczypać, ale za to efekt jest tego wart. — Renata poczuła na swojej twarzy szczypiący odkurzacz, który próbował wciągnąć jej skórę do środka ssącej maszyny.

— Ten gabinet to jedno z marzeń, które spełnił dla mnie Jasio. Jak tylko się pobraliśmy, obiecał mi, że będę miała swój gabinet kosmetyczny i będę mogła robić to, co sobie wymyśliłam jeszcze jako nastolatka. Kocham tę pracę. Nawet sobie pani nie wyobraża, pani Renatko, ile kobiet oczyszcza się tutaj z trosk, które znoszą w swoich torebkach. Ja tam lubię rozmawiać. Jak się tak przez cały dzień nagadam, to już w domu Jasiowi nie zawracam głowy, bo on przecież ma swoją pracę i potrzebuje skupienia nad tymi papierzyskami. Nic z nich nie rozumiem, choć Jaś czasami mi tłumaczy, ale dla mnie to zbyt skomplikowane. Ale w końcu od tego są prawnicy, żeby za nas myśleć. Tak mówi Jasio i jeszcze dodaje, że ja nie powinnam zaprzętać sobie tej blond główki takimi rzeczami, więc go słucham. Ale swoje wiem i ostrożna jestem, bo Jaś to taki dobry człowiek i niejedna tam ostrzy

sobie na niego pazury. My tu jak w konfesjonale, pani Renatko, więc powiem pani, że mnie ta młoda od was niepokoi i strasznie denerwuje! Jaś po zakupy biega tylko wtedy, gdy ona jest na zmianie, i zawsze tak się wypsika tą swoją wodą, że mnie aż w nosie kręci. Mężczyźni są jak duże dzieci, więc na razie patrzę na to z pobłażaniem, ale rękę na pulsie trzymam. A w ogóle to chcę, żebyśmy jak najszybciej dziecko mieli. Z dzieckiem to i rodzina taka pełna, i człowiek mniej egoistyczny się robi, bo już nie tylko czubek swojego nosa widzi, ale i dużo więcej. Ile pani ma dzieci, pani Renatko?

— Dwoje. Dwie córki. Jedna piętnastolatka, a druga w listopadzie osiemnastcie lat skończy.

— Fajnie. Dwie dziewczynki. Zawsze to matki będą się trzymać, bo z chłopcami to różnie bywa, wiecznie ich gdzieś gna i przygód potrzebują. Ja to bym trójkę mieć chciała. Ale powiem pani, pani Renatko, że na tę osiemnastkę to pani nie wygląda. Dobrze się pani trzyma i pani cera jest w dość dobrej kondycji, a po dzisiejszym zabiegu to i ruch się w sklepie robi, bo chłopcy będą chcieli sobie na panią popatrzeć, a baby to z ciekawości przylecą.

Renata chciała się uśmiechnąć, ale mały ssący odkurzacz wędrował właśnie w okolicy jej ust, przemilczała więc jakikolwiek komentarz, myśląc sobie tylko, że pani mecenasowa jest dość specyficznym człowiekiem, ale jest w niej jednocześnie coś takiego, że nie można jej nie polubić.

— Okej, skończone — powiedziała Żaneta, wyłączając sprzęt do mikrodermabrazji. — Teraz najprzyjemniejsza część zabiegu. Na pani twarz i dekolt nałożę maskę odżywczą, a w czasie gdy będą się wchłaniały, rozmasuję pani kark. Uwaga, znowu odlatujemy na Karaiby.

Leżąc z przymkniętymi oczami pod ciepłym światłem lampy, Renata nie mogła pozbyć się poczucia winy. Był piątek, a ona zamiast wracać do domu i zająć się obiadem, dziewczynkami i porządkami, leżała wyciągnięta na wygodnym łóżku w gabinecie kosmetycznym i wydawała pieniądze na coś, bez czego w zupełności mogłaby się obyć. Przez całe dorosłe życie po ślubie czuła się przede wszystkim matką i pomimo że dziewczynki nie wymagały już takiej uwagi jak kiedyś, ona wciąż czuła, że jest za nie odpowiedzialna tak jak wtedy, gdy były małymi dziećmi. Wiedziała, że robi błąd, wyręczając je we wszystkim, sprzątając po nich i podstawiając wszystko pod nos, ale nie potrafiła inaczej. Taka już była i nie umiała tego zmienić, choć często czuła w sercu niewypowiedziany żal, że tak mało to doceniają.

— Strasznie jest pani spięta, pani Renatko. — Głos Żanety sprawił, że powróciła myślami do gabinetu kosmetycznego. — Nie ułatwia tym pani pracy ani mnie, ani sobie. Nie wiem, gdzie pani zawędrowała, pani Renatko, ale na pewno nie na Karaiby. Proszę wrócić na bezludną wyspę, na której była pani poprzednio, bo inaczej cały nasz zabieg diabli wezmą.

Wobec takiego argumentu Renata się poddała i pozwoliła, aby Żaneta zabrała ją jak najdalej od tego, co ją blokowało. Odleciała.



Kiedy wyszła na rozświetloną jesiennymi promieniami ulicę, była tak zrelaksowana, że zupełnie nie miała ochoty wracać do domu. Jeszcze przez chwilę chciała poczuć tę odrobinę luksusu i wolności, których doświadczyła w gabinecie pani Żanety, skręciła więc w osiedlową alejkę prowadzącą do wąwozu. Tyle lat pracowała na tym osiedlu, a nigdy nie była w tym miejscu, o którym opowiadała pani Emilia i Karol. Dzielący dwie duże dzielnice Lublina wawóz, stanowiący granicę między LSM-em a Czubami, był oazą zieleni i przestrzeni pomiędzy murami miasta. Tutaj popołudniami i wieczorami gromadzili się psiarze na przyjacielskie pogawędki i zabawy pupilów, a przedpołudniami mamy, babcie i nianie przychodziły tu z maluchami, aby pooddychać powietrzem wolnym od spalin. Starannie wypielęgnowane alejki wawożu często były wykorzystywane przez rowerzystów i uprawiających jogging, a porośnięte małym laskiem wzgórze dawało latem schronienie przed upałem. Lublinianie lubili to miejsce, a doceniali je najbardziej ci, którzy mieszkali w pobliżu.

Było już zbyt chłodno, by usiąść na ławce, więc Renata zdecydowała się na jesienny spacer alejkami wawożu i zupełnie się nie zdziwiła, gdy usłyszała znajomy głos Karola, a chwilę później zimny nos Reksa pacnął jej dłoń.

— Własnym oczom nie wierzę, pani tutaj?

Uśmiechnęła się, a złoty promyk zachodzącego słońca wplątał się między jej włosy i rozświetlił tak, że zajaśniała blaskiem, od którego Karol nie mógł oderwać wzroku.

— Może skończmy w końcu z tą „panią” i niech zostanie po prostu „Renata” — zaproponowała, wyciągając rękę, aby się przywitać.

Karol pochylił się i pocałował ją, przytrzymując chwilę dłużej, niż powinien.

— Z ogromną przyjemnością zostanę po prostu Karolem — powiedział z łobuzerskim błyskiem w oczach. — Niemniej jednak jestem zaskoczony, widząc panią... cię tutaj.

— Jestem na rodzicielskich wagarach — odpowiedziała i słysząc te słowa, nie poczuła żadnych wyrzutów sumienia, uświadomiwszy sobie zawartą w nich treść.

— Słusznie — zauważył Karol. — Każdemu się należą. W pierwszej chwili, jak cię zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś tu z Teodorem, ale doszedłem do wniosku, że nie chciałoby ci się zabierać go na drugi koniec miasta tylko po to, aby wyprowadzić go na spacer.

— Masz rację — roześmiała się, a Karol pomyślał, że ta Renata, którą spotkał, jest jakaś inna niż ta, którą widywał niemal codziennie w sklepie. — Dziś nie

zdążyłam jeszcze wrócić z pracy do domu. Zapraǳnęłam zrobić coś dla siebie i zobaczyć, jak to jest.

— No i jak jest?

— Fantastycznie!

— Mogę się przyłączyć? — wskazał na kierunek, w którego stronę zmierzała Renata.

Skinęła głową i schowała za ucho kosmyk, który, jakby zaciekawiony tym spotkaniem, wymknął się na policzek, aby lepiej słyszeć rozmowę. Karol sam miał ochotę to zrobić, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Szli obok siebie, prowadząc lekką konwersację o tym, co ich łączyło — sklep, Teodor, pani Emilia. Nieopatrznie Renata poruszyła temat zbliżającego się listopadowego Święta Zmarłych i wtedy Karol spochmurniał, a w jego ciemnych oczach pojawił się smutek. Dostrzegłszy to, Renata wiedziała, że dotknęła niezabliźnionej rany, ale było już za późno, aby wycofać słowa, które padły zupełnie nieświadomie.

— Szósty rok próbuję pogodzić się z nieobecnością żony i kolejny listopad uświadamia mi, że choćbyśmy nie wiem jak bardzo się starali, na nic nie mamy wpływu. Czas tutaj płynie nieubłaganie, a my trwonimy go na pierdoły, lekceważąc życie. Kiedy sobie przypomnę, ile bzdurnych kłótni było między nami i jak łatwo wyrzekaliśmy się czasu spędzanego wspólnie, to pluję sobie w brodę i patrzę w lustro z pogardą, bo wciąż tak za nią tęsknię, że to aż boli.

Nie wiedziała, czy chce o tym rozmawiać, ale nie mogła zignorować jego wyznania i przejść do rzeczy obojętnych i nieistotnych. Milczeć też nie potrafiła.

— Jak zmarła twoja żona? — spytała cicho, lekko schrypniętym głosem.

— Rak piersi. Choroba zabrała ją w ciągu dwóch lat. Miała czterdzieści pięć lat. Obiecała, że będzie świętować ze mną moje pięćdziesiąte urodziny i nie dotrzymała słowa. Cztery lata temu obchodziłem je sam. Syn nie mógł przyjechać. Miał wtedy pierwszą sesję.

W ciągu piętnastu minut rozmowy Renata dowiedziała się o Karolu więcej niż przez wszystkie te lata, kiedy przychodził do sklepu. Wiedziała, jaką wędlinę lubi i jaki chleb, jaką dietę preferuje jego czworonożny przyjaciel. Bez wahania odpowiedziałaby, że nie pali i od czasu do czasu kupuje butelkę piwa. Nigdy nie zdarzyło mu się mieć gorszego dnia i za każdym razem, gdy robił zakupy, był uprzejmy i kulturalny. Wiedziała nawet, jaką kawę pija, a nie miała pojęcia, jaki smutek nosi w sobie i jak trudno mu sobie z nim poradzić. Ot, takie życie. Żyjemy w pewnej społeczności, kompletnie nie znając ludzi, którzy są obok, których spotykamy i z którymi wymieniamy się zdawkowymi uprzejmościami. We współczesnym, rozpadzionym świecie człowiek człowiekowi zobojętniał, bojąc się bliskości i odpowiedzialności.

— Masz tylko jednego syna?

Karol skinął głową.

— Sebastian ma dwadzieścia pięć lat. Studiuje w Warszawie i pracuje w dużej firmie informatycznej. Jeszcze w zeszłym roku przyjeżdżał dużo częściej, teraz wiecznie nie ma czasu. Jak widzisz, mam tylko Rekxa, ale czasami po prostu potrzebuję z kimś porozmawiać, a Rex umie tylko słuchać.

— To też sztuka — odpowiedziała Renata, podnosząc spuszczoną głowę. Smutne spojrzenie, na które natrafiła, ścisnęło jej serce.

„Każdy człowiek nosi w sobie jakąś troskę. Życie każdego z nas to walka”, pomyślała.

— Przepraszam, jest piątek, koniec tygodnia, ty właśnie skończyłaś pracę, a ja wylewam na ciebie swoje żale.

— Przywykłam do słuchania — uśmiechnęła się, próbując tym przegonić mrok, który wkradł się między nich. — To część mojej pracy.

— Grzegorz powinien płacić wam podwójnie, również za etat psychoterapeuty.

Karol chwycił się tego uśmiechu jak koła ratunkowego.

— Ale ja nie umiem udzielać rad. Sama ich potrzebuję.

— Ale umiesz słuchać. A to potrafią tylko nieliczni. Zauważyłaś, jak bardzo we współczesnym świecie człowiek jest skupiony na własnym „ja”? Stajemy się narodem egoistów, jak zachodnie kultury. Kiedyś tak nie było. Kiedyś potrafiliśmy ze sobą rozmawiać, dziś umiemy tylko mówić, wrzaskliwie i często bez sensu.

Jesienny wiatr wdarł się chłodem pod kurtkę, przypominając, że październik zbiera się do odejścia, a listopad nie jest z natury tak łaskawy jak jego poprzednik. Renata zadrżała i zawróciła.

— Samochód mam na parkingu przed sklepem — powiedziała, widząc pytania w oczach Karola. — Myślę, że jak na pierwsze wagary to w zupełności wystarczy.

— Odprowadzę cię. — Karol przywołał Rekxa gwizdnięciem i przypiął go na smycz, a Renata z westchnieniem pozazdrościła tak ułożonego pupila, bo Teodor pomimo szkolenia wciąż przybiegał do niej wtedy, gdy miał na to ochotę.

Pomimo późnego piątkowego popołudnia osiedle Bolesława Prusa, którym wracali, było spokojne i pozbawione weekendowej nerwowości. Opustoszałe place zabaw tęsknie czekały na cieplejsze chwile, kiedy skuszone zabawą dzieci przypominały sobie lato. I tylko zaniepokojone mamy i nadopiekuńcze babcie upewniały się, czy szaliki i czapki są na swoim miejscu, i ogłaszały koniec zabawy, gdy ręce za bardzo się ochłodziły, a zęby zaczynały szczekać. O tej porze lublinianie wracali z pracy albo jechali po zakupy do hipermarketów, a osiedlowe uliczki pustoszały.

Zatrzymali się obok biblioteki, z której Renata często wypożyczała książki dla siebie i dziewczynek. Zaprzyjaźniona z kierowniczką, panią Marią Porębą, i pracującymi tutaj bibliotekarkami, często wstępowała przed pracą lub tuż po na

chwilę serdecznej rozmowy i po nowe książki. Od małego зараżała córki miłością do książek i choć teraz, z powodu szkolnych obowiązków i czasu pochłanianego przez portale społecznościowe, dziewczyny czytały mniej, to jednak zawsze prosiły o „coś fajnego”, kiedy tylko Renata informowała je, że zamierza odwiedzić bibliotekę — magiczne wnętrze, pełne mądrości zapisanej w słowach, które zawsze ją fascynowało.

— Dziękuję za miły spacer i wsparcie w usprawiedliwieniu moich wyrzutów sumienia — wyciągnęła rękę do Karola, drugą walcząc z niesfornymi kosmykami.

— Polecam się na przyszłość — ciepło uściśnął podaną mu dłoń. — A ja dziękuję za to, że mnie wysłuchałaś.

— Chciałabym móc ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze — powiedziała cicho.

— Już jest dobrze. Dzięki tobie.

Poczuła, że się rumieni, i nie mogła nad tym zapanować.

— Do zobaczenia, w sklepie lub na spacerze.

Uśmiechnął się, uruchamiając niteczki zmarszczek przy oczach, które rozbiegły się w różne strony.

— Do zobaczenia, Reniu.

Patrzył, jak wsiada do samochodu, zapina pasy i uruchamia silnik. Kiedy odjechała, stał jeszcze przez chwilę na parkingu, patrząc w jeden nieruchomy punkt, nie mogąc nadażyć za myślami, które galopowały w jego głowie. Dopiero kiedy Rex głośnym szczeknięciem zakomunikował, że mu się nudzi, Karol ocknął się i wrócił do domu, w którym czekała na niego tylko cisza. I wspomnienia, od których nie mógł się dzisiaj uwolnić.



— No i powiedz mi, Renia, co ja mam o tym myśleć? — Kasia przysiadła na krześle w pokoju socjalnym i korzystając z przerwy, dzieliła się z koleżanką wydarzeniami ostatniej soboty. — Dojrzały facet zaprasza mnie na kolację, za którą zresztą sam płaci, przez cały wieczór nie mówi nic o sobie, chowając męskie ego do kieszeni, i niczego ode mnie nie chce! Co więcej, nie traktuje mnie jak idiotki, za którą od czasu do czasu sama siebie uważam.

Renata upiła łyk rozbudzającej kawy, o której marzyła od początku porannej zmiany. Poniedziałek zawsze był dniem wzmożonej aktywności, a świeże pieczywo schodziło dużo wcześniej niż w pozostałe dni tygodnia. Do tego klienci byli podenerwowani perspektywą wejścia w ramy, które przez weekend nieco się poluzowały, a zbliżające się Święto Zmarłych tę atmosferę nerwowego oczekiwania jeszcze potęgowało.

— Co masz myśleć? — odstawiła kubek na stół, grzejąc gładką powierzchnię ciepłem swoich dłoni. — Kasiu, podobasz mu się i tyle. Może trafiłaś w końcu

na faceta, który zobaczył w tobie kobietę, o jaką warto powalczyć.

— On jest lekarzem, Renia. A ja zwykłą sklepową.

— No i co z tego? — Renata obruszyła się. — Nie widzę żadnego związku. Jesteś mądrą, młodą kobietą i możesz być, kim tylko chcesz. Nie szufladkuj sama siebie i nie oceniaj w ten sposób. Wpadłaś mu w oko, mówię ci. Wie o Marlence?

Kasia skinęła głową.

— Wie. Praktycznie cały wieczór o niej rozmawialiśmy. O niej i o mnie. Tak mnie ciągnął za język, że opowiedziałam mu pół mojego dzieciństwa i burzliwą młodość. Pytał nawet o Darka — zagryzła dolną wargę, wyglądając w tej chwili zupełnie jak mała, zagubiona dziewczynka.

— Daj mu szansę, Kasiu. — Renata położyła swoją dłoń na zimnej dłoni koleżanki. — Bez względu na to, co o tym myślisz, nie przekreślaj go na starcie tylko dlatego, że on skończył medycynę, a ty nie.

— Łatwo ci mówić. — Kasia westchnęła i przypomniała sobie o stygnącej kawie. — Tyle razy już się w życiu sparzyłam, że jakoś trudno mi uwierzyć, że tym razem życie mi nie dokopie. Czasami sobie myślę, że jest we mnie jakiś magnes, który przyciąga samych popaprańców.

— Więc pora to myślenie zmienić. Może życie postawiło ci tego lekarza na drodze właśnie po to, abyś się o niego potknęła? Zobacz, zawsze każde doświadczenie jest po coś. Gdyby nie choroba twojej mamy, nie miałabyś pojęcia o jego istnieniu.

— Może i lepiej? Po co mi kolejne rozczarowanie?

Renata pokręciła głową i głośno odstawiła kubek z kawą na stół.

— Dość tego! — powiedziała, patrząc koleżance prosto w oczy. — W tym duecie specjalistką od czarnych scenariuszy jestem ja, a nie ty, zawsze taka pełna energii. Musisz zacząć budzić się z myślą, że dzień szykuje dla ciebie coś dobrego, i oczekiwać, że to „coś” się wydarzy. Zaprosił cię na kolejną randkę?

Kasia skrzywiła się na dźwięk tego słowa.

— Powiedział, że zadzwoni, jak dostanie grafik dyżurów.

— To czekaj cierpliwie i nie myśl za dużo.

Do pokoju, w którym siedziały, zajrzała głowa uśmiechniętego Borysa, który codziennie wysyłał Kasi sygnały lekceważone przez dziewczynę.

— Przepraszam, ale pani Halinka prosi do pomocy. Duża kolejka zrobiła się przy kasie.

— Już idę. — Renata dopiła kawę i podniosła się, zostawiając koleżankę z nierozwiązanym dylematem i Borysem, który nie spuszczał z dziewczyny rozanielonego spojrzenia i nie tracił nadziei, że Kasia — wcześniej czy później — je odwzajemni.



Pani jesień usiadła ciężko na parkowej ławce, zapatrzona na przeredzone z liści drzewa, pochylające się markotnie ku ziemi. W powietrzu czuć było zapach listopadowych zbutwiałych liści szeleszczących pod stopami, a skuleni przed podmuchami porywistego wiatru przechodnie przemylkali szybko ulicami, zupełnie lekceważąc to, co jesień próbowała dla nich zachować. Na drzewach jeszcze złożyły się jesienne listy, pisane z miłości do człowieka, a choć było ich już coraz mniej, każdy miał w sobie wiadomość z przesłaniem, którą tak łatwo było przeczytać.

Jesień nie lubiła, gdy ludzie się smucili, więc wplątywała się w ich włosy ostatnimi nićmi babiego lata i ratowała ostatnie promyki słońca przed zapadnięciem w zimowy sen wśród chmur. Patrzyła bezradnie, jak pośpiech poganiał każdy dzień i jak ludzie próbowali dotrzymać mu kroku. Biegli zapędzeni, gubiąc po drodze drobiazgi, które wypadały im z kieszeni i których później nie potrafili już odnaleźć. Nie miała w sobie mocy, aby ich zatrzymać, ale zbierała te pogubione kawałki, zdobiąc nimi pozostałe do jej odejścia dni.

Niełatwa codzienność przynosiła nowe wyzwania i zadania do wykonania, a ludzie odkładali marzenia na potem, skupiając się na tym, co najpotrzebniejsze. Uśpione pragnienia hibernowały się jak niedźwiedzie zimą, a dni upływały monotonnie, napełniając przygnębieniem. W tym wszystkim nie dostrzegali jesieni, która nie chciała być tylko nostalgią i tęsknotą za tym, co odeszło, ale nadzieją na powroty i kolejne początki, z których składało się życie. Nieprzewidywalne, zaskakujące i pełne niespodzianek, z których składał się każdy zwyczajny dzień człowieka podejmowany o świcie.

Odchodząc parkową aleją, jesień pomyślała, że choćby barwiła świat najpiękniejszymi kolorami i przynosiła ludziom ciepło jesiennego słońca, i tak tego nie docenią, tęskniąc za latem, które rozpieszczało beztroską. „Ot, takie życie”, pomyślała, westchnęła smutno i odeszła, zostawiając za sobą dywan z liści szarpanych przez wiatr.

Rozdział dwunasty

OBIETNICA

Każde zakupy z Igą w centrum handlowym były dla Renaty koszmarem. Szukanie odpowiedniej na osiemnastkę sukienki okupione było nerwami i ostrą kłótnią, ponieważ ubraniowy gust Renaty był zupełnie inny od gustu jej prawie dorosłej córki. Odwiedziły mnóstwo butików i sieciówek, ale za każdym razem, gdy Renata zdejmowała z wieszaka coś, w czym widziałyby Igę, dziewczyna krzywiła się i prychała, natomiast rzeczy, które przymierzała córka, były dla niej zbyt wyzywające lub zupełnie pozbawione elegancji. Chcąc rozładować napiętą sytuację, Renata zarządziła przerwę na kawę, dając sobie czas na ochłonięcie, a Idze na ostudzenie wzburzonych emocji.

— Nie zaprzeczę, że masz ładne i zgrabne nogi. — Renata zaczęła rodzicielską pogadankę dyplomatycznie. — Ale nie pozwolę na to, żebyś paradowała przed ludźmi z tyłkiem na wierzchu.

— No to powiedz mi, kiedy mam pokazywać te nogi? Jak będę w twoim wieku?

Renata poczuła, jak jej irytacja zaczyna wrzeć, podnosząc się do niebezpiecznego poziomu.

— Odsłonić nogi, a wystawić na widok publiczny tyłek to dwie różne rzeczy.

— Mamo! — jęknęła Iga. — Czuję się zupełnie tak, jakbym słyszała babcię. Czasy się zmieniły, a ja muszę w jakiś sposób wyeksponować swoje atuty, póki je mam.

Renata pokręciła głową i nie zwracając uwagi na prychnięcia lekko zaskoczonej zachowaniem matki Igi, z czułością odgarnęła jej z czoła opadające na policzek długie pasma brązowych włosów.

— Kochanie, nie musisz walczyć o akceptację swoim ciałem — powiedziała łagodnie. — Jesteś ładna, ale przede wszystkim jesteś mądra. Nie chowaj tego, tylko uczyni swoim atutem, a wtedy ludzie będą cię traktować poważnie. Uroda wcześniej czy później przeminie, taka jest kolej rzeczy i nic na to nie poradzimy, ale to, co będziesz miała tutaj — wskazała na głowę, a potem przesunęła rękę na serce — i tutaj, zostanie w tobie na zawsze i nikt ci tego nie odbierze.

Iga spuściła głowę i obracała w dłoniach biały spodeczek, z którego zestawiła na bok wysoką szklankę do latte.

— Nie chciałaś nigdy pójść na studia i być kimś więcej niż sklepową, mamo?

W brązowych oczach, w które spojrzała Renata, była wielka miłość jej córki i przeprosiny za pytanie, które kiedyś musiało paść.

— Chciałam, kochanie, ale zabrakło mi wiary w siebie i w to, że dam radę. To były inne czasy, a u nas w domu się nie przelewało. Musiałam zdobyć konkretny zawód, aby pomóc rodzicom. I zdobyłam... — zamilkła, zapatrzona gdzieś w odległy punkt galerii, w którym przed oczami przesunęły jej się fragmenty odległej przeszłości. — Miałam kiedyś marzenia, jak każdy, ale widocznie nie uwierzyłam w nie tak bardzo, aby mogły się spełnić. I wiesz, córciu, niczego nie żałuję. Nie zamieniłabym swojego życia na inne nie dlatego, że się do niego przyzwyczaiłam, ale dlatego, że jestem w nim szczęśliwa. No, może od wyjazdu taty trochę mniej, ale... jestem. A bycie sklepową to nie grzech ani wstyd. Lubię swoją pracę, lubię ludzi, których tam spotykam, i wierzę, że jestem w takim miejscu, w jakim powinnam być. Ważnym dla mnie i dla tych wszystkich ludzi, którzy robią u nas swoje codzienne zakupy. Moja praca to coś więcej niż sklep. To chwila zatrzymania przy człowieku, jakiej nie doświadczysz w żadnym pięknym biurówcu, w którym wszystko jest ze stali i szkła, i tak zimne, jak relacje między ludźmi, którzy tam pracują.

Iga słuchała swojej matki tak, jakby dopiero teraz ją poznawała. Często ze sobą rozmawiały, ale Renata rzadko mówiła o sobie. Dla niej najważniejsze zawsze były one — Iga i Julia. To ich problemy stawały się problemami Renaty i ich potrzeby przede wszystkim były zaspokajane. Obie tak do tego przywykły, że przestały to w ogóle dostrzegać. Dorastając, pozamykały się we własnych światach, w których dla rodziców było mało miejsca, a już najmniej ważne było to, co oni czują. Owszem, Iga pomagała Renacie, widząc, że matka jest zmęczona, albo dla świętego spokoju, żeby jej nie „ględziła” nad uchem, ale nie przyszło jej dotąd do głowy, aby zobaczyć w matce kobietę, którą przecież przede wszystkim była.

— Wiesz co, chodźmy jeszcze raz przymierzyć tę sukienkę, która ci się podobała. — Iga dopiła latte i uśmiechnęła się do Renaty, komunikując, że zakupuje wojenny topór i wywiesza białą flagę.

— Tę długą, z rozcięciem aż do uda?

Iga skinęła głową.

— Doskonale podkreślała twoją figurę. I pasowałyby do niej perełki, które dostałaś od babci.

— Wypiłaś już kawę? — Iga pochyliła się i zajrzała w filiżankę Renaty.

— Wypiłam. Idziemy?

— Idziemy.

Podniosły się i ruszyły, ramię w ramię, matka i córka. Dwie najbliższe sobie kobiety, każda inaczej postrzegająca świat i z różnymi oczekiwaniami wobec życia. Młodość Igi zachłanna i z głową pełną dziewczęcych marzeń, jeszcze trochę naiwna i idealistyczna; a dojrzałość cierpliwa i wyrozumiała, pełna lęku o młodość, która wszystkiego chce spróbować po swojemu. Już bez wymagań stawianych życiu, które i tak weryfikuje ludzkie oczekiwania, ale bogatsza o doświadczenia

i mądrzejsza o błędy, na których sama się sparzyła, zapamiętując wszystkie życiowe lekcje.



Pierwszy śnieg jest jak pierwsza miłość. Nieskażony brudem, który nanosi codzienność, przyjmowany bez porównywań i narzekań, zaskakujący świeżością i radosnym oczekiwaniem na to wszystko, co ze sobą przyniesie.

Kasia lubiła ten pierwszy biały puch, który jeszcze nieśmiało okrywał świat, narzucając na niego leciutką białą pelerynkę. Pierwszy śnieg otwierał ukryte drzwi do baśniowego świata dziecięcej magii, z której wielu ludzi nigdy nie wyrasta. Był biletem w jedną stronę tam, gdzie śnieżynki mają swoje imiona, marzenia zawsze się spełniają, a dorosłe życie ze swoimi problemami nigdy nie ma tu dostępu. Wydeptując ślady swoich stóp na białym dywanie, Kasia czuła się tak, jakby wchodziła przez niewidzialną dla ludzkich oczu bramę do krainy, w której uda jej się być szczęśliwą. Tak po prostu. Bez lęków, z którymi się budziła i których nie zabierała noc. I bez pokornego oczekiwania na to, co i tak nieuchronnie nadejdzie, wcześniej czy później.

Zaproponowała dziś ten przedpołudniowy spacer Krzysztofowi, który zadzwonił z propozycją spotkania. Zaskoczyła go, bo liczył na standardową kawę w jakiejś przytulnej kawiarence. Przyjął jednak propozycję spotkania w parku Saskim, który dziś nikogo nie pozostawiał obojętnym. Białe czapy śniegu osiadły na konarach zdziwionych drzew, które lekko ugięły się pod puchowym ciężarem, a alejki i trawniki zginęły pod bielą, która zatrzymywała przechodniów, choć przez chwilę przystających w zachwycie.

Krzysztof rozglądał się po parku tak, jakby widział go po raz pierwszy, a Kasia nie mogła powstrzymać uśmiechu, obserwując reakcję dojrzałego mężczyzny, który odnalazł w sobie chłopca.

— A mówiłam, że to dużo lepsze niż kawa? — powiedziała przekornie, spoglądając na mężczyznę. Krzysztof zauważył dziś w jej oczach iskierki błyszczące zupełnie tak, jak śnieżynki w słońcu, i uświadomił sobie, że sam dawno już zagubił tę spontaniczną radość, jaką daje taka zwyczajna i prosta, a jednak oderwana od rzeczywistości chwila.

— Przyznaję ci rację, choć muszę powiedzieć, że po takiej dawce świeżego powietrza czuję się jak na dobrym haju i nawet kręci mi się w głowie.

— A to z pewnością od mojej bliskości — odpowiedziała Kasia, uśmiechając się do Krzysztofa kokieteryjnie.

Flirtowała z nim na granicy bezpieczeństwa. Po ostatniej przygodzie z Mikołajem była już dużo ostrożniejsza i nie miała wobec młodego doktora żadnych oczekiwań. Od pierwszej wrześniowej kolacji w Mandragorze spotkali się kilkakrotnie, raz nawet poszli do kina na film zaproponowany przez Krzysztofa, jednak

ich znajomość nadal pozostawała dla Kasi tajemnicą. Nie miała pojęcia, dlaczego Krzysztof proponował jej te spotkania. Nie wysyłał żadnych sygnałów, zawsze traktował ją z szacunkiem i słuchał tego, co mówiła. Wciągał ją w fascynujące dyskusje o świecie, nauce i medycynie, podpuszczał, a potem wycofywał się ze swojego stanowiska, zostawiając Kasię z jej argumentami, którym przysłuchiwał się z zainteresowaniem. Obserwował ją wtedy, gdy wydawało mu się, że nie patrzy, i często pytał o Marlenkę. I o Jadwigę. Umiał ją tak podejść, że fragmentami opowiadała mu swoje życie, milknąc zażenowana, gdy przekraczała zbyt osobistą dla siebie granicę. Nie oceniał jej. Nie udzielał rad i niczego nie komentował. Po prostu słuchał. A Kasia po każdym takim spotkaniu wracała do domu i próbowała rozgryźć mężczyznę, który budził w niej mieszane uczucia.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem na spacerze.

— Oglądasz świat z okna szpitala i zza szyby samochodu. Nie masz psa, którego musiałbyś wyprowadzać na obowiązkowe spacer, ani czterolatki, której żadna pogoda nie przeszkadza w dobrej zabawie. Czy ty masz w ogóle jakieś życie poza szpitalem?

— Szczerze? — spojrzał na nią jakoś tak inaczej, poważniej. — Te chwile z tobą — dokończył, zostawiając Kasię ze słowami, których się nie spodziewała. — Medycyna wymaga ofiar i poświęceń. Niewielu partnerów jest w stanie to wytrzymać i zrozumieć. Przyjaciele też po jakimś czasie odpuszczają, a ty, schodząc z dyżuru, marzysz tylko o tym, aby się wyspać i choć przez kilka godzin mieć święty spokój. A potem któregoś dnia budzisz się rano, mając trzydzieści sześć lat, z pustką wokół siebie. I nie masz bladego pojęcia, co zrobić ze swoim życiem, więc wstajesz, ubierasz się i jedziesz do szpitala, który jest jedynym stałym punktem odniesienia.

— Poważny temat jak na tak beztrąsko zaczęty poranek — odpowiedziała Kasia, wpatrzona w czubki swoich butów, do których przyczepiły się maleńkie gwiazdeczki śniegu.

— Zapytałaś, więc ci odpowiedziałem.

— A odpowiesz mi na pytanie, dlaczego zaproponowałeś mi tę pierwszą kawę w szpitalu? — podniosła głowę, odrywając wzrok od koronkowych wzorów na butach, i spojrzała uważnie w szare oczy mężczyzny.

Nie uciekł przed jej spojrzeniem i odpowiedział tak samo szczerze jak na jej poprzednie pytanie.

— Bo przyszedł do mnie z innego świata, bez tej potulności i uległości wobec życia, pełna żywych emocji, które mnie zafascynowały. Nie było w tobie obojętności, tylko furia, która mnie zaatakowała.

— Bo byłeś impertynencki i grubiański.

Uśmiechnął się, obserwując, jak Kasia zabawnie marszczy nos, analizując wszystko, co powiedział.

— Przyznaję, byłem. Popelniam ten błąd, że zbyt pochopnie oceniam ludzi, wyciągając błędne wnioski. Twoja mama potrafi świetnie grać.

— Jak każdy alkoholik. — Kasia włożyła ręce do kieszeni, czując zimno w palcach pomimo rękawiczek.

— Podziwiam w tobie siłę i ten upór, tę determinację, która wbrew wszystkiemu pcha cię do przodu bez oglądania się na to, co zostawiasz za sobą.

— Wiesz co, zbyt wiele cukierków już chyba dzisiaj dostałam. Skończmy może tę rozmowę o mnie, co?

— Tę twoją skromność też w tobie lubię — odpowiedział, a potem zrobił coś, o co sam siebie nie podejrzewał. Chwytając za gałąź drzewa, pod którym stała dziewczyna, strzepnął na nią śnieg otulający giętkie konary, zasypując Kasię deszczem białego puchu.

Zapiszczała zupełnie jak Marlenka, a potem niewiele myśląc, ulepiła w pośpiechu mokrą kulę i rzuciła w młodego doktora, który odkrył w sobie dziecko. Bitwa na śnieżki przeniosła ich oboje w świat dzieciństwa, który przyjmuje wszystko bez zastrzeżeń i wierzy w szczęśliwe zakończenia. Na tę krótką chwilę zapomnienia zarówno Kasia, jak i Krzysztof zostawili te wszystkie sprawy, które przynieśli ze sobą do parku, i doświadczyli uczucia lekkości i nadziei, że wszystko, co się w ich życiu pokomplikowało, ułoży się i rozwiąże. Połykając świeże, orzeźwiające powietrze, które zapachniało szczęściem, oboje czuli się jak lekko pijani dobrym alkoholem, który postawiło im życie.

Zmęczeni, oparli się o pień klonu, odpoczywając. Kasia miała wrażenie, że w jej krwi krążą same endorfiny. Widziała je także w oczach Krzysztofa, z którego twarzy nie znikał uśmiech nadający mu wygląd rozbawionego chłopca. Nie czuła zimna mokrych rękawiczek ani chłodu wciskającego się pod kurtkę. Gdyby mogła, pozostałaby w tym parku, pod tym drzewem, pielęgnując w sobie małą dziewczynkę, która wraz z pierwszym śniegiem odważyła się wyjść zza muru, za którym Kasia dawno temu ją zamknęła.

— Chciałbym poznać twoją córkę.

Słowa Krzysztofa sprowadziły Kasię na ziemię. Teraz dopiero poczuła zimny dreszcz wędrujący po jej plecach wzdłuż kręgosłupa.

— Wiesz, że jak na swoje cztery lata przeżyła zbyt dużo? — zaczęła Kasia ostrożnie. — Nie mogę fundować jej emocjonalnych huśtawek i wprowadzać w jej życie facetów, którzy pojawiają się i znikają jak jej tatuś. Co jej powiem?

— Prawdę. Że jestem lekarzem, który leczy jej babcię i bardzo chciałem poznać dziewczynkę, o której ta babcia tak dużo opowiadała. I dlaczego zakładasz, że zniknę? — Popatrzył na dziewczynę z powagą, jakiej nigdy wcześniej nie widziała w niczyich oczach.

— Bo mężczyźni szybko się nudzą — odpowiedziała cicho, a potem, jeszcze ciszej, dodała: — I boją się odpowiedzialności.

To był impuls, nad którym nie zapanował. Nie potrafił, a może nie chciał. Przyciągnął Kasię do siebie, odgarnął mokre kosmyki, które poprzyklejały się do policzka dziewczyny, a potem patrząc na nią z ogromną czułością, delikatnie dotknął wargami najpierw zmarzniętego nosa, a potem zimnych ust, które trochę zdziwione przyjęły ten pocałunek jak obietnicę, w którą Kasia jeszcze bała się uwierzyć.



Od samego rana Renacie wszystko leciało z rąk. Rozsypała sól, w którą Teodor od razu wsadził swój nos, cofając się zdziwiony i zawiedziony, a potem kichając jak z dubeltówki. Zbiła ulubiony kubek Staszka, o który niechcący zahaczyła, i wylała na podłogę mleko, które postawiła w lodówce na samym brzegu. Zamiast zająć się bałaganem, po prostu usiadła na kuchennym stołku i rozplakała się bezradnie.

W takim stanie zastała ją Julka, która zaspana weszła do kuchni, ziewając. Na widok płaczącej mamy przykucnęła przy Renacie zaniepokojona.

— Coś się stało, mamuś?

— Jestem beznadziejna — wychlipała Renata. — Wszystko, czego się dotknę, rozsypuje się. Nie potrafię nawet przygotować obiadu urodzinowego dla własnej córki. Trzęsą mi się ręce i w ogóle... cała się trzęsę i chyba zostanę już na tym stołku do końca świata i nie ruszę się stąd wcale.

Julia rozbudziła się na dobre i doszła do wniosku, że sama sobie z tym stanem matki nie poradzi i że potrzebuje pomocy. Wybiegła z kuchni i najpierw obudziła bohaterkę dnia, a potem wybrała numer ciotki Moniki. To była najlepsza i najbardziej skuteczna reanimacja na wszystkie „stany zapalne” Renaty.

— Co tam, Juleczko? — usłyszała w słuchawce radosny jak skowronek głos Moniki. — Mama się rozsypała?

— Kamerę masz jakąś u nas, ciociu, czy co? — Julię od zawsze zadziwiała przenikliwość przyjaciółki mamy.

— Nie, to lata doświadczeń przeżyte z twoją mamą. Co tam mamy, atak paniki?

— Chyba tak. — Julia pokiwała głową, pomimo że ciotka i tak nie mogła jej zobaczyć. — Na podłodze jest mnóstwo białego, wygląda na sól i mleko, a mama siedzi nad rozbitym kubkiem taty i płacze.

— No, nie wygląda to dobrze. — Monika na chwilę zawiesiła głos, a potem wydała Julce polecenie: — Daj mi ją do słuchawki, a sama zajmij się podłogą. I obudź Igę, będzie nam potrzebna.

— Okej. — Julia z powrotem weszła do kuchni, krzywiąc się na widok bałaganu, którym miała się zająć. — Daję ci mamę. — Wcisnęła do ręki Renaty swoją komórkę i syknęła tylko: — Ciotka Monika!

Te dwa słowa podziałały, a Renata ścisnęła telefon tak mocno, jakby złapała się jedyne koła ratunkowego na rozległym oceanie.

— Halo? — w jej głosie było tyle bezradności, że Monice ścisnęło się serce.

— Renia, co jest?

— W ogóle nie jest — odpowiedziała Renata. — Mam atak paniki, nad którym nie umiem zapanować, przeraża mnie to, że z niczym się nie wyrobię na czas, a do tego zbiłam ulubiony kubek Staszka, który dostał od Julii. Moja córka stała się dziś pełnoletnia, za kilka godzin będzie tu tłum ludzi, a ja nie mam ochoty ruszyć się z tego stołka, na którym zasiadłam, bo tu jest mi najlepiej.

Monika westchnęła, myśląc, że to nie będzie łatwy dzień.

— Posłuchaj mnie teraz, Renato Grońska — zaczęła tonem, który sprawił, że Renata się wyprostowała. — Zajmiesz się teraz polędwiczkami i nakryciem stołu. Jak już przygotujesz salon, skupisz się na zupie dyniowej. I tyle. Niczego więcej nie dotykasz. Sałatkami zajmie się Iga, w końcu pełnoletniość do czegoś zobowiązuje. Julia obierze ziemniaki, które przypilnujesz, posolisz i ugotujesz, ale to już przed samym przyjściem gości. Dorzucimy jej jeszcze ogarnięcie mieszkania, a tobie w tym czasie spacer z Teodorem dla ochłonięcia. Tort przywiozę, tak jak ustaliłyśmy. Owoce też. A zamiast kwiatów moja chrześnica dostanie swoje ulubione ciasto, które dla niej z miłością upiekłam, Panią Walewską.

— Kwiaty! — Renata nagle poderwała się ze stołka i uderzyła dłonią w czoło. — Muszę odebrać bukiet z kwiaciarni!

— Osiedlowej? — dopytywała Monika.

— Tak, ma być gotowy na dwunastą.

— To masz jeszcze dużo czasu. Zabieraj się za polędwiczki i dynię. Nie wąż się robić dziewczynom śniadania, mają rączki, same sobie doskonale poradzą. I daj mi teraz Julkę, bo muszę jej przedstawić plan działania. O nic się nie martw, przyjadę po trzeciej, do czwartej ze wszystkim damy radę.

— Kocham cię! — Renata otarła z zawstydzeniem łzę, która wymknęła się z oka.

— Ja ciebie też. Daj mi Julę i zabieraj się do pracy.

Renata podała telefon córce, która całkiem nieźle poradziła sobie z uprzątnięciem kuchennej katastrofy, a sama zamknęła się w łazience, aby podarować sobie piętnaście minut na ochłonięcie i zebranie sił do czekających ją obowiązków. Gdy stamtąd wyszła, zabrała się do działania z energią, o którą sama siebie nie podejrzewała. Siła przyjaźni dodała jej skrzydeł.



Renata patrzyła na swoją małą córeczkę, która tak zupełnie niepostrzeżenie stała się dorosłą kobietą, i nie mogła powstrzymać wzruszenia. Jej zielone oczy zalśniły wilgocią, a słonych kropelek nie powstrzymała nawet świadomość, że jest

dzisiaj delikatnie pomalowana, a jej tusz do rzęs niekoniecznie jest wodoodporny.

Iga wyglądała przepięknie. Czarna sukienka podkreślała smukłą figurę dziewczyny, a długie rozcięcie z boku odsłaniało zgrabną nogę, na której pozostały jeszcze ślady opalenizny. Na szyi Igi odznaczał się zgaszoną bielą naszyjnik z pereł, którym kilka lat temu obdarowała wnuczkę mama Stanisława, a w uszach kołysały się perłowe kolczyki w kształcie łez, dokupione już przez Renatę. Piękna kobieta stojąca przed Renatą patrzyła na nią oczami Staszka i emanowała blaskiem szczęścia i młodości, przed którą świat stał otworem.

— Mamuś, nie płacz. — Iga podeszła do matki i położyła jej ręce na ramionach, zaglądając głęboko w oczy.

Renata pociągnęła nosem i pokręciła głową, a potem wspinając się na palce, pocałowała córkę w czubek głowy.

— Wyglądasz prześlicznie.

Iga uśmiechnęła się.

— Dziękuję. Ty też, mammo.

Renata machnęła ręką.

— To twój dzień i twoje święto. Szkoda, że tata nie będzie mógł cię zobaczyć.

— Ma się z nami połączyć po pracy.

— To nie to samo. — Renata sięgnęła po chusteczkę i delikatnie wytarła mokre oczy. — Monitora nie da się przytulić.

— W święta włożę tę samą sukienkę. Będzie miał namiastkę dzisiejszego dnia.

— To nie to samo — powtórzyła Renata.

Mogłaby tak stać, wpatrując się w córkę, która tak nagle jej urosła i dojrzała, dźwięk domofonu wywabił ją jednak z pokoju, który zmieniał się wraz z Igą, przechodząc fazy różnych fascynacji dziecięco-nastoletnich.

— Ciotka Monika — powiedziała Renata, zerkając na zegarek. Podeszła do domofonu, pod którym stał ujadający Teodor, i wpuściła do środka przyjaciółkę, która — Renata była tego pewna — za chwilę przejmie dowodzenie. Wraz z Moniką do mieszkania wpadł podmuch listopadowego wiatru i dobra energia, która objęła Renatę i zapewniła, że to będzie wyjątkowe popołudnie i niezapomniany wieczór.

— Weź ode mnie ciasto i uwolnij mnie od tego tobołu dyndającego na ręku. Antek z Pawłem pojechali po tort, a Ignacy zaraz doniesie resztę rzeczy z samochodu. Teodor, cicho! Coś ty zrobiła z oczami?

— Rozmazałam się — odpowiedziała Renata, wykonując posłusznie wszystkie polecenia Moniki. Ciasto schowała do lodówki, przezornie zostawiając tam wcześniej pustą półkę, a toboł z owocami położyła na parapecie, przygotowując odpowiednią miskę, do której po umyciu przełożyła winogrona, dokładając do nich

banany i mandarynki.

Poprawiając w łazience makijaż, zupełnie odzyskała spokój, wiedząc, że ma przy sobie wsparcie Moniki, Julii i swojej mamy, której głos usłyszała w przedpokojach, więc nic już jej nie zaskoczy i wszystko uda się tak, jak to zaplanowała. Pięknie i uroczyście. Dla Igi.

Kiedy później wspominała ten dzień, wiedziała, że chwile, które głęboko zapisała w sercu, zachowa na zawsze w pamięci i będzie je przywoływać wtedy, gdy zamarznie jej serce. Roziskrzane oczy Igi wyrażały wdzięczność za każdym razem, gdy spotykały się z zielonymi oczami matki. Julia, jak na dobrą gospodynię przystało, krzątała się między kuchnią a stołem, pomagając Helenie, która przejęła dowództwo, przykazując córce zajęcie stałego miejsca przy stole i nieprzeszkadzania. Rodzice Staszka, przejęci doniosłą chwilą, wpatrywali się w najstarszą wnuczkę z zachwytem i nadzieją. Siedząca w wygodnym fotelu tuż obok Renaty 92-letnia babcia Stanisława z dumą przyglądała się prawnuczce, raz po raz klepiąc Renatę po dłoni.

— Ładna wam wyrosła ta panienka. I bardzo do Stasia podobna.

Renata uśmiechnęła się jako matka świadoma skarbu, jaki posiada.

— Podobna, babciu. I z urody, i z charakteru.

— Stasio to taki dobry chłopak. A właściwie dlaczego go jeszcze nie ma? — Babcia rozejrzała się dookoła i spojrzała na Renatę zawiedziona.

— Przecież mówiłam mamie, że Stanisław wyjechał do pracy, do Anglii. — Teściowa Renaty wtrąciła się do rozmowy.

— No przecież wiem, że do pracy. Ale obiecał, że zdąży na tort. — Babcia obstawała przy swoim.

— Co też mama opowiada, przecież Staszek jest w Londynie. Przyjedzie dopiero na święta. — Renata zauważyła, jak jej teściowa wznosi oczy do nieba, próbując wytłumaczyć własnej teściowej skomplikowaną sytuację rodzinną.

— Prosił, aby poczekać na niego z tortem — upierała się babcia.

— No i widzisz, Renatko — teściowa załamała ręce — i taka z nią rozmowa.

— Zobaczmy, jak ty będziesz rozmawiać, jak będziesz w moim wieku — odpowiedziała babcia i zwróciła się do Renaty: — Daj mi jeszcze popróbować tamtego serniczka. Bardzo lubię twoje ciasta. I ciebie też lubię. Dobra jesteś dla Stasia.

Renata nałożyła babci kawałeczek sernika pod bezową pierzynką i spojrzała na gości, którzy przyszli tu dla Igi. Byli wszyscy najbliżsi, z wyjątkiem Staszka i chrzestnego ojca Igi, który na stałe mieszkał w Krakowie i z powodu obowiązków zawodowych nie mógł przyjechać, obiecując wizytę w czasie świąt Bożego Narodzenia. Brat Staszka nigdy nie czuł się związany z rodziną, z samym Stanisławem też miał dość trudny kontakt, dlatego nikogo nie zdziwiła jego nieobecność przyjęta z wyrozumiałością. Może tylko teściowa Renaty częściej się zamyślała, patrząc na puste miejsca przy stole, przy którym zabrakło jej synów, a i sama Renata czuła

bolesne uklucie, uświadamiając sobie, że tej chwili nie da się cofnąć ani powtórzyć i że Staszek nie będzie częścią tego dnia, którego Iga nigdy nie zapomni. Cieszyła ją tym bardziej obecność Moniki i jej rodziny, mimo że Ignacy spędzał czas ze smartfonem i wyglądał na lekko znudzonego. Pozostała trójka natomiast czuła się tutaj bardzo dobrze. Paweł wciągnął teścia Renaty w dyskusję na tematy motoryzacyjne, a Monika prowadziła ożywioną rozmowę ze swoją chrześnicą, która była dziś przeszczęśliwa, bo prezentem urodzinowym od matki chrzestnej był kurs prawa jazdy, który Monika zafundowała jej z okazji osiemnastki.

— Wyglądasz tak zjawiskowo, że gdyby nie to, że traktuję cię jak siostrę, byłbym gotów stracić dla ciebie głowę — powiedział Antek, zerkając dyskretnie na zegarek.

— Ależ głowę możesz dla niej tracić — wykrzyknęła Monika, podnosząc kieliszek z czerwonym winem i upijając łyk lekko cierpkiego płynu. — Nic nie stoi na przeszkodzie, przynajmniej miałabym obłaskawioną synową, której przez osiemnaście lat się przyglądałam z tą nadzieją, że jednak się nią zachwycisz.

— Ależ ja się nią zachwycam! — zapewnił Antek.

— Ale nie tak, jak bym chciała. — Monika puściła do niego oko, spojrzała na wyświetlacz swojej komórki, a potem zakaszła jakoś nerwowo.

— Ciociu, Justyna wcale nie jest gorsza ode mnie — powiedziała Iga, patrząc zawiedziona na Antka, który podnosił się od stołu, wyciągając rękę po kluczyki i dokumenty samochodu Moniki. — A ty gdzie?

— Przepraszam, ale obiecałem, że odbiorę Justę z fitnessu i podrzucę do domu. — Antek, który od trzech miesięcy był szczęśliwym posiadaczem prawa jazdy, korzystał z każdej okazji, kiedy mógł pożyczyć samochód. Dziś dodatkowo pełnił funkcję szofera, gdyż uradowani rodzice poinformowali go, że opłacili jego kurs prawa jazdy właśnie po to, aby mógł przywozić ich z imprez, na których mogli teraz oboje sprawiedliwie spróbować alkoholu.

— To przywieź ją tutaj. — Iga posłała Antkowi prośące spojrzenie.

— Okej, niedługo wrócę — odpowiedział, spojrzał z uśmiechem na ponaglącą go Monikę i wyszedł, zamykając drzwi przed nosem zawiedzionego Teodora.

— Dlaczego Stasia jeszcze nie ma? Mam już ochotę na tort — zagrział donośny głos babci, która z racji tego, że niedosłyszała, mówiła głośniejszym głosem niż inni.

Renata spojrzała na zegarek, a potem wymieniła z Igą spojrzenia, pytając w milczeniu, czy to już czas na główną atrakcję wieczoru, jaką miał być tort z osiemnastoma świeczkami.

— Mamo, Staszek jest w Londynie — znużonym głosem odpowiedziała teściowa.

— Ale obiecał, że na tort zdąży. Spóźnia się. Nieładnie, bo wszyscy czekają.

Renata poczuła, że musi przez chwilę pobyć sama. Podniosła się i schowała w łazience, która była jedynym ustronnym miejscem w domu pełnym ludzi.

Z lustra patrzyły na nią zmęczone oczy kobiety, w której nagle zgasła wszelka radość. Trzymała się dzielnie przez całe popołudnie i wieczór aż do teraz. Dotkliwie odczuła brak Staszka, który uświadomiły jej słowa babci. Tak ważny moment w życiu ich rodziny spędzały bez niego, i to raniło najboleśniej. Brak i bezsilność, że nic nie mogła zrobić. Mogła to jedynie zaakceptować albo pielęgnować w sobie żal, który rodził gorycz. Życie i jego trudne wybory. Nikt nie powiedział, że będzie proste, ale też i nikt nie uprzedził, że tęsknota boli aż tak bardzo.

— Mogę? — do łazienki zajrzała zaniepokojona Monika. Wsunęła się bezszelestnie i stanęła za Renatą, obejmując ją i opierając głowę na jej ramieniu. — Rozkleiłaś się? — Dwa bliskie sobie spojrzenia spotkały się w lustrze. Renata bez słowa skinęła głową.

— Iga jest dużo dzielniejsza ode mnie.

— Jej świat nie koncentruje się na Staszku. Twój tak.

— Takie chwile jak dziś... nie powinniśmy być same.

— Nie powinniście. — Monika pokręciła głową. — I nie jesteście.

— Wiem, Moni, ale...

— Wiem, Renia.

Trwały tak przez moment milczenia, przytulone do siebie i wzajemnie obdarowujące się swoją bliskością i ciepłem.

— Podam chyba tort. Babcia jest zmęczona, teściowie pewnie będą chcieli już niedługo wracać. — Renata sięgnęła po chusteczkę i wydmuchała nos.

— Pomogę ci. — Monika odkleiła się od przyjaciółki i umyła ręce. — Gotowa?

Renata skinęła głową i wyszła, kierując się do kuchni. Przygotowała talerzyki, które Julia zaniosiła do pokoju, i wyjęła z lodówki pięknie udekorowany tort zamówiony u zaprzyjaźnionej klientki ze sklepu. Świeczkami zajęła się Monika w obawie, że rozbita emocjonalnie Renata uszkodzi wyszukane dekoracje, układające się na torcie niczym misterna koronka na obrusie.

Monika wniosła też płonący tort do pokoju, a Renata wyszła po nóż. Nie dobiegła do kuchni. Przystanęła oparta o ścianę przedpokoju, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w drzwi, w których stał Staszek. Tuż za nim Renata dostrzegła roześmianego Antka, który podnosił w górę oba kciuki.

— Widzisz, ciotka, jaką ci niespodziankę przywiozłem z lotniska? — powiedział głośno, próbując przekrzyczeć Teodora, wylewnie witającego pana.

Nie pamiętała żadnych szczegółów tego wieczoru od momentu, gdy Staszek pojawił się w drzwiach. Usłyszała jeszcze tylko głos babci, krzyczącej:

— A mówiłam, że obiecał i na tort zdąży? A nikt mi nie wierzył.

Silne, znajomo pachnące i bezpieczne ramiona zamknęły się wokół Renaty, a ona sama rozplakała się jak mała dziewczynka w ramionach mężczyzny, bez którego nie umiała już nawet się cieszyć.



Renata pragnęła, aby ta noc nigdy się nie skończyła. Emocje opadły, pozostało zmęczenie, mimo to nie chciała marnować godzin na sen, gdy miała Staszka tak blisko i tylko dla siebie.

Goście się porozjeżdżali, dziewczynki dawno już poszły spać, a oni siedzieli w półmroku rozproszonym jedynie światłem nocnej lampki, wsłuchani w ciszę nocy i w siebie.

— Dlaczego nic nie powiedziałeś? — w głosie Renaty czuć było lekki wyrzut.

— Rena, już ci mówiłem, nie miałem pewności, że uda mi się załatwić zastępstwo w pracy, i stwierdziłem, że niespodzianka jest dużo lepsza niż rozczarowanie. Nie mogłem znieść myśli, że mogłoby mnie zabraknąć tego dnia przy Idze. Kiedy to minęło, Rena? Przecież ona dopiero co się urodziła...

— Pamiętasz, jak bałeś się ją wziąć po raz pierwszy na ręce? — Renata uśmiechnęła się do wspomnień sprzed osiemnastu lat.

— Była taka maleńka i wydawała się krucha jak porcelana... A ty pamiętasz, jak miała taką fazę, że zasypiała tylko ze mną?

— Zawsze była córeczką tatusia — mruknęła, przysuwając się do męża i przytulając do jego ciepłego ramienia.

— Jeszcze trochę, a będziemy musieli ją oddać obcemu mężczyźnie. — Stanisław skrzywił się. — Myślisz, że dam radę?

— Myślę, że obojgu nam będzie z tym ciężko. Zobacz, dzieci stały się całym naszym światem. Życie kręci się wyłącznie wokół nich. Nawet ten twój wyjazd...

— Rena, to chyba naturalne, że chcemy, aby im było lepiej na starcie, niż było nam. Kiedyś nam za to podziękują i zajmą się nami, gdy już sami nie będziemy dawali rady. — Staszek uśmiechnął się do żony. Była zmęczona, widział to. Zauważył też kilka dodatkowych linijek pod oczami, których jeszcze w sierpniu tam nie było. Zwrócił jednak uwagę na coś z pozoru nieuchwytnego, czego nie było w Renacie przed jego wyjazdem. Jakaś większą pewność siebie i odwagę wejścia w życie, a nie stąpania po nim jak dotąd, jak po kruchym lodzie. Rozbudzona kobiecość, karmiona tęsknotą, też Stanisława zaskakiwała. Dłoń żony, dotychczas nieśmiała, teraz błędziła nieświadomie po jego ciele, sprawiając, że drżał i nie mógł skupić się na niczym poza tym dotykiem, który przekraczał granice.

— Monikę jednak wtajemniczyłeś w swoje plany. — Dłoń przystanęła, a Renata odsunęła się od męża i usiadła tak, aby go widzieć.

— Ktoś musiał mnie odebrać z lotniska — odpowiedział zawiedziony przerwana grą.

— A babcia skąd wiedziała?

Stanisław roześmiał się.

— Rozmawiałem z nią przez telefon kilka dni temu. Jej jednej powiedziałem. Wiedziałem, że i tak nikt jej nie uwierzy, więc nie zepsuje mi niespodzianki.

— Strasznie za tobą tęsknię. — Oczy Renaty wypełniły się błyszczącymi diamentkami, które Staszek otarł kciukiem.

— To dobrze, że tęsknisz. To znaczy, że jeszcze mnie kochasz — wyszeptał, przysuwając się do żony, która zawróciła mu w głowie zupełnie tak samo, jak zrobiła to dwadzieścia lat temu.

— Bardzo cię kocham. I nie lubię się z tobą żegnać. Naprawdę musisz wracać już w poniedziałek?

— Samolot mam o siódmej rano. O czternastej muszę być w pracy. Święta już niedługo, Rena. Będę miał dwa tygodnie wolnego. Zdamy się sobą nacieszyć.

— Przez dwa tygodnie? — pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Wiesz, jak bardzo można się nacieszyć sobą przez dwa tygodnie — zamruczał Staszek, przysuwając się do Renaty i smakując pocałunkiem delikatną skórę jej szyi.

Ulegała pieścizotom męża, zatracając się w tej chwili i w tej bliskości. Poddała się dotykowi, za którym tęskniła, pozwalając mu dotrzeć tam, gdzie budziło się niezaspokojone pragnienie i gdzie płonął żar, który tylko Staszek mógł ugasić. Bo tylko on był obietnicą, w której spełnienie Renata uwierzyła.



Nocą znów przyprószyło, a smutny świat ubrał się w pelerynkę niewidkę, która odbijała tylko to, co najpiękniejsze, szczegóły jakby wyczarowane przez Królową Śniegu. Drzewa poubierane w białe koronkowe suknie wyglądały dostojniej i smuklej niż latem, a śmieszne ptasie ślady na przykrytych trawnikach były niczym tajemniczy kod wypisany przez Matkę Naturę.

W zimowej scenerii nadbużańskie Świerże przypominały miasteczko z baśni, a park Podworski, do którego Emilia zabrała dziś Januarego, wyglądał jak tajemne przejście prowadzące do krainy, którą objąć może jedynie wyobraźnia.

— No i jak, zaskoczony? — Emilia podniosła do góry obie ręce i okręciła się dookoła. Wyglądała jak ufne dziecko, które wierzy, że jeśli podskoczy dostatecznie wysoko, z pewnością dotknie gwiazd, a może i jedną z nich pochwyci. Ta spontaniczność Emilii i jej dziecięce zauroczenie życiem nieodmiennie zachwycały Januarego. Przy niej czuł się tak, jakby spadały z niego twarde łuski, które od śmierci Tereni na siebie przyklejał, opancerzając się przed światem i broniąc dostępu każdemu, kto chciał się przez tę skorupę przedrzeć. Emilia wydobywała z niego to, co najlepsze, zadziwiając samego Januarego ludzkimi odruchami, na które się zdobywał. Przy niej po raz pierwszy od wielu lat roześmiał się tak szczerze i serdecznie. Wsłuchując się w ten śmiech, z niedowierzaniem pomyślał, że ta kobieta, którą spotkał w Galerii na Złotej, naprawdę jest czarownicą, a on trafił na nią dokładnie

wtedy, gdy zapragnął po prostu żyć.

— Pamiętam tę aleję z obrazu — powiedział, rozglądając się ciekawie i zapamiętując szczegóły, które chciał wywieźć pod powiekami, podobnie jak i to wspomnienie dodane do poprzednich, z których na nowo budował swój inny świat.

— Aleja Bukowa. Powędrowała do Narcyzy wraz z dobrą wiosenną energią zamkniętą w obrazie. Teraz Świerże witają cię zimą. Widzisz, jak drzewa się przystroiły na naszą wizytę?

— Zaczynam się bać, czym jeszcze mnie zaskoczysz.

— Mam jeszcze parę niespodzianek w zanadru — uśmiechnęła się. — Ten park należał kiedyś do rodziny Orsetti, a ta aleja prowadziła do bramy, za którą jest kościół. Tam był dwór. — Emilia wyciągnęła przed siebie rękę, za którą podążył wzrok Januarego. — A ja chcę cię zaprowadzić do Kasztanowej Altany, w której w lecie można sobie podumać i pozwolić, aby jakiś przystojny mężczyzna skradł całusa.

Dłoń Emilii wsunęła się w dłoń Januarego i dopasowała tak naturalnie, jakby to było miejsce, które na nią czekało. January nauczył się już, że ta kobieta jest nieprzewidywalna, i pozwalał się zaskakiwać, sam ciekawy, co z tego wyniknie i jakie granice, które sam sobie narzucił, jeszcze przekroczy.

— Przed wojną dopieszczony był tu każdy krzew i każda rabatka. Park urządzony był w stylu angielskim, a aleja, którą teraz idziemy, wysypana była białymi kamykami, które co jakiś czas myto wodą nanoszoną z Bugu. Dzięki temu spacerujące tędy damy z długimi trenami, ciągnącymi się za sukniami, mogły nie martwić się tym, że się pobrudzą, tylko oddawać ploteczkom o najnowszej modzie paryskiej lub o sprawach męsko-damskich, które nieustannie, pomimo zmieniających się epok, są zawsze tematem wywołującym wypieki na twarzach kobiet.

— Lubisz to miejsce — bardziej stwierdził, niż zapytał January.

— Kocham. Każdej wiosny przyjeżdżam w te okolice na plenery, organizowane przez Igora Korczyńskiego z Woli Uhruskiej. Mam tu przyjaciół, zresztą kilkoro z nich poznasz osobiście, bo jesteśmy zaproszeni na kawę do jednego z tutejszych artystów rzeźbiarzy, Rafała Jankowskiego. Jego żona, Sylwia, robi najlepsze racuchy na świecie. Mam nadzieję, że zajrzy do nas Andrzej Suchocki, również artysta. Wiesz, January, Świerże to inny świat. Tutaj ludzie żyją spokojniej, bez tej nerwowości i pośpiechu typowych dla miast i co więcej, doceniają to, co mają, i kochają ten zapomniany kawałek świata, na którym przyszło im żyć. Jesteśmy w alei Kasztanowej. Tam jest Bug, a tutaj stał pałac, doszczętnie zniszczony już po wojnie. Pięknie tu, prawda?

— Pięknie — odpowiedział January, nie spuszczać oczy z Emilii. Jej zaróżowiona od chłodu twarz wyglądała niemal dziewczęco, a roziskrzona oczy hipnotyzowały. W Emilii nie było nic sztucznego, niczego nie udawała i nie wkładała żadnych masek, aby przystosować się do wymagań współczesnego świata. Była

kimś prostym, a jednocześnie tak skomplikowanym, że można ją było odkrywać wciąż na nowo, bo ciągle czymś zaskakiwała. January nie wiedział, czy to Terenia, mając już dość jego życiowej nieudolności, postawiła Emilię na jego drodze, czy też Pan Bóg załamał nad nim ręce, posyłając babę tam, gdzie i diabeł nie może, ale w tej jednej chwili, gdy przyciągnął Emilię do siebie i poczuł jej bliskość, kradnąc całusa, wiedział, że uśmiecha się Terenia i całe niebo, zsyłając przedzierający się przez koronkowe konary promień słońca, zaplątanego w zupełnie nowe uczucie dwojga dojrzałych ludzi, którym dane było się odnaleźć.



Grudniowe szare popołudnie przygnębiało zbyt szybko zapadającym zmrokiem i brakiem słońca, za którym wszyscy tęsknili. W tej szarości jednak była obietnica nowego i radosne oczekiwanie na święta, o których zbliżaniu się sklepy nieustannie przypominały bożonarodzeniowymi dekoracjami, muzyką i licznymi promocjami, skłaniającymi ludzi do kupowania więcej, niż zamierzali. I mimo że po pierwszym śniegu nie został już nawet ślad, zima wdarła się do ludzkiej świadomości na dobre, a wraz z nią lekkie ożywienie zapowiedzią odpoczynku, spotkań i sportów zimowych, za którymi ich miłośnicy mocno się stęsknili.

Kasia wracała z Marlenką podskakującą tuż przy jej boku i zadającą niezliczone pytania, na które kobieta z cierpliwością odpowiadała. Dziś większość z nich dotyczyła zimy i tego wszystkiego, co ta pora roku miała do zaoferowania, czyli śniegu, sanek, bitwy na śnieżki i lepienia bałwana, mrozu, który szczypie w nos i maluje obrazy na okiennych szybach. Jedno z pytań nie pasowało do całości i trochę wybiło Kasię z kontekstu, gdy usłyszała: „Czy lubiłaś szpinak, jak byłaś mała?”, domyśliła się jednak, że pytanie związane było z dzisiejszym obiadem — zdrowym, według zaleceń unijnych, ale niekoniecznie lubianym przez dzieci w wieku przedszkolnym. Odpowiedziała więc jak typowy dorosły, że szpinak jest zdrowy i zawiera wiele cennych minerałów potrzebnych dziecku, pominęła jednak własne wspomnienia z dzieciństwa, gdy odmawiała nawet patrzania na zieloną papkę na talerzu.

Marlenka chwilę rozważała słowa mamy, a potem zapytała znienacka:

— Jak to możliwe, że jeden Święty Mikołaj wyrabia się z przywiezieniem prezentu dla każdego dziecka na świecie?

Kasia przez chwilę rozpaczliwie poszukiwała jakiegoś ratunku, ale wokoło nie było niczego, co mogłoby odwrócić uwagę dziewczynki.

— Święty Mikołaj ma magiczne sanie, które pędzą najszybciej na świecie, i ma jeszcze swoich elfich pomocników, którzy pomagają mu i dbają o to, aby każde dziecko dostało prezent.

— Nawet to niegrzeczne? — Marlenka chłonęła każde słowo mamy, a jej ogromne niebieskie oczy wpatrywały się w Kasię z ufnością.

— Jak jest bardzo niegrzeczne, Mikołaj dokłada różgę do prezentu.

— Ja nigdy nie dostałam różgi.

— Bo jesteś grzeczną dziewczynką, a Mikołaj to wszystko wie.

— A skąd?

Kasia uśmiechnęła się. Wzruszały ją pytania córeczki i jej dziecięca wiara, przyjmująca jeszcze wszystko bez zastrzeżeń.

— Od elfów, które obserwują cię przez cały rok i opowiadają Mikołajowi, czy marudziłaś przy śniadaniu albo czy w przedszkolu dzieliłaś się zabawkami z innymi dziećmi.

Marlenka chwilę myślała, a potem, rozglądając się dookoła, spytała szeptem:

— A czy teraz też na mnie patrzą?

— Myślę, że tak. — Kasia też odpowiedziała szeptem.

— I wiedzą, że kopnęłam dziś Maćka?

Kasia pokiwała głową, z trudem utrzymując powagę.

— Ale on ciągnął mnie za włosy! — Marlenka była bliska płaczu i Kasia doszła do wniosku, że pora skończyć tę niebezpieczną rozmowę.

— Kochanie, jestem pewna, że Mikołaj nie będzie się o to gniewał. — Kasia wzięła córeczkę za rączkę, myśląc, że macierzyństwo było czymś najlepszym, co ją spotkało w życiu. Marlenka ją uratowała, dając siłę, o której istnieniu Kasia nie miała pojęcia. Ta mała dziewczynka wypełniła w poranionej życiem kobiecie wszystkie rysy i pęknięcia, ucząc nieskażonej miłości, zdolnej do poświęceń i walki o samą siebie. Była podarunkiem od Pana Boga wynagradzającym wszystkie krzywdy, których Kasia doznała od przewrotnego losu.

Dochodziły już do bloku, gdy Marlenka wyrwała się Kasi i zaczęła biec w stronę skulonej postaci stojącej pod klatką z rękami wbitymi w kieszenie.

— Tata!

Darek wyciągnął ręce i podniósł dziewczynkę do góry. Marlenka zapiszczała, trochę z przestachu, a trochę z radości typowej dla beztroski dzieciństwa.

— Cześć, mała księżniczko.

— Cześć, tato. Wiesz, że Mikołaj wchodzi do domu przez komin?

— Wiem.

— A nasz domek ma komin?

— Każdy dom ma komin. — Darek postawił Marlenkę na ziemi i spojrzał na Kasię, szybko uciekając jednak przed jej chmurnym spojrzeniem.

— A czy ten komin jest na tyle duży, aby zmieścić się tam Mikołaj?

— Marlenko, nie tylko Mikołaj się tam mieści, ale i cały jego worek z prezentami.

— Czego chcesz? — Kasia założyła ręce na piersiach i patrzyła na chłopaka, niczego mu nie ułatwiając.

— Przyszedłem się pożegnać — odpowiedział, na nowo wpychając dłonie

do kieszeni kurtki. — Nie będę ci się więcej narzucał, wyjeżdżam do Norwegii, do pracy. Tutaj nie ma dla mnie przyszłości.

— A kiedy wrócisz, tatusiu?

Kasia zagryzła wargi. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła ulgę. Darek zniknie, przynajmniej na jakiś czas potrzebny jej do tego, aby nauczyła się żyć bez strachu i nieustannego poczucia zagrożenia, którego nie potrafiła się pozbyć.

Darek przykucnął i popatrzył w szczerze i przejrzyście niebieskie oczy córeczki.

— No, trochę mnie nie będzie, ale będę do ciebie dzwonił i będę cię odwiedzał.

— I do parku też ze mną pójdziesz?

— Pójdę. I do parku, i na plac zabaw. Gdzie tylko będziesz chciała.

— Będę za tobą tęskniła, tatusiu. — Małe rączki Marlenki objęły szyję chłopaka. Darek zamrugał, nie umiejąc poradzić sobie ze łzami, które zupełnie nie po męsku wymknęły się z oczu i potoczyły po szorstkim policzku.

— Ja też będę za tobą tęsknił, mała księżniczko.

Kasia patrzyła na czubki swoich butów, zawstydzona łzami Darka równie mocno jak on sam.

— Wejdiesz na górę? — spytała cicho, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

Pokręcił głową, pocałował dziewczynkę w jasne włosy i z trudem oderwał jej małe rączki od siebie.

— Zostawiłem na górze prezent dla ciebie — zwrócił się do córeczki, ocierając wierzchem dłoni zwilgotniałe oczy. — Będę do ciebie często dzwonił, a ty będziesz mi opowiadać, jak ci minął dzień, okej?

— Okej — odpowiedziała dziewczynka, która już chciała biec na górę, zaintrygowana prezentem, o którym wspomniał tato.

— Na ciebie też czeka prezent. — Darek odważył się spojrzeć na Kasię.

— Ale ja nie chcę...

Nie pozwolił jej dokończyć, kładąc palec na ustach dziewczyny.

— Ten na pewno ci się spodoba. Trzymaj się, Kaśka, i dbaj o Marlenkę.

Pokiwała głową i weszła do klatki, nie oglądając się już za siebie. Nie widziała spojrzenia Darka, którym ją żegnał, ani smutku w jego oczach. Wiedziała tylko, że decyzja, którą podjął, była najlepszym wyborem, jakiego kiedykolwiek dokonał.

Jadwiga siedziała w kuchni nad szklanką wystygłej herbaty. Podniosła wzrok, gdy Kasia weszła do domu i spojrzała na córkę, szukając w jej twarzy podobnych emocji, których sama doświadczała. Nie umiała jednak rozgryźć Kaśki, która wydawała się zupełnie obojętna wobec tego, czego z pewnością się dowiedziała.

— Spotkałaś Darka?

Kasia skinęła głową.

— Powiedział ci, że wyjeżdża?

— Powiedział. — Kasia pomogła Marlence zdjąć płaszczyk, który powiesiła na wieszaku w przedpokoju.

— Nie szkoda ci?

— Niby czego? Przecież do pracy jedzie, a nie na skazanie.

Jadwiga wzruszyła ramionami, jakby z westchnieniem: „Nigdy cię nie zrozumiem”.

— Niewiele cię to obeszło.

— To jego życie, najwyższa pora, aby coś z nim zrobił.

— Zostawił coś dla ciebie. Położyłam ci na regale.

Kasia wsunęła stopy w ciepłe ciapy i ruszyła w stronę pokoju, przeciągając moment przyjęcia Darkowego prezentu, którym tak naprawdę chciał kupić jej wybaczenie. Marlenka siedziała już na podłodze, wpatrując się z zachwytem w duży, piętrowy dom dla swoich pet shopów, i Kasia była pewna, że całe popołudnie i wieczór upłyną jej na zabawie. Wymijając ostrożnie córeczkę, podeszła do regału i zamarła. Złoty łańcuszek, kolczyki i pierścioneł, na których odzyskanie już dawno straciła nadzieję, leżały spokojnie na półce wraz z kawałkiem przeszłości, która już na zawsze pozostanie częścią jej życia, bez względu na to, czy została wyrzucona ze wspomnień, czy zakopana głęboko.

Mała karteczka dołączona do biżuterii sprawiła, że łzy oczyszczenia przelały się, pozwalając Kasi narodzić się na nowo z wiarą, że wszystko jeszcze przed nią i że życie, jakie wymyśliła dla siebie i Marlenki, naprawdę jest możliwe.

„Bądź szczęśliwa i nie wspominaj mnie źle”.

„Będę”, pomyślała, dotykając chłodu złota. „Na pewno będę”.

I w tej magicznej chwili po prostu w to uwierzyła.



Renata stała przy oknie i patrzyła na pędzący w dole świat, który nie przystawał ani na chwilę. Samochody wyprzedzały się mało uprzejmie, trąbiąc i przepychając się niemal jak ludzie łokciami, karetki na sygnale przedzierały się przez zakorkowane ulice, a przechodnie osłaniający się przed podmuchami wiatru czapkami i szalikami, przebiegali szybko, chowając się w swoich domach albo chroniąc przed zimnem w rozświetlonych centrach handlowych. Pośpiech towarzyszył grudniowi krok w krok, a świadomość zbliżających się świąt potęgowała nerwowość i paradoksalnie, zamiast skłaniać do refleksji i zatrzymania, napędzała i popychała do zakupowej gorączki, której ludzie co roku ulegali.

Renata pomyślała sobie, że życie składa się z takich właśnie dni powszednich, posplatanych ze sobą. To one, te dni dalekie od odświętności, wyznaczały

rytm codzienności, poganiając czas, który nigdy nie powracał. Ludzie marnotrawili chwile, przegapiając często to, co cenne, i oczekując nadzwyczajności, kiedy to właśnie zwyczajność przynosiła obietnice i spełniała je, choć człowiek za rzadko to zauważał.

Cieszyły ją zbliżające się święta. W tym roku czekała na nie równie niecierpliwie jak dziewczynki na Gwiazdkę. Ze smutkiem myślała tylko o tym, że od kilku miesięcy Staszek, który powinien być jej codziennością, kojarzy jej się wyłącznie z odświętnością, bo każda jego wizyta wypadła w dni, które zwalniały z ustalonej obowiązkowości i wychodziły poza ramy, w jakich przez tyle lat wspólnie funkcjonowali.

Jej niewesołe rozmyślania przerwała Julka, która wróciła ze szkoły, wnosząc ze sobą do kuchni podobną markotność, jaka wypisana była na twarzy Renaty.

— Cześć, mamuś.

— Cześć, córciu.

Zamiast zniknąć, jak zawsze po tych słowach, w swoim pokoju, Julia usiadła przy stole, podparła głowę rękami i spojrzała na Renatę tak, że serce matki od razu zatrzepotało niespokojnie.

— Jak tam w szkole? — spytała dyplomatycznie, chcąc od czegoś zacząć.

— W porządku. Dostałam piątkę ze sprawdzianu z angielskiego i czwórkę z kartkówki z matmy.

— To super. — Renata postawiła obrane wcześniej ziemniaki na gazie i włączyła kuchenkę, a potem usiadła przy córce, patrząc na nią z czułością.

— Mamo, czy ty i ciotka Monika pokłóciłyście się kiedyś?

Renata zamyśliła się, przebiegając po wszystkich latach przyjaźni z Moniką, dzięki którym zwykła codzienność nabierała niepowtarzalnego smaku i koloru.

— Pewnie tak, jako nastolatki albo młode kozy. Wiesz, Julcia, znamy się tyle lat, że były zadry i draśnięcia, ale zawsze potrafiłyśmy o tym rozmawiać i docenić przyjaźń, która się między nami narodziła.

— Przyjaciel nie obmawia cię za twoimi plecami, prawda? — Szczere oczy córki patrzyły na Renatę, szukając u niej odpowiedzi na trudne życiowe pytania, z którymi nastolatka nie umiała sobie poradzić.

— Nie, kochanie. — Renata pokręciła głową czując, że za tym wszystkim stoi nie kto inny jak Wiktoria.

— I nie obraża twoich znajomych?

Tym razem nie odpowiedziała, tylko zaprzeczyła ruchem głowy.

— A czy można się pomylić w wyborze przyjaciela?

Renata dotknęła zimnej ręki córki i zamknęła ją w swoich dłoniach.

— Życie weryfikuje nasze wybory, Juleńko. Czasami ktoś, kogo obdarzamy pewnym uczuciem, na przykład przyjaźnią, zupełnie na to nie zasługuje. I to wcale nie jest nasza wina, po prostu pewni ludzie nie potrafią zobaczyć wokół siebie

nikogo więcej poza sobą samym i dopóki jesteś im do czegoś potrzebna, traktują cię po przyjacielsku, a gdy zrobisz coś nie po ich myśli, odrzucają to, co dla ciebie było przyjaźnią, albo mocno to zniekształcają. Takiego kogoś nie możesz nazywać swoim przyjacielem, bo nim po prostu nie jest.

— Tego wszystkiego człowiek uczy się latami, prawda, mamó?

Renata uśmiechnęła się.

— Tak, córeczko. Masz na to dużo czasu, a i tak popełnisz niejedną błąd. Bo takie jest życie.

Ziemniaki odezwały się, kipiąc. Renata uwolniła rękę córki i wstała, aby zmniejszyć gaz i posolić gotującą się wodę. Przy kuchence dobiegły do niej słowa Julii, których wcześniej czy później się spodziewała.

— Wiktoria wcale nie jest taka, za jaką ją uważałam. Myśli, że jest kimś lepszym, i z góry traktuje tych, którzy mają gorzej. Dziś bardzo brzydko postąpiła z Patrycjuszem. Obraziła go, a kiedy stanęłam w jego obronie, powiedziała mi takie słowa, które zabolowały.

Renata powoli podeszła do córki i pogładziła ją po policzku z troską, z jaką serce matki pochyla się nad skrzywdzonym dzieckiem.

— Jesteś mądra, Juleczko, i poradzisz sobie z tym. Wiesz, że zawsze możesz ze mną o wszystkim porozmawiać?

— Wiem, mamó.

— I wiesz, że nie musisz zabiegać o przyjaciół, bo już ich masz? Sprawdzonych i chyba trochę zaniedbanych?

Julia zarumieniała się i spuściła głowę. Renata pochyliła się i przytuliła do pleców córki.

— Przepraszam, że pozwoliłam jej mówić ci takie przykre rzeczy, jak wtedy...

Renata machnęła ręką.

— Nie myśl już o tym. Sprowokowała mnie i byłam nawet u kosmetyczki.

— Naprawdę? — Julia ożywiła się, podniosła głowę i przyjrzała się matce uważnie.

— Naprawdę. — Renata wyjęła patelnię, na której zamierzała usmażyć przygotowane wcześniej kotlety.

— Mamó... mogę ci jeszcze o czymś opowiedzieć? — W głosie Julki było coś takiego, że Renata odwróciła się w stronę córki zaniepokojona.

— Kilka dni temu byłam z Wiktoria na zakupach w centrum handlowym — zaczęła Julia. Renata patrzyła na córkę, stojąc oparta o kuchenny blat. — Wiktoria mierzyła bluzkę, a potem zamiast odwiesić ją na wieszaku, rzuciła niedbale. Bluzka spadła na podłogę, a sprzedawczyni zwróciła Wice uwagę i poprosiła o podniesienie. Wiesz, co jej Wiktoria odpowiedziała, mamó?

Renata pokręciła głową, choć czuła, że to nie będzie miła opowieść.

— Nie mam pojęcia, córeczko.

— Powiedziała, że podnoszenie i odwieszanie rzeczy należy do obowiązków sprzedawcy, a nie klienta, i że... — Julka lekko się zacięła — ...i że to nie jej wina, że tej pani nie chciało się studiować i musi pracować w tym miejscu — dokończyła ciszej, a potem jeszcze dodała: — Nie chciałabym nigdy, mamu, aby ktoś potraktował cię w ten sposób, nic o tobie nie wiedząc i nie mając pojęcia, jakim człowiekiem jesteś tak naprawdę.

Renata poczuła łzy napływające jej do oczu. Podeszła do córki i mocno ją przytuliła, chcąc w tym jednym geście zdjąć z niej wszystkie niepokoje i ciężary, które przerastały piętnastoletnią dziewczynę.

— Juleczko, w każdym miejscu znajdzie się ktoś, kto będzie się uważał za lepszego od ciebie. Ludzie są okrutni i potrafią zranić słowem dotkliwiej niż pięścią. Ważne jest to, za kogo ty sama się uważasz i czym będziesz karmiła swoje serce. Lubię swoją pracę i naprawdę wierzę, że robię coś dobrego, a jeśli ktoś myśli inaczej, to już jego problem. Ale cieszę się, że widzisz rzeczy, obok których nie potrafisz przejść obojętnie.

Teodor poderwał się i podbiegł do drzwi, oznajmiając powrót Igi.

Renata pogłodziła jeszcze córkę po włosach i wróciła do patelni, na której położyła trzy kotlety. Smażąc je, pomyślała, że pomimo humorów i hormonów, które rządziły jej córkami, udało im się ze Staszkiem stworzyć rodzinę, w której ich dzieci czuły się bezpiecznie i w której szukały oparcia wtedy, gdy grunt pod nogami robił się zbyt grząski. I mimo że ich mieszkanie było niewielkie i często się o siebie obijali, następując jedno drugiemu na odcisk, niekiedy dotkliwie, to jednak ich dom był miejscem pełnym ciepła, miłości i zapachu ciasta z kruszonką, w której ukryte było niebo. A prosta, zwyczajna codzienność nadawała smak życiu, które trwało i toczyło się, rozpisując swój scenariusz i wyznaczając role po swojemu. Zgodnie z wolą Reżysera.



W sklepie wrzało od samego rana. Mimo że świąteczne zakupy rozpoczęły się już kilka tygodni wcześniej, wielu klientów przypominało sobie o najpotrzebniejszych rzeczach właśnie dzisiaj, w dzień Wigilii. Świeże pieczywo było rozchwytywane, jeszcze zanim Melania zdążyła wyłożyć je na półki, a zamawiane przez klientów ciasta wydawano zgodnie z listą zapisów, nad którą czuwała Kasia. Ubrana na kolorowo choinka migotała wesołymi światełkami, a świąteczne melodie sączące się jako przedsmak wigilijnego wieczoru przez głośniki ocieplały to zabiegane przedpołudnie, napędlając ludzi radosnym oczekiwaniem.

Stojąca przy kasie Renata pomyślała, że dzisiejszego dnia ludzie mają w sobie więcej serdeczności i życzliwości niż zazwyczaj. Magia świąt dotykała każdego, zmieniając nawet tych, którzy najwięcej narzekali.

Znajome twarze przesuwały się, zostawiając przy Renacie świąteczne życzenia i uśmiechy, które odwzajemniała. Wymieniane w krótkiej rozmowie słowa przesycone były nadzieją, w którą dziś jakoś łatwiej było uwierzyć. Wigilijny dzień kruszył zaciętość serc, a Małeńka Miłość, na którą niecierpliwie czekał cały świat, swoją mocą dotykała nawet tych, którzy się na nią pozamykali.

Renacie mignęła pomarszczona twarz pani Anieli. Ta twarz, pomimo wypisanych na niej minionych lat, dziś promieniała szczęściem. Renata wiedziała, że powodem tego szczęścia jest wnuczka, która wraz z mężem i synkiem spędzała święta u pani Anieli, stęsknionej obecności człowieka w czterech ścianach, które odbijały tylko samotność. Obserwując, jak młoda dziewczyna wkłada produkty do wózka prowadzonego przez panią Anielę, w której wzroku była czysta miłość, Renata uświadomiła sobie, że ludzie tak naprawdę nie potrzebowali wiele, aby poczuć to prawdziwe szczęście. Wystarczył drugi człowiek tuż obok, z którym mogli przełamać się opłatkiem i zasiąść wspólnie do wigilijnego stołu, choćby najskromniej nakrytego. Wystarczyła obecność bez pośpiechu i spojrzenie, w którym były wszystkie niewypowiedziane słowa. Wystarczyło być dla kogoś, tylko tyle. I aż tak wiele.

— Miałem nadzieję, że jeszcze cię zastanę w pracy. — Smutne oczy Karola dziś były jakby mniej smutne. Renata uśmiechnęła się do mężczyzny, przesuwając przez czytnik wyłożone przez niego produkty.

— Kończymy o piętnastej. A potem trzy dni wolnego. Gdzie spędzasz święta?

— W domu, z synem. Ale na Wigilię idziemy do teściowej. Zawsze to wspólnie łatwiej znieść czyjaś nieobecność.

Pokiwała głową, zastanawiając się, jakie życzenia byłyby dla Karola najważniejsze.

— Życzę ci, Karolu, spokoju i odnalezienia prawdziwej radości tych świąt — powiedziała, zatrzymując na dłuższą chwilę wzrok na ciemnym spojrzeniu, które objęło ją ciepłem.

— A ja ci życzę nieustannej obecności przy tobie tych, których kochasz — odpowiedział.

Słowa i ludzie. Drobne sprawy, z którymi przystawali przy tej kasie, i wielkie zgryzoty, którymi się dzielili. I sklepowa lada, która nie była jedynie częścią wyposażenia sklepu, ale miejscem spotkania i krótkiej rozmowy, kiedy człowiek nie był anonimowy.

Renata pomyślała, że to miejsce jest częścią jej życia. Nie miała co prawda własnego biurka ani obrotowego krzesła, ale była odpowiedzialna za to stanowisko, przy którym wraz z wydawaną resztą starała się dać ludziom coś od siebie. Ogrzewający uśmiech, gdy przemarzli od środka; dobre słowo, które miało moc przemiany, gdy zostało szepnięte we właściwym czasie; obecność potrzebną do wysłu-

chania czy proste ludzkie zainteresowanie kimś, kto stanął naprzeciwko niej, przynosząc swój świat, który nie obchodził nikogo. Tyle ludzkich historii przewinęło się przez sklep i tylu ludzi wracało tu, aby w tym rozpedzonym świecie zatrzymać się na chwilę, choćby przy sklepowej ladzie. To było jej życie, toczące się tu i teraz. Wiedziała, że nie dostanie żadnego zmarnowanego dnia do poprawki, dlatego starała się przeżyć każdy z nich tak, aby wieczorem mieć odwagę spojrzeć w lustro bez odwracania wzroku. Bo przecież wystarczyło naprawdę tak niewiele, po prostu być człowiekiem.

— Nawet chwili wytchnienia na kawę dziś nie ma. — Kasia podbiegła do kasy, przynosząc swoje zakupy do przeliczenia. Renata zauważyła, że oczy koleżanki błyszczały dziś radosnym podekscytowaniem, a przygarbione od wielu miesięcy ramiona dziś jakby się uniosły, gubiąc część zawieszonych na nich trosk.

— Wigilię spędzacie z Marlenką w domu?

Kasia popatrzyła na Renatę z uśmiechem, jakiego dawno już nie było na jej twarzy.

— Pierwszą gwiazdkę witamy w domu i razem z mamą siadziemy do Wigilii, ale potem, gdy już Marlenka padnie zmęczona wrażeniami dnia, jadę do szpitala.

— Do szpitala?! — ręka Renaty zawisła nad czytnikiem. — Źle się czujesz? Kasia roześmiała się.

— Nie, wręcz przeciwnie. Krzysztof ma dyżur i nie chcę, aby był sam. Posiedzę z nim, zawiozę kilka wigilijnych potraw, a potem obiecałam mu, że pójde z nim na pasterkę.

— Krzysztof... — Renata pokręciła głową, uśmiechając się.

— Myślisz, Renia, że w końcu dostanę od życia szansę? — Zielone jak oczy nadziei spojrzenie Kasi szukało w Renacie odpowiedzi.

— Na pewno! — odpowiedziała, mocno wierząc w moc tych słów wypowiedzianych właśnie dzisiaj, w wigilijny czas.

Kasia przechyliła się przez ladę i pocałowała ciepły policzek koleżanki, która stała jej się w pewnym momencie bliska jak siostra.

— Dobrze, że jesteś, Renia — szepnęła Kasia, mrugając oczami, w których zaczęło robić się wilgotno.

Nie zdążyła jej odpowiedzieć. Nagle cały jej świat wypełnił się jedną znajomą sylwetką i uśmiechem przeznaczonym tylko dla niej. Wraz z tym uśmiechem doleciał do niej znajomy zapach wody po goleniu, od którego po plecach Renaty przeszedł przyjemny dreszcz.

Staszek podszedł do niej pewnym krokiem, uklonił się Kasi, a potem uniosł rękę, w której trzymał jemiotę, i zatrzymał ją nad Renatą.

— Musisz mnie pocałować, taka jest tradycja.

— Jestem w pracy — odszepnęła, zarumieniona.

— Ale dziś jest taki dzień, że nie możesz mi odmówić.

— Ale mnie w pracy nie wypada.

— A ja się nie będę ciebie pytał o zgodę — zakończył to przekomarzanie Stanisław, przyciągając Renatę na tyle, na ile pozwoliła mu dzieląca ich lada. Zimne usta, które dotknęły ciepłych warg Renaty, przekazały jej świąteczne przesłanie, w którym odczytała to wszystko, za czym tęskniła i na co miała nadzieję.

„Moje niebo, zamknięte w tych ramionach i w kruszonce drożdżowego ciasta, które upiekę właśnie dla niego”, pomyślała, patrząc w ciemne oczy mężczyzny, który był jej obietnicą wszystkiego, czego pragnęła. Obietnicą na życie.

Lublin — Dąbki — Lublin

listopad 2015

Przyjaciele są jak ciche anioły, które podnoszą nas, kiedy nasze skrzydła zapominają, jak latać.

Antoine de Saint-Exupéry

Miłość wchodzi w życie człowieka burzliwie i nieoczekiwanie; przyjaźń rodzi się łagodnie, splatając cierpliwie nitki wspólnych spotkań, rozmów, wymiany mojego „ja” na „ty” osoby, która z każdą wspólnie spędzoną chwilą robi nam się coraz bliższa i którą po jakimś czasie nieokreślonej długości zaczynamy kochać miłością niezaborczą, rozumiejącą istotę odmienności i akceptującą ją pomimo. Miłość to wybuch, uniesienie i stąpanie po chmurach, to świat oglądany przez okulary, które wiele zasłaniają i które trzeba nauczyć się zdejmować, jeśli z tym kimś wyjątkowym chcemy spędzić swoje życie. Przyjaźń natomiast jest procesem stopniowo odsłaniającym prawdę, którą odkrywamy w drugim człowieku. W przyjaźni nie ma miejsca na udawanie kogoś, kim nie jestem. Prawdziwa przyjaźń jest szczerą, ale nie do bólu. Prawdziwa przyjaźń uczy rozeznawać, kiedy powinniśmy wejść poza wyznaczone ramy, naruszając bardzo intymną przestrzeń, jaką każdy człowiek ma zarezerwowaną dla nielicznych, czasami tylko dla siebie, i kiedy powinniśmy przemilczeć gorzką prawdę, aby nie ranić, tylko wesprzeć. Prawdziwa przyjaźń nie potrzebuje nieustannych zapewnień swojej obecności, tysiąca miłych słów dla podtrzymania kontaktu ani wyłączności. Jest za to skromna, cierpliwa i bliska tą bliskością, którą czujesz pomimo tygodni milczenia i dzielącej odległości. To ona właśnie, ta przyjaźń, daje ci pewność, że cokolwiek by się działo w twoim życiu, nie jesteś z tym sam. I choć przyjaciel nie przejmie od ciebie twojego bólu ani nie naprawi popsutej rzeczywistości, wystarczy ci to, że wysłucha, wesprze, podpowie albo po prostu przytuli i pomilczy razem z tobą, współodczuwając to wszystko, co ty czujesz i czym chcesz się z nim podzielić.

Przyjaciel to ktoś, kto nie chce cię zmienić, tylko przyjmuje cię takim, jaki jesteś. To ktoś, komu możesz zwierzyć się ze wszystkiego bez obawy, że zamiast zrozumienia otrzymasz pouczenie. Czas zainwestowany w przyjaźń to czas, który cię ubogaca i otwiera oczy na ścieżki, które łatwo przeoczyć w pojedynkę. Przyjaźń to również obdarowywanie bez przymusu i powinności, to szczerą radość z czyjegoś sukcesu, to także uszanowanie potrzeby czyjejś samotności, którą niejedni z nas nosi w sobie.

Przyjaźń odlicza się w latach, bo tylko czas weryfikuje to, co najszczerze i wartościowe. To bliskość, która nie pokrywa się pajęczynowym kurzem, ale z upływem lat jest jak najlepsze wino — z pełnym bukietem, niepowtarzalnym smakiem i dojrzałością, której nic nie zastąpi. Szczęśliwy jest człowiek, który odnalazł w swoim życiu choć jednego prawdziwego przyjaciela. Szczęśliwy, bo

właśnie poprzez przyjaźń jest w stanie dostrzec utkane z misternej koronki szczegóły zwyczajnego życia, na które — patrząc innymi oczami — zwracamy większą uwagę i przy których zatrzymujemy się właśnie z przyjacielem, aby uchwycić ten czas i przechować go w magicznej szkatułce pamięci.

Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo mam w swoim życiu przyjaciółki, które — podobnie jak Monika z Renatą — przetrwały ze mną gwałtowne burze i załamania; które były przy mnie przez całą drogę walki o siebie i swoje marzenia, i razem ze mną autentycznie i szczerze cieszą się tym, co się w moim życiu z gwałtownymi zakrętami poukładało. Staż mamy dłuższy od mojego małżeństwa — trzydzieści osiem, trzydzieści i dwadzieścia dwa lata przyjaźni, która z każdym rokiem nabiera coraz lepszego smaku, nigdy nie zawiodła i przetrwała momenty słabości, wartościując to, co naprawdę ważne. Każda inna i każda wyjątkowa, ukryta głęboko w sercu i pokochana tą siostrzaną miłością, która uczy wybierać. Agnieszka, Kasia i Dorota. Trzy imiona, które są dla mnie jak melodia, którą w sobie noszę i której lubię słuchać, szczególnie w ciepłym zaciszu nałęczowskiej Eweliny. Różnimy się między sobą i tą różnorodnością uzupełniamy. Uczestniczymy w swoim życiu bez nieustannego wpychania się poza wyznaczone granice. Nie potrzebujemy zbędnych słów ani cotygodniowych telefonów. Czasami milczymy nawet kilka miesięcy, ale to nie znaczy, że tej przyjaźni nie ma. Doceniam spokój i subtelność przyjaźni, bez której moje życie byłoby ubogie. Nijakie. Puste, bo nawet ukochany mąż i dzieci nie są w stanie zastąpić przyjaciółki w życiu kobiety. Potrzebujemy jej, tak jak ja potrzebuję Agnieszki, Kasi i Doroty, aby być pełnią, ubogacaną przez ich odmienność.

Przyjaźń to zaufanie i brak lęku oddania części siebie drugiemu człowiekowi. To świadomość, że na ruchomych piaskach życia będziemy w stanie oprzeć się o pewny grunt i że nie zatoniemy, bo czyjaś pomocna dłoń będzie wyciągnięta w naszą stronę w każdym momencie upadku czy zagrożenia. To również odłamki tęczy, które odkrywamy w sobie oczami kogoś innego. Przyjaciel to anioł, który wchodzi w nasze życie bez szumu i zostaje w nim na długo, rozprostowując przykurczone skrzydła.

Agnieszce Stępień, Kasi Lachewicz i Dorocie Korobiejnikow dziękuję za to, że jesteście! Dziękuję za to, czym mnie obdarowujecie. Dziękuję za Przyjaźń, za piękną Siostrę Miłości.

Monika A. Oleksa

Człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za uczucia, które ma dla innych, ale i za te, które w innych budzi.

Kardynał Stefan Wyszyński

